

Wariatki

Chantal Delsol

Przełożyła z francuskiego Krystyna Szeżyńska-Mačkowiak

Wydawnictwo "Książnica"

Tytuł oryginału Ouatre

Opracowanie graficzne Marek J. Piwko

S Fotografia na okładce f ? *

(c) SuperStock —, • ^ ' ^

Copyright (c) Éditions Mercure de France 1998

For the Polish edition

Copyright (c) by Wydawnictwo "Książnica", Katowice 3002

Mojej Matce

ISBN 83-7132-590-8

Dzieci podróżują z połówką biletu - oznajmił pan w okienku. Nie skończyła jeszcze dwunastu lat i nie mogę dać jej osobnego miejsca. Konstancja Benedict, przeczytał, jednym okiem wpatrując się w paszport, drugim mierząc dziecko, którego głowa ledwie wystawała ponad kontuar. Francuskie nazwisko? Skąd pochodzisz? Wspięła się na palce, żeby mu odpowiedzieć. Zawsza, jestem zmęczona, a Ziemia jest taka duża, proszę pana, szepnęła jasnym głosem. Mówiła po rosyjsku bezbłędnie i bez cienia obcego akcentu.

Ręka trzymająca pieczęć zawisała w powietrzu. Mężczyzna bacznie przyglądał się dziecku. W pracy nie nawykł do zwierzeń, zwłaszcza tak dziwnych, toteż uśmiechnął się porozumiewawczo do matki, która zapewniła: miejsce nie ma znaczenia, wezmę ją na kolana. Sięgnął po drugi paszport. Powrót z podróży? - zapytał przyjaźnie, bo dziewczynka wprawiła go w dobry nastrój. Wracam do kraju - wyjaśniła matka. Zauważył, że nie przypominają przelotnych turystów. Przez chwilę przewracał kartki, odczytując kolejne pieczęci. To była długa nieobecność - skomentował] zwykle ludzie wybierają przeciwny kierunek. Uśmiechnęła się: nie tylko rewolucje wypędzają ludzi w obce strony.

Zwrócił im paszporty i patrzył, jak przekraczają automatyczne drzwi i idą przez hol. Kruche, ale zarazem silne, były do siebie uderzająco podobne, choć jedna miała

CHANTAL DELSOL

ciemne włosy i smagłą cerę, druga zaś była dziewczynką

o jasnej cerze i ciemnoblond włosach.

Potem trzeba było czekać i czekać, dreptać od okienka do okienka. Matka kupiła gazetę, którą dziecko czytało, siedząc w pozycji jogina na metalowym wózku obok jednej jedynej walizki.

Pracownik kontroli paszportowej nie mógł oderwać od nich oczu. Dopiero kiedy mijały ostatnie drzwi, ponad którymi pysznił się napis: "Witamy w XXI wieku", dostrzegł ich nędzne ubrania.

Potem trzeba było wyjść z budynku i pokonać kilkaset metrów, by w podmuchach lodowatego wiatru dotrzeć do samolotu. Szły przytulone do siebie, bez bagaży, i milczały; mała przyciskała do serca gazetę jak jakiś cenny przedmiot. Otaczała je grupa pasażerów. Po metalowych schodach weszły do samolotu i zniknęły w jego wnętrzu nie oglądając się za siebie.

Nie będzie nam za wygodnie, powiedziała dziewczynka, sadwiąc się na kolanach matki. A podróż jest długa.

1 obiecałaś, że o wszystkim mi opowiesz. Ale mamy tu okienko, szepnęła Flora, umiejąca wskazać zalety każdej sytuacji. A ty jesteś leciutka. Mimo wszystko jeszcze nie widziałam linii lotniczych, które w taki sposób tłoczyłyby ludzi na pokładzie. Szepnęła teraz ciszej, do ucha Konstancji. We cztery przeszliśmy to szalone stulecie. Tobie przypada nasze dziedzictwo. Oto testament, który pozostawiły moja babka i matka. To niematerialny kapitał: zapal i samotność, i nic więcej.

Silniki zaczęły pomrukiwać. Między fotelami przeszedł steward, z uśmiechem na twarzy pouczając, jak używać kamizelek ratunkowych. Samolot sunął bardzo wolno, mijał jasnozielone lasy pod zimowym niebem północy. Jak wygląda mój kraj? - dopytywała niespokojnie Konstancja. Niczego nie będę przed tobą ukrywać - powiedziała Flora, wydobywając z torebki portfel, a potem, spośród

masy dokumentów i przepustek - położył list opatrzony datą 24 października 1956 roku. To historia Julii. Kiedy ją poznasz, niczego już nie będziesz się bała.

Kłamstwo i cierpienie

Julia Erevanne miała niespełna dwanaście lat, gdy na początku szalonego stulecia po raz pierwszy przyjechała do Paryża dylizansem zaprzężonym w strudzone konie.

Pojazd przybył z południa, nie wiem jednak, dlaczego do miasta wtoczył się przez wschodnie przedmieścia. Na szczycie wzgórza monotonne głosy nuciły piosenkę z Me-nilmontant. Kiedy konie nieco zwawiej potruchtały w dół zbocza, do uszu pasażerów dobiegł gwar tłumu. Miasto leżało przed nimi. Jego kosmiczne centrum, wtulone w niby-kotłnię, skupione wokół rzeki, dymiło i mruczało jak krater wulkanu. Jeszcze wiele lat później głos Julii przybierał chropowate tony, gdy opisywała mi tamto oczarowanie.

Był początek przedwczesnej jesieni i ta późna pora dnia, kiedy ciemny welon nocy zaczyna zasnuwać niebo. Dylizans dotarł do serca miasta, spokojnie tocząc się po bruku. Sunął uliczkami tuż obok kafejek, w których tkwili nieruchomo pochyleni nad kieliszkami ludzie o zrezygnowanych twarzach. Mijał wysokie jak wieże domy i wozy gałganiarzy z woźnicami ubranymi w stare łańchmany. Przejechał obok poidła, z którego cztery szkapy piły łąpczywie jak smoki. Potem wturlał się do zamożnych dzielnic. Konie pogalopowały długą aleją pośród złocących się kasztanowców. Julia jak zahipnotyzowana wpatrywała się w nieznajomy pejzaż, domyślając się, że to jakiś dziki świat, i nagle ogarnął ją wstręt przemieszany z ciekawością. Tłum na

CHANTAL DELSOL

bulwarze Bonne-Nouvelle zmusił ich do zatrzymania się i wtedy uchwyciła spojrzenie chłopaka umalowanego jak dziewczyna, stojącego pod drzewem z rękami w kieszeniach. Z łatwością odgadła, że nie jest takim dzieckiem jak inne, zadawała sobie tylko pytanie dlaczego. Wkrótce zauważyła, że pod prawie każdym drzewem stoi jeden albo dwóch takich chłopców, pięknie ubranych, z muchami jak białe motyle pod szyją. Rozejrzała się po wnętrzu dylizansu, szukając kogoś, kto chciałby rozwikłać nurtujący ją problem. Ojciec siedział naprzeciw i spokojnie spał, matka zdawała się pogrążona w głębokiej zadumie. Niania Aniela tuliła w ramionach dziecko i czule je kołysała. Obok Julii siedział Patryk, jej brat bliźniak. Od chwili wyjazdu wydusił z siebie najwyżej trzy słowa. Był to smukły chłopiec, uczesany z przedziałkiem na boku i wystrojony w fantazyjny szeroki krawat, który ścisnął mu szyję. Julia chwyciła go za rękę i wskazała ich rówieśników o podkrążonych oczach. Co tam robią, dlaczego czekają? Bóg wie na co?

Patryk wzruszył ramionami.

- To błazny - powiedział. - W miastach jest ich pełno.

Dylizans wciąż sunął w dół, wokół unosiły się zeschnięte liście, chłodny wiatr wpadał przez okna. Julia nigdy nie widziała tak wielu domów na raz ani tylu spieszących dokądś ludzi. Cylindry woźniców we fiakrach lśniły w promieniach zachodzącego słońca. Gromady dzieciaków otaczały kolorowe wózki lodziarzy. Wydawało się, że w tym zamęcie nic nie dzieje się przypadkowo, jak to bywa na wsi, gdzie króluje gnuśność i swoiste otepienie wobec terażniejszości, która trwa bez końca. Tutaj uczniom zdawało się spieszyć podczas zabaw i nawet psy podążające za swymi paniami miały władcze miny, jakby czekały na nie ważne i nie cierpiące zwłoki zadania.

Dylizans przejechał przez most na rzece i sunął teraz malowniczymi uliczkami, gdzie każdy metr przynosił kolejną niespodziankę. Były tam kolorowe sklepiki, kroczące dostojnie dzieci w kapeluszach, afisze teatralne i sprzedaw-

WARIATKI

cy pierniczków o umazanych karmelem palcach. Byli kloszardzi ze zmierzwionymi brodami, młodzieńki jak poranek praczki, perukarze handlowali kremami, szwaczki siedziały przy oknach, korzystając z resztek światła. Julia przywarła nosem do szyby - nie potrafiła już zliczyć wszystkich cudów wielkiego miasta i miała za złe strudzonemu koniom, że wciąż się spieszą. Zastanawiała się, co niezwykłego, zaskakującego mogłoby się jej przytrafić w tym miejscu przedstawianym jako centrum świata. Wyobrażała sobie siebie jako staruszkę, którą kiedyś się stanie, nareszcie wolną od wszelkich obowiązków, nieco szaloną, całymi dniami przemierzającą te ulice i mosty w bezbarwnym prochowcu.

Dylichans mijal pałac, którego fasadę zdobiły posągi. Unosząc głowę, Julia dostrzegła malinowe dachy lśniące w promieniach zachodzącego słońca. I właśnie w tej chwili, ocknąwszy się z drzemki, ojciec wyciągnął rękę i ujął Patryka za ramię.

- Patrz! - powiedział, wyraźnie podekscytowany. - Przyglądaj się. To szkoła, do której kiedyś pójdziesz.

Patryk ze znudzoną miną zerknął na pałac.

- Piękna, prawda? - nalegał zniecierpliwiony Henryk Erevanne.

Patryk zwrócił na niego bladozielone oczy, w których obok wyrozumiałości czaiło się swego rodzaju politowanie.

- Nic nie powiesz? - nalegał ojciec. - Nie cieszy cię myśl o studiach w Akademii Sztuk Pięknych?

- Wszystko mi jedno - odrzekł Patryk.

Twarz Henryka Erevanne posmutniała, dając wyraz znużeniu zmiennością nastrojów dzieci, które zawsze stanowiły dla niego zagadkę. Znowu pogrążył się w półsennej zadumie.

Dylichans wyjechał z labiryntu uliczek, by ruszyć dalej szerokim bulwarem biegnącym wzdłuż zakola rzeki. Setki domów na obu brzegach rzeki zdawały się pochylać nad wodą niczym troskliwi stróże. Wtedy Julia doznała wrażenia, że odbywa spacer po znajomej okolicy. Ledwie ujrzała te miejsca, a już była pewna, że to tu chciałaby umrzeć.

CHANTAL DELSOL

Dostrzegła most między dwiema wyspami, wznoszący się wysoko i opadający białymi schodami. Jej spojrzenie spo-chmurniało. Ten most był niczym cień kładący się na jej własnym życiu, był elementem czasu, który trwał i trwał. Ogarnięta przerażeniem ujrzała siebie tam, na szczycie łuku, w odległej przyszłości. Staruszka idąca niepewnym krokiem. Rzadkie siwe włosy rozwiane przez wiatr. W zniszczonym, rozchelstany, nieprzemakalnym płaszczu, którego barwy nie sposób było się już domyślić. Szła przez wyspę, ale widać było, że zmierza donikąd. Dylichans mijal tymczasem kolejne budowle, a Julia, przecierając oczy, bacznie wpatrywała się w coraz już bardziej oddalony most. Tam, w terażniejszości ogarniającej wyspę, kroczyła owa niewiarygodna postać. Strach chwycił dziewczynę za gardło. To była ona, ponad wszelką wątpliwość, ona sama u kresu wszelkich lęków.

Patryk ujął ją za rękę i mocno uściśnął. Wyczuł jej

przerażenie bez słów, bez żadnych widocznych oznak. - Nie masz się czego bać - powiedział łagodnie. - Nie opuszczę cię.

Dylichans zatrzymał się przed kamienicą ociążałą od balustrad. Henryk Erevanne wysiadł pierwszy i wyciągnął rękę, by unieść śpiące maleństwo, a potem podał rękę żonie i niani, które schodziły po stopniach. Patryk siedział wyprostowany i posepny i dopiero gdy dorośli opuścili dylichans, zaczął gorączkowo mówić do siostry. Oznajmił, że będzie codziennie chodził do kina. Że będzie kupował lody waniliowe i przestanie nosić słomkowy kapelusz. Że nie zamierza czekać, aż dorośnie, by wybrać się na wyścigi konne. Że będzie samotnie spacerował po bulwarach w środku nocy, nie zważając na zakazy. Wygłosił wszystkie te postanowienia monotonnym głosem i Julia zrozumiała, że brat pragnie pokonać ogarniającą go nudę. Nie powiedziała ani słowa. Wiodła wzrokiem za przechodzącym obok tragarzem wody, który ocierał pot z pochylonego czoła i podrywał każdym przesunięciem nogi zeschnięte liście kasztanowców.

WARIATKI

Rodzina przekroczyła bramę kamienicy, woźnica wyniósł skrzynie i walizy, ustawiając je byle jak, a mały Gildas rozplakał się w głos. Julia zatrzymała się w progu, nadal obserwując ruchliwą ulicę. Z kokardą wpiętą we włosy wyglądała jak dziewczynka z portretu. Lniana sukienka opadała na sznurowane buciki. Żywe, niebieskie oczy rzuciły wokół wiele pytań. Była wówczas tylko małą dziewczynką, której serce wpadło w popłoch.

A zatem to tu będzie trzeba odtąd żyć. Ojciec sprawiał wrażenie wielce dumnego z tej zmiany. Idąc po schodach, Julia wspominała dom Dominika - wciąż jeszcze krążyła myślą po jego słonecznych werandach. Od wyjazdu twierdziła, że coś tam zostawili, choć wszyscy zapewniali ją, że się myli, że starannie przygotowali się do wyjazdu i nie zapomnieli o żadnym drobiazgu. Upierała się.

Pozostało tam coś niewidzialnego, nie umiała wyrazić tego słowami. Dorośli poprosili, by przestała kapryścić. Troska o przyszłość zmusza do pewnych poświęceń. Co to znaczy "troska o przyszłość"? - zastanawiała się Julia, zbliżając się do drzwi mieszkania. To był niepokój rodziców o przyszłość zawodową Patryka, który stawał się dużym chłopcem.

Henryk Erevanne postanowił osobiście oprowadzić rodzinę po mieszkaniu. Otworzył podwójne drzwi wiodące do zasobnego mieszczkańskiego salonu niczym wrota jaskini Ali Baby, a potem pokazał im pachnącą naftaliną jadalnię. Długi korytarz wiódł do kuchni, biegnąc wzdłuż szeregu sypialni. Ojciec zatrzymał się przy drzwiach pokoju przeznaczanego dla Patryka. - Od dziś nie życzę sobie, żeby bliźnięta spały w jednym łóżku - oświadczył ostrym tonem pogróżki.

- Dlaczego? - zapytała Julia.

- Bo nie jesteście już małymi dziećmi. A Patryk musi się uczyć. Julia zamieszka w pokoju mamy. Łóżko Julii stało za parawanem. Obserwowała przez szpary wchodzącą i wychodzącą Rozalię. Na zawsze zapamiętała ten prowizoryczny pokój. Ciesząc się beztroskim dzieciństwem, bezpieczna w matczynej samotni, powinna sypiać spokojnie. Ale stało się inaczej -to właśnie w kąci

10

ii

CHANTAL DELSOL

za parawanem poznała swego pierwszego wroga - sen. Obraz domu Dominika, jasnych werand i dymu z komina nie dawał jej zamknąć powiek. Tęsknota za utraconym miejscem podsycala wspomnienie bliźniaczej wspólnoty. Julia zaczęła prowadzić drugie życie, nocne, wypełnione lękiem samotności. Wydawało jej się, że Patryk wykorzysta chwilę nieuwagi, by na zawsze zniknąć. Uważała, że musi stale czuwać. Okrągły zegar na komodzie tykał sekundami. Noc biegła szybciej niż dzień ku temu, co w domu zwano przyszłością, ku przestrzeni, w której brakło miejsca dla Julii. Trzeba było powstrzymać noc. Julia walczyła o to do kresu sił. Z rozpaczą wyczekiwała, aż odmieni się czas. Zegar tykał w jej skroniach.

Trochę później pojawił się w Paryżu Frantz Kreimer, spowity wonią przygody, która Julii dawniej wydawała się pożywką wielkich marzeń. Henryk Erevanne przygarnął niemieckiego kuzyna w instynktownym odruchu rodzinnej dobroczynności i nie zdołał już się go pozbyć. Pewnego zimowego wieczoru Frantz zadzwonił do drzwi domu Dominika i poprosił o gościnę, choć nikt go tu nigdy wcześniej nie widywał. Był ubrany w spiętą pod szyją wełnianą pelerynę i niespokojnie rozglądał się dookoła. Wyglądał na koniokrada. Henryk nie mógłby zostawić krewniaka na ulicy. Jednak współczucie z upływem miesięcy przeobraziło się w zniechęcenie. Frantz miał około czterdziestki. Jego indolencja przekraczała wszelkie granice. Nie miał nawet dość energii, żeby grać w karty. Trawił dnie na obserwowaniu mieszkańców domu i przeważnie podrwiwał z ich zachowań i słów, tkwiąc w ulubionym fotelu. Wieczory spędzał na rozmyślaniach w chaosie swego pokoju. Wiódł pasożytniczy żywot, wcale nie starając się usamodzielnąć. Bezwstydnie domagał się pieniędzy na tytoń i pozwalał sobie na uwagi, gdy służące zbyt wolno podawały do stołu. Henryk tolerował go, chcąc mieć czyste sumienie, a także dlatego, że ten bezużyteczny i lekkomyślny człowiek utwierdzał go na co dzień w głębokiej nienawiści do Niemiec i wszystkich Niemców.

12

WARIATKI

Frantz rozpanoszył się w nowym mieszkaniu jak u siebie i ochoczo zagarnął pokój, który mu przyznano. Henryk, żywiący złudną nadzieję, że zgubi go gdzieś po drodze w czasie przeprowadzki, z rezygnacją w oczach wskazał mu jego nowy fotel.

Po zainstalowaniu całej rodziny wraz z nianią Anielą, wystraszonymi bonami i małym Gildasem, który płakał bez wytchnienia, Henryk Erevanne pobiegł objąć w posiadanie nowy gabinet, który mieścił się przy bulwarze Malesherbes i ściągał elegancką klientelę.

Lepiej poprzestać na prywatnej szkole świeckiej, powiedział Ludwik Brevanne, niezastąpiony wuj, ksiądz i światowiec, który był wyrocznią dla całej rodziny. W dniu zapisu Patryka do liceum Julia zapragnęła wziąć udział w spotkaniu z dyrektorem i rodzicami, choć niechętnie, w końcu na to przystali. Szkoła, starannie wybrana przez Henryka, pachniała kamforą i wiszącą w powietrzu groźbą różgi. Gmach zbudowano za czasów Cesarstwa. Rozwieszono wszędzie wielkie lustra

zdawały się szpiegować przybyszów. Zanim weszli do jaskini lwa, czyli gabinetu dyrektora, musieli pokonać szereg żywych zapór - stróżów i woźnych, których miny stawały się coraz posępniej-sze w miarę zbliżania się do celu wędrówki i serca instytucji. Portier powiedział im prosto w oczy, jak kłopotliwa jest dla personelu ich wizyta i Julia zaczęła się zastanawiać, w jakim to innym celu zatrudniono tu tego człowieka. Odważyła się zadać to pytanie matce, ta zaś bez słowa skarciła ją wzrokiem. Intendent, któremu powierzył ich portier, mimo upału nosił czarne rękawiczki dusiciela, a na Patryka już teraz patrzył jak na przyszłą ofiarę. Po męczącej wędrówce po schodach, które sięgały nie wiedzieć jak wysoko, pojawił się dyrektor do spraw nauczania,

CHANTAL DELSOL

którego chuda i trupio blada twarz mogłaby wprawić w przerażenie najodważniejszego chłopca. Powitał ich oschle i poprowadził do gabinetu dyrektora szkoły. Mężczyzna siedział za stołem, na którym piętrzyły się szare teczki, a Julia w okamgnieniu zrozumiała, że każda z tych teczek reprezentuje (a w każdym razie chciałaby reprezentować) jedno dziecko. Wyobraziła sobie Patryka-kapryśnego, ekstrawaganckiego Patryka - zaszufladkowanego, wtłoczonego do którejś z tych teczek. Dyrektor przypatrywał się Patrykowi, zdejmując i przecierając o wiele za duże okulary, które pewnie kupił za grosze z przeceny

- tak w każdym razie Julia tłumaczyła sobie kontrast między zadziwiającym rozmiarem okularów i oczyma, które za silnymi szklami robiły się bardzo małe. Monotonnym głosem, przywodzącym na myśl gregoriańskie śpiewy, opisywał szczęście, jakie czeka Patryka w tym gmachu. Przysłuchująca się rozmowie Julia pomyślała, że w taki sposób kat zachwalałby uroki śmierci na gilotynie. Rozalia Erevanne kiwała głową, odpowiadając niezmiennie: "Tak, panie dyrektorze", a jej głos wyrażał niezrozumiały podziw. Tego dnia założyła zielony kapelusz z woalką i różą ze śliwkowego jedwabiu. Julia zapamiętała ten kapelusz jako oznakę początku końca. Wyraźnie czuła zbliżające się nieszczęście. Znaleźli się w punkcie wyjścia całego szeregu tragedii, których końcowy efekt nie budził wątpliwości. Był to w istocie dzień pogrzebu Patryka, choć chłopiec - całkowicie tego nieświadomy, podobnie jak ojciec i matka

- siedział wyprostowany na krześle, zerkając na posegregowane, ułożone przedmioty i cierpliwie czekając na koniec spotkania, a obietnic i przestróg słuchał, jakby kierowano je do kogoś innego.

- Czy syn będzie uczył się łaciny i greki? - zagadnął ojciec. W odpowiedzi usłyszał, że oczywiście, jakże bowiem można się bez nich obejść! Henryk uśmiechnął się z zachwytem. Skoro jego obsesyjne pragnienie zostało spełnione przez wytrawnego pedagoga, nie musiał już o nic pytać. Z entuzjazmem słuchał, jak dyrektor mówi o organizacji szkoły. Można by pomyśleć, że wszystkie problemy wieku

WARIATKI

dojrzewania znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jeżeli dziecko będzie uczyć się języków klasycznych.

Spotkanie przyniosło paradoksalne skutki. Surowy, niezbyt przyjazny wygląd osób, z którymi się zetknęli, na neofitach musiał robić silne wrażenie. Zapewne każde dziecko po takiej rozmowie opuszczałoby gmach wystraszone, przysięgając sobie w duchu raczej ciężko się rozchorować, niż zaryzykować edukację w tej szkole. Ale wypytywany przez ojca Patryk odpowiadał spokojnie, że wszystko mu się podobało, a Julia, której o nic nie pytano, błagała, by i jej zezwolono tam uczęszczać. Rozalia wzięła córkę za rękę i ruszyła w kierunku fiakra krokiem zdradzającym irytację.

Przez wiele dni Julia z uporem domagała się, żeby i ją zapisać do liceum. Nie zważała na gniew matki. Ten gniew nigdy zresztą nie trwał długo, bo Rozalia była chora, a w każdym razie twierdziła, że jest chora. Nigdy nie zdołałam ustalić, jak to było naprawdę. Właściwie nikt nie wiedział, czy jest chora, czy też całkiem zdrowa. Rozalia była chora tak, jak Irena

natrętna i głupia, a Ludwik sentencjonalny. Nie było o czym dyskutować - miała taką naturę, co wprawdzie komplikowało życie, lecz nie burzyło jego rytmu. Lubowała się w opowiadaniu o swych przypadłościach i przewidywaniu nowych chorób. Snuła się pośród szeregów białych flakoników z ozdobnymi etykietami, zabierała je ze sobą w podróże, wynajdowała mikstury nieznanne aptekarzom

i zawsze chwaliła się rodzinie swą inwencją w dziedzinie medycyny. Potrafiła wyczerpać i znużyć każdego lekarza. Pory posiłków, menu, rozkład rodzinnych zajęć - wszystko podporządkowane było jej problemom trawiennym. Jeździła do wód, próbowała wszelkich nowych kuracji i porównywała je, wydając z siebie jęki, których nikt już nie słuchał. Poza kwestią wykształcenia Patryka to właśnie zagadkowe choroby Rozalii skłoniły Henryka do przeprowadzki do Paryża. Uznał, że choć zapewne nie będzie tu skuteczniej leczona (był

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

bowiem świadom, że choroby z urojenia są w istocie nieuleczalne) to przynajmniej poczuje się spokojna i bezpieczna, mogąc radzić się licznych w stolicy doktorów i słuchać ich różnorodnych zaleceń. Na wsi obaj lekarze nie bardzo już chcieli ją odwiedzać, a co gorsza, pozwalali sobie na uwagi dotyczące jej zdrowia psychicznego. Niemożność zasięgnięcia porady u innego medyka, skłonnego przynajmniej z początku okazać jej współczucie, gniewała ją i potęgowała dziwne objawy chorobowe. Henryk nie zwracał większej uwagi na dolegliwości żony. Wiedział, że zbytne zainteresowanie, nawet rozsądne, jego samego wpędziłoby w neurastenię. Sądził, że będzie spokojniejszy w wielkim mieście, gdzie roi się od szarlatanów, skłonnych oszukiwać pacjenta dla zysku. Jego rachuby okazały się słuszne. Tymczasem miał dwa ważne cele w życiu: spokojnie oddawać się pracy architekta i uczynić architektem Patryka. Reszta była mu obojętna, przynajmniej dopóki Gildas nie ukończy dziesięciu lat. Co się zaś tyczy Julii, w jej dziwactwach przeczuwał skłonności do męczących kaprysów, tak typowych dla jego żony. Nie martwił się tym jednak, bo uważał, że córka może być wykapanym portretem matki. Musiał tylko wybrać dla Julii męża, który będzie umiał znieść widok flakoników i woń kamfory. Z tym problemem wszakże zamierzał się uporać, kiedy przyjdzie czas - jak z nowym zamówieniem, które pewnego dnia spocznie na jego biurku. W końcu, żeby znaleźć cierpliwego męża, nie trzeba więcej rozumu i wytrwałości, niż aby wyszukać mieszkanie z bieżącą wodą na pierwszym piętrze! Dość było zapewnić rodzinie dostatnie życie. Zresztą Henryk Erevanne nie dysponował nadmiarem wolnego czasu, który mógłby przeznaczyć na analizę stanów ducha Rozalii i Julii. Chcąc zrealizować zamiar przeprowadzki, opracował doskonały plan wymiany pracowni architektonicznych z kuzynem, który pragnął przenieść się na wieś. Kuzyn sypał frazesami i w ogóle był młodzieńcem antypatycznym, ale nosił to samo nazwisko, dzięki czemu obaj nie musieli się martwić o utratę klientów i zmarnotrawienie dziedzictwa. Rodzinnego interesu nie

16

sprzedaje się, jakby to był kilogram fasolki, a wszystko, co wiąże się z nazwiskiem rodu, wiąże się także z honorem. Henryk tłumaczył to któregoś wieczoru przy kolacji Pat-rykowi, ale rozmowę sprowokowało pytanie Julii. Problem nazwiska wydał się dzieciom mglisty i bezprzedmiotowy. Patryk uważał go za pozorny, ponieważ nie troszczył się ani o interesy, ani o zdobycie konkretnego fachu, ani wreszcie o dziedzictwo. Julia także uznała go za pozorny, ponieważ była świadoma, że kiedyś zmieni nazwisko i nie pojmowała, czemu ma przywiązywać tak wielkie znaczenie do czegoś, czego prawo pozbawia połowę społeczeństwa.

tri 3

Z bibliotek wydobyto słowniki, które służyły poprzednim pokoleniom. Na ścianie w pokoju Patryka zawisła mapa Francji Ydala de La Blanche, na której utracone prowincje oznaczono żałobnym fioletem. Ojciec zadbał, by Patryk otrzymał perłowoszary garnitur i stosowny krawat. Tak wystrojony przekroczył progi liceum. Pierwszego dnia towarzyszył mu ojciec. Wieczorem Patryk powiedział Julii, że po drodze ojciec racył go żartobliwymi przestrogi. Nie potrafił ich dokładnie powtórzyć, bo nic z nich nie zrozumiał. Zapamiętał, że ma stać się mężczyzną, co wydało mu się o tyle dziwne, że - a tego był już pewien - takie sprawy rozstrzygały się same przez się, chyba że istniała możliwość pozostania dzieckiem, które tylko w połowie jest mężczyzną. Oboje serdecznie śmiali się z tych bezsensownych dywagacji i usnęli razem w łóżku Patryka, wykorzystując to, iż matka położyła się wcześniej.

Julię pozostawiono Rozalii, dla której była pomocnicą i powiernicą. Rozalia sypiała długo, wstawała późno, rano trawiła na czesaniu się i wydawaniu służbie sprzecznych poleceń. Obiad

jadała raczej z poczucia obowiązku niż potrzeby, a potem wybierała kapelusz i szła na zakupy.

J Wariatki

CHANTAL DELSOL

Julia musiała jej towarzyszyć, jeżeli w tym czasie nie była w szkole. Kupiono jej jasne kapelusiki i wymagano, by uśmiechała się spod nich, kiedy należy i jak należy - skromnie, ale zarazem wyniośle.

Rankiem, po wyjściu Henryka i Patryka, Julia siadała na wprost matki i jedząc śniadanie, zaczynała każdy dzień od tej samej rozmowy. Była niezwykle uparta.

- Mamo?

- Tak?

* - Chcę chodzić do liceum z Patrykiem. Rozalia wznosiła oczy ku niebu.

- To niemożliwe.

Julia zdziwiona przechylała głowę.

- A dlaczego?

- Ponieważ to liceum dla chłopców. Nie podoba ci się twoja szkoła?

-• Za bardzo przypomina podstawową.

- Jak to?

- Tam wszystko toczy się tak... żebyśmy nigdy nie dorosły. Chcę zdawać maturę.

- Na nic ci się nie przyda. Cóż zrobisz z całą tą wiedzą? Nie ma nic głupszego niż uczona kobieta.

Julia marszczyła brwi, unosząc dzbanek z mlekiem, i odstawiała go, zapominając napelnić szklanekę.

- Chciałabym zostać nauczycielką literatury. Rozalia ciężko wzdychała. Julia nie była pewna, czy te

westchnienia należy uważać za oznakę głębokiej nudy, jaka ogarniała matkę po długich rozmowach z dziećmi, które nie słuchały, co się do nich mówi, czy może rodzaj skrywanej obawy przed udzieleniem odpowiedzi oczywistych, ale zakazanych. Łyżeczką kreśliła kółka na marmoladzie.

- Nie baw się jedzeniem.

- A gdybym została nauczycielką łaciny? Czy to by było bezużyteczne?

- Dla ciebie całkowicie bezużyteczne.

- Dlaczego?

- Uchowaj Boże! Żebyś chesała się w kok i nosiła sztywne kołnierzyki?! I żebyś została starą panną?!

WARIATKI

Julia odgarniała wzburzone włosy, starannie smarowała kanapkę masłem i zadawała kolejne pytanie.

- Ale dlaczego?

- Bo tak już jest. Nauczycielki zostają starymi pannami, to normalne. Jakże mogłoby być inaczej! Nie chcesz mieć dzieci?

- Chcę! Będę ich miała dziesięcioro! - wołała z zapałem Julia. - Będę je zabierała do ogrodu przy pałacu Inwalidów, żeby mogły się bawić i biegać.

- Nikt nie żąda od ciebie tak wiele - oponowała Rozalia, w której plany córki wzbudzały niesmak.

- Ale to nie znaczy, że nie mogę być też na przykład nauczycielką łaciny.

- Owszem, znaczy.

Julia kładła dłonie na stole i wyraźnie zniecierpliwiona patrzyła na matkę.

- Ależ to nie ma sensu! Mama coś przede mną ukrywa. Niech mama powie mi prawdę. Proszę!

Potem nie będą zadawała więcej pytań.

- Po prostu tak to już jest.

- Mamo, wyjaśnij mi, co znaczy: Tak to jest? Rozalia wahała się, zasepiona, jakby ponad jej głową zawisły czarne chmury.

- To jest jakby przekleństwo - szepnęła.

- Ale co dokładnie oznacza?

- Nieszczęście, które przynosisz ze sobą na świat. Na twarzy Julii odmalował się głęboki podziw:

fascynował ją tak potężny przeciwnik.

- I nic na to nie można poradzić?

- Nie.

- Jeszcze zobaczymy - powiedziała Julia. Wstała. - Obiecałam, że nie będę zadawać mamie więcej pytań. Teraz zajmę się rysowaniem. Tyle mi przynajmniej wolno.

- Kupię ci tyle pasteli, ile zechcesz - szepnęła Rozalia, a w jej głosie wyczuwało się zawstydenie.

18

CHANTAL DBŁSOL

,V: ' • ' ' - 4

Aby nie zdawać się na ślepy los i nie przeoczyć żadnej okazji, zatrudniono preceptora, który przychodził co wieczór i powtarzał z Patrykiem materiał przerabiany w szkole, a także pomagał mu w odrabianiu lekcji. Ten człowiek

o bladej cerze był wdowcem w podeszłym wieku, z natury dobrotliwym. Wraz ze swym uczniem zasiadał przy dużym stole, na skraju którego łaskawie pozwalano Julii ułożyć kartony i kredki. Mogła więc uczestniczyć w lekcjach brata, w zamian jednak miała być cicho jak myszka. Patryk powtarzał koniugacje, jakby recytował wiersze, i znosił to przekarmianie wiedzą z obojętnością sfinksa. Julia, której leniwa ręka rysowała mosty i ogrody, nie roniła ani słowa, pilnie śledząc rozmowę i starając się wszystko zapamiętać. Nauczyciel nie wiedział, jak często mylił rozmówców, nie miał też pojęcia, że jego praca wyda owoce na glebie, która z założenia miała pozostać ugięta. W ciągu roku Julia zgromadziła spory zasób całkowicie bezużytecznej wiedzy. Pochylona nad kartką gryzła się w język, by nie odpowiadać na zadawane bratu pytania. Nauczyła się ukrywać wiedzę, co stanowiło pierwszy etap długiej i trudnej pracy nad własną osobowością. Z tej zdolności trzymania się w cieniu czerpała zadowolenie i dumę, a sekret, którego nikt nie znał, był niczym wykuwana mozolnie tarcza.

Patryk stawał się specyficznym młodzieńcem. Uczył się, czytał i bawił jak wszyscy chłopcy w jego wieku, ale patrząc na niego, odnosiło się wrażenie, że żadne z tych zajęć nie daje mu przyjemności i nie przynosi pożytku. Nie był leniwy, lecz to, co robił, nie wiodło do oczekiwanych skutków. Już w pierwszych miesiącach Henryk zauważył, że syn słabo przykłada się do pracy. Pilnie wezwał Ludwika

1 w swym gabinecie odbył z nim długą rozmowę w cztery oczy. Wspólnie analizowali niepokojące oceny, niczym plan ataku wrogiej armii. Potem wezwali Patryka, choć ani ta, ani żadna kolejna rozmowa z chłopcem nie poskutkowała. Przyjmował krytykę, nie usiłując się bronić, z za-

WARIATKI

ciekawieniem słuchał czynionych mu wyrzutów.

Nigdy nie mówił "nie", nigdy się nie buntował. Z powagą kiwał głową, stosował się do wszelkich rad jak potulny niewolnik. Ale rezultaty jego wysiłków były żałosne. Podobnie było ze wszystkim. Patryk spał jak suseł, rankiem jednak wstawał z podkrążonymi oczyma. Jadł wszystko, co mu podano, lecz ubrania wisiały na nim jak na kościotrupie. To dziecko jest chore, wzdychała Rozalia, która każdy problem tłumaczyła sobie utajoną chorobą. Przychodził lekarz, badał Patryka, rozmawiał z nim na osobności, a wychodząc, mówił półgłosem:

- To ironista, droga pani. Drwi sobie z państwa. Rozalia powtarzała, że lekarze są niekompetentni, że to szarlatani, którzy nie potrafią wykryć przyczyny najbliżej dolegliwości. Ponieważ jednak nikt nie traktował serio jej słów, wieczorami zasiadała z Julią w pokoju. Julia również milczała, słuchając narzekań matki. Jej zdaniem problem Patryka miał zupełnie inny charakter. Życie sphywało po nim, ale nie przenikało go-w każdym razie to życie, które ojciec dla niego szykował. Coraz częściej chłopak wymykał się do miasta i godzinami włóczył po ulicach. Nie zadowalał się oglądaniem sklepowych witryn, ulicznych straganów, kawiarenek i przechodniów. Nawiazywał znajomości. Tak nieśmiały wobec członków rodziny, znalazłszy się pośród obcych, odczuwał nieposkromioną chęć do rozmowy. Raczej niski na swój wiek, ubrany jak młody mężczyzna, podchodził do nieznajomych i wtrącał swoje trzy grosze. Buńczucznie zaczepiał kłócących się uliczników, pytał o przyczyny sprzeczki. Rozkoszował się zapachem owoców, targował się i wypytywał o sytuację w handlu. Nie bał się wyzywać pijaków, kloszardów, hafciarek i wikliniarzy,

którzy pracowali na zewnątrz, wykorzystując każdy promyk światła. Grono jego przyjaciół liczyło około stu pięćdziesięciu osób, z których wiele miało kiepską reputację i chrapliwy z przepicia głos. Patryk bywał posłańcem rozdzielonych kochanków, świadczył podejrzone usługi i samodzielnie korzystał z metra na długo przed uzyskaniem pozwolenia rodziców, a bilety kupował

20

21

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

za pieniądze zarabiane na drobnych kombinacjach. Jedyne problem stanowiło dlań wytłumaczenie się rodzicom z czasu spędzanego poza domem. Julia miała niewiele okazji, by dokądś wyjść, mogła mu jednak zapewnić alibi. W ten to sposób zaczęła kłamać, a ponieważ Patryk znikał coraz częściej, kłamstwa przemieniały się w powieści, obfitowały w wątki i szczegóły i miały rozmaite wersje. Dziewczynka nie odczuwała z tego powodu najłżejszych wyrzutów sumienia. Zasady społeczne były absurdalne, toteż trzeba było z nimi walczyć absurdem. Temu zadaniu Julia oddawała się z ogromnym zaangażowaniem.

Pewnego wieczoru Patryk po powrocie powiedział jej, że ojciec czekał na niego przed szkołą i zaciągnął go do swego biura, aby porozmawiać z synem jak mężczyzna z mężczyzną. Zapewne Henryk sądził, iż sprawy poważne, o których pragnął poinformować Patryka, lepiej omawiać w miejscu pełnym dostojności i przytłaczającym, które Patryk opuści niczym rażony gromem z Olimpu. Scenariusz został przygotowany po to, by oświadczyć chłopcu, że grozi mu wydalenie z liceum. Ta groźba wisiała nad nim od dawna, jednakże ostatnia praca klasowa, którą oddał, nie wykonawszy praktycznie żadnego polecenia, przeważała szalę. Ojcowska reprimenda spłynęła po Patryku jak po kacze, nie zaburzając ani na chwilę jego naturalnego spokoju i zobojętnienia. Ale Henryk oświadczył synowi, iż tym razem to on będzie uparty i wytrwały. Czekał do chwili, gdy rodzina wstała od kolacji, by powtórzyć, że wszystko to nie ujdzie Patrykowi płazem, że potrafi zmusić go do robienia tego, czego najwyraźniej nie chce. Że ostatnie słowo nie będzie należało do niego. I otworzył trzymany przez syna powód sporu - książkę zawierającą rozdziały "Historii rzymskiej" Appiana poświęcone wojnom domowym, zdecydowanie odstręczającą już na pierwszy rzut oka i zapowiadającą godziny potwornej nudy. Tonem nie znoszącym sprzeciwu poprosił Patryka, by skupił się nad tą lekturą i nie myślał o niczym innym, a nazajutrz rano pokazał ojcu doskonały przekład fragmentu tegoż dzieła, nad którym zapewne przyjdzie mu spędzić bezsenność. Potem popchnął go w kierunku jego pokoju. Julia, która obserwowała całą scenę ukryta za ciężką zasłoną, wykorzystała chwilę nieuwagi rodziców, by przemknąć do pokoju brata. Gdy weszła, siedział rozparty w fotelu, melancholijnie spoglądając w dal. Podniosła rzuconą na podłogę książkę, siadła przy biurku, włączyła lampę i sięgnęła po jeden ze słowników, o których Henryk powiedział niegdyś: "Patryku, daję ci książki, które należały do mnie. Odtąd zawsze będą przy tobie. Każdy uczciwy człowiek powinien czytać w tych językach i reforma Ferry'ego tego nie odmieni."

- To ciekawe - szepnęła Julia, zwracając się do Patryka, który wprawdzie ją słyszał, lecz nie słuchał.

- Scypion także miał zamiar spędzić noc na pisaniu. Na tabliczkach. Chciałabym wiedzieć, jak wykonywano takie tabliczki? Odnaleziono go martwego, lecz bez widocznych ran. Kim był winowajca? Może jego teściowa i żona, które działały wspólnie, sprzysięgły się, tworząc ligę matron, i dokonały zamachu? Nie ma tu wzmianki, czy został otruty. Nie kochał żony, a ona nie kochała jego. Po co właściwie istnieje instytucja małżeństwa?

- Przestań - powiedział Patryk. - Gwiżdż na karę. Nie wiem nawet, kim był ten Scypion.

- Samobójstwo człowieka zde gustowanego własną marnością? - ciągnęła Julia, nie zważając na brata i przerzucając kartki słownika, choć robiło się coraz później. - W takim razie na świecie powinno roić się od samobójców. A może... udusili go nieznani nocni goście? Tak czy inaczej, znaleziono go martwego i wszystkich uradowała jego śmierć, choć dobrze służył ojczyźnie. To zrozumiałe. Wdzięczność jest cnotą nadludzką. A lud nie zgodził się ponieść kosztów jego pochówku. Biedny człowiek. Rozdział III, paragraf 20.

Roześmiała się. Roześmiał się także Patryk.

- Gdzie nauczyłaś się greki? Podała mu kartkę.

- Nie musisz przepisywać, mamy niemal identyczny charakter pisma. - Ogarnęła ją nieznana dotąd radość.

22

23

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Miała wrażenie, że pokonała przeszkodę nie do pokonania. Że po raz pierwszy, jeszcze drobnym i nieśmiałym czynem, dała ujście tej niecierpliwości, która na razie pozostawała bezimienna.

Nie zawarli kontraktu ani nawet dżentelmeńskiej umowy. Spisek zrodził się sam przez się.

Przynosił korzyści obojgu. Patryk uwolnił się od wyczerpujących obowiązków szkolnych, a także od gniewu ojca. Julia dostąpiła zakazanej wiedzy. Każdego popołudnia kładł stos kajetów i książek na biurku, a potem znikał gdzieś na ulicach miasta. Ona czekała jak na mannę niebieską na to, co dla niego stanowiło ciężką pańszczyznę. Siadała przy lampie i metodycznie ogarniała wyznaczone poletko wiedzy, zmagając się z trudnościami, dopracowując formy. Każde odkrycie było dla niej źródłem niewypowiedzianego szczęścia, którym napawała się w samotności. Cieszyło ją analizowanie planów bitwy pod Maratonem i długiej genealogii każdego słowa. Nigdy nie dziwiła jej obojętność brata wobec skarbów, które kryły się w jego książkach. Jego umysł rozwijał się na zewnątrz, poprzez każde nowe spotkanie. Lecz Julia była pewna, że właśnie jej przypadła w udziale lepsza część.

Trzeba było jednak zapewnić długą i szczęśliwą egzystencję ich znowie, otoczyć tajemnicą i bezpiecznie czerpać z niej radość. Julia przekonała brata, że spisek zostanie rychło wykryty, jeśli nie zorganizują go bardzo starannie i przemyślnie. Wieczorem, kiedy wracał, serwowała mu przetrawioną papkę, niczym pulpet z ryby, już bez ości - czystą substancję wiedzy. Uczyla go tego, co najważniejsze. Tworzyła dla niego skróty. Wyjaśniała prace domowe, które miał sobie przywłaszczyć, by mógł odpowiedzieć na ewentualne pytania. Patryk nigdy nie należał do wyróżniających się uczniów, teraz jednak spokojnie pokonywał kolejne etapy edukacji z czystym sumieniem pracowitego młodzieńca, którym nie był. Nigdy nie ukrywał wdzięczności i nie skąpił siostrze podziękowań. Nie wykorzystywał jej jak niewolnicy - nie z obawy, iż obróci się to przeciwko niemu, ale dlatego, że miał głębokie poczucie sprawiedliwości. Na zakończenie drugiego roku,

który przetrwał w szkole dzięki spiskowi, przyznano mu nagrodę z literatury. Otrzymał wówczas egzemplarz "Katedry Marii Panny w Paryżu" Wiktora Hugo, oprawiony w granatową skórę.

Wieczorem, w swoim pokoju, podarował książkę Julii. Z jego błazeńskich gestów przebierała wdzięczność i nie wyrażona słowami czułość.

Zrodzona z farsy mistyfikacja stała się ich zwyczajem i fachem. Mijały lata, a Julia wciąż uczyła się za Patryka, czyniąc to z taką powagą, jakby chodziło o jej własne obowiązki. A nawet z większą.

Bo w ten sposób dokonywała niesamowitej zemsty, której nie byli potrzebni świadkowie.

Przekonała się, że można łamsić w sobie postępy i triumfy, nie domagając się uznania. Patryk zbierał pochwały rodziny, która radowała się jego sukcesami szkolnymi, ponieważ społeczeństwo ocenia dziecko przede wszystkim wedle drugorzędnych osiągnięć, takich jak znajomość zasad gramatyki łacińskiej. Ani Henryk, ani Rozalia niczego nie zauważyli, on bowiem był pochłonięty problemami swych klientów, ona na każde pytanie odpowiadała skargą na ból głowy. Bliźnięta miały dla siebie tylko jedną, wspólną egzystencję, budowaną w milczeniu, jakie towarzyszy spiskowcom.

Ludwik Erevanne zobowiązał się uczyć oboje religii i wprowadzić w sekrety, jakie kryje przed młodymi życie. O tej ostatniej sprawie miał tylko karykaturalne lub wielce mgliste wyobrażenie.

Julia i Patryk, którzy dawno temu, obserwując ulice miasta, odkryli wszystko, co usiłował im przekazać w półsłówkach, uznali, że religia to błazenada wymyślona przez wuja, warta nie więcej niż jego domniemana wiedza o stosunkach miłosnych. Wypracowali sobie własną moralność, filozofię sui generis i takąż socjologię. Nikt nie próbował im nawet w tym przeszkodzić. Ojciec mógł - a to było dla niego najważniejsze - chwalić

się przed przyjaciółmi ocenami syna.

A jednak, myślała w skrytości ducha Julia, Henryk nie miał podstaw, by uważać się za szczęśliwego ojca, skoro - co było widać podczas rozmów - nigdy nie zdołał nawiązać prawdziwego kontaktu z synem. W dniu, który

24

CHANTALDELSOL

przyniósł wieść o wyczynach Charcota w Antarktyce, Henryk otworzył szampana i zagaił rozmowę o wielkich postaciach historii.

- A ty, Patryku - zapytał w pewnej chwili - czy masz ulubionego bohatera?

Patryk nie wahał się nawet przez sekundę. Tak, ma swego bohatera

- Ravachol - rzucił wysokim głosem chłopaka przechodzącego mutację.

- Co takiego? - wykrzyknął Henryk. - Ten terrorysta?! Kto nakładł ci do głowy takich bzdur?

Nigdy więcej nie chcę słyszeć niczego podobnego pod moim dachem. Zapamiętaj to sobie!

- Zrozumiałem, ojczu - odparł Patryk z pokorą, która nie wróżyła niczego dobrego. - Ale w takim razie proszę, aby ojciec przestał zadawać mi pytania.

- Nie dostrzegasz istoty problemu, Henryku - szepnął siedzący na końcu stołu Frantz. - Patryk uważa się za zniewolone dziecko.

- Dość tego! - grzmiał Henryk, podczas gdy jego syn spoglądał na Frantza z uwielbieniem.

Ojcowskiej czujności i przezorności dorównywała jedynie niesłyszana obojętność syna. Przykro było patrzeć na tę gorącą miłość, która raz po raz natrafiała na mur lub niknęła w próżni.

- Posłuchaj - prosiła Julia. - On cię kocha, a ty zawsze go odtrącasz. Oddałby ostatnią koszulę, byle ci pomóc, a ty drwisz. Dlaczego?

Patryk spuszczał oczy:

-v - Za bardzo się boję, że pewnego dnia stanę się podobny do niego.

WARIATKI

,-•. -. -◇. ••(•-:• 5

W pewien piątek elegancka dama opisywała przy herbacie tysiąc jeden opresji, jakich uniknęła dzięki wizycie u wróżki. Julia nigdy nie zapomniała tamtego popołudnia i opowiadała mi o nim jeszcze u schyłku stulecia. Bardzo długo bowiem wierzyła w to, co wpojono jej za młodu-że całe jej życie będzie taką niewiele znaczącą popołudniową herbatką.

Musiała nauczyć się podawać herbatę. Ten wymóg był jak religia. Tu mała dziewczynka zdobywała swe dyplomy. Julię ubierano w sukienkę z bufiastymi rękawami i popychano przed rząd siedzących dam. Zadanie polegało na nalaniu odpowiedniej porcji mleka i zaserwowaniu odpowiedniej porcji uśmiechów. Kiedy będziesz duża, tobie będą usługiwać. Oto życie w dwóch odsłonach, myślała Julia. Niezwykle pociągający spektakl! Wywiązawszy się z obowiązków, usiadła z cukiernicą w ręce obok zwolenniczki jasnowidzenia.

Kobieta ta twierdziła, że przyszłość jest w zasięgu ludzkiego oka. Wystarczy posiąść dar, który pozwala ją odkryć. Wiele obdarzonych tą nadzwyczajną zdolnością kobiet panowało nad najznamienitszymi osobistościami Paryża. Ambitni ludzie, marzący o wstępie do Instytutu, oszałamiająco bogaci książęta, czarujące diwy miłości doskonałej - każdy chciał dowiedzieć się, co da mu życie. Guitry, Proust, Loti i królowa Natalia pragnęli usłyszeć wyrok. Czasami brzmiał on: przedwczesna śmierć. Trzeba było jednak podjąć ryzyko, by usłyszeć także dobre nowiny. Doświadczenie wykazywało, że jasnowidzące wróżki nigdy się nie mylą. Jej na przykład przepowiedziano kiedyś, że pójdzie na bal i tego wieczoru...

Wróżka mieszkała przy ulicy Tournelle pod numerem 35 i przyjmowała co wieczór.

- Często pani do niej chodzi? - spytała inna dama z uprzejmym zainteresowaniem.

i

l

CHANTAL DELSOL

śmierć jest tak daleko, że nawet jej nie widzę. Później, bardzo późno...

Kobieta zwróciła twarz w stronę okna, Julia zobaczyła skwer przed Notre-Dame, dalej quai d'Orleans, a nad zielonkawą wodą wdzięczny zarys mostu Świętego Ludwika.

- Bardzo późno - podjęła. - W wieku, w którym inni od dawna pogrążeni są we śnie. Będziesz szła tymi ulicami. Nieco wystraszona, jak wiele samotnie spacerujących staruszek. Myśl już szwankuje, wyobraźnia zaczyna płać figle. Widzę cię na tym moście pod sam koniec wieku. Przekleństwo wciąż nad tobą wisi. Ale ty trzymasz je na smyczy jak okiełznaną bestię. Jak na swój wiek, idziesz szybko. Rąbek sukni... zwisa.

- Dość! - krzyknęła Julia. Głos jej drżał, ponieważ rozpoznała dwie połączone wyspy i most nad rzeką, na którym w dniu przyjazdu do miasta widziała ten obraz samej siebie niczym zjawę z przyszłości. Wstała i sięgnęła po skórzaną portmonetkę.

- Nie płac mi. Nie skończyłam. Poza tym nie przyjmuję pieniędzy od dzieci.

- Nie jestem już dzieckiem.

- Jesteś. Dorośli zawsze pytają o więcej i wracają. Tobie przepowiednie nie są potrzebne. Nadal jeszcze wierzysz, że jesteś nieśmiertelna.

Julia trzasnęła drzwiami i znalazła się w poczekalni, gdzie tym razem siedziała jedna jedyna osoba, student. Czytał "W matni", groszowe wydanie kieszonkowe, którego papier już zaczynał się kruszyć. Skulony na krześle, pochylony nad kartami, które zdawał się chronić, całym jestestwem oddał się lekturze i snuł wspaniały sen. Biały wełniany szal owijał się wokół kołnierza jego płaszcza.

Julia nie pojmowała, jak młody chłopak, pasjonujący się pisarstwem Zoli, może polegać na przepowiedniach dzielnicowej pytii. Była tak wzburzona, że chciała usłyszeć czyjkolwiek - byle tylko ludzki - głos, aby przywrócić rzeczywistości należne jej proporcje.

WARIATKI

- Twoja kolej - powiedziała. - Na co liczysz? Chcesz się dowiedzieć, czy zdasz egzaminy?

Zwrócił na nią spojrzenie pełne pogody i radości życia, jakże sprzeczne z lekturą, z której otrząsnął się niczym z szoku po zatonięciu statku. Zaśmiał się szczerze, a z jego twarzy można było wyczytać, że pragnie zaprzeczyć sugestiom Julii.

- Skądże znowu! To komedia! Ale lubię obserwować dziwaczne miejsca, ludzi... To bardzo ciekawe.

Julia wyszła. On ma rację. Co ze mnie za idiotka! Nie można tak łatwo wpadać w zastawione sidła. Tu liczy się przedstawienie. Namaluję tę wariatkę, żeby ją wyegzorcyz-mować.

Patryk był coraz bardziej nieobecny. Wymykał się dniem i nocą, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nie widziano nawet, kiedy wychodzi. Rozpływał się bez śladu. Potrafił zniknąć nagle podczas rodzinnego spotkania, w chwili gdy raz po raz przelicza się członków swego mikroświata, by mieć pewność, że nikogo nie brakuje. Dorośli domownicy nieustannie go szukali. Gdzie Patryk? - pytali Julię, która przesiadywała przy stole rysując, czytając i pisząc. Poszedł na lekcję solfeżu. Jest u kolegi, z którym pisze rozprawkę. Zasypany natrętnymi pytaniami, doskonaliła się w sztuce wybiegów, upiększała kłamstwa, zmyślała całe opowieści prawdziwsze od prawdy. Przecież jest środa, a Patryk chodzi na lekcje solfeżu we wtorki? Ale wczoraj nauczyciel był chory, musieli nadrobić stracony czas. Czyżby Patryk poszedł pisać rozprawkę, nie zabierając "Historii" Lansona, która poniewiera się po stole? To ma być rozprawka na temat teatru: "Rozwiń myśl La Bruyere'a, według którego Racine przedstawia ludzi takich, jakimi są, Corneille zaś takich, jakimi być powinni". Julia była pełna

CHANTAL DELSOL

śmierć jest tak daleko, że nawet jej nie widzę. Później, bardzo późno...

Kobieta zwróciła twarz w stronę okna, Julia zobaczyła skwer przed Notre-Dame, dalej quai d'Orleans, a nad zielonkawą wodą wdzięczny zarys mostu Świętego Ludwika.

- Bardzo późno - podjęła. - W wieku, w którym inni od dawna pogrążeni są we śnie. Będziesz szła tymi ulicami. Nieco wystraszona, jak wiele samotnie spacerujących staruszek. Myśl już szwankuje, wyobraźnia zaczyna płać figle. Widzę cię na tym moście pod sam koniec wieku. Przekleństwo wciąż nad tobą wisi. Ale ty trzymasz je na smyczy jak okiełznaną bestię. Jak na swój wiek, idziesz szybko. Rąbek sukni... zwisa.

- Dość! - krzyknęła Julia. Głos jej drżał, ponieważ rozpoznała dwie połączone wyspy i most nad rzeką, na którym w dniu przyjazdu do miasta widziała ten obraz samej siebie niczym zjawę z

przyszłości. Wstała i sięgnęła po skórzaną portmonetkę.

- Nie płąć mi. Nie skończyłam. Poza tym nie przyjmuję pieniędzy od dzieci.

- Nie jestem już dzieckiem.

- Jesteś. Dorośli zawsze pytają o więcej i wracają. Tobie przepowiednie nie są potrzebne. Nadal jeszcze wierzysz, że jesteś nieśmiertelna.

Julia trzasnęła drzwiami i znalazła się w poczekalni, gdzie tym razem siedziała jedna jedyna osoba, student. Czytał "W matni", groszowe wydanie kieszonkowe, którego papier już zaczynał się kruszyć. Skulony na krześle, pochylony nad kartami, które zdawał się chronić, całym jestestwem oddał się lekturze i snuł wspaniały sen. Biały wełniany szal owijał się wokół kołnierza jego płaszcza.

Julia nie pojmowała, jak młody chłopak, pasjonujący się pisarstwem Zoli, może polegać na przepowiedniach dzielnicowej pytii. Była tak wzburzona, że chciała usłyszeć czyjkolwiek - byle tylko ludzki - głos, aby przywrócić rzeczywistości należne jej proporcje.

WARIATKI

__ Twoja kolej - powiedziała. - Na co liczysz?

l rchcesz się dowiedzieć, czy zdasz egzaminy?

j Zwrócił na nią spojrzenie pełne pogody i radości życia, •atże sprzeczne z lekturą, z której otrząsnął się niczym \ szoku po zatonięciu statku. Zaśmiał się szczerze, a z jego twarzy można było wyczytać, że pragnie zaprzeczyć suges-

tl0n_ Skądże znowu! To komedia! Ale lubię obserwować dziwaczne miejsca, ludzi... To bardzo ciekawe

Julia wyszła. On ma rację. Co ze mnie za idiotka! Nie można tak łatwo wpadać w zastawione sidła. Tu liczy się przedstawienie. Namaluję tę wariatkę, żeby ją wyegzorczyz-

mowa. Patryk był coraz bardziej nieobecny. Wymykał się dniem i nocą, nie mówiąc nikomu ani słowa. Nie widziano nawet, kiedy wychodzi. Rozpływał się bez śladu. Potrafił zniknąć nagle podczas rodzinnego spotkania, w chwili gdy raz po raz przelicza się członków swego mikroświata, by mieć pewność, że nikogo nie brakuje. Dorośli domownicy nieustannie go szukali. Gdzie Patryk? - pytali Julię, która przesiadywała przy stole rysując, czytając i pisząc. Poszedł na lekcję solfeżu. Jest u kolegi, z którym pisze rozprawkę. Zasypywana natrętnymi pytaniami, doskonaliła się w sztuce wybiegów, upiększała kłamstwa, zmyślała całe opowieści prawdziwsze od prawdy. Przecież jest środa, a Patryk chodzi na lekcje solfeżu we wtorki?

Ale wczoraj nauczyciel był chory, musieli nadrobić stracony czas. Czyżby Patryk poszedł pisać rozprawkę, nie zabierając "Historii" Lanson'a, która poniewiera się po stole? To ma być rozprawka na temat teatru: "Rozwiń myśl La Bruyere'a, według którego Racine przedstawia ludzi takich, jakimi są, Corneille zaś takich, jakimi być powinni". Julia była pełna

CHANTALDELSOL

podziwu dla swej inwencji. Patryk rewanżował się jej za pomoc, przynosząc powiew świata. Tuż po powrocie przysiadł obok siostry, otwierał pierwszy lepszy podręcznik i zaczynał się jej zwierzać.

- W końcu udało mi się porozmawiać z aniołem stróżem - mówił. - Fascynują mnie ci ludzie.

Obserwuję ich od miesięcy. Po południu stają na stanowisku, zawsze przed tą samą knajpą. Klienci ich znają. Trzeba darzyć kogoś zaufaniem, żeby powierzyć mu pieniądze, zanim sięgnie się po pierwszy kieliszek, a nawet oddać w jego ręce klucze. Anioł przechowuje to wszystko z zawodową odpowiedzialnością. Dokładnie wie, gdzie kto mieszka. Musi tylko czekać. Snuje się w pobliżu klienta, obserwując spustoszenia, jakie się w nim dokonują. Z upływem godzin pijacy stopniowo tracą świadomość. Jedni śpiewają, inni wciskają się w krzesło, tocząc wokół półprzytomnym wzrokiem. Kiedy zapada zmrok, trudno im nawet utrzymać w ręku kieliszek. Nadchodzi czas pracy. Anioł stróż chwytając pierwszego podopiecznego za ramiona i podnosi go. Tamten na ogół klnie. Ale to drobiazg. Stróż jest do tego przyzwyczajony. Odchodzi, zataczając się po ulicy. Nie ma czasu do stracenia. Stróż odprowadza jednego po drugim, czasami z takim trudem, że żal na niego patrzeć. Bywa, że musi wlec delikwenta po chodniku. Dotyczy to zwłaszcza tych ostatnich. Nie wyobrażasz sobie, jak ciężki robi się pijany człowiek. Zagadnąłem anioła stróża z kawiarni Yincen. To istny

kościotrup. Ma długie wąsy, spytałem, czy jest z Owemii. Powiedział, że tak, jak wszyscy inni stróże, chociaż nie wiadomo, dlaczego właśnie oni mają się tego zajęcia. Było to w okresie oczekiwania, o zmierzchu. Siedzieliśmy na ławce. Zastanawiał się nad swoimi klientami. Jakie mroczne pragnienia pogrążają ich w tym świecie? On oczywiście nie mógł nigdy z żadnym pogawędzić. Nie lituje się nad nimi ani nie wstydzi. Uważa ich za zwyczajnych ludzi, których obłąd jest po prostu bardziej widoczny. Sądzi, że wszyscy inni także są szaleni, ale skrywają to pod powłoką normalności. On sam nigdy nie pije. Mówi

WARIATKI

jednak, że jego starość podobna będzie do stanu upojenia, tyle że na koniec nie pojawi się nikt, kto by pomógł mu się podźwignąć. Chciał zobaczyć, co mam w szki-cowniku. Pokazałem mu fasadę Trianon. Dostrzegł wiele szczegółów i mówił o nich. "Widzisz, chłopcze, odziedziczyłeś inny rodzaj pijaństwa: każesz mówić formom." Zwraca się do mnie po imieniu. "Wiesz, ile kosztuje powrót każdego zagubionego człowieka? Pięćdziesiąt centymów."

Pewnego dnia roku 1912 Frantz pojawił się rankiem z walizką i peleryną przerzuconą przez ramię. Jedzie do Niemiec, gdzie żeni się jeden z jego przyjaciół, oznajmił. Frantz nie miał przyjaciół, a w każdym razie nie otrzymywał żadnych listów i od lat nie opuszczał domu, chyba że musiał kupić sobie tytoń, Henryk obrzucił go więc podejrzliwym spojrzeniem. Przyjaciel prosił go o pomoc w przygotowaniu wesela i podejmowaniu gości, dodał Frantz naturalnym tonem, chociaż wiadomo było, że nigdy nikomu nie pomagał i jest niezdolny do udzielania wsparcia, od urodzenia beużyteczny, toteż Henryk pokręcił głową. Nie zabawi tam długo, rzucił jakby na pocieszenie, i wróci, powiedzmy, za pięć dni, wliczając podróż. Westchnął. Gdyby to wesele mogło potrwać trzy tygodnie... Tylko leniwi uważają się za niezastąpionych.

Przez cały tydzień Henryk był niezwykle szczęśliwy i radosny, a także uprzejmy jak nigdy. Przestał z byle powodu prawić Patrykowi kazania. Wieczorami zasiadał w fotelu Frantza z miną właściciela, który nareszcie odzyskał należne mu przywileje. Och, gdyby tak Frantz postanowił zamieszkać u tego przyjaciela, powtarzał, zaraz jednak dodając smętnie: ale młode małżeństwo na pewno się na to nie zgodzi, zresztą ten idiota pewnie zapomniał już

3 Wariatki

33

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

ojczyściego języka, w każdym razie to całkiem prawdopodobne...

Pod koniec tygodnia otrzymał telegram z Niemiec. Powiadamy w nim, iż niejaki Frantz Kreimer został odnaleziony martwy na wsi. Zapewne zabili go włóczędzy. Znalezione przy nim tylko ten paryski adres. Prosimy

0 zajęcie się ciałem, w przeciwnym razie panu Kreimerowi grozi los nieznanych zmarłych.

- Nawet taka śmierć jest chwalebna dla tego pasożyta! - grzmiał Henryk. Pomimo to odsunął na bok wszelkie sprawy, kupił bilet i przygotował się do wyjazdu. Zamknie raz na dobre, oznajmił, sprawę tego intruza, pogrzebie jego

1 jego bezmyślność, a potem nigdy już o nim nie wspomni. Julia zauważyła, jak dziwnie patrzył na fotel i porzucone fajki. Wydawało się, że czegoś żałuje, nie brakowało mu obecności Frantza, ale raczej atmosfery, jaką wytwarzał wokół siebie - tej bolesnej ironii, której ślady widać jeszcze było w ich domu; zresztą kto wie...

W drzwiach wejściowych zgrzytnął klucz i Frantz pojawił się w progu ubrany w pelerynę, z miną nocnego włamywacza. Już w pierwszym dniu podróży ukradziono mu portfel, ale to nie przeszkodziło mu w powrocie. Dziwił się powszechnemu zdumieniu, Henryk pokazał mu telegram i Frantz wybuchnął śmiechem:

- Miałaś nadzieję, że się ode mnie uwolnisz, co? Przecież jestem twoim sumieniem. Tylko mi nie mów, że zdążyłeś powyrzucać moje fajki!

Henryk przypatrywał mu się osłupiały.

- Widziałeś? - Julia zwróciła się do Patryka. - Nie znosi ani jego obecności, ani braku. Kim w rzeczywistości jest Frantz? Dziwi mnie, że nikt się nigdy nad tym nie zastanawiał.

Henryk krążył po domu, grząc.

- Ten dureń nic nie robi! Nic! Wkrótce zaczniesz przegrywać rodzinne pieniądze. Znane są przykłady ludzi, u których... Jego bezczelność nie ma granic.

O dziwo, tym razem Patryk stanął po stronie ojca. Ta dezynwoltura, której sam przecież był mistrzem, wzbudza-

ła w nim obrzydzenie. Stanął przed Frantzem, pochylił się nad nim.

- Powiedz? Nie mógłbyś zacząć pracować na życie?

- Moje życie nie jest warte żadnego wysiłku - odparł Frantz.

Dom stał się ponury. Henryk wracał codziennie punkt ósma. Tej chwili podporządkowywano cały rozkład zajęć. Pospiesz się, skończ, zanim wróci ojciec. Służące, raz po raz zwalniane lub porzucające pracę u Rozalii, której humory trudno było znosić, zmieniały się, ale zawsze wyglądały tak samo. Tylko niania trwała na posterunku niczym posąg i odpierała ataki Rozalii, ponieważ kochała Gildasa. Malec stał się bezczelnym chłopcem, pełnym pretensji, jakie rozbudzają w dzieciach ślepo zakochani ojcowie. Na tym cmentarzysku Patryk był jedyną żywą istotą. Uosabiał gorączkową atmosferę miasta, jego odkryć, pogłosek i mód. Roztaczał wokół aury radości, nie skąpiąc jej domowi, w którym wszystko liczone i odmierzano. Pojawiał się tuż przed kolacją, zwiewny jak zjawa, w niedbałym stroju, ale z uśmiechem, którym mógłby podbić cały świat.

- Gdzie byłeś? W piątek po południu nie masz lekcji. Skąd wracasz tak późno?

- Byłem z przyjacielem na wykładzie pana Bergsona.

- Coś takiego! Czyżbyś nie wiedział, że ten pan jest Żydem?

Patryk mrugał okiem do Julii. Cały dom Dominika był przesiąknięty triumfującym antysemityzmem. Później, już po kolacji, wręczał siostrze pierwsze numery "L'Action frangaise", pieczołowicie gromadzone przez Henryka, i czytał jej proklamację: "Republika to zło. Republika to władza Żydów, zdrajców żydowskich, jak Ullmo i Dreyfus, żydowskich złodziei, jak baron Jakub Reinach; Żydów,

34

35

CHANTAL DELSOL

którzy szerzą korupcję wśród społeczeństwa i zwracają się przeciwko religii katolickiej, jak żydowscy pomysłodawcy prawa do rozwodów i autorzy prawa separacji."

- Pan Bergson - podsumowywał Patryk - jest złodziejem, zdrajcą, szerzycielem korupcji. Niszczy religię katolicką. Sam sprawdziłem. To wróg Francji. Głosujmy na księcia Orleańskiego!

- Posłuchaj - ciągnął półgłosem - zbliża się północ, nie powinnaś siedzieć w moim pokoju.

Zabrałem dziś anioła stróża na wykład pana Bergsona. Bał się, że ktoś zażąda, by okazał kartę wstępu albo legitymację, myślał, że wpuszczają tam tylko uczonych, ale przekonałem go, że się myli. Zapytał, czy ma włożyć odświętne ubranie, powiedziałem, że nie, bo przychodzą tam nędznie ubrani pisarze, nie chciał mi wierzyć, ale w końcu ze mną poszedł. Wykład zaczynał się o piątej, ale przyszliśmy godzinę wcześniej. Tak trzeba, jeśli chce się znaleźć miejsce siedzące. Sala jest niezbyt duża, ma może trzysta miejsc, na ławkach. Ale nie wyobrażasz sobie, ile osób się tam wciska. Po pierwsze, można odnieść wrażenie, że publiczność z Opery, panie w falbaniastych sukniach, wszystkie światowe maniery - że wszystko to przeniosło się do tej skromnej salki, stworzonej na siedlisko myśli. Bywają tam kobiety w wieku mamy, siedzą w pierwszym rzędzie i gdaczą jak przy herbatce w salonie. Są też ubrani na czarno studenci. Księża. I wszystkie mózgi Sorbony, ale ci muszą tylko przejść przez jezdnię. Mistrz przybywa punktualnie, wchodzi przez tylne drzwi. Siada przy lampie, nie wyjmując żadnych papierów. Ma bardzo szerokie czoło i jasne spojrzenie. Hałas, pomruki - wszystko zamiera i zapada cisza, jakby za sprawą czarów. Mistrz mówi. Ale przysiągłbym, że śpiewa.

- A co mówi? - spytała Julia.

- Och, nie wiem, czy wszystko dokładnie zrozumiałem. - Patryk nie kupczył szczerością. -

Powiedział, że umysł człowieka powinien być wolny i otwarty. Słuchać własnej intuicji. Ten Żyd jest bohaterem. Idź już spać, siostrzyczko.

WARIATKI

Julia bezszelestnie wśliznęła się do pokoju Rozalii. Długo wierciła się w łóżku. Cienie kładące się na parawanie tworzyły salę College de France, której okna były stale zamknięte, a ściany pokryte ciemną boazerią. W głębi był też ów żyrandol, który nie dawał światła, i ruchliwa sylwetka mistrza, w ciszy zbierającego myśli. W tłumie dostrzegła

Patryka i jego anioła stróża, gdy przytuleni do siebie pilnie słuchali każdego słowa. Anioł zdjął czapkę i trzymał ją zwiniętą na kolanach, jakby był w kościele. Patryk ze zwichrzonymi blond włosami wyciągał głowę artysty, by uchwycić każde wypowiedane słowo. To był niezrównany spektakl. Oczarowanie.

W gęstym mroku bezsennej nocy rodzą się jasne jak dzień myśli. Mogę żyć tylko per procura, myślała Julia. I nie mam wyboru. Albo tak, albo wcale. Słyszę wyłącznie echo. Usiadła na łóżku. Drżała. Ten cień życia i odrobina luksusu ofiarowana jej młodości. Dar braterstwa bliźniąt. Ale potem... Co dzieje się z innymi? Rozalia snuje tylko opowieść o swych biologicznych cierpieniach. Lea, ciotka ze strony ojca, stała się jakby fotograficznym negatywem wuja Oktawa. Uwielbia i gniewa się tak jak on. Nawet jej uczucia wydają się echem jego uczuć. Kiedy jest szczęśliwy, jej twarz promienieje radością. Kiedy gnębią go czarne myśli, i ją ogarnia pesymizm. Powtarza słowa męża, przypisując im moc niepodważalnych twierdzeń. Lepiej niż on opisuje sytuacje, które przeżywa bez niej. Można ją nazwać dublerką bez własnego życia, a jedyny cel jej istnienia to przydawanie wartości mężowi.

Za parawanem tykał zegar. Zdobędę książki mistrza, obiecywała sobie Julia. Pisał o humorze. Ciekawe, co anioł mógł sądzić o tym wykładzie? Czy teraz powtarza sobie strzępy zasłyszanych zdań, wlokąc ludzkie wraki? Trudno w to uwierzyć.

37

CHANTAL D EL SOŁ

>'....:'. 9

Patryk przyjął anarchizm jak religię. To zaangażowanie wyczuwało się z łagodności tonu i słów. Zawsze i wszędzie okazywał względy słabym. Był szlachetny. Jego nieustanny bunt był wyrazem nostalgii i żalu za niezdefiniowaną czystością. Wielbił poczucie honoru biednych i słabych. Był gotów przekreślić całe społeczności, by słać jednego sprawiedliwego w łachmanach.

Przynosił do domu ukryte pod marynarką egzemplarze "Anarchii". Połykał Stirnera. Długo i niecierpliwie czekał na okazję nawiązania kontaktu z ludźmi podkładającymi bomby i redaktorami gazetek. Na szkolnej ławce, pod osłoną słownika, rysował te tak zwane środki wybuchowe, podobne do butelek na mleko, brzuchate, ale czarne i owinięte sznurkiem - nośniki śmierci grzesznej ludzkości. Uporczywie szukał podejrzanego bohatera, którego nazywano Libertad, a którego autentycznego nazwiska nikt nie znał. Ten człowiek pisał pamflety i odezwy, przy których bladły całe wieki literatury. Opisywano go Pat-rykowi jako żebraka chodzącego o dwóch ciężkich kulach, łysogo i brzydkiego jak Sokrates. Zbliżył się do tego mężczyzny, cierpliwie pokonując kręgi wtajemniczenia. Pewnego dnia poznał go po mnisich sandałach i kulach. Nie był rozczarowany. Świat jego słów wyraźnie się wzbogacił. Teraz pod datą zamiast rozprawki pisał: "Niech zdycha stary świat".

W dniu ogłoszenia wyników matury nie wiadomo było właściwie, komu się powiodło - ojcu czy synowi. Henryk telefonował do wszystkich przyjaciół, używając różnych pretekstów, choć w rzeczywistości chciał tylko im przekazać wspaniałą nowinę. Patryk, wybrawszy zakątek salonu, z którego jego głos nie dobiegał uszu Frantza, opowiadał Julii, że wczoraj poszedł do burdelu na ulicy Blanche. Pewien jego przyjaciół, znawca tematu, zachęcił go do tej wyprawy i nawet wybrał dziewczynę. Patryka zaszokowała nędza tego miejsca. W świecie przyszłości nic takiego nie

WARIATKI

będzie już istnieć. Co do reszty, wierny sobie, śmiał się z całej przygody. To sztuka rozrywki, powiedział. Wielkiej rozrywki. Ale nie wolno jej mylić ze sztukami pięknymi. Handlarze miłości myślą się co do towaru. Nie wiem, czym jest miłość. Zapewne dziełem sztuki z gatunku tych bezcennych. Tymczasem tuż obok Henryk zasięgał informacji, chcąc zapisać Patryka na roczny kurs przygotowawczy wydziału architektury. Nie uznał za słuszne, by porozumieć się z zainteresowanym, bo przecież było to naturalne zwieńczenie minionych lat, które jawiły mu się

jako długie oczekiwanie na ten właśnie dzień. Patryk nie sprzeciwiał się ojcu. Akceptował swój los z leniwą potulnością i tylko w tajemnicy kupował podwójne wyposażenie potrzebne studentowi. W ten oto sposób Julia rozpoczęła kształcenie na wydziale architektury.

Musisz ćwiczyć kopiowanie, pouczał Henryk. Za zgodą profesora będziesz miał wstęp do sali modelowania. Nie przeszkadzaj studentom. Trzymaj się z tyłu. To odstępstwo od zasad.

Powinieneś myśleć wyłącznie o pracy, mówił Henryk. Uda ci się. Później powiem ci, do jakich konkursów masz stać. Zdobędziesz nagrodę Rzymu. I ujrzysz pałac Medyceuszy.

Patryk potulnie zajął swe miejsce w Pałacu Studiów. Przez okna przypatrywał się zdeformowanemu w szybach niebu. Usiadł pośród odlewów, w kąciu między jakimś bożkiem i łuczniakiem. Jakże tam było ciasno! Istna norka, a on przecież zawsze ląkał przestrzeni! W pełnych dzieł sztuki galeriach musiał chować się pod posągami i rysować, spoglądając kątem oka na obiekt. Wieczorami wracał do domu z pustymi rękoma. Ukradli mi kątek widzenia. Nic nie zrobiłem. Julio, ja nienawidzę konkurencji. Wolę ze wszystkiego zrezygnować. Najlepszy student w grupie nazywa się Martial Robert. Ma prawdziwy dar; rysuje szybko i dobrze. To coś niesamowitego. Czasami na jednym arkuszu tworzy wiele portretów, same twarze i zawsze trafnie oddaje podobieństwo, ale jest w tych szkicach coś szczególnego - wszystkie spoglądają jego oczyma. To niby

38

39

CHANTAL DELSOL

drobiazg, ale bardzo znaczący. Można by powiedzieć, że niezmordowanie powieliła samego siebie. Nosi imię wojownika, ale jest narcyzem. On nie będzie musiał walczyć o miejsce pod słońcem. Zawłaszcza wszystko. Ma wpływ na rzeczy. Kiedyś zaczniesz pożerać ludzi.

Patryk obrzucał ojca pełnym politowania spojrzeniem.

- A jak się tacie wydawało? Że w najslawniejszej europejskiej Akademii Sztuk Pięknych rozmawia się o malarstwie? Że filozofuje się o pojęciu piękna? Nic bardziej złudnego. Tam ciągle toczy się spory o to, do jakiego stopnia należy rozbierać modeli. Jak pokazać nagość kilku dziewczętom, które ostatnio przyjęto? Powiadają, że to uraziłoby właściwą ich płci skromność. Sądzono, że uda się rozwiązać problem, przyodziewając w przepaski modeli pozujących w pracowni dziewcząt, jakże jednak w takiej sytuacji zachować anonimowy charakter egzaminu? Myśląc logicznie profesor stwierdził, iż najlepiej będzie dać przepaski wszystkim modelom, wówczas jednak zaoponowali chłopcy. Tak z grubsza przedstawia się to miejsce i takie toczą się tam spory i dyskusje. Istnieje problem kałesonów, jak istnieje kwestia wschodnia.

Henryk wzruszał ramionami.

- Nigdy w to nie uwierzę. Drwisz sobie ze wszystkiego, czego się tkniesz.

Czy Patryk pragnął spłacić dług, oddać Julii w monecie barw wszystko, co ona dała mu w łacińskich zwrotach... Nie

0 to chodziło. Dług, owszem, ale głębszy i zbiorowy. Przynosił siostrze zakazaną wiedzę, ubolewał, że Julia musi się z nią kryć, a on staje się poniekąd współnikiem zbrodni. Zmuszał się do uczęszczania na wszystkie zajęcia wyłącznie dlatego, by nie uronić ani kropli wiedzy, którą miał jej przekazać. Zrozumiała to, dostrzegłszy, jak poważnie podchodzi do studiów - on, zazwyczaj tak bez troski. Po powrocie wsuwał w dłoń Julii dwa ołówki - czerwony

1 niebieski - i zaczynał kurs anatomii. Mięśnie i kości. Wymnawiał z teczki szkice. Kiedy tylko rodzice na dłuższy

40

WARIATKI

czas wychodzili z domu, rozbierał się, służąc jej jako model. Spójrz na to wgłębienie. A tu, mówił, ta wypukłość, to staw. Przerywał pozowanie, żeby ocenić jej pracę. Snuł się po pokoju nagi i nie zawstydzony. Jesteś za chudy, wzdychała Julia. Błaznował. Stroił miny, udawał dyskobola i uciekającego jeźdźcę. Opowiadał jej, jak nieprzyzwoicie zachowywali się studenci przy speszonych młodych modelkach. Pewnego dnia ukradł gipsowe popiersie, którego ekspresja wzbudzała w nim tak wielki podziw, że nie mógł już dłużej pozbawiać siostry tej przyjemności. Oburzyła się. Jak to, powiedział naśladując głos Henryka, przecież musisz pracować, a zdobędziesz nagrodę Rzymu,

zastanów się, co jeszcze się liczy - nic, zupełnie nic, wszystko inne to błahostki.

Henryk postanowił, że Patryk przygotowuje się do egzaminu wstępnego w czerwcu. Nie widział powodu, by czekać do sesji jesiennej, skoro chłopak był już gotów. Dostanie się, bo przecież jest najlepszy. Mój syn nie ponosi porażek. Tyle inwestycji, tyle długich lat nie mogłoby iść na marne. Henryk rozgłaszał tę nowinę, jakby wszystko było już rozstrzygnięte. Gdy na kolację przychodził klient, Henryk, ćwiartując kurczaka, oświadczał pewnym głosem człowieka, któremu los sprzyja: Patryk właściwie dostał się już do Akademii Sztuk Pięknych.

Henryk osobiście przygotował dla syna odpowiednie przybory, wybierał i kompletował ołówki. Szkic anatomiczny nie będzie dla ciebie problemem. Ale musisz się spieszyć. Będziesz miał tylko dwie godziny.

- Poszedłem wczoraj wieczorem na wiec przy Saint--Paul - opowiadał Patryk siostrze. - Libertad wszedł na podium, żeby podjąć spór z reakcjonistami, którzy ośmielili się go krytykować. Był ubrany w chłopską bluzę z szerokim kołnierzem. I miał nastroszoną brodę. Ma oczy błękitne jak archanioł. Kule służą mu do obrony. W rzeczywistości to jego ukryta broń, te dwa kostury z kasztanowca. Barytonem zaintonował "Międzynarodówkę". Byłem z Pawłem Letar-dem. Dawno się tak nie ubawiliśmy.

CHANTAL DELSOL

Te ołówki przeznacz wyłącznie do pogłębiania perspektywy, pouczał Henryk. I nie zapomnij zjeść śniadania. I wracaj szybko, żeby mi powiedzieć, jak ci poszło.

Gdybym mógł, szeptał Patryk do ucha siostry, zamieszkałbym na szczycie Buttes-Chaumont, w pobliżu Causeries Populaires. To by było życie!

Tydzień egzaminacyjny upływał w wielkim podnieceniu, Henryk do każdego drobiazgu podchodził z powagą i niepokojeni, jakby los całej rodziny i każdego z jej członków z osobna zależał wyłącznie od tej jednej sprawy. Rozalia cierpiała przez to na silniejsze niż zwykle bóle głowy, ale przecież wiadomo było, że powinna oszczędzać nerwy. Za złe samopoczucie pani płaciły dwie służące, skazane na jej humory. Nie pozostawały jej dłużne, raz po raz sabotując w akcie zemsty pracę. Rozbawiony tą tragedią Frantz rzucał od czasu do czasu zjadliwe uwagi, dolewając oliwy do ognia. Pośród szalejącej w domu nawałnicy tylko Patryk zachowywał kamienny spokój. Trzeciego dnia wieczorem podał Henrykowi temat pracy i swój szkic, przy kolacji odpowiadał na niekończące się pytania, w końcu zaś oznajmił, że chce wcześniej iść spać i zabrał Julię do swojego pokoju. Zamierzał pokazać jej coś niezwykłego i upewnił się, czy drzwi są dobrze zamknięte. Potem wyjął z torby pistolet z bębniem. Otrzymał go w podzięcie za przysługę.

- To musiała być cenna przysługa - skomentowała Julia. Jej zdaniem pistolet należał do przedmiotów, których miejsce jest raczej na wystawie niż w domu.

- Jest w doskonałym stanie - oznajmił Patryk. -[Przekonasz się. -Wycelował w ścianę i strzelił.

Rozległ się nieprzyjemny, suchy dźwięk. To zwykła zabawka, pomyślała Julia. Metalowa zabawka. Patryk opuścił rękę. -Widzisz! Widzisz! - wykrzykiwał w zachwycie. - Jedna możliwość na pięć.

Tym razem się nie udało. Może następny będzie dobry.

- Świetnie! - przyklasnęła Julia, jakby mówiła do dziecka. - A teraz idź spać. Jutro czeka cię kolejny egzamin.

42

WARIATKI

Patryk położył pistolet na stole.

- Zaczekaj - powiedział. - Muszę podzielić się z tobą pewną tajemnicą. - Odprowadził ją do jej pokoju. W korytarzu było ciemno. - Pomyślałem...

- Mów ciszej, obudzisz cały dom.

- Pomyślałem - szeptał - że kiedy ukończę nasze studia, możemy wspólnie założyć biuro architektoniczne. Ty i ja. Oficjalnie to ja będę dyrektorem, bo takie jest prawo, ale w rzeczywistości ty będziesz nim kierowała.

- A co ty będziesz robił? - zapytała.

- Ja? Zajmę się... burzeniem starego świata, jeżeli to będzie miało jeszcze jakiś sens, albo nie będę nic robił.

Zarzuciła ręce na szyję brata.

- To najpiękniejszy kontrakt, jaki mogłabym sobie wymarzyć.

Ucałowała go. Byli równego wzrostu. Ich splątane włosy miały tę samą barwę, a twarze były tak podobne, że właściwie nic ich nie różniło. Nic, pomyślała w duchu Julia, poza może tym przekleństwem, które nade mną ciąży.

10

Nikt nie usłyszał wystrzału, który padł zapewne w środku ciemnej nocy, o tej porze, gdy bezsenność traci resztki sił. Henryk nigdy nie wybaczył sobie, że tej właśnie nocy spokojnie spał. Dręczące go wyrzuty sumienia były absurdalne, a jednak w pełni zrozumiałe. Na jego miejscu ja także chyba przez dziesiątki lat trawiłabym wstyd i żal.

Julia poderwała się z łóżka o siódmej rano i pobiegła do brata, żeby sprawdzić, czy już wstał, bo o ósmej trzydzieści zaczynał się egzamin z architektury. Musiał przecież zjeść śniadanie, nie zapomnieć o żadnej potrzebnej rzeczy, no i przejść przez most. Otworzyła drzwi i ujrzała leżące w kałuży krwi ciało. Pistolet upadł tuż obok zmasakrowanej głowy. Łóżko nie było nawet rozesłane.

Po rozstaniu z siostrą

43

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Patryk musiał dalej bawić się fascynującym podarkiem. W ułamku sekundy domyśliła się, co się wydarzyło, nie była jednak w stanie uwierzyć, że to naprawdę Patryk leży martwy na podłodze. Widziała samą siebie, bezwładną na poplamionym krwią dywanie. To jej twarz rozpadła się na strzępy. Nie przeraził jej widok krwi, nie zważała na zaschnięte plamy na drzwiach szafy, na czerwony, nasiąknięty notatnik, nie zrobiła na niej wrażenia nawet struga uciekająca pod łóżko. W potworne osłupienie wprawiła ją własna śmierć. Po prostu nie rozumiała, jak może tu wciąż stać i przypatrywać się temu wszystkiemu.

Patryk starannie przygotował wszystkie przybory. Julia zamknęła drzwi na klucz, sięgnęła po nożyczki, podeszła do lustra i obcięła długie, jeszcze rozpuszczone włosy. Wyjęła z szafy odpowiedni strój i spokojnie się ubrała. Uczucia i myśli gdzieś uleciały. Kierował nią niezrozumiały instynkt. Wzięła torbę brata i wyszła na palcach - opuściła dom pogrążony jeszcze we śnie i wymknęła się na ulicę. Szła, mając w duszy i umyśle kompletną pustkę. Spiesznym krokiem zmierzała w stronę Akademii Sztuk Pięknych.

Elementy stroju dobrała nieco chaotycznie. Miała na sobie spodnie z szelkami, koszulę z dużym wykładanym kołnierzem i krótką marynarkę z czarnego lnu. Pod szyją zawiązała fantazyjny krawat, którego szarfy powiewały na wietrze, a pospiesznie ostrzyżoną głowę nakryła czapką, jaką nosili artyści. Przeszkadzały jej za duże buty. Dotarła do bulwaru i natknęła się na anioła stróża z kawiarni Yincen, gdy szedł w stronę swej ulubionej ławki, ze zmęczenia ledwie trzymając się na nogach. Pewnie pracował przez całą noc, bo mocno podkrążone oczy świadczyły o tym, że potrzebuje snu i odpoczynku. Rozpoznała go po przyjaznym skinieniu, jakim ją powitał. Przyspieszyła kroku, bojąc się, że ją zatrzyma. Siedzący okrakiem na krzesłach poranni pijacy przypatrywali się jej spod wełnianych beretów.

Weszła na egzamin w ostatniej chwili, żeby uniknąć dłuższych rozmów. Głos mógł ją zdradzić.

Zajęła miejsce,

położyła na biurku zegarek. Wypisała na karcie imię i nazwisko brata.

"Wykonać perspektywiczny szkic świątyni z kolumnadą. Kolumny w stylu korynckim. Nie wymaga się użycia światłocienia. Zaznaczyć linię horyzontu, centralny punkt projektu i odległości z możliwie największą dokładnością".

Sześć godzin. To niemal wieczność. Wyliczyła proporcje i spokojnie, z pewnością stwórcy świata, rysowała wdzięczne kolumny. Pośród nich tańczyły pasma światła i cienia. Zamknęła całość dwuspadowym dachem, nie potrafiła bowiem wyobrazić sobie krainy bez deszczu i burz.

Była pewna, że świątynia wznosi się nad morzem. Jej kształty rysowały się dumnie w świetle latarni morskiej. Stała na stromym wysokim brzegu. Jak okiem sięgnąć, po trzech stronach rozpościerały się rozległe przestrzenie, których była strażniczką. Julia widziała wijącą się po zboczu

kamienistą ścieżkę, a przy niej śródziemnomorskie krzewy kolczaste, które porastały skalistą okolicę aż do granic piaszczystej plaży.

Naszpicowała stopnie cokołów, na których załamywało się światło. Starannie wyrysowała trzy rzędy liści akantu. Kolumny miały elegancję westalek. Nocą wpatrywały się w morze. Pośród nich kryli się bogowie. Julia zastanawiała się, jak też mogą wyglądać te zawsze nieobecne bóstwa. Zajęła się dopracowaniem światłocienia wewnątrz świątyni. Mieszkańcy tego miejsca ujawniali się przynajmniej w ten sposób - jako kryjący ich mrok, podczas gdy na zewnątrz, sądząc po pasmach światła, błyszczało poranne słońce, które zacierało kontury przedmiotów.

W końcu przerwała i zaczęła przypatrywać się swemu dziełu. Czas minął, zanim się spostrzegła. Miała jeszcze godzinę. Wytarła gumką kilka zbędnych linii i oddała się spokojnej kontemplacji. Jej praca była bezużyteczna, ale w swej dumie pełna sensu. Julia starała się zapisać w pamięci każdy szczegół, by nigdy nie zapomnieć tego projektu.

44

45

CHANTAL DELSOL

Oddała arkusze egzaminatorowi. Miała wrażenie, że pozbywa się ostatniej ze wszystkich prac, jakie zamówił u niej Patryk.

- Czy tak ci zimno, Erevanne, że przez cały dzień siedzisz tu w czapce?

Uśmiechnęła się, żeby nic nie mówić. Nieco chwiejnym krokiem ruszyła do wyjścia. Minęła bramę główną i znalazła się na hałaśliwej, barwnej ulicy. Słońce toczyło się po niebie, by już wkrótce zatonać w Sekwanie.

Wtedy właśnie dopadł ją smutek.

Był gęsty i mokry jak burzowa chmura. Zatapiał wszystko, wszystko przenikał, nawet bezużyteczność, którą czynił bardziej bezużyteczną. Niweczył znaczenie rozwichrzonych włosów, gonitwy po Paryżu, pięknej świątyni czuwającej nad niewidocznym morzem. Pożerał wszystko od wewnątrz. Przeszła przez most na ten brzeg rzeki, znad którego przybyła tu rano. Pomyślała, że lubi rysować wszelkiego rodzaju mosty. Jedne są niczym liny rzucone nad otchłanią, inne, ciężkie i dostojne, stoją nad rzeką, nogami dotykając brzegów. Tkałyby je z pajęczej nici, którą nęka wiatr, kreśliłaby sklepienia łuków, upodabniając je do katedr. Mogłaby projektować je dla Patryka. Ale on nie miał już twarzy. Cierpienie biegło tuż obok niej, dopadało, świstało wiatrem pod tymi mostami marzeń.

Wąsaty anioł stróż od Yincenta wciąż tkwił na żelaznej ławce. Pewnie przez cały dzień wałęsał się po okolicy. Wydawało się, że nie doszedł jeszcze do siebie po nieprzespanej nocy. Tym razem nie dał jej obojętnie przejść. Zresztą i ona nie miała już siły uciekać. Podniósł się i przywołał ją łagodnie.

- Patryku! Chodź no tu do mnie, chłopcze!

- Nie jestem Patrykiem - szepnęła. - Mam na imię Julia. - Usiadła na ławce; tuż obok położyła torbę i swój żal.

- Julia?! Nigdy cię nie widziałem. Ale on mi o tobie opowiadał. Gdzie Patryk?

- On nie żyje - powiedziała Julia, skandując słowa, by żadne nie wymknęło się spod kontroli.

46

WARIATKI

- Nie żyje? - powtórzył anioł głosem, który już był nabrzmiaty łzami. - To niemożliwe. Przecież wczoraj się z nim widziałem, śmiał się, mówił, że... - Patrzył na nią z niedowierzaniem. Był bardzo stary i bardzo chudy. Przypominał tych cherlawych Owerniaków, których wąsy ważą więcej niż ciała. Julia wyjaśniła mu, że jej brat zabił się dla zabawy. Anioł obejrzał ją od stóp do głów. Przypatrywał się krawatowi, czarnej marynarce i za dużym butom. - Co ty tu robisz, ubrana w jego rzeczy? - zapytał.

- Kiedy go zobaczyłam... dziś miał zdawać ostatni egzamin. Poszłam go zdać za niego.

- No tak, oczywiście - powiedział, jakby wydało mu się to równie naturalne jak rozdawanie kart do kolejnej partii.

Julia czuła się dobrze ze swym ogromnym bólem, który tak wygodnie rozsiadł się na tej ławce

między nią a rozumiejącym wszystko nieznanym. Pomyślała spokojnie, że gdy skończą rozmowę, wróci na most i skoczy do rzeki. Ten pomysł sprawił, że rozpacz nagle ucichła. Potem Julia doszła do wniosku, że nie starczy jej odwagi, by popełnić tak absurdalny czyn. Przecież Patryk nie mógł zabić się dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Jej rozpacz znów zaczęła rosnąć, sięgnęła ponad kasztanowce, których szpalery wytyczały aleję.

- Świetnie się

rozumieliśmy - szepnął nieśmiało anioł. - W zeszłym tygodniu znowu poszliśmy razem na wykład pana Bergsona. To mały człowiek o bladej twarzy, w kapeluszu większym niż on. Oczywiście nie wszystko zrozumiałem. Patryk lubił, gdy mu towarzyszyłem. Powtarzał, że z wykładu powinienem wychwycić moje własne myśli, ale jaśniej sformułowane. Wydawały mi się bardziej skomplikowane, ale rzeczywiście, chodziło o to samo.

Julia zdjęła czapkę i przeczesła palcami mokre od potu włosy.

- Co mówił pan Bergson? - zapytała z żywym zainteresowaniem, które na sekundę odsunęło cierpienie na dalszy plan.

47

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

- Wszędzie dostrzega ducha. Ja też. W klientachj których transportuję, jest go nie więcej niż w zdechłym koniu. W moim zawodzie człowiek rzadko styka się z życiem duchowym. Dlatego muszę stale o nim myśleć, by upewnić się, że jeszcze całkiem nie zanikło. Rozumiesz?

Doskonale rozumiała. Ta nieoczekiwana wspólnota stała się dla anioła stróża inspiracją. Zaczął recytować poezję, potem poddał gwałtownej krytyce dzieła Renana, autora tak dalece pozbawionego ducha, że swą twórczość powinien był zadedykować małpom z zoo, stwierdził. Chciałbym mówić ci o Patryku, powtarzał pomiędzy monologami o sztuce i filozofii, ale nie mogę, czy potrzebujesz pomocy, ale przecież ja nic dla nikogo nie mogę zrobić, jestem zwykłym nędzarzem. Julia nie odpowiadała, tylko od czasu do czasu przytakiwała, zagubiona, wpatrzona w stopy, które bardzo ją bolały. W końcu anioł wstał, a jego symetryczne wąsy wyprostowały się równocześnie z nogami.

- Jeszcze nie czas. Ale zauważyłem młodego Romiera. Jest najbardziej zapamiętały i najhojniejszy. Na pewno da mi osiemdziesiąt centymów. Do roboty.

- Ile trzeba zapłacić za udział w wykładach pana Bergsona? - zapytała Julia, jakby zamierzała przeliczyć cenę ducha na cenę zapijaczonego cielska.

- Ależ nie! Wykłady są rzecz jasna darmowe - oburzył się anioł stróż. - To, co najważniejsze, nie ma ceny. Oddaje się. Przyjdź do mnie kiedyś. Jesteś taka podobna do Patryka. Kiedyś mi wytłumaczysz... co się z nim stało.

Zgarnął poły wystrzępionej marynarki, otarł oczy rękawem, aby nikt nie zauważył, że płakał, i ruszył ku wejściu do kawiarni Yincen krokiem, w którym nie było chęci, lecz tylko obowiązek.

Julia pomyślała, że czas wracać do domu, chociaż potrafiła bez trudu wyobrazić sobie chaos i lament, które ją tam powitają. Zrzuciła torbę na ramię i ruszyła w drogę. Żal przybrał postać londyńskiej mgły, plamił szarością drzewa i przytłaczał fasady kamienic. Trzeba było odgadywać barwy rzeczy. Smutek przeniknął najgłębsze zakamarki jej duszy. Teraz mogła już myśleć tylko poprzez niego.

Z zewnątrz mieszkanie wydawało się spokojniejsze niż kiedykolwiek. Dźwięk dzwonka odbijał się echem pośród głuszy. Gildas otworzył jej drzwi. Mocno zaczerwienione policzki zdradzały, że szło o rana. Był potargany, a koszula wyszła mu ze spodni, czego w normalnej sytuacji nie pozostawiono by bez korekty. Z widoczną ulgą spojrzął na Julię. Zrozumiała, że w domu oplakiwano już także ją. Jąkając się, oświadczył, że Henryk i Rozalia wyszli, by poczynić konieczne kroki. Był sam pod opieką wujka Ludwika. Ten zresztą pojawił się po chwili. Miał zboląłą, stosowną do okoliczności minę. Księża na ogół czują się świetnie w salonach, jednak to tragedia stwarza środowisko, w którym są naprawdę w swym żywiole, pomyślała Julia, zerkając na mroczne spojrzenie i posępną, pełną podniosłej powagi twarz wuja, a także na różaniec, który zwieszał się z jego palców. Podszedł, by ją uściskać, ona zaś wyczuła w nim wzburzenie biorące

górną nawet nad rodzinnym cierpieniem. Powiedział jej o Patryku i karmił mętnymi wyjaśnieniami, z których wynikało, iż w rzeczywistości jej zmarły brat nie umarł. Dlatego też nie miała powodu martwić się o niego. Julia spoglądała na niego z rezygnacją. Nigdy nie dawała się wciągnąć w religijne dysputy, ale to, co teraz usłyszała, zdawało się przekraczać granice absurdu. Smutek przeistoczył się w dwa worki ołowiu, które potwornie ciążyły jej ramionom i tak mocno ją przytłaczały, że poczęła szukać krzesła, na którym mogłaby usiąść. Ludwik podał jej szklanke wody, ale nie chciała pić. Poglądził ją po głowie, powstrzymując się wyrozumiale od pytań o dziwną fryzurę i poinformował, że będzie czuwał przy zmarłym. Zniknął z różańcem w mroku korytarza. Gildas przytulił się do siostry i cichutko opowiadał o tym, jak rankiem, w porze śniadania, obudziły go krzyki służących, które otworzyły drzwi pokoju Patryka. Potem wszystkie zaczęły płakać i spazmować.

48

4 Wariatki

49

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Ta opowieść nie zdziwiła Julii. Wiedziała z doświadczenia, choć przecież była jeszcze bardzo młoda, że ci, którzy mają najmniej powodów do płaczu, wylewają znacznie więcej łez niż inni. Ostentacyjna rozpacz zwykle kompensuje obojętność wobec cudzego nieszczęścia.

Gildas powiedział jej także, że dziś wszyscy w domu byli przerażeni kwestią pogrzebu. Nie potrafił tego pojąć, bo dwunastoletni rozum podpowiadał mu raczej, że trudno jest żyć i umrzeć, ale złożyć ciało do bezimiennej dziury to rzecz najprostsza w świecie i jeśli coś go w tym przerażało, to właśnie ta łatwość pochowania kogoś, kto jeszcze niedawno żył. Usiadł na podłodze i położył głowę na kolanach Julii, a ona bawiła się jego lokami i czuła, że ból staje się miękki i kruchy, jak przeciwnik, który chce się ukryć.

Kiedy zapadła noc, ksiądz przyniósł świecę i zapalił ją, nie wypuszczając z ręki różańca. Potem otworzyły się drzwi i do domu weszli Henryk i Rozalia, a za nimi gromada ciotek i wujów o smętnych oczach. Wszyscy rzucili się na Julię, nikt jednak nie robił jej wymówek. Dotykali ubrania Patryka, w którym wyglądała jak Pierrot, i ze zrozumieniem kiwali głowami. W ciszy Julia śledziła mowę ich oczu, które porozumiewały się ponad jej głową. Te oczy mówiły, że śmierć brata bliźniaka wpędziła ją w obłęd, ale przecież nic w tym dziwnego, tak potworne wydarzenie mogło spowodować znacznie poważniejsze konsekwencje i należało się cieszyć, że odnalazła się, nawet przebrana za Patryka, którego w swym szaleństwie pragnie uosabiać. To nic, że pozbyła się swych pięknych włosów. Julię ogarnął gwałtowny gniew - nie dlatego, że uznali ją za wariatkę, ale dlatego, że tak łatwo jej to wybaczyli. Nie odezwała się jednak ani słowem. Wpatrywała się w matkę, przysięgając sobie, że nigdy nie powierzy żadnego sekretu nikomu poza córką, którą kiedyś urodzi i natchnie własną odwagą.

Mieszkanie wypełniły głuche dźwięki i rozmowy, w których jak zwykle podczas rodzinnych spotkań dominował głos Ireny Erevanne. Kobieta ta wbiła sobie do głowy, że tym razem do reszty styranizuje wszystkich domowników i zadecyduje o tym, czym mają się teraz zająć i jak spędzać czas. Służącym poleciła posprzątać pokój Patryka i nawet nie przeszło jej przez myśl, że nie ona, lecz jej bratowa płaci im za pracę, bo po prostu skoro już gdzieś się znalazła, komenderowała służbą jak wódz, który podbił nowe ziemie. Henrykowi głosem nie znośnym sprzeciwu nakazała dołączyć do Ludwika i modlić się wraz z nim, Rozalii zaś - przygotować lekką kolację, która byłaby odpowiednia także dla Gildasa. Zagoniła mężczyzn do noszenia krzeseł, by opróżnić salon przed jutrzejszymi wizytami. Julia wyrwała się z otępienia, widząc fascynujący spektakl arogancji, a także służalczości podbitych dusz. Wszyscy dobrze wiedzieli, że lada uwaga może wprawić Irenę w straszliwy gniew, a także iż jej siły szybko się wyczerpią i wtedy osunie się na kanapę niczym uszkodzona mechaniczna zabawka. Nastąpiło to już wkrótce i pozostał tylko bałagan w mieszkaniu, które zamierzała uporządkować. No cóż, Irena nigdy się nie przejmowała ubocznymi skutkami swych poczynań.

Emilia Erevanne usiadła przy Julii i szepem powiedziała jej, że nazajutrz obie pojedą pociągiem do

Granville, gdzie spędzą wakacje wszyscy jej kuzyni. Będzie mogła się kąpać i nikt nie będzie zadreślał jej pytaniami. Julia spojrzała na nią z wdzięcznością. Emilia nosiła różowe kapelusze i pasjami lubiła wydawać przyjęcia. Julia domyślała się, że z radością sięgnęła po pierwszy lepszy pretekst, byle uciec przed dramatem, który był dla niej przykry. I za to pokochała ją jeszcze mocniej. Cechujące Ludwika i Irenę umiłowanie tragedii uważała za godne potępienia. Wstała i poszła spakować walizkę.

Mieszkanie wypełnił zapach gotujących się porów. Prowadzone półgłosem rozmowy koncentrowały się wokół jednej kwestii - pogrzebu. W głosach wyczuwało się niepokój świadczący o istnieniu nierozwiązywalnego problemu. Julia odniosła wrażenie, że spór, który podzielił rodzinę na dwa obozy, był przyczyną zakłopotania, jakie dostrzegła na twarzy Ludwika. Wszyscy zadawali sobie pytanie - choć nie wyrażali go wprost - jak Patryk mógł uczynić coś takiego, w jaki sposób ta niesłychana decyzja

CHANTAL DELSOL

zrodziła się w jego umyśle. Szukali pożegnalnego listu. Zwłaszcza Henryk był przeświadczony, że taki list gdzieś musi leżeć, i nawet wyobrażał sobie, jakie zawiera słowa. Henryk uważał swego starszego syna za kogoś, kim Patryk absolutnie nie był, sądził, że jest ambitny i obdarzony silną wolą, i od dnia narodzin malował jego portret wedle własnych życzeń. Rozalia znała Patryka z ubarwionych opowieści męża, podobnie jak wszystkie ciotki i wujowie, bliźsi i dalsi. W ten sposób powstał Patryk obdarzony osobowością urojoną przez ojca. Łatwo było uwierzyć, że taki chłopak, przejęty egzaminem, przerażony myślą o porażce, był zdolny palnąć sobie w łeb, może nawet - taką ekstrawagancką teorię wysunął Ludwik - aby uciec przed lękami metafizycznymi. Julia doskonale zdawała sobie sprawę, jak absurdalne są wszystkie te domysły dorosłych. Wiedziała, że Patryk skończył tak, jak żył - nie przytłoczony zewnętrznym cierpieniem, ale dlatego, że nie zwracał na siebie uwagi. Bawił się, nie żywiąc żadnych skrytych myśli i nacisnął spust, nie licząc się z konsekwencjami tej gry, bo i tak było mu wszystko jedno.

Kiedy natrętna Irena wyniosła

się, wiodąc za sobą swego nijakiego męża i całą rodzinną kohortę, w domu zapanowała głucha cisza. Było późno. Wykorzystując bezruch spraw i rzeczy, Julia pobiegła do Patryka. Przykryto go płóciennym prześcieradłem, pod którym widać było tylko zarys ciała. Domyślać się jest gorzej, niż wiedzieć, dlatego uniosła prześcieradło. Ludwik mylił się, przez cały wieczór mówiąc o nieśmiertelności. Było jasne, że dusza Patryka została rozbita w pył tym strzałem. Istota tak krucha, tak niezależna, unicestwiając siebie, nie zdołałaby uchronić swej nieśmiertelnej części. Dusza nie przeżyje tego, kto traktuje się tak obojętnie. Gdy Julia z przerażeniem utwierdzała się w przekonaniu o śmiertelności ducha, do pokoju weszła Rozalia. Natychmiast zakryła zwłoki prześcieradłem, usiadła obok córki i z niezwykłą czułością pogładziła ją po włosach. W tej chwili rozpacz była pluskoczącą kałużą, zalewała pokój niczym nurt rzeki rzeźbiącej nowe koryto. Miała barwę czarnych, zdrad-

WARIATKI

liwych trzęsawisk i woń dawnej śmierci, woń trupów odnalezionych po tygodniach lub latach. Ta mdła fala narastała, ale bardzo wolno, niemal niepostrzeżenie, jak w potwornych opowieściach. Julia miała ochotę zaszlochać, lecz zdołała się powstrzymać. Pomyślała, że jeśli się rozplacze, matka również zauważy tę odrażającą lawę, a tego nie zdołałaby znieść. Rozalia wstała i wyprowadziła z pokoju Julię, która szła za nią potulnie czując, że fala podąża za nimi. Matka rozebrała ją, ułożyła w łóżku i szeptem powiedziała, że jutro wyjedzie z Emilią nad morze. Julia w milczeniu skinęła głową. Wtuliła twarz w poduszkę i podczas gdy matka bezradnie stała obok, czuła, jak fala uderza o jej skronie z posepnym szumem.

ii

Samochód Emilii uniósł przysypiającą i wyczerpaną po tej piekielnej nocy Julię. Śniło się jej, że Patryk towarzyszył jej do końca życia, cały zakrwawiony, z ziejącą dziurą zamiast oka. A ona śmiała się pośród tych okropieństw i nie przerażała jej groza, lecz właśnie śmiech. Myślała: dlaczego Patryk nie wyrósł jak inni? Dlaczego stał się lotnym duchem? Skąd czerpał tę nieczłowieczą swobodę? Wspominała pierwsze spotkanie z dyrektorem liceum. Korytarze,

kolejnych cerberów. Ten dzień zapoczątkował jego kres. Zawsze o tym wiedziała. Koszmar wyłaniał się z mgły przeszłości. Widziała jabłkowitzony kapeluszek matki ze śmiesznym kwiatkiem, dyrektora, który wyciągnął z jednej z teczek pistolet i niedbałym gestem wycelował w Patryka, a potem strzelił bez uprzedzenia. Następnie schował broń i pożegnał całą ich czwórkę, ściskając rękę każdemu, także Patrykowi, który nie miał połowy twarzy, ale zdawał się wcale tym nie przejmować. Wyszli skrępowani, pozostawiając za sobą strugę krwi barwy karmelkowej. Od tego momentu sen przeistaczał się w istny horror. Julia starzała

53

CHANTAL DELSOL

się, a Patryk podążał za nią krok w krok i bez przerwy drwił z niej i jej nieprzewycięzonego lęku. Lata mijały, mijały bardzo wolno, w końcu Julia była starą, trupio bladą kobietą, której stale towarzyszył pokryty karmelową krwią żywy trup. Nie była w stanie całkiem się rozbudzić po takiej nocy. Samochód podskakiwał na wybojach. Emilia coś mówiła. Zza okna docierały przenikliwe odgłosy budzącego się rankiem Paryża, nad którym unosiła się mglista obietnica nieznanych przygód.

W końcu samochód zatrzymał się przed dworcem Saint-Lazare, tragarz podbiegł, by zabrać bagaże, a Julia wreszcie wyrwała się z letargu. Wtedy zobaczyła Emilię Erevanne i jej jasnoróżową suknię oraz dobrany do niej kapeluszek. Nie miała wątpliwości, że wieczorem Emilia wysiadzie z pociągu czarna od stóp do głów i że absurdem było podróżować koleją żelazną w różowym stroju, ale zdawało się to nie trapić samej zainteresowanej. Poprowadziła Julię do pociągu, trzymając ją pod ramię delikatnie jak chorą.

Przez całą drogę Emilia paplała o wszystkim i o niczym, biorąc na świadków sąsiadów z przedziału, co bardzo krępowało Julię. Mówiła, jak trudno wychować dziecko, jak nieszczęścia nagle spadają na człowieka, przekonywała, że małżeństwo ma dobre i złe strony, a wszystkie te banały wygłaszała z naiwnym samozadowoleniem, oczekując aprobaty. Julia obserwowała ją bez słowa, zapatrzona w szarawy obłok cierpienia. Świat za oknem okryty był katapla-zmami błota, podobnie jak pociąg mknący po równinie ku horyzontowi i ławki w jego wnętrzu, a nawet pasażerowie, nawet ich twarze. Błoto panowało wszechwładnie. Kiedy nadeszła pora obiadu, Emilia wyjęła z koszyka dwie drożdżówki z rodzynkami, ale miały one barwę popiołu, kolor żalu, i Julia nie chciała ich jeść. Szukała w pamięci skrawka nieba, istoty albo przedmiotu, który wyszedł cało z tej katastrofy. Wreszcie znalazła anioła stróża z kawiarni Yincen. Tylko on stał przed nią świetlisty i wyraźny, toteż uchwyciła się tej niespodziewanej opoki. Owerniak szedł

54

WARIATKI

przez ogród, w którym znalazł chyba pociąg po posepnych dniach. Trzeba było utorować ścieżki w pełnym niespodzianek labiryncie drzew, by dać schronienie lokatorowi równie pełnemu niespodzianek. Kiedy jednak zaczęła wyobrażać sobie szczegóły, błoto rozpaczy natychmiast spadło i na ów Eden. Odpędziła od siebie jego obraz.

Podczas gdy Emilia po raz setny poprawiała koronki sukni, Julia pojęła nagle niepokojącą prawdę - Patryk nigdy nie dorósł, bo ona dorastała za niego. Poczuli się odpowiedzialni za tę zabójczą grę, skutek niedojrzałości. Roztrząsała szczegóły ich bliźniaczej epepei. Patryk został pochłonięty przez łatwość swego życia, natomiast ona, Julia, wykuwała dorosłą duszę, pokonując trudności.

Wspominała rodzinną przeprowadzkę, zatroskanie Henryka, ciągłe narady nad zeszytami syna. Sama przez dziesięć lat pracowała i kłamała za niego. Patryka wyniszczał dar, który nie miał przeciwwagi; okazywana mu tolerancja i troska pustoszyły go wewnątrz, trzymały na poboczu drogi, w stanie wiecznego dzieciństwa. Pociąg sunął poprzez obłoki mgły. Julia pomyślała, że była złodziejką duszy brata.

Co zamierzasz zrobić w Granville, pytała Emilia. Czy dobrze znasz kuzynów, którzy są twoimi rówieśnikami? Lubisz się kąpać? A może chcesz nauczyć się grać w tenisa? Emilia należała do kobiet, które zadają wiele pytań, ale nie słuchają odpowiedzi. Pochłaniała ją bez reszty własna paplanina, a mówiła właściwie do siebie. Julia już dawno doszła do wniosku, że ten typ narcyzmu zwalnia z obowiązku trzymania się nakazów uprzejmości. Nie słuchała. Pociąg jechał przez kraj,

mijał wioski, a wreszcie zatrzymał się w ostatniej, gdzie turkot kół zlewał się z szumem morskich fal.

Emilia szła przez dworzec i odrzuciwszy pomoc przewodników w tej nieznannej krainie, po półgodzinie poszukiwań odzyskała swe walizy. Cały czerwiec poświęciła na kupowanie parasolek, kremów, siatek na ryby, kostiumów kąpielowych, wizyty u dentysty i manikurzystki, by sezon letni był w pełni udany, toteż nie dotarły do niej

55

CHANTAL DELSOL

obiegające Paryż pogłoski o wojnie. W pogniecionej, ubrudzonej węglowym pyłem sukni wsiadła do fiakra, niecierpliwie czekając, aż bagażowy załaduje walizy. Zrezygnowana Julia podążała za nią. Po cóż miała się spieszyć? Tu czy tam, może tylko prowadzić próżne rozmowy.

12

Dzieci grały w serso nad brzegiem morza.

Porastające wydmy rośliny gięły się pod podmuchami wiatru, który targał je niczym skąpe włosy tysego.

Na morzu kołysały się łodzie, fale rozbijały się o ich burty.

Julia zastanawiała się, co tu robi. Nie miała ochoty zostawać. Ale nie miała też ochoty wyjeżdżać. Nie chciała być ani tu, ani tam. Poproszono, żeby weszła do domu. I żeby usiadła. Pośród ciszy czuła się boleśnie samotna. Ale nie życzyła sobie żadnych rozmów. Jej spojrzenie błędziło, nie znajdując punktu zaczepienia. Nad brzegiem morza dzieci bawiły się latawcem.

Remy stanął w drzwiach. Ceremonialnie ucałował Julię. Czuła, że nie znalazł odpowiednich w tej sytuacji słów, by złożyć jej kondolencje. Obrzuciła obojętnym spojrzeniem piętnastoletniego kuzyna, którego wcześniej widywała zawsze uczonego sukni matki albo starszej siostry. Wziął jej walizkę i zaproponował, że pokaże jej pokój. Julia ruszyła za nim, o niczym nie myśląc.

Pierwszy wszedł na piętro i otworzył szerokie drzwi białego pokoju, którego okno wychodziło na plażę. Położył walizkę na łóżku i zbliżył się do okna. Oparł czoło o szybę. Zauważyła, że wiek dojrzewania dobrze mu służy. Był smukły i ostrożny. W jego gestach wyczuwało się lekkie wahanie.

- Widzę, że nie grywasz już w serso - stwierdziła.

Uśmiechnął się, właściwie się nie uśmiechając, i poprawił poły kurtki. Wskazał jej ścianę na wprost drzwi.

WARIATKI

- Spójrz! To dla ciebie.

Wszędzie czekały na nią czyste płótna, pudła z pastelami, ołówki, tubki kolorowych farb olejnych. Remy podszedł do niej.

- Patryk nie żyje - szepnął. - Będziesz malowała. Przygotowałem wszystko, czego ci trzeba. - I zniknął na schodach.

Zaczęła malować żal.

Przybrał postać ptaka nieokreślonego gatunku, może mewy, której upierzenie miało gamę barw od granatu po indygo. Było w nim tyle pasji, że wyrywał się z ciasnych ram obrazu. Skrzydła tego stworzenia powinny były rozpościerać się na ścianie, ale było to niemożliwe, dlatego kulily się i zatracały rozmach, poddając się zniewoleniu. Można rzec, iż całe niebo nagle zmałało, i to bardzo wyraźnie. Brakło przestrzeni, a to, co z niej zostało, marszczyło się w smugach indygo i nocnego granatu, przybierając kształty schwytanego w pułapkę zwierzęcia, które wkrótce miało samo siebie pochłonać.

Julia mieszała kolory i rozgniatała je na płótnie w nadziei, że za każdym razem okruch żalu, choćby najdrobniejszy, rozplynie się w niebieskiej smudze, wsiąknie w tkaninę, by tam zastygnąć i pozostać na zawsze. Ale działało się inaczej. Ptak stawał się symbolem jej odczuć, odbijał je niczym lustro, był ich echem i sobowtórem. Niczego ze sobą nie zabierał. Jego postrzępione skrzydła rozpaczliwie biły powietrze, które stało się zbyt rozrzedzone. Julia zrozumiała, że dotąd nie dostrzegła głębi własnej rozpacz. Ten ptak nie był jeszcze rozpaczą.

Był nią i Patrykiem zarazem, łączył ich w bezradności. Patryk od zawsze utrzymywał życie ich

obojga na powierzchni. Znikając, pozbawił ją także jej historii. Dlatego musiała przywdziać podwójną żalobę.

Znacznie później, kiedy dom w Granville został już sprzedany, szukaliśmy płótna przedstawiającego ptaka rozpaczy. Ale nigdy go nie odnaleźliśmy.

57

CHANTAL DELSOL

Wieczorem zdołała wreszcie dać upust łzom. Remy stanął przy jej łóżku ubrany w biały nocny strój, który dawniejszych chłopców tak bardzo upodabniał do dziewcząt. Był zmieszany i zasmucony. Pochylił się. Ciałem Julii wstrząsał szloch. Wśliznął się pod kołdrę, by ją pocałować. Tulił ją i kołysał w ramionach. Pieścił ją, dopóki nie usnęła. Wiatr znad morza wypełniał pokój wonią alg i soli.

Brzaski były dla niej w tym pokoju udręką, a każde przebudzenie stawało się nową apokalipsą. Pierwsza, ulotna sekunda na jawie przepojona była jeszcze snem, szukała oparcia, ledwie wylaniała się z mroku. Ledwie rozpoznawalny szum fal nadawał rytm jasności, która cisnęła się pod powieki. Lecz zaraz, w półśnie, wybuchał żal, bezgraniczny i ostry, i spadał na jej głowę jak sęp białego dnia. Jego skrzydła kradły blask słońca, zagłuszały morze. Sęp przejmował władanie nad przestrzenią i czasem. Szturmował najskrytsze zakamarki duszy, tylko gdzieś tam pozostawiając odrobinę półcienia, który i tak w każdej chwili mógł zagarnąć. Julia miała wrażenie, że Patryk umiera ponownie, że świadomość jego śmierci dociera do niej na nowo, agresywna jak tego pierwszego dnia. Otwierała oczy, a wtedy oslepiła ją blask wspaniałego poranka. Pokój, w błękitnej poświacie, odbijał barwy nieba i morza, a otwarte okna były niczym dziób wyruszającego w rejs statku. Zwyczajna sprawiedliwość wymagała, aby te cuda zniknęły wraz z Patrykiem. Niechaj świat zagaśnie, niech zamilkną szybujące pod niebem mewy i biała tęcza, która spina chmury. Ale tak się nie działo. Blask poranka przyprawiał Julię o mdłości. W końcu wstawała, drżąc na całym ciele, i podchodziła do okna. Trwał przypływ. Morze zagarniało ląd, było tuż pod jej stopami.

W koszuli nocnej, jak lunatyczka, zaczynała malować. Musiała opowiadać, wciąż opowiadać ten przerażający sen, ukazać niesprawiedliwość światła w pejzażu niedostępnym dla zamkniętych oczu Pa tryka. Malowała, nie przerywając i nie myśląc, bo przecież czuła wewnętrzną pustkę i nie-

58

WARIATKI

zdolność dobycia głosu. Miała wrażenie, że pozostał jej tylko słaby, nierówny oddech, który rzucała na kawałek płótna.

Pewnego dnia podczas odpływu, gdy cała młodzież z portu wyległa na oddaną przez morze połąć piasku i z siatkami w rękach biegała od rozlewiska do rozlewiska, w Granville pojawił się Henryk Erevanne za kierownicą nowiutkiego BP i Bebe. Powiedziano mu, że Julia jest na plaży, wyruszył więc na jej poszukiwanie, a jego miejskie pantofle zapadały się w mazisty piach. Miał na sobie dziwaczny zimowy płaszcz. Zobaczyła go, gdy zbliżał się pewnym krokiem, potem, gdy był już bliżej, dostrzegła jego postarzałą o dziesięć lat twarz. Poprosił ją o wybaczenie, nie wiedziała dlaczego, potem uściskał. Przypadkowo tędy przejeżdżał, nadzoruje budowę w okolicy, wpadł się przywitać. Natychmiast zrozumiała, że nie ma żadnej budowy. Henryka nauczono ukrywać uczucia. On też starał się przeistoczyć Patryka w górę lodową. Mężczyzna nie płacze, jest twardy jak gład, nie będziesz chyba znowu mówić siostrze, że ją kochasz, jesteś na to za duży. Wszystko na darmo, Patryk wielbił bohaterów, którzy nieśli na sztandarach imię miłości i przemawiali z uczuciem. Zresztą i Henryk nigdy nie uległ zubożeniu. Jego emocje kipiały tuż pod zewnętrzną powłoką. Julia poklepała go po policzku z poufałością, na jaką może sobie pozwolić tylko córka: Chyba się nie cieszysz, że mnie widzisz? Ja się cieszę!

Został na obiedzie. Potem powiedział, że spieszy się na spotkanie. Był uderzająco błady. Spoglądał na zegarek.

- Naprawdę tak bardzo się spieszysz? - pytała Julia.

- Sądzę, że wkrótce wybuchnie wojna - powiedział. Julia miała ochotę roześmiać się beztrudnie, widząc jego

głęboki niepokój. Wydawało jej się, że wojna jest eksplozją życia w tym monotonnym świecie. Tym

razem nawet jej mógł przypaść w udziale jakiś okruszek przygody.

Przed wyjazdem Henryk chciał jeszcze zobaczyć pokój córki-opowiedziano mu, że rozpościera się z niego widok

59

CHANTAL DELSOL

na morze. Wszedł na górę i zamarł w bezruchu przed ciemną jak skrzydła nocy mewą.

- Co to takiego? - wyszeptał. - Powinnaś namalować mniejszego ptaka. -Mówił głosem zdławionym przez skrywany lęk.

- Nie - odparła Julia - to przestrzeń powinna się powiększyć.

- Nie rozumiem - bąknął. - Gdyby Patryk tu był...

- Wyjął z kieszeni oficjalne pismo i rozłożył je z dumą na twarzy. Sukces w konkursie. Ostatnia ocena nie pozostawiała wątpliwości, zasługiwała na wyróżnienie.

- Spójrz, był tak dobrym studentem, że zaliczono mu nawet egzamin z tego dnia, gdy...

Julia osłupiała. To kompletne zaślepienie, które towarzyszyło całemu ich życiu i chroniło przed rozczarowaniami, sięgnęło nawet za grób, a zatem zyskało nieśmiertelność. Jakże to możliwe?!

- Masz rację - przyznała tonem niezachwianej pewności. - Patryk był zbyt zdolny, żeby ponieść porażkę.

Henryk skinął głową. Złożył dokument i schował do kieszeni, na sercu. Ten wiatyk zacierał pamięć wzmianek

0 Ravacholu i trzaskania drzwiami.

Szczęśliwiec, pomyślała Julia. Gdybym i ja potrafiła znaleźć ukojenie w kłamstwie. Odprowadziła go do auta

1 patrzyła, jak odjeżdża, machając mu na pożegnanie.

Wolnym krokiem wróciła na plażę. Mogłabym coś osiągnąć. Pod warunkiem że dokonałabym tego bez rozgłosu.

Co rano po okrutnym przebudzeniu widziała na plaży Remy'ego. Chodził w stroju, w którym zobaczyła go pierwszego dnia, z surowego lnu, z którego szyto pasterskie ubrania. Wyglądał jak wojownik, ale z gatunku sylfów. Jego moc nad niczym jeszcze nie miała władzy. Rozkwitał, gdy snuł opowieści o bliższej i dalszej przyszłości. Opisywał swą ucieczkę. Zaokrętuje się jako prosty majtek na jeden z kotwiczących w Hawrze statków rybackich. Nie planował ani krótkiej wyprawy badawczej, ani eksperymentu. Już tu

60

WARIATKI

nie wróci. Zbije majątek, zrobi karierę i osiągnie szczęście na morzu, daleko od rodziny. Ta myśl, wielokrotnie roztrząsana, rozpałała radosny blask w jego oczach.

- Często rozmawiałam o tym z Patrykiem - mówiła Julia. - Utrzymał, że przyszłość nie jest, jak mogłoby się wydawać, powinnością. Trzeba ją po prostu wykraść.

- Ale dlaczego? - Remy trwał przed nią w pozycji jogina i słuchał w skupieniu. Wilgotny piasek zostawiał na jego spodniach duże ciemne plamy.

- Im jesteś starszy, tym mniej masz przed sobą przyszłości. I nie tylko ze względu na uciekający czas, ale przede wszystkim dlatego, że zawęży się krąg twoich możliwości. Niknie niepewność. Pozostają ci tylko drobiazgi.

- Z pewnością. Ale ani ja, ani ty nie jesteśmy starzy.

- Zaczekaj. Już w młodości możesz mieć przed sobą przyszłość starca. Mój ojciec z góry zaplanował życie Patryka. Zapewne już w chwili jego narodzin. Powiedział sobie: mam syna, jakież wspaniałe wiąże się z nim nadzieje, zostanie architektem. I tu zgasła nadzieja, a raczej nie miała szans się pojawić. Dlatego Patryk nie miał przyszłości. Tylko zapisane już wcześniej karty, zapisane ręką, która nawet nie zadrzała, ponieważ nie była jego ręką. Przyszłość z góry przewidziana nie jest przyszłością.

Remy wpatrywał się w nią zadumany.

- Mój ojciec także pragnie, żebym... Ale nie zrobię tego. Zaokrętuje się w Hawrze, nikomu nie mówiąc ani słowa. ^Zrobię to. Możesz mi wierzyć.

- O tym właśnie mówię. Będziesz musiał zdobyć sobie niepewność. W niej zawiera się przyszłość.
- Masz rację.
- Patryk niczego nie zdobywał. Pozwalał skierować się na określony tor, spokojnie, choć bez zapału. Jego przyszłość przypominała flagę nad obozem kwarantanny. W dodatku traktował ją z humorem.
- Bez buntu, bez próby ucieczki? Czyżby brakło mu sił? - zapytał zdziwiony Remy.
- Nie. Oszczędzał siły dla mnie.

61

CHANTAL DELSOL

- Dla ciebie? A jaka jest twoja przyszłość?
- Sam wiesz. Nie mam przyszłości bo też już została napisana. Tym razem nie przez ojca, jak to było z Pat-rykiem. Ale przez konwenanse. Dadzą mi męża, a ja w podziękę obdarzę go dziećmi.
- To jest przyszłość... biologiczna - szepnął wystraszony, jakby nigdy dotąd nie dostrzegł rzeczywistości, którą opisała.
- Można to tak ująć - skwitowała uśmiechem jego określenie. - Ale nie to jest najgorsze. Najgorszy jest fatalizm. Chciałabym, żeby nic mnie nie czekało, to znaczy, żeby mogło mnie czekać wszystko. Oczywiście możliwości są znacznie bardziej ograniczone, niż nam się wydaje. To nieważne. Przecież wypełniamy tylko pustkę. Często myślałam... Chciałabym zostać architektem, mogłabym też być malarzem albo na przykład lekarzem. Ale żaden z tych zawodów nie ma rodzaju żeńskiego. Dlatego powiedziałam sobie: życie nie sprowadza się do fachu. Pomyślałam: chcę być mędrcom. Albo człowiekiem sprawiedliwym. Ale i tu brak rodzaju żeńskiego. Nic nie da się zrobić. Pozostaje...

- W głosie Julii brzmiała teraz nutka gorzkiej ironii.
- Mogłabym zostać świętą. To się zdarza. Wuj Ludwik zawsze opowiada...

Remy wybuchnął zuchwałym śmiechem.

- Chyba nie wierzysz w bajki Ludwika.
- Nie, nie wierzę. Ale co do świętych, ma rację. One istnieją. Problem w tym, że mam niewielki wybór. A w dodatku - dodała kpiąco - nie wiem, kim jest Bóg.

Co wieczór, gdy kładła się spać, do pokoju wdzierał się smutek. Wpadał z podmuchem nocnego wiatru. W ślad za nim przychodził Remy. Nie płacz już. Tulił się do niej. Kiedy po latach Julia przypominała sobie morską atmosferę tego pokoju, nie potrafiła powiedzieć, co się właściwie wydarzyło. Rozpacz uczyniła ją bezbronną, a może pozbawiła pamięci. Nie wiedziała, czy Remy był zuchwałym chłopakiem, zdolnym wykorzystać cierpienie dla kilku miłosnych nocy, czy czułym młodzieńcem, którego braterska miłość wyrażała się bez słów. Niepewność sprawiła,

że

62

WARIATKI

w tej żałobie było coś dzikiego i nieokiełznanego. Śmierć Patryka, sama w sobie diaboliczna, nosiła znamię tej tajemniczej historii.

Mniej więcej w połowie lipca reszta rodziny zamieszkała w sąsiednim domu. Gildas jakby nagle stracił pozycję rozpieszczanego beniaminka, a Rozalia po raz pierwszy nie uskarżała się na żadne dolegliwości, co o dziwo, doprowadzało Henryka do szału - nie potrafił się odnaleźć w tej zaskakującej sytuacji, podejrzewał, że to cisza przed burzą, zwiastuny gwałtownego kryzysu, poważniejszego od wszystkich innych. Julia poprosiła, by pozwolono jej zostać u kuzynów, powołując się na dobroczynny wpływ przyzwyczajenia. Nikt nie chciał sprzeciwiać się jej woli. Uświadomiła sobie, że rodzice bali się i nadal boją, by nie popadła w obłęd. Wspomnienie tamtego straszego dnia i ciągły widok jej krótkich, obciętych byle jak włosów, podsycał niepokój. Wybaczone jej ten kaprys. W rzeczywistości Julia nie chciała rozstawać się z Remym, którego bliskość koła ból skuteczniej niż jakiegokolwiek gry kolorami. Nikt nie dostrzegł ani ich przyjaźni, ani nocnych spotkań. Ba, nikt nie byłby sobie w stanie wyobrazić, że coś tak niestosownego, wręcz nieprzyzwoitego, ma miejsce pod rodzinnym dachem.

Upłynęły dwa tygodnie brzemienne cierpieniem żałoby i ciężką groźbą wojny, która krążyła nad

światem jak drapieżny ptak. Przyjaciele wpadali ze słowami pociechy i zdjęciami Patryka, znalezionymi pośród pamiątek osobistych. Siedzieli na tarasie i milczeli w słoneczne popołudnia. Julia zwróciła uwagę na pewne małżeństwo, które pojawiała się szczególnie często, a którego nigdy dotąd nie spotkała. Rodzicom towarzyszyli młody chłopak i dziewczyna w wieku Julii. Chłopak, zawsze skrępowany

CHANTAL DELSOL

i czerwieniący się przy lada okazji, siedział na ogrodowym krześle, nie mając odwagi wygodnie się oprzeć, jakby przez cały czas czuwał w obawie, że ktoś zada mu jakieś niedyskretne pytanie. Kiedy rozmowa dorosłych ożywiała się i mógł być pewien, że o nim zapomniano, bacznie przypatrywał się Julii. Ogarnęło ją współczucie wobec młodzieńca z dobrej rodziny, poddanego władzy struktury doskonałej i zapewne powątpiewającego we własną zdolność myślenia. Było to przelotne uczucie, które niemal natychmiast puściła w niepamięć. Nie miała zwyczaju przesiadywać na tarasie, bo przytłaczała ją panująca tam atmosfera, ugrzecz-niona i bardzo układna. Trzymała się Remy'ego jak tonący brzytwy, choć niczego odeń nie oczekiwała - może poza cudem przetrwania.

Jedna z goszczących u nich pań powiedziała, że od zamachu w Sarajewie Czerwony Krzyż aktywnie przygotowuje się do wojny. Jej córka zgłosiła się jako sanitariuszka do ośrodka przy ulicy des Peupliers. Julia wpatrywała się w nią jak zahipnotyzowana. W niedzielny wieczór poprosiła Henryka, żeby na tydzień zabrał ją do Paryża. Musi zabrać pewne rzeczy, o których zapomniała, wyjeżdżając w pośpiechu. Henryk niczego nie podejrzewał, a w skryto-ści ducha bardzo cieszył się na myśl o wyprawie z córką, ale tuż przed wyjazdem Julia usłyszała, jak Rozalia szepcze mu do ucha:

- Pozwól jej zrobić to, o co cię poprosi, błagani.
- O co może poprosić? - spytał zdziwiony Henryk.
- Sam się przekonasz, tylko jej pozwól, proszę cię. Julię z wdzięcznością spojrzęła na matkę. Jestem dla

niej brzydkim kaczątkiem. Nie uznaje mnie za własne pisklę, a jednak chroni nawet to, czego nie rozumie.

Wyruszyli w drogę trzeciego sierpnia wczesnym rankiem. Niedziela upłynęła im spokojnie na przeglądaniu fotografii. Nie mieli telefonu i Henryk zawiózł Julię na ulicę des Peupliers, nie wiedząc jeszcze, że wybuchła wojna. Chcesz odwiedzić siedzibę towarzystwa dobroczynnego? Doskonale. Sądził, że lepiej będzie, jeśli spędzi czas

WARIATKI

tam, niż w pustym domu, gdzie na każdym kroku coś przypomina jej Patryka.

- Przyjadę po ciebie o szóstej. A wieczorem pójdziemy na "Fantomasa".

W na pozór spokojnym chaosie przygotowywano grupę, która miała wyruszyć o siódmej. Julia skłamała, podając swój wiek. Obawiała się szczegółowych pytań, lecz poproszono ją tylko o podpis. Henryk mógł jej przeszkodzić w wyjeździe. Z niepokojem oczekiwała szóstej. Nie przyszedł. Minął kwadrans, potem pół godziny. Trwał załadunek prowiantu i skrzyń z bielizną. Julia zerknęła przez okno. Na dworze igrało kilka bezpańskich psów. Wóz mleczarza zniknął za rogiem, zabierając puste bańki. Była za dwadzieścia siódma, ale Henryk nie nadchodził. Pomyślała z ulgą, że los o niej zapomniał. I poczuła się jak więzień, którego strażnik zostawił przez pomyłkę na środku nie strzeżonego dziedzińca. Los pada niekiedy ofiarą tego typu niedopatrzeń. Wszystko jest napisane, jest też zapisane. Także to, że strażnik wróci, zresztą nigdy jeszcze nie zaniechał obowiązków, ale pewnego dnia, raz na milion wart, nie dopełnia ich. Zniecierpliwiona przeczesła palcami krótkie włosy i wsiadła do pociągu, który ruszył na wschód.

S Wariatki

Bezimienna miłość

Julia wysiadła z pociągu wraz z tłumem nieogolonych, często pijanych żołnierzy, którzy uwierzyli w mit szczęśliwego zwycięstwa. Ona sama patrzyła tylko, jak piją, a gdy w milczeniu snuła bolesne refleksje o wojnie, wydawało się jej, że w butelkach, które unoszą do ust, jest krew. W tej pozorowanej bez trosce i wesołości nie było niczego złego - tylko dziecinna bezmyślność ludzi,

którzy nie chcą spojrzeć prawdzie w oczy. Widok rozbawionych mężczyzn rozdzierał jej serce, wyobrażała sobie, że nie są świadomi ceny zwycięstwa. W rzeczywistości o niczym nie zapomnieli; pragnęli tylko sprawiać takie wrażenie, ale tej różnicy Julia nie dostrzegała.

Oszołomiona zgiełkiem nawoływań zrobiła kilka kroków po peronie. Głośniki ryczały, wypluwając informacje, dworzec był niczym ogromne wesołe miasteczko, gdzie panoszy się sztuczna radość. Nagle o dwadzieścia metrów od siebie ujrzała odświętnie ubranych rodziców, a z nimi jakiegoś młodzieńca.

Tak, to rzeczywiście był on, jeszcze bardziej czerwony i zmieszany niż dawniej, w przykrótkiej marynarce. Miał czarne, gładko zaczesane włosy. Najpierw odniosła wrażenie, że czują do niej żal za ten powrót, skoro zdecydowali, że przy powitaniu ma być obcy człowiek. Domyśliła się, że młodzieniec nie pojawił się tu przypadkiem, że celowo go zabrano, by dać jej do zrozumienia, iż chłopak zyskał już miejsce w rodzinie. Decyzja podjęta bez jej zgody i to

66

WARIATKI

wówczas, gdy podawała leki i matkowała pozbawionym przyszłości bohaterom, napawała ją wstrętem. Podeszła do nich, spojrzała na wystrojoną w ciemnoniebieski kapelusz matkę, obnoszącą brylantową broszkę jak medal za waleczność, i na ojca, którego wąsy triumfalnie wywijają się ku górze. Uzmysłowała sobie, że nie pamięta nazwiska ani nawet imienia młodzieńca. Pozostał dla niej pustą sylwetką, miejscem, jakie człowiek zajmuje w przestrzeni, cieniem pozbawionym egzystencji. Jego głos, śmiech, sposób poruszania się - wszystko to było mętne i zatarte. Przede wszystkim jednak zagadkowy był jego status. Nie wiedziała, jak go powitać.

Stali wszyscy troje za barierką, nie ruszając się i uśmiechając jak na fotografii. Mieli w sobie coś nierzeczywistego. Zresztą wszyscy ci ludzie za barierką byli nierealni. Natomiast po tej stronie można było obserwować prawdziwie braterskie uściski, usłyszeć szczere, płynące z głębi serca przekleństwa, zobaczyć niewymuszone łzy. Wreszcie Julia dotarła do rodziców. Zanim ktokolwiek zdołał powiedzieć słowo, spostrzegła już, że matka przypatruje się jej okiem niańki i kucharki. Uważa, że jest anemiczna i zbyt blada i zmęczona, a więc lada chwila padnie ofiarą jakichś chorób. Ojciec nie myślał o takich sprawach, nigdy zresztą nie potrafił odróżnić dziecka dobrze odżywionego od zagłodzonego, a teraz ucałował ją i pchnął w jej kierunku młodzieńca, robiąc przy tym jowialną minę stręczyciela. Julia zerknęła na chłopaka i zrozumiała, że jest zakochany, zakochany do szaleństwa. Jak to się mogło stać, skoro widział ją zaledwie dwa razy, i to przed czterema laty? Z pewnością pod jej nieobecność stworzył w wyobraźni jej idealny portret. Ogarnęło ją współczucie, uległa słabostce, którą miała sobie wyrzucać do końca życia. Podała mu rękę, mówiąc zdawkowe "dzień dobry panu". Henryk aż krzyknął, klepiąc córkę po ramieniu, żeby wyrwać ją z odrętwienia.

- Ależ kochanie, przecież znasz Lucjana, a może na tej wojnie popsuł ci się wzrok?

CHANTAL DELSOL

- Wyglądasz jak zjawa - wtrąciła szeptem Rozalia. - Chyba was tam nie karmili.

Henryk ulokował swoją gromadkę w samochodzie. Poważnie ranny w Donaumont, nie opuszczał już potem Paryża. Opowiadał jej teraz o wszystkim, co się wydarzyło, jakby kazała mu zdać sprawę z tych lat. Pragnął podkreślić, że nikogo nie stracił, że pośród zawieruchy utrzymał rodzinę w dobrym stanie i teraz oddawał ją w całości.

- A Remy? - zapytała Julia.

- To prawda, nic jeszcze nie wiesz. Pewnego dnia powiedział, że wybiera się pociągiem w odwiedzinę do przyjaciela, do Hawru. Odtąd nie dał znaku życia. Wojenna zawierucha... Szukano go wszędzie, nawet w szpitalach dla cierpiących na amnezję. Nie ma już cienia nadziei.

Julia ukradkiem uśmiechnęła się, osłaniając twarz kołnierzem palta. Niechaj wiatr cię unosi, Remy. Ja znam twój adres.

Przez okno klasy Konstanty Włakin mógł spoglądać na czarne wieże kazańskiej świątyni. Od miesięcy obserwował ulicę. Zaczęło się tego lipcowego dnia, kiedy przeszła procesja z ikonami, modląc się o zwycięstwo. Odtąd na rogu alei nie było chwili spokoju. Konstanty widywał wolno jadące samochody, żołnierzy leżących na brzuchu na błotnikach, unoszących czerwone sztandary

zatknięte w lufy karabinów. Widywał też grupy obdartusów skandujących do znudzenia niemal identyczne slogany. Widywał rannych, którzy padali na śnieg pod kulami karabinów maszynowych i rewizje, po których bez słowa prowadzono dokądś podejrzanych. Widywał rozpasane bandy, które wyruszały w nieznanym kierunku pod osłoną nocy polarnej. Słowa wypisywane na czarnej tablicy nie trafiały do

68

WARIATKI

niego. Tkwił samotnie w kącie

klasy. Nikt nigdy nie traktował go poważnie, bo na domiar złego los obdarzył go jedyną w swym rodzaju twarzą. Nauczyciele upatrywali w jego niepokojącej urodzie swoistej drwiny, koledzy traktowali go jak dziewczynę.

Wiadomo, że żadna rewolucja nie przeszkodziła peters-burczykom uczyć się w dzień, a pić w nocy. Ale Konstanty Włakin obserwował coraz cięższą atmosferę ulicy i z biegiem pór roku zastanawiał się, czy wydarzenia, z których niewiele rozumiał, pomogą mu, czy też może zniweczą jego nadzieje na przyszłość. Przysiągł sobie, że zostanie najwybitniejszym tancerzem świata.

Tego ranka, po wielu dniach złudnego spokoju, miejsce profesora na katedrze zajął oficer w mundurze galowym. Wyjaśnił, że formuje się front przeciwko czerwonym i przybył, by mobilizować ochotników. Decyzją władz wszyscy, którzy chwycą za broń, zaliczą egzaminy końcowe, pod warunkiem że uzyskane dotąd oceny będą wystarczające. Obiecował zwycięstwa, zapewniał, że w przyszłym roku licealiści wstąpią na uniwersytet, jakby nic się nie wydarzyło. W klasie zapanowała głucha cisza, potem zamknęła się z trzaskiem czyjaś książka. Konstanty Włakin wstał pierwszy. Podszedł do oficera. Był wysoki, poruszał się niezgrabnie, bo własna uroda wpędzała go w kompleksy. Rano przed lustrem celowo krzywo wiązał krawat. Jakiś chłopak w ostatnim rzędzie ławek zaśmiał się złośliwie:

- Włakin! Wezmą na wojnę tancerza, który ma pustki w głowie!

Konstanty Włakin wielokrotnie zastanawiał się, jaka mroczna siła pchnęła go ku temu człowiekowi, którego słów w gruncie rzeczy nawet nie słuchał. Prawdopodobnie była to gwarancja zaliczenia egzaminów maturalnych. A może potworny lęk, jaki ogarniał go na myśl, że wkrótce ulica za oknem przemieni się w koszmarne teatr. Połowa klasy poszła jego śladem. Wciśnięty w mundur, z włosami ukrytymi pod kozacką czapką, miał nareszcie wrażenie, że jest podobny do wszystkich.

69

CHANTAL DELSOL

Miasto pogrążyło się w chaosie i nędzy. Kiedy pewnego zimowego wieczoru opuszczał Kazań, ulice już od dawna nie były odśnieżane. Widział przechodniów, którzy brnęli przez zasy, by zapalić fajkę przy płomyku lampy gazowej.

Rodzice młodzieńca wyglądali jak kolorowe figurki z porcelany, które stawia się na kominku. Należeli do powściągliwych - sztywno trzymali uniesione w górę głowy i reagowali zgodnie z konwenansem. Jak należało, złożyli wizytę rodzicom Julii, która została im zaprezentowana w wieczornej scenerii salonu. Oglądali ją od stóp do głów. Julia przypomniała sobie, jak pewnego razu towarzyszyła handlarzowi bydła z okolic Bordeaux, który chciał sprzedać krowę. Potencjalny nabywca spoglądał na zwierzę tak samo podejrzliwym i zachłannym okiem. Ojciec młodzieńca z podziwem kiwał głową. Matka szepnęła: "Jesteś naprawdę śliczna", a w jej głosie brzmiała gorzkość kobiety w podeszłym wieku, której pokazują młodą kokietkę. Nabywca krowy nie potrafił ukryć podziwu znawcy, narażając się przez to na podniesienie ceny. Zaczął wypytywać o jej rodowód. Ojciec Julii postąpił krok do przodu, opisał swą pracownię architektoniczną, nieco koloryzując i przesadnie podkreślając, jak znamienitych ma klientów. Wtrącił też zręczną wzmiankę o swym sławnym kuzynie.

Julii wskazano miejsce w fotelu. Podczas gdy dorośli przechwalali się wyczynami, które zrodziła ich fantazja, ona trzeźwo analizowała swą sytuację. Była pewna, że rodzice głęboko ją kochają, a młodzieniec żywi do niej uczucie wolne od wyrachowania, jego rodzice zaś odnoszą się do niej życzliwie. Pomimo to zdawała sobie sprawę, że przejęto stery jej życia. Zdumiewające, że nikt inny

nie podchodził do tej kwestii w taki sposób. Zastanawiała się nawet, czy nie jest odrobinę szalona, a może jej otoczenie

70

WARIATKI

przeoczyło coś niezwykle istotnego, co jak dotąd dostrzega tylko ona. Nie rozumiała nic, nawet swego oburzenia, bo wszystko było niespójne i nielogiczne. Siedziała z ciasteczkiem w ręku, odświętnie ubrana i patrzyła w dal oczyma, z których wyzierały zagubienie i lęk.

Nie trzeba było iść daleko, toteż i samochód okazał się zbyteczny. Orszak pokonał pieszo kilkaset metrów dzielących mieszkanie od kościoła. Jak zwykle rankiem, nad dzielnicą unosiły się zapachy targowiska. Miasto znieruchomiało pod błękitem bezchmurnego nieba, które latem tak często wydaje się wieczne i niezmienne. Spętana suknią, zmuszona do milczenia, Julia czuła, że ogarnia ją rozpacz. Obrzuciła spojrzeniem ulicę i jakby cudem dostrzegła tam, na skwerze, anioła stróża z kawiarni Yincen. Odprowadzał utyłanego w kurzu klienta, włókł go cherlawymi rękami, a tamten bronił się z uporem. Uderzyły kościelne dzwony, anioł podniósł oczy i ujrzał Julię w welonie i białych koronkach. Mrugnął do niej prawym okiem. Niechętny uśmiech wykrzywił jego usta. Mąż miał dla niej niespodziankę. Trzymał w ręku jakiś przedmiot i z niecierpliwością czekał na właściwy moment, by jej wręczyć. Sama zobacz, powiedział, a jego oczy rozblęskły, jakby obdarowywał ją skarbem. Zamówił dla niej karty wizytowe, na których wydrukowano elegancką czcionką: Pani Lucjanowa Lecomte.

- Kto to taki? - zapytała Julia.

CHANTAL DELSOL

Zaczął się jąkać. Przecież to ty. Teraz to ty.

Teraz. Dotąd nie uświadamiała sobie, iż zostanie tak uprzejmię pozbawiona nazwiska. I nawet nie przeszło jej przez myśl, że ktoś odbierze jej także imię! Gdzie ja się podziałam, pomyślała w chwili osłupienia. Chwyliła jeden z kartoników i obróciła go, jakby licząc, że po drugiej stronie znajdzie inny napis.

- Teraz? - powtórzyła. Przecież nie odmieniłam się w jednej chwili. Jestem Julią Erevanne, tą, która, której... Nie można tak ograbić człowieka, tak go wymazać. Lucjan stał obok, oszołomiony. Chciał jej sprawić przyjemność, potwierdzić przyjęcie do nowej rodziny, tymczasem ona zdawała się rozczarowana zaszczytem, który jej robiono. Nie pojmował tego, stał z opuszczonymi rękami i ciężkim sercem. - A zatem zostałam wykreślona z wszelkich rejestrów? - szeptała do siebie rozżalonym głosem. Trudno uwierzyć w to, co mnie spotkało.

Patrzył na nią z litością i powagą, tak jak spogląda się na szaleńców. W rozpaczycy Julia zapomniała o jego obecności. Wyszła z pokoju, zostawiając prezent na stole. Straszliwe pytanie pulsowało w jej skroniach. Co teraz robić, jak pokazać, że nie przestałam istnieć? I tak nikt mi nie uwierzy.

Miał owłosione ciało i skłonności do tycia. Jego doświadczenie kazało się domyślać, że był w burdelach - rzecz jasna poza Paryżem. Młodzieniec z dobrej rodziny nie pojawia się w domach publicznych w rodzinnym mieście, gdzie ktoś mógłby go rozpoznać. Julia myślała o gładkim, jasnym ciele Remy'ego, który zdawał się wylaniać z morza. Żałowała swego cierpienia.

Nie potrzebowała wiele czasu, by zrozumieć, kim jest Lucjan. Bo Lucjan przypominał Henryka. Ojciec wybrał go wedle własnej woli, to znaczy - znalazł mężczyznę takiego, jakim sam był. Nie zdołał wychować na swe podobieństwo syna, ale miał nadzieję, że wynagrodzi mu to zięc. Lucjan zajmował się interesami. To słowo brzmiało

WARIATKI

tak tajemniczo i wspaniale! Julia nigdy nie dowiedziała się, jakiego rodzaju są te interesy. Mogła próbować zdobyć jakieś informacje, ale tego nie uczyniła. On sam trzymał ją z dala od spraw zawodowych. Nie dlatego by uważał, że to przerasta jej możliwości intelektualne, ale przez dyskrecję i takt. Kobiety nie nuży się troskami tego świata, jeśli chce się ochronić jej wrodzoną bez troskę, tę lekkość, która stanowi gwarancję szczęścia rodzinnego.

Wszystko dla niej przygotował. Urocze mieszkanie w piętnastej dzielnicy. Duży buduar, a w nim piękne rodzinne meble. Popołudniowe rozrywki. W każdą sobotę zabierał ją do kina lub teatru. Przedstawiał jej swych przyjaciół, którzy gorąco pragnęli poznać Julię, bo opowiadał o niej przez

długie, ponure lata wojny. Był skłonny zrobić wszystko, by się jej podobać. Pragnął zapewnić im obojgu szczęśliwe życie. I okazywał to na każdym kroku.

Julia doznała zawrotu głowy. To wspólne życie było z góry zaplanowane, było zapisaną kartą. Została do niego przygotowana już jako mała dziewczynka. Rozmyślała o tym dorastając i będąc młodą panną, we dnie i nocie spędzane w szpitalu wojennym. Żaden drobiazg nie mógł jej zaskoczyć. Potworne było właśnie to, że nawet los nie miał prawa się zawahać. A ponieważ Julia wszystko już wiedziała, zawrót głowy nie słabł - nie dało się go uśmierzyć ani lekami, ani perswazją. Jej przyszłość jawiła się tak klarowna, tak ściśle wytyczona, jakby już się dopełniła. Urodzi Lucjanowi dwoje dzieci, bo tego właśnie pragnął. Będzie pełnił honory domu podczas przyjęć, na których wszyscy rozprawiają o finansach. Wakacje ma spędzać na przemian u teściów lub w domu Dominika, aby nikogo nie urazić - tu z wujem Ludwikiem, który teraz mieszał się w sprawy małżeńskie, tam znowu w otoczeniu gromady chorowitych ciotek trawiących czas na wyszywaniu. Raz w tygodniu będzie przyjmowała przyjaciółki, by gawędzić o dolegliwościach i szkolnych problemach dzieci. Lucjan dużo pracował. Nie było go przez całe dnie, często wyjeżdżał. Jej misja polegała na nieustannym czekaniu

73

CHANTAL DELSOL

i wysłuchiwaniu go. To miało zapełnić jej trzydzieści, może czterdzieści lat życia.

Rysowały się przed nią zatem dość ponure perspektywy. Może lepiej by się stało, gdyby ugodził ją niemiecki pocisk. Przyszłość byłaby nagła, czysta i podniosła. Dziś nikt nie mógł jej ocalić, bo w oczach świata była bezgranicznie szczęśliwa. Tego, co czuła, nie sposób było rozsądnie wyjaśnić. Dlatego musiała radzić sobie sama. Szczegółowo przeanalizowała sytuację, posiłkując się bezwzględną logiką i pogodą ducha, którą los obdarzył ją już w kołysce. Myślała o akordeoniście, który czasami grał i śpiewał na podwórku. Nie co dzień jadał do syta, lecz każdy posiłek zawdzięczał swemu talentowi. Gdyby muzyka go zdradziła, mógłby jutro rano zatrudnić się u kwiaciarza albo zniknąć z cywilizowanego świata, jak Remy. Był nędzarzem, ale była to jego własna nędza. Jej zapewniono pełny komfort, który do niej nie należał.

Na

duchu podnosiły ją wspomnienia z czasów wojny. Dowodziły, że życie może się wyrwać spod władzy niezmiennych praw. Ślady niedawnego konfliktu przewijały się w rozmowach, stanowiły punkt odniesienia. Każdy żyjący żołnierz był bohaterem. Ale jej nikt nigdy nie pytał o ten szczególny okres w życiu. Po prostu nie powinna była się tam znaleźć - oto, co wyrażały spojrzenia słuchaczy, kiedy przypadkiem ośmieliła się dorzucić jakiś szczegół do opowieści tych, którzy frontu nigdy nie widzieli. Wymazywali z jej życia lata spędzone w błocie, nie wiedząc nawet, że nie wróciła stamtąd nieskalana. Ona także wyrzuciła z pamięci część wspomnień. Nie dźwiga się takiego bagażu. Jej epopeja utożsamiała się z jedną jedyną postacią - starego lekarza, spokojnego jak ołowiany żołnierz. Starego, gdy spoglądała nań oczyma młodziutkiej dziewczyny, bo miał około czterdziestu lat i mógłby być jej ojcem. Drobnny, żyjący jak asceta, zawsze uśmiechnięty, jako lekarz wojskowy ocierał się dzień w dzień o okropności, o których każdy pragnął czym prędzej zapomnieć. Pracował na samym dnie, tam gdzie życie miało się jeszcze w straszliwych konwulsjach. Julia od początku uważała, że najlep-

74

WARIATKI

sza część przypadła zbieraczom trupów, którzy borykali się wyłącznie ze swoim cierpieniem. Doktor musiał stawiać czoło absurdowi, lecz codzienna bliskość półżywych, którzy nie byli w stanie umrzeć, nie odbierała mu pogody ducha. Wytrwale czołgał się ku nieszczęśnikowi trzymającemu w ręku własną wątrobę i poił go wodą kłamstw, pozostając przy nim, póki nie nadeszła pora na trupiaryzy. Potem odchodził, nie buntując się przeciwko swej bezradności. Julia spędziła z tym człowiekiem wojnę. Nazywał się Antoni Quevin. On wskazał jej granice możliwości i nauczył się z nimi godzić. Gdy posiadała tę bolesną świadomość, wszystkie inne sprawy zdawały się błahe. Quevin raz na zawsze uodpornił ją na drobne troski. Wiedziała już, czego naprawdę warto się bać. Narzucone przez Lucjana otepiałające życie nie budziło jej niepokoju. Z takimi problemami

można sobie poradzić. To kwestia techniczna-jak zabezpieczenie się przed szczurami, skoro szczęśliwie przeżyło się ostrzał.

Zabrała ze sobą, włożone pomiędzy rzeczy z wyprawy, architektoniczne książki Patryka, szkicowniki, ołówki i farby. Wszystkie te skarby przechowywała w swoim buduarze. Z okna widać było kościół Jana Chrzciciela. Dniem i nocą, o różnych porach roku, malowała jego dzwonnice. Utrwaliła kościół spowity mgłą lub odcinający się na błękitnym niebie, po którym wysoko płynęły wełniste obłoki, fioletowe i malinowe o brzasku, świetliste w sierpniowym słońcu zacierającym kontury okien. Jednego była pewna - wystarczy, jeśli nie pozwoli zgasnąć zapałowi. To była dziwna wojna - linia frontu bez końca, garnizony bez zaopatrzenia. Kiedy biała armia przegrała na ukraińskiej równinie, Konstanty Włakin od dawna już nie

75

CHANTAL DELSOL

wierzył, że zda maturę. Jego koledzy padali na polach, pośród łąnów zboża, w wakacyjnej scenerii. Był przekonany, że nigdy nie zatańczy; mimo to powracał cały i zdrowy po licznych i ryzykownych walkach, po dniach, gdy tylko dzięki ogromnej wyobraźni dowódców dawało się wytrzymać głód. Nie został nawet draśnięty. Ranni wytykali go palcami, klnąc, że czerwoni wystraszyli się tej dziewczęcej buźki, a zmarli, gdyby mogli, powiedzieliby pewnie znacznie gorsze rzeczy. Drwiny go nie dotykały. Nocami marzył o niezwykłych operach, których pożywką stanie się ta wojna. Gdy armia Denikina przyznała się do porażki, Konstanty był w oplakanyim stanie. Jego pierwszy mundur nie przetrwał zimy. Już od dawna trzeba było zdzierać buty z nóg umarłych, ale teraz nawet te miały dziurawe podeszwy. Batalion, który wycofywał się na południe, był ubrany jak banda oberwańców we fraki, bluzy, tuniki i podarte stare portki. Na głowach wojaków widywało się skórzane kapelusze, czapki futrzane i trójgraniaste, cylindry, birety, czapki z filcu i wełny. Ktoś mógłby pomyśleć, że równiną podąża teatr objazdowy. Tak przynajmniej sądził Konstanty, któremu sama klęska była obojętna, bo nigdy nie rozumiał przyczyn tej wojny i widział w niej tylko literacki dramat.

Bosonoga horda dotarła wreszcie nad brzeg morza. Zmieniło się dowództwo, ale pozostał odór klęski. Oczekując na rozwiązanie problemów, Konstanty wystawiał pantomimy, recytował wiersze, a jego marzenia o operze stawały się coraz bardziej wysublimowane i bliższe rzeczywistości. Pewnego dnia ujrzał generała Wrangla, którego potężna sylwetka była na miarę klęski, gdy szedł po portowych schodach. Żołnierze wsiedli na statki pośród chaosu, nie wiedząc, czy płakać, czy może raczej się śmiać. W cudowny poranek, o brzasku, wypłynęli z Sewastopola w morze. Statek zawinął do portu w Stambule. Konstanty i jego koledzy nie mieli prawa schodzić na ląd. Był koniec listopada, mgła unosiła się nad ciasnymi uliczkami, które

76

WARIATKI

widać było z morza. Kramarze podpływali łódkami, proponując im smakołyki za futrzane czapki. Mówili, że miasto

' _____ t _____ l_i_ ^,HH«.l«! W«.vn4-ja«.ti o r*i
Którym aopisaiu s^i^awit., lan^t T. (tm).~ _-----^

im nie zazdrościł, ponieważ wpojono mu nienawiść do Turków. Przez wiele dni i tygodni statek krążył po cieśninach, uwięziony na morzu, gdyż nikt nie miał pojęcia, co z nim począć. Dowódcy proponowali różnym państwom setki młodych ludzi, których jedyną zasługą było to, że przeżyli. Nikt nie chciał przyjąć tego podarku. Czekano jeszcze na odpowiedź z Francji. Któregoś dnia oznajmiono Konstantemu, że może pozbyć się czapki-otrzymał zgodę na pobyt w Algierii. Te monotonne lata były bezimienne jak butelki z kiepskim winem, które prócz rocznika nie nosi żadnej nazwy; jak biała tkanina, która rozwija się metr po metr; ponumerowane, żeby ich nie poplątać. Julia leczyła dolegliwości matki, podejmowała przyjaciół Lucjana, troskliwie, niemal zazdrośnie opiekowała się domem. Wszystko było niby to normalne, ale jakieś dziwne. Jesteś kuzynką Iksińskiego? Czy założysz ten kapelusz? Nie boisz się robić zakupów w galerii Printemps po pożarze? Jak przebiegał poród? Słuchając tych wszystkich ludzi, Julia miała wrażenie, że zwracają się do kogo innego. Jej własna historia rozgrywała się gdzieś obok, może tymczasem

pozostawała w zawieszeniu. Może to był tylko embrion historii, życie wirtualne. Niosła ze sobą cienie chmur, projekty miast skąpanych w słońcu. W skrytości ducha podziwiała malarstwo Picassa. Ale wszyscy rozmawiali z jej sobowtórem, z osobą, którą niby była, nie będąc. Nigdy z nią samą. Zwracano się do kobiety, którą powinna była być.

77

CHANTAL DELSOL

Wewnętrzne wygnanie spychało ją na margines. Zastanawiała się, dlaczego nie ma swego świata. W zasadzie każdy ewoluuje w swoim świecie i wraz z nim. Ona nigdy i nigdzie nie przystawała do sytuacji. Mimo to w żadnym razie nie przypominała ofiary. Nie otaczała jej złośliwość. Przeciwnie, niemal nikt niczego nie dostrzegał. Jej dystans wobec ludzi i spraw składano na karb bolesnych przeżyć. Czasem żałowano, że nie jest taka jak kiedyś. Starano się jej pomóc w odzyskaniu dawnej radości życia - serdecznie i życzliwie. I właśnie ta troska otoczenia najbardziej ją przerażała.

Lucjan myślał o obciążeniach dziedzicznych. Zwrócił się do pewnego angielskiego lekarza, jedyne, któremu ufał jako estecie i znawcy literatury. Ale lekarz bezradnie rozłożył ręce. Teściowa także? Tak, to kobieca choroba, swoisty defekt egzystencjalny. Dzień w dzień stykam się z takimi przypadkami. W ubiegłym stuleciu opisywano podobne symptomy. To z pewnością rodzaj epidemii, która nigdy całkowicie nie wygasa. Co robić? Farmakologia tu nie pomoże. Potrzebna jest terapia społeczna, ale cóż... Nie rozumie pan? Mam na ten temat własną teorię, ale nie odważyłbym się przedstawić jej w rozprawie dla Akademii Medycznej. Przecież nie jestem rewolucjonistą, tylko lekarzem, drogi panie.

- Wiem, że nie czujesz się szczęśliwa-mówił Lucjan, wiążąc krawat przed lustrem w łazience. Julia spoglądała na niego bez słowa z łóżka, w którym spędzała poranek. - Nie zaprzeczaj. Nie jesteś szczęśliwa. A ja nie wiem dlaczego. - Po raz ostatni wyprostował kołnierzyk. Wyglądził końce wąsów, -Nie potrafię odgadnąć, czego ci trzeba. Nawet się nie domyślasz, jak bardzo mnie to boli. - Z zadowoleniem przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. - Co mam zrobić, aby cię uszczęśliwić?- Pochylony, widział w lustrze odbicie Julii, która uniosła głowę nad poduszkę. - Początkowo sądziłem, że jesteś chora. Ale mijają dni i pory roku, i lata. Lekarz mówi, że nie ma w tobie chęci życia. Rozglądam się wokół, ale nie widzę innej podobnej do ciebie kobiety. Chciałoby się rzec, że nic ci się nie podoba.

WARIATKI

Starannie ułożył przybory toaletowe. W lustrze widział jej znużone, niechętne oczy.

- Nudzę cię? Widzisz! Ciebie wszystko nudzi. Co robić? - Odwracał się, stawał przed nią promieniejący czystością i dobrocią. Podchodził do łóżka. - Kocham cię - szeptał, drżąc. Julia wznosiła ku niemu jasne oczy, z których przeziarało współczucie. Nie pełna wzdargy litość, lecz serdeczne ubolewanie przepojone szacunkiem i rezerwą. Całował ją. Ona odpłacała chłodnym pocałunkiem. Nie mylił się, nie należał do bezmyślnych brutalni, którzy niczego nie widzą i nie słyszą. Jej milczenie było jak cios zadany sztyletem. Odchodził w stronę drzwi, raz jeszcze spoglądając na nią z bezgranicznym żalem i zniknął. Słyszała jego kroki w korytarzu.

Miała dla niego wiele współczucia. Jak daleko sięgała pamięcią - już w dniu spotkania na dworcu po powrocie z frontu-darzyła go właśnie współczuciem. I dlatego było jej wstyd. Wolałaby go kochać albo nienawidzić. Ale nie potrafiła. Usiłowała go zrozumieć. Wszystkiemu winna była ta lepka pospolitość. Gdyby spróbowała go namalować, zlałby się ze ścianą lub zagubił w bezkresie nieba. Nie umiałyby go ukazać. Ponieważ nie miał nic szczególnego do pokazania ani do powiedzenia. Reprezentował gatunek w pełni jego niepokojącej i posepnej monotonii.

Wstawała, siadała przed lustrem i zaczynała szcزتkować włosy. Skoro mnie tak kocha, dlaczego zmusza mnie do prowadzenia idiotycznego życia? Przez wszystkie lata małżeństwa nękała ją ta zagadka, cierpienie - ów zamknięty pokój, o którego ściany się obijała. Jej przeznaczenie rysowało się w czarnych barwach jako szereg zamkniętych drzwi - nie mogła zrozumieć dlaczego. Czulość, którą otaczano ją od dzieciństwa i jeszcze dziś, • a zarazem cela, w której ją więziono. Jeżeli tym była miłość, świat nie został stworzony, jak należy.

; Świętowali Boże Narodzenie w gronie rodzinnym. Julia : dostała białą futrzaną mufkę.

Dawniej, na froncie, Boże

79

CHANTAL DELSOL

Narodzenie oznaczało garść karmelków i nugatów. I mandarynkę. Śpiewali razem, spoglądając śmierci w oczy. Nawet tego dnia zaprzężony w dwa konie wóz przyjeżdżał o dziewiątej po ciała i zabierał je na cmentarz wojskowy. Kondukt prowadził ksiądz, którego poprzedzało ubrane na czarno dziecko z chóru.

Jak wydostać się z tego labiryntu, jeśli nie uciekając w świat marzeń? Jej marzenia miały tylko jedno imię, ale brakowało jej paru groszy na farby, bo zapasy po Patryku szybko się wyczerpały, a kobieta mogła handlować wyłącznie własną cnotą. Na szczęście miała pewną cenną rzecz, jedyną, której była pełnoprawną właścicielką - bransoletę otrzymaną od matki w dniu ślubu. Wsiadła do metra, aby udać się do dwudziestej dzielnicy. Tam ulice były ciasne, domy wyższe. Błądziła, gorączkowo rozglądając się wokół. Weszła do lombardu i położyła klejnot na ladzie. Za kontuarem siedziała rudowłosa jędza, która najwyraźniej czerpała przyjemność z rozpaczki klientów. Ponieważ Julia patrzyła na nią obojętnie, lichwiarka nie wysilała się na pełne hipokryzji wywody i po prostu podała cenę. Julia schowała pieniądze, a potem oświadczyła, że wykupi bransoletę za miesiąc. Wszyscy tak mówią, skwitowała lichwiarka, nie starając się nawet ukryć, że w to nie wierzy. Julia wyszła bez słowa pożegnania.

Płacz pierwotnego syna odebrał jej resztkę snu. Nocami malowała, w dzień drzemała w chwilach wolnych od zajęć. Julia jest taka dziwna, mawiali bliscy, skąd ta apatia, może jest hipochondryczką jak jej matka, Lucjan się zamartwia, ale powinien był pomyśleć o tym wcześniej - kiedy człowiek chce się z kimś związać, musi najpierw przyjrzeć się rodzicom wybranki, bo jego przyszłość widoczna jest w ich nawykach i chorobach. Gdy na ulicy panowała niezmacona cisza, Julia malowała przy otwartym oknie afisz do modnego filmu "Gabinet doktora Caligari". W metrze i kafejkach napisy i plakaty nawoływały: "Nie przeocz Caligariego!" Ta surrealistyczna opowieść

pobu-

80

WARIATKI

działa wyobraźnię. Julia mogła założyć na głowę szalonego psychiatry niemiecki hełm z diabolicznym czubem, przecież jej plakatu nie ujrzy nikt poza nią; musiała grać równocześnie rolę artysty i gapia i starała się to czynić, przeżywając chwile doskonałego szczęścia. Noce - jej własność, jej osobisty czas, jej sekret. Tylko Antoni Quevin odkrył tę tajemnicę. Pewnego razu, przechodząc wraz z nią od pacjenta do pacjenta w szpitalu polowym, powiedział, a było to wczesnym rankiem: Wygląda pani na zmęczoną, nie, raczej na oszołomioną. Jakby pani nie sypiała. Wiem, że w obozie, na słomie... Nie o to chodzi? Tak jest wszędzie? To dziwne, ale mam wrażenie... że ten sen na jawie do pani pasuje... Lubi pani noce, prawda? Na coś pani czeka. Ale na co? Na przyszłość? Proszę opatrunek. Bezsensowność w pani wieku! Przynajmniej nie boi się pani widoku ran i krwi. Byłem tego pewien. Ci, którzy czekają, nie boją się niczego. O wszystkim wiedzą wcześniej niż inni.

Gdybym mogła, myślała Julia, mieć takiego ojca jak on...

Druga będzie córeczka, przepowiadali znajomi i krewni. To najlepsze połączenie. Rodzina doskonała. W domu Dominika lato wlokło się nieznośnie. Julia lubiła lato, bo wtedy w pobliżu nie było Lucjana. W Paryżu jego osoba przytłaczała całą przestrzeń. Musiał mieć wszystko, wszystko i natychmiast. Zagarniał rozmowy. Autorytatywnie decydował o sposobie życia. Pod jego nieobecność nie musiała się ukrywać, chcąc malować. Wychodziła na światło dzienne z ołówkami i płótnami. Mogła cieszyć się tym światłem we wszelkich jego odcieniach, o każdej porze dnia, a nie tylko polować na nie w kąciaku buduaru. Krajobraz kipiał kolorami.

Pewnego dnia Quevin poprosił, by ambulansem udała się wraz z nim nieco bliżej linii frontu.

Jechali zatłoczoną drogą, pośród wozów zaopatrzenia, dzień był pochmurny. Julia po raz pierwszy zwróciła uwagę na fakt, że wojenny pejzaż jest pozbawiony barw. Nie było trawy. Drzewa

6 Wariatki

81

CHANTAL DELSOL

poczerniały, czerniły się osmalone dymem dachy i okiennice ocalałych domów. Ciemne chmury zdawały się wisieć tuż nad ich głowami, w zasięgu ręki. Doktor miał poszarzałą twarz. Dla niej był to świat martwy. W przeciwnym kierunku sunęły ciężarówki wiozące ubłoconych, szarych żołnierzy.

- Dziękuję, że pani ze mną pojechała.
- Nie ma za co. To moja praca. - Wpatrywała się w ciemną drogę, rozpaczliwie szukając smugi błękitu na zapomnianej tablicy, skrawka żółtego muru.
- Niewątpliwie. Ale to ja o to prosiłem. A teraz wyrzucam sobie, że zabrałem młodzieńką dziewczynę w takie miejsce. Któregoś dnia w Yadraincourt nasze samochody stały się celem ostrzału.
- Nie boję się - zapewniła go.
- Wiem. Dawno to zauważyłem. Jest pani w wieku dużej wrażliwości. Ile właściwie ma pani lat?
- Dwadzieścia.
- Doprawdy... - Obrzucił ją przyjaznym spojrzeniem. - Mogłaby pani być moją córką.
- Czy ma pan córkę, doktorze?
- Nie. Boleję nad tym. Dwóch synów. Są wspaniali. Ale brakuje mi córki. Nie wiem, co takiego mają w sobie dziewczęta. Może zapal. Chłopcy o nic się nie troszczą.
- Zapewne - powiedziała, na próżno szukając choć odrobiny lazuru przezierającego zza chmur. Najbliższa noc niosła tragedię za tragedią. Jako ostatniego przywieźli im rannego, który przeleżał całą dobę w pobliskim stogu i niemal się wykrwawił. Quevin ułożył go i uspił w czasie, gdy Julia przygotowywała narzędzia chirurgiczne. Operowali w ambulansie w świetle latarek elektrycznych, bo niemiecka artyleria zauważyłaby silniejsze światło. Quevin nic nie widział, po omacku szukał kuli w ciele i nie mógł na nią natrafić. Na myśl, że bezsensownie naraża rannego na jeszcze większą utratę krwi, zaczął kląć.
- Chwileczkę - powiedziała Julia. - Widzę tu jakieś zgrubienie. Proszę spojrzeć.

Wydobył kulę i odetchnął.

"!

82

WARIATKI

- Lubi pani tę pracę. Powinna pani studiować medycynę.
 - Zdałam egzamin do Akademii Sztuk Pięknych tuż przed wybuchem wojny.
- Quevin spojrzał na nią zdumiony.
- Niemożliwe! - powiedział tonem ojca rodziny. - Przecież ta szkoła przyjmuje wyłącznie chłopców.
 - Oczywiście. Ale zdałam ten egzamin.
 - W jaki sposób?
 - Podstępem.

Z jego oczu wyczytała czułość przemieszana z ironią.

- Skoro tyle pani zdradziła, proszę mi opowiedzieć o wszystkim.
 - Posłużyłam się cudzym nazwiskiem i wyglądem.
 - Niewiarygodne! A zatem nie dane pani było nacieszyć się sukcesem? Nie podjęła pani studiów?
 - Oczywiście, że nie - odpowiedziała spokojnie, nakładając opatrunek na zaszytą ranę. - Ale to bez znaczenia. Zresztą pewnie mi pan nie wierzy.
- Powiedziała te słowa tonem imponująco pogodnym, jakby brak wiary wcale jej nie dotknął. Quevin pożałował swej ironii.
- Myli się pani. Odkąd się znamy, nie zdarzyło mi się słyszeć z pani ust kłamstwa. Nie mam powodu, by pani nie wierzyć. Jednak - dodał - takiej opowieści nigdy jeszcze nie słyszałem.
 - Ani ja - odparła szczerze.
 - Dziwna z pani osoba, panno Erevanne. Chciałoby się powiedzieć, że niczego się pani nie boi. -To stwierdzenie zabrzmiało jak pytanie.
- Spojrzała na niego pełnymi słodczy oczyma.
- Bałam się. Dziś. Tego ciała wiszącego na drzewie...

- Och! Na taki widok sam diabeł wzięby nogi za pas! Nikt nie chciał go dotknąć. Sam musiałem odczepić zwłoki. Nie dlatego, że jestem taki odważny. Po prostu nie było ochotników... Od jak dawna tam tkwił? Skąd się tam wziął? Pewnie siła wybuchu rzuciła go na to drzewo. Kiedy go zdejmowałem, czułem, że lada chwila ciało rozłoży się na

CHANTALDELSOL

moich rękach. Nie mówmy już o tym. Niech się pani trochę prześpi.

- Słusznie. Dobranoc, doktorze. - Zdjęła fartuch i stanęła w progu.

- Dobranoc. Jeszcze jedno... Skoro mowa o sztukach pięknych... Czy umiałyby pani narysować okopy, studnie, wieże... Chciałbym wysłać żonie nie tylko opis tego miejsca, ale i obraz, choć raz...

- Narysuję wszystko, o co pan poprosi - zapewniła z uśmiechem. - Nawet zamki w Hiszpanii.

Zauważył pan, czego najbardziej tu brak?

Pokręcił głową.

- Kolorów. Zupełnie jakby Stwórca jeszcze ich nie nałożył. Albo jakby nas ich pozbawił. - Wyszła, nie zamykając drzwi. Pozostawiła za sobą woń cytryny, nie tak silną, ale bardziej wyrazistą od drażniących oparów eteru. Właśnie taką córkę pragnąłbym mieć, pomyślał Quevin.

- Pragnę ci podziękować za to, że uszczęśliwiłaś mojego syna i dałaś nam dwójkę tak pięknych dzieci. - I położył na łóżku, tuż obok ręki Julii, małą złocistą paczuszkę przewiazaną purpurową wstążką, miłą dla oka i pełną wspaniałych obietnic.

Julia spojrzała na teścia. Wzruszenie, którego nie był w stanie opanować, spowodowało, że poczerwieniał na twarzy. Kiedy mówił, jego usta drżały. Podziękował jej za dziecko, które leżało w wiszącej kołysce i chyba tylko potwór mógł wątpić w szczerść jego słów. Aby wyrazić wdzięczność, zakpił nawet ze skąpstwa własnej żony. Bo paczuszka bez wątpienia kryła cenny klejnot. Julia rozwiązała wstążkę, zdjęła jedwabisty papier, ujrzała naszyjnik ze wspaniałych pereł i ucałowała starego człowieka, który był bliski łez.

*s ;: .

84

WARIATKI

Jak on to ujął? Za to, że uszczęśliwiłaś mojego syna i dałaś nam dwójkę tak pięknych dzieci. Czy zatem jestem tylko martwą gałęzią, która łączy żywe pędy? Tak wspaniale uczcił mnie za to, że jestem niczym. Dlaczego zawsze muszę dostrzegać to, czego

inni wcale nie widzą? Każda kobieta byłaby uszczęśliwiona i dumna, otrzymawszy taki prezent. To dobry człowiek. I klątwa spada również na niego. Mamy nadzieję, że dorośniemy do zrozumienia wszystkich tajemnic. Im jestem starsza, tym więcej tajemnic i tym są głębsze. Widzą we mnie środek, dzięki któremu mogą żyć. Ja sama dla nich nie istnieję. Przeglądają się w moich oczach. Ja nie widzę siebie w ich oczach. Dlaczego?

Dość biżuterii, pomyślała Julia. Dość tych ładnych dzieci. Odtąd drzwi jej sypialni były zamknięte przed Lucjanem.

- Tym razem poświęcamy najpiękniejszy naszyjnik? - mruknęła posepnie lichwiarka.

- Mogłabym mieć tyle naszyjników, ile bym zapragnęła - odparła Julia, ze stoickim spokojem zbierając pieniądze. - Kiedyś wytłumaczę pani, czym jest życie.

Kupiła sobie ogromne płótno, największe, jakie kiedykolwiek miała. Musiała wynająć dwóch ludzi, żeby odnieśli je do domu i ulokowali w jej buduarze, oczywiście w porze sjęsty, kiedy dom drzemał i nikt nie mógł ich zobaczyć. Oparła rulon o ścianę i zajęła się przygotowaniem ramy. Zamierzała namalować klątwę. Nie potęgę natury, ponieważ ta była wyższa niż nieboskłon. Ale przynajmniej ów poziom niewiedzy i lęku.

Kiedy starszy z chłopców podrósł na tyle, by mogła zabierać go na dłuższe przechadzki bez wózka, wybrała się z synami do Ogrodu Luksemburskiego. W parku pracował wspaniały lalkarz, który co czwartek organizował przedstawienie, jeśli dopisywała pogoda. Mały Guy znał tę bajkę na pamięć, ale zawsze chętnie ją oglądał. Julia płaciła za miejsce siedzące i czytała gazetę.

CHANTAL DELSOL

Landru, który wciąż twierdził, że jest niewinny, szedł na gilotynę. Adwokatowi błagającemu, by wyznał mu prawdę, która przecież nic nie kosztuje, odparł: "Przykro mi, mecenasie, ale to cały mój majątek". Przytłaczającą większością głosów powołano do Akademii Marię Curie.

Kiedy Włakinowi udało się uciułać trochę grosza, wyjechał z Algierii do Paryża i zamieszkał w studenckim pokoiku na mansardzie, a w końcu zdołał dotrzeć do Diagilewa i zaprezentować mu swe umiejętności.

Wierzył nie w swój talent, ale raczej w szczęśliwą gwiazdę. Na tej bezsensownej wojnie zmarnował sporo czasu, potem tracił go nadal na wygnaniu, podejmując marne prace w Oranie. Uważał, że jest już za stary. Miał dwudziestkę na karku. A jednak, skoro dożył tego wieku... mógł liczyć, że spełnią się jego nadzieje.

Teatr z czerwonymi wyściełanymi fotelami wydał mu się bardzo mały w porównaniu ze scenami, jakie widywał w swojej ojczyźnie. Może tylko dlatego, że i on wyrósł. Blask rzeźb złościł przestrzeń. Nad tym miejscem unosiła się pewność dokonanej magii. Matka powtarzała mu zawsze: Kostia, pamiętaj, że w całym świecie są tylko dwa miasta - Petersburg i Paryż.

Tańcząc, spoglądał na mistrza siedzącego w środkowym rzędzie na dole, wraz z dwoma nieznanymi. Pewny siebie, drwiący, o dużej głowie Maura nad masywnym ciałem. O wrogim spojrzeniu. I czarnych jak smoła włosach. Na jego prawej skroni bielił się siwy kosmyk. Pod koniec, gdy Konstanty wykonywał ostatni ruch, Diagilew pochylił się do sąsiada i coś mu szepnął. Konstanty zrozumiał, że został przyjęty.

Jakiś chłopiec zawołał go, gdy się przebierał. Mówił po rosyjsku.

86

WARIATKI

- Zostałeś zaangażowany. Nie ma cienia wątpliwości. Na imię mi się Siergiej. Trzeba to uczcić. Znam pewną winiarnię w pobliżu.

- Ale ja nie mam pieniędzy - powiedział Konstanty, wywracając kieszenie.

- Trudno, ja stawiam. Chodźmy.

- Opowiadaj. Dobrze się tu żyje? - pytał Konstanty, siedząc przy kieliszku. Miał wrażenie, że nareszcie zyskał od dawna obiecaną przysiań.

- Bardzo dobrze. Triumfy i skandale. Paryż uwielbia prowokację. A poza tym, bałagan. Nuda ci tutaj nie grozi.

- A on? Szef? Jaki on jest?

- To samotnik. Stary geniusz. Nie cierpi salonów. Spektakle innych ogląda tylko po to, żeby złorzeczyć. Mieszka w pokojach hotelowych i często się przeprowadza, nigdy nie wracając w to samo miejsce, bo nie płaci rachunków i co jakiś czas go wyrzucają. Słabo zna miasto. Zwiedzaniem zajmuje się za niego Cocteau, który potem zdaje mu relację.

- Nie lubi Paryża?

- Przeciwnie. Mówi, że w świecie są tylko dwa ważne miejsca - Petersburg i Paryż. Nawet Wenecja, którą wynosi pod niebiosa, wydaje mu się... ograniczona. Ale cały swój czas poświęca sztuce. I chłopcom.

Siergiej zamilkł, wypił wino i podjął:

- Lubisz to?

To pytanie było wyznaniem. Drzenie w głosie nie pozostawiało co do tego wątpliwości.

- Nie - odparł obojętnie Konstanty. - Kochani tylko kobiety.

- Coś takiego! Co w nich widzisz?

- Odmienność.

• • •>. Chłopak przyglądał mu się bacznie.

- Coś takiego! - powtórzył. - Rozczarujesz go. Poza tym to niewdzięczność. Wybrał cię dla urody, w każdym razie to liczyło się bardziej niż twój talent. Lepiej nigdy mu o tym nie mów. I z niczym się nie ujawniaj. On nas pilnuje.

CHANTAL DELSOL

Jest niesamowicie zazdrosny. Kiedy Niżyński wykorzystał podróż do Ameryki, żeby się ożenić, zaraz go wyrzucił. A przecież był jego najlepszym tancerzem. Wyobrażasz to sobie?!

Konstanty roześmiał się.

- Kiepsko go pilnował.

- Nie mógł z nim wyjechać. Diagilew boi się statków. Jest przekonany, że na morzu grozi mu śmierć. Kiedy wyjeżdżamy na sezon do Londynu, przez cały rejs modli się i wścieka, ściskając w

ręku ikonę świętego Mikołaja. Dlatego nie był w Ameryce. Lepiej ukrywaj się ze swoimi miłośnikami. Dobrze ci radzę.

- Nie mam żadnych miłostek - szepnął Konstanty. - Będę kochał tylko jedną kobietę.

Chłopak przypatrywał mu się, nie wierząc własnym uszom.

- Czy jest takim cudem?

- Nie wiem. Jeszcze jej nie spotkałem.

- Kpisz ze mnie. Ot i tyle.

- Pewnie, pewnie - szepnął Konstanty, jakby mówił do siebie. - I co się stało z Nizyńskim?

- Nie wiesz?

- Nic nie wiem. Przyjechałem z Oranu. Nosilem skrzynie. Algierscy dokerzy nie gawędzą o tym, co dzieje się za kulisami opery.

- Jest chory. Oszalał. Zaczęło się w zeszłym roku. Stopniowo się pograża. Moim zdaniem to swoista solidarność z naszymi, w kraju. Kona, jak nasza ojczyzna. Wymknął się nam. Już nie wróci.

Konstanty zaczął od prób do "Błazna", oczywiście w roli komedianta, bo cały balet był o nich.

Wydawało się, że to dzieło zamyka w sobie całe rosyjskie okrucieństwo. Muzyka Prokofiewa, jak intryga, wprowadzała w atmosferę koszmaru. Grali wówczas w teatrze Gaité-Lyrique, w robotniczej dzielnicy przy bulwarze Sebastopol. Publiczność reagowała żywo. Podrywała się cała sala, albo gwizdząc ciskając wyzwiskami, albo rzucając na scenę bukiety

88

WARIATKI

kwiatów. Konstanty doskonale się czuł w tym ciągłym niepokoju. Sny jego dzieciństwa wreszcie znalazły swe dopełnienie.

10

Któregoś popołudnia mały Guy nie chciał wracać do domu. Prawdopodobnie przedstawienie poruszyło go bardziej niż zwykle. Podszedł do desek, które oddzielały scenę od kulis i uczeplił się ich, tupiąc nóżkami. Lalkarz wyszedł zza zasłony i zobaczył zapłakanego malca.

- Chcesz zobaczyć żandarma? - zapytał przyjaźnie i wysunął rękę z kukielką.

Julia pogratulowała mu przedstawienia, on podziękował, bo nigdy nikt z nim nie rozmawiał, chociaż znał swych stałych widzów i uważał ich za cichych, ale wiernych przyjaciół. Ten scenariusz różni się od innych. To dzieło poety. Ale przydałyby się dekoracje. Ta kurtyna jest taka smętna.

Zgadzał się z nią, wiedział o tym, wyobrażał sobie nawet, że do pierwszej sceny pasowałby idealnie nor-mandzki sad z jabłonią, na których rosną bardzo czerwone owoce, potem uliczka w wiosce i francuska flaga, jestem patriotą, dodał, a wreszcie morze, ale bez statków, bo... i pełen entuzjazmu mnożył szczegóły. Wie pani, jestem ze wsi, co prawda mam odrobinę lalkarskiego talentu, wymyślam historyjki, które tłuką mi się po głowie, ale żeby coś namalować... a w dodatku nikogo tu nie znam. Nikogo odpowiedniego. Mogę to dla pana zrobić, namalować dekoracje, powiedziała Julia. Pani? Dlaczego nie? Mógłbym pani zapłacić. Nieźle zarabiam na tych przedstawieniach.

Zapłacę gotówką, powtórzył z dumą. Dam pani całe dwa franki za każdą scenkę.

Pieniądze. W rodzinie, której nigdy ich nie brakło, był to dla Julii potworny problem. Mieć pieniądze, nie prosząc

89

CHANTAL DELSOL

o nie Lucjana. Wydawać je, nie tłumacząc się z każdej swej potrzeby. Nie wyliczać się z każdego grosza. Nie obawiać dezaprobaty. Mieć pieniądze wyłącznie dla siebie, żeby móc je po prostu roztrwonić. Kupować tyle farb i kredek, ile dusza zapragnie. To także szczęście.

Lucjan nie był skąpy. Przeciwnie. Namawiał Julię na zakup nowych sukien. Żona mojego współnika podała mi adres swojej krawcowej. Zwróciłaś uwagę na jej wieczorową toaletę, tę bładoniebieską? Zamów sobie coś. Pragnę, byś wyglądała jak księżniczka. Dziś wieczorem dam ci sto franków. Kupisz sobie modny kapelusz przy bulwarze Haussmanna.

Musiała wziąć pieniądze, słuchać gadaniny krawcowej, znosić nużące przymiarki. I przynieść do domu jedwabną suknię. Czekać na pełne zachwyty okrzyki. Dziękować. Dziś wieczorem będzie cię podziwiał całe Trocadero.

Pieniądże przeznaczają się na eleganckie ubrania dla Julii, na potrzeby dzieci i prowadzenie domu. Ale pieniądze, o których nikt by nie wiedział! Julia spojrzała na lalkarza. Miał wąsy i długie, ciepłe palto.

- W przyszły czwartek przyniosę pierwszą planszę. Jeśli się panu spodoba, zawrzemy umowę.

I w najbliższy czwartek zaprezentowała mu sad. r-

- Dorzuciła pani drzewka wiśniowe - zauważył. :

- Tak, żeby różnicować odcienie czerwieni. Podziwiał niebo.

- Ma pani słabość do obłoków.

To była prawda. W górze miała ochotę namalować geniusza burzy. Ale to nie byłoby na miejscu.

Lalkarz roześmiał się. Mogę wymyślić odpowiednią bajkę. Powiedzmy, na przyszły sezon.

Potrzebuję jeszcze dziesięciu innych plansz. Czy chce pani egzemplarz scenariusza? Nie, znam tę historyjkę na pamięć. Za trzy tygodnie wszystko będzie gotowe.

Naprawdę potrzebowała tych dwudziestu nocy. Malowała na podłodze, brudząc dywan w swym buduarze. Ale to były noce nieopisanej

radości. Namalowała uliczki, maleńką dzwonnice, gapiów w oknach, dziecko z kółkiem,

WARIATKI

wnętrze kuchni za błękitnawymi szybami, miedziane rondle, mostek na rzece. Ponad dachami widać było skrawki nieba. Księżyc uśmiechał się dobrodusznie. Przez cały ten czas Julia myślała o Patryku. Z biegiem lat cierpienie przemieniło się w rozległą ranę, która obejmowała i ciało, i duszę, i nie chciała się całkiem zagoić, ale jątrzyła się, wyrzucając jad niczym staw bez dna.

Kiedy praca była już ukończona, Julia z lekkim przerażeniem spojrzała na piętrzące się w kącie rulony, które zajmowały całkiem pokaźną część pokoju. Bóg jeden wiedział, jak miała je stąd wynieść, a musiała działać szybko, żeby nie zauważyły jej ani służące, ani dzieci, ani Lucjan. Stała pośrodku pokoju, bezradnie zwiesiwszy ręce. Była czwarta nad ranem. Oparła kartony o ścianę, szafę, komodę, by do woli się im napatrzeć. W wykonanych obrazach dostrzegła masę błędów wynikających nie tyle z pośpiechu, w jakim pracowała, co z braku doświadczenia. Jasno zdała sobie sprawę z niedostatku umiejętności i wiedzy. Potrzebowała nauczyciela. Miała wrażenie, że zasypia z otwartymi oczyma, gdy chłopczyk, którego namalowała w jednej z uliczek, począł przemieniać się w Patryka, a potem wyszedł z obrazu i wolno ruszył przez pokój.

Nazajutrz rano pobiegła do lalkarza i poprosiła, żeby przyszedł po dekoracje. Miał rower z przyczepą. Przyjechał

0 umówionej porze. Nie bez trudu znieśli razem kartony, bo on kulał, a ona nawykła tylko do małych pakuneczków. Prosiła, żeby zachowywał się jak najciszej, na dole wyszła

1 i rozejrzała się po ulicy, zorientował się więc, że pracowała w ukryciu. Bez słów doszli do porozumienia - lalkarz nie zadawał jej żadnych pytań. Wręczył obiecaną sumę i wyciągnął na pożegnanie nadgarstek, ukrywając brudną dłoń, jak to robiło wielu rzemieślników. Mam nadzieję, że wkrótce znów się spotkamy, powiedział wzruszony, ona przytaknęła - jakżeby mogła nie obejrzeć efektów swej pracy, i to już w najbliższy czwartek.

CHANTAL DELSOL II

Pewnego jesiennego dnia lalkarz zauważył, że w ostatnim rzędzie siedzi samotny, zamyślony starszy pan. Czasami pojawiali się tu znudzeni starcy, którzy oglądali jego przedstawienia, ale ten nie był jeszcze tak stary, żeby trwonić czas na daremne zajęcia. Lalkarz obserwował go kątem oka, jak zerka się na nowość lub rzadkość. Podczas seansu mężczyzna nie zwracał uwagi ani na fabułę, ani na marionetki. Ze spokojem znosił czynioną przez dzieciaki wrzawę, wpatrując się ponad ich głowami w głąb sceny. Kiedy bajka się skończyła, pozostał na miejscu. Dzieci kolejno odchodziły, on siedział ze skrzyżowanymi rękami, ubrany jak dzentelmen, i można by pomyśleć, że pomylił miejsca, a teraz czeka, aż kelner poda mu brandy.

Lalkarz wyszedł zza kurtyny i zaintrygowany podszedł do dziwnego widza. Z bliska jego twarz wydała mu się miła i szczerą. Nie miał w sobie nic z urzędnika skarbowego ani wędrownego pedofila.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - zagadnął.

- Właściwie nie, choć chciałbym pana o coś zapytać - odparł dystyngowany pan. - Te dekoracje.

Skąd pochodzą? Nigdzie takich jeszcze nie widziałem. Już w zeszłym tygodniu, przechodząc przez park, zwróciłem na nie uwagę. Dlatego znowu tu przyszedłem. Czy to pan jest tym artystą?

- Ja? Ależ nie, proszę pana, nie potrafiłbym, jestem tylko prostym wieśniakiem, tyle że z głową pełną bajek, to pewna młoda kobieta. Piękna praca, prawda? - Lalkarz śmiał się z zadowolenia.

- Mogę obejrzeć je z bliska? - zapytał mężczyzna.

- Oczywiście. Proszę, zapraszam za kulisy.

- Powiada pan, młoda kobieta? Przychodzi tu z dwoma synkami? W każdy czwartek? Przedstawi mi ją pan?

- W przyszłym tygodniu, z pewnością.

- I zamówił to pan u niej przez przypadek? A zatem przypadek panu sprzyja! Gratuluję.

WARIATKI

Zjawił się zgodnie z umową, czekał, by zostać jej przedstawionym, uchylił kapelusza. A zatem pani namalowała to wszystko?

Julia spoglądała na niego podejrzliwie. Jej wzrok mówił: być może, to pan tak twierdzi, pomówimy o tym przy innej okazji. Nie dlatego, że obawiała się rozmowy z nieznanym, lecz raczej dlatego, by uniknąć jednoznacznych stwierdzeń. Julia maże, Julia się bawi, Julia zabija czas, zużywając farby, nie wiadomo, gdzie utykać te wszystkie płótna, całe szczęście, że nie hałasują. Słyszała te czułe uwagi, powracały jak echo lat dzieciństwa, towarzyszyły jej odtąd na każdym kroku, wczoraj nawet mały Guy, który ledwie umiał mówić, powtórzył: "Tatuś mówi, że masz w pokoju straszny bałagan i uważasz się za artystę". Nie. Nie miała talentu. Udawała, ot wszystko. Tylko obcy człowiek mógł dać się zwieść. I dał się zwieść.

Nieznamy nie zniechęcał się. Pochylił głowę i rozmyślał. Końcem laski rozgarniał ziemię. Był elegancki i wyglądał, jakby przed chwilą opuścił salon literacki. Szukał argumentów. Zdradzała to bruzda przecinająca jego czoło, poniżej kapelusza. Ale po co chciał ją przekonywać? zastanawiała się.

- Nikt pani tego nie powiedział?

- Czego?

- Że pani rysunki są naprawdę piękne - odparł wprost głosem, w którym pobrzmiwała nutka onieśmielenia upodabniająca to stwierdzenie do wyznania miłości.

Roześmiała się szczerze, nie, skąd ten dziwny pomysł, nigdy czegoś takiego nie słyszała.

Zmarszczył brwi. Jego determinacja była coraz silniejsza.

- Rozumiem. - Iz pewnością zrozumiał wszystko, bo teraz rzucał jej przyjazne spojrzenie, jakby chciał okazać, że w przeszłości i jemu przydarzyło się coś takiego.

- Jestem doradcą artystycznym Opery - oznajmił, stawiając wszystko na jedną kartę. - Dlatego szukam artystów.

- Nie jestem artystką - bąknęła Julia przerażona i zawstydzona oszustwem, w które mogła się lada moment

93

CHANTAL DELSOL

wplątać. - Proszę tak nie sądzić. Po prostu trochę rysuję.

- Czują, że chłopcy kręcą się znudzeni. Jeden wołał ją coraz głośniejszym głosem, drugi wisiał na płaszczu.

Postąpiła krok, sygnalizując, że zamierza odejść.

- Proszę zaczekać - powstrzymał ją nieznamy.

- Nazywam się Piotr Maxime. Oto moja wizytówka. Proszę zajrzeć do mego biura. Pragnąłbym powierzyć pani pewną pracę. Na ogromnych płaszczyznach. Wiem, jaki to daje efekt. Proszę wybaczyć, że ośmielam się tak mówić, ale popełnia pani błąd. Ma pani wielki talent.

Wsunął wizytówkę w dłoń Julii. Uniósł kapelusze i odchodząc, odwrócił się jeszcze.

- Proszę przyjść wprost do mnie. Po południu. Nie musi się pani umawiać.

Odprowadziła go wzrokiem. Jak miała to rozumieć? Była zupełnie sama. Znikąd żadnej rady.

Zaufania. Za-mustruję się na pierwszy okręt, powiadał Remy. Oby tylko dokąd płynął. Każde morze wiedzie ku jakimś brzegom. Nieznany skręcił w alejkę przed pomnikiem Katarzyny Medycejskiej. Może o to właśnie chodziło.

0 przyszłość. Trzeba ją chwycić w biegu, choćby za włosy.

Pracował w Pałacu Garnier. Nie namyślała się długo, odczekała tylko tydzień, dla przyzwoitości, i poszła tam wczesnym popołudniem. Lało jak z cebra. Przy wyjściu z metra o mało nie potknęła się o nogi żebraczki siedzącej na środku chodnika, tuż przy rynsztoku. Była stara, jej ubranie ociekało wodą. Julia uchwyciła jej spojrzenie.

- Proszę nie siedzieć na tej ulewie, niech się pani schroni w bramie, będzie pani cieplej.

- Dziękuję, ty głuptasie, to linia podziału wód, nie widzisz?!

Julia skinęła głową. Szaleństwo i nędza to najgorsze, co może spotkać człowieka. Wyjęła z torebki monetę. Kobieta uniosła twarz ku płaczącemu niebu, wymachiwała rękami

1 krzyczała: Nazywam się Paulina Benedict, znalazłam linię podziału wód. Julia poszła swoją drogą.

94

WARIATKI

Nigdy nie była w tym szacownym miejscu, nawet w marzeniach, które biegły raczej ku pracowniom Mont-martre'u. Gdy weszła po imponujących schodach i minęła część reprezentacyjną, ujrzała inną Operę - labirynt korytarzy, silny zapach kurzu.

- Nie spodziewała się pani tak ponurych wnętrz?

- zapytał gospodarz, dostrzegłszy niepokój w jej oczach.

- Pałac jest brudny i odrapany. Ale jakoś sobie z tym radzimy. Niedawno pod jednym z widzów rozpadł się fotel. To było w łoży, wypadek zdarzył się znanej osobistości. Dyrektor polecił podokrecać wszystkie śruby. I wreszcie mamy odrobinę prawdziwego luksusu - telefon do rozmów wewnętrznych. Nie to jednak nas dziś interesuje.

- Szperał w stercie płócien. Jego gabinet był mały, z trudem można było postawić nogę na podłodze. Wyjął akwarele i rysunki, rozłożył na stole. - Chciałaby pani malować takie rzeczy? Pomarańczowe nieba, góry z głów cukru wypełniły przestrzeń. Kolorowe pałace z krzywymi wieżami. Ogrody, których perspektywa niknęła w odległych fioletach. Armie żołnierzy, dragoni. Uskrzydłone konie, arlekiny w biało--czarnych kostiumach. Statki o brzasku, kołyszące się na mlecznych wodach. Spadające gwiazdy. Baśniowe pustynie i bezdroża. Wnętrza pełne niesamowitych personifikacji stanów ducha. Dziesięć lat! Czy zechce? To wszystko przyszło tak nagle, tak dalece przerastało najśmielsze marzenia!

- Zgadza się pani? - Wydawał się równie zadowolony jak ona. Promieniał.

Ktoś jej zaufał, ktoś uznał, że potrafi. Tylko Patryk by jej uwierzył.

- Muszę przedstawić pani warunki. - Usiadł przy biurku, szukał jakiegoś dokumentu, lecz na próżno.

- Przepraszam, wszystko przez ten bałagan, no i ciasnotę, nie przeszkadza to pani? Rozumiem... Jednak muszę zapisać... jak się pani nazywa?

Nie przewidziała tego pytania. Starła się za wszelką cenę ukryć panikę. Pomyślała o stukniętej żebraczce z bulwaru.

95

CHANTAL DBLSOL

WARIATKI

- Julia Benedict.

- Dobrze. - Pióro nie chciało pisać. Uśmiechnął się, drwiąc z samego siebie: - Ten bałagan mnie zgubi. Proszę podać mi adres, żebym mógł przesłać pani umowę, kiedy znajdę blankiety.

Kolejny problem! Całe szczęście, że mężczyzna zmagął się z każdym przedmiotem - atrament ciekł, kałamarz skrył się pod stertą książek, toteż nie zauważył zmieszania Julii, która starała się jakoś wybrnąć z sytuacji.

- Ulica Charles V numer 19 w czwartej dzielnicy. -W tym domu co tydzień mały Guy pobierał lekcje gry na skrzypcach. Była

to skromna kamienica bez żadnych wygód, z posepnym wejściem, zamieszкана przez ubogich ludzi. Maxime wydawał się zadowolony. Mogła zacząć od najbliższego poniedziałku.

Przedstawi ją zespołowi. Upредиła, że czwartki ma zawsze zajęte. Skinął głową, oczywiście, dwaj

malcy, zwrócił na nich uwagę, uwielbiał dzieci, będzie pracowała w czasie, który jej odpowiada, to rozumiałe, tu liczy się tylko to, co wykona, nie godziny.

Idąc w stronę stacji metra znów natknęła się na przemoczoną od stóp do głów bezdomną kobietę. Ubranie oblepiało zdeformowane ciało. W dodatku trzech młodych obwiesiów przypatrywało się biedaczce, wijąc się ze śmiechu. Julia sięgnęła po portmonetkę i wsunęła do mokrej dłoni wszystkie posiadane banknoty. Dziękuję za nazwisko, szepnęła. Zrobię z niego dobry użytek.

Nazajutrz poszła do kamienicy przy ulicy Charles V, pod dziewiętnastym. Po drodze kupiła na bazarze skrzynkę na listy. Zawiesiła ją obok innych pewna, że dozorca niczego nie zauważy, i przybiła do jasnego drewna kartonik z nazwiskiem Julia Benedict.

Przypomniała sobie spisek uknuty z Patrykiem. Znów będzie musiała żyć w labiryncie kłamstw i pozorów. Przyjdzie chwila, gdy świat oszustwa weźmie górę nad prawdziwym życiem, kiedy oba te kręgi się zderzą, a ona pozostanie bezbronna, obnażona, zmuszona do wytłumaczenia się z niezliczonych kłamstw. Aby osłonić jedno kłamstwo, będzie wymyślała następne,

potem trzecie, żeby uprawdopodobnić to drugie, i tak bez końca. Nie przerażało jej, że wprawia w ruch tę piekielną maszynę, bo ważniejszy był cel i znaczenie tego, co się jej przydarzyło. Nareszcie wkraczała - choć bocznymi drzwiami - do społeczności ludzkiej. Nieco dalej przy tej samej ulicy, w witrynie sklepu papierniczego, zauważyła kalendarz z zaznaczoną datą. Przystanęła. Był 12 maja 1924 roku. Dzień moich narodzin, pomyślała.

12

Mówiono, że nowy tancerz przyjechał z Algierii, ale słysząc to, garderobiane śmiały się głośno.

Przecież był blondynem o jasnej cerze, miał nordycki wdzięk. Trzymał się grupki Rosjan, zawsze jednak był pełen rezerwy i pozostawał nieco na uboczu. Po pracy nie wybiegał w pośpiechu, lecz długo przesiadywał w kącie, obserwując z zachwytem teatralne zamieszanie. Chętnie rozmawiał, wypytywał o różne rzeczy. Wkrótce podkochały się w nim wszystkie garderobiane. Jest kawalerem, powiedziała któraś, gdy razem oglądały stroje. Ten tancerz jest dla ciebie, Julio. Trzeba ci mężczyzny. To on. Możesz mi wierzyć.

Julia nie odezwała się. Są ludzie, którzy odgadują uczucia innych, gdy oni sami nie zdają sobie z nich sprawy. Najnowszy członek zespołu Diagilewa stał w głębi sali pomiędzy dwoma rzędami sukien, nieświadom losu, jaki mu gotowano.

Wielokrotnie spotykała go w kuluarach, widywała to pośród dekoracji, to stojącego na taborecie i przypatrującego się kolegom podczas próby. W takich chwilach stawał się zadziwiająco realny, był człowiekiem z krwi i kości, tragicznie ludzkim. Wieczorami tańczył w białym

96

7 Wariatki

97

I

CHANTAL DELSOL

świecie reflektorów. Na scenie przybierał postać odcieleśnionych sylfów i zjaw, jego nogi zlewały się ze światłem, pełna ekstazy twarz przynależała do krainy baśni i tajemnic. Lecz tu, wyrwany z magicznego kręgu, przeistaczał się i stawał po ludzku wrażliwy. Miał na sobie podniszczony sweter, jego ruchy były zaskakująco niezgrabne, w śmiechu słyszało się zdziwienie i zmieszanie. Mniejsze wrażenie robił na niej blask jego twarzy, która nie potrzebowała światła reflektorów, niż dzikość postawy, sposób, w jaki się prostował, nonszalancja, w której Julia dostrzegała czyhanie na tajemnicę.

Pewnego listopadowego wieczoru spóźniła się na ostatnie metro. Wszystko przez ten fatalny nawyk pracowania po nocach, stwierdził Maxime. Postępuję tak samo. Wiem, to pora, kiedy dzieci śpią. Ale żeby do tak późna... Sprowadzę taksówkę.

W tym momencie nowy tancerz Diagilewa pojawił się w korytarzu, ubrany w długi płaszcz, który zapinał, idąc. Przypadkiem usłyszał ich rozmowę. W rzeczywistości od dawna wyczekiwał na sprzyjającą okazję, choć podobnie jak Julia nie zdawał sobie z tego sprawy, nie uświadamiał sobie celu własnych poczynań.

- Jeżeli pani pozwoli, odprowadzę panią na postój taksówek. Nazywani się Konstanty Wiakin. A

pani? Często panią widuję, ale nic o pani nie wiem.

Zawahała się.

- Na imię mi Julia. Potem robi się tłumno.

- Jak to? - Nie rozumiał.

-PO prostu - kto ma za dużo nazwisk, nie posiada żadnego. Jestem kilkoma osobami. Dlatego występuję incognito. Moje światy nie mają ze sobą styczności. Tu nikt nie wie, że istnieją także w tamtym i odwrotnie.

Nie okazał zdziwienia.

- Incognito? Jeden z moich przyjaciół pragnął zostać dramaturgiem. Napisał sztukę pod tytułem "Bezimienna miłość". Nie żyje, a tekst zaginął. A jednak zapamiętałem go na zawsze. To rodzaj wygnania - dodał powoli.

98

WARIATKI

- Wygnania wewnętrznego. Pani położenie ma wiele wspólnego z moim. Spojrzenie innych niemal zawsze wypacza rzeczywistość, prawda? Przecież każdy opisałby panią inaczej. Można się w tym pogubić. -Roześmiał się.

- Ale my potrafimy przenikać przez ściany. Nasz dom jest wszędzie. I nikt go nie odnajdzie. Już dawno minęliśmy postój. Jestem jednak pewien, że nikt na panią nie czeka. Nie czeka się na wygnańców. Tu mieszkam. Wejdzmy! Zapraszam na koncert!

Mieszkanie było pomalowane na biało, prawie bez mebli. Jedną ze ścian zdobiła fotografia przedstawiająca budowlę nad wodą. Julia zapytała, co to za gmach. Twierdza Pietropawłowska, gdzie umarł jego ojciec. Proszę nie uważać, że przemieniłem ten pokój w nekropolię, zastrzegł się. Proszę zostać jeszcze pięć minut. Wtedy nadejdzie godzina. Jaka godzina? Proszę zaczekać. Nie pożałuje pani.

Usiedli na kanapie. Julia nie od razu zdała sobie sprawę, jak dziwna jest ta sytuacja. Dziwacznym zrzędzeniem losu w środku nocy zawitała do mieszkania obcego mężczyzny, który najpierw pokazał jej fotografię więzienia, a potem milczał, oczekując na wydarzenie, które miało nastąpić. Dokładnie o wpół do drugiej za ścianą rozległ się dźwięk fortepianu. Nuty były przeciągłe, powietrze zamierało, zmuszając do wyczekiwania, ustał nawet wiatr za oknem. Wstęp pełen obietnic poprzedzał prawdziwą melodię. Julia uśmiechnęła się: co noc, o wpół do drugiej?

- Punktualnie. Co noc. Poza tymi, kiedy jest na tournée. Nie wyobraża sobie pani. To raj.

- Dziwny zbieg okoliczności sprawił, że zamieszkał pan właśnie tu.

- Nie, to nie był zbieg okoliczności. -Pokręcił głową.

- Znałem go. Bywałem na jego koncertach. Wiedziałem, że tu mieszka. Usłyszałem, że zwolniło się sąsiednie mieszkanie.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Czy on wie, że tak blisko ma wielbiciela? I czy pana nie znużyły gamy? Bo przecież na pewno ćwiczy, choć jest wirtuozem.

99

CHANTAL DBLSOL

Roześmiał się.

- Ach, nie! O niczym nie wie. Nigdy nie natknąłem się na niego na schodach. Jestem, jeśli można tak powiedzieć, podglądaczem. Gamy? W przypadku geniusza trud, a nawet porażki mają swój sens. Nie nuży mnie to. Ale nie zaprosiłem pani, aby kraść nuty. Obserwuję panią dłużej, niż pani obserwuje mnie. - Rozłożył ręce w tym samym bezradnym geście, jaki wykonywał na scenie. - Zechce mnie pani?

O tym okresie niewiele mam do powiedzenia, ponieważ Julia z rzadka go wspominała, a nawet wówczas były to tylko półsłówka. Początkowo był to dla niej teatralny amant, pojedyncze nuty rozbrzmiewały w jego pokoju, pod zdjeciem twierdzy nad rzeką. Prawie nic o nim nie wiedziała. Znała tylko jego ciało, w tańcu i w miłości, i oba łączyły się, zlewając w jedno. Za pierwszym razem wspominała Remy'ego, jak dawno złożoną obietnicę, która wreszcie miała się spełnić.

Odprowadzał ją do domu w środku nocy, aby nikt nie zauważył, że zniknęła. Szli trzy kwadransy na

lewy brzeg Sekwany. Była zima. Z rzadka mijali włóczęgów i inne kryjące się przed światem pary. Nawet gdy wypytywałam ją natarczywie, Julia udawała, że nie pamięta, który był rok. Przypominała sobie tylko sylwetkę Josephine Baker na afiszach - półnagiej, w majtkach do kolan, z nogami cyklisty i błyszczącymi w uśmiechu zębami.

Milczeli. Minione lata uczyniły ją nieufną. Była przekonana, że każdy czuły gest wynika z narzuconych przez społeczność zobowiązań, a każda błaha rozmowa ma kompensować ubóstwo uczuć. Przerazały ją intymne wyznania, choć czasem pragnęła coś powiedzieć. Nie wierzyła w miłość, zbyt wiele razy miała okazję stwierdzić, że utożsamia się ją z grą wpływów, podporządkowaną skrytym celom. Nawykła do samotności, przekonana, że może ocalić wyłącznie swą tajemnicę, i że to najważniejsze. Nie umiała już rozmawiać. I wątpiła, czy zdoła wyleczyć się z nieufności. Tak czy inaczej, myślała, dla nas jest już za późno, za mnie

100

WARIATKI

dawno rzucono kości, to tylko przygoda na wykradzionym marginesie życia, ślepy zaulek, zabawa bez znaczenia. On kroczył spokojnie u jej boku, szanując jej milczenie. Nosił angielski prochowiec, wystawiał twarz na wiatr, chwycił wonie i szmery. Był wysoki i nie okazywał, co czuje. Zdawało się, przemierza i bada świat na własny rachunek i nic nie jest w stanie go zaskoczyć.

Zauważyła, że nagle ucichł stary już ból, że jątrząca się wciąż rana zaczęła się goić. Teraz była tylko wojenną blizną, dowodem kolejnych zwycięstw, blizną, która stanowi wspomnienie i dodaje pewności siebie w dalszym życiu. Po Patryku wydarzyło się coś jeszcze. To właśnie oznaczał jego równy krok u jej boku.

Szybko zrozumiała, że czuje się zażenowany swą urodą, że wstydzi się jej. Pragnął ją ukryć jak talent, który postanawia się wykorzystać i ujawnić lub nie. Rafaelowska twarz i wrodzona elegancja, którą roztaczał od niechcienia, czyniły go nieszczęśliwym. Nie mógł znieść spojrzeń, które ściągał wbrew i mimo woli. Ubolewał, że uroda przysłania resztę jego osobowości, posiadał wszak inne atuty, które właściwie wydawały się pozbawione znaczenia. Prawie nie znam kobiet, wyznał kiedyś Julii. Zbyt szybko się z nimi rozstawałem. Kochały mnie tylko za to, że je zdobie.

Na ogół za to właśnie mężczyźni

kochają kobiety, stwierdziła. Roześmiał się gorzko, to prawda, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Odkrycie tej powszechnej wzgardy pograżyło go w długich rozmyślaniach. Uplłynęło wiele czasu, całe miesiące, zanim ją oswoił, lecz i tak przysięgała sobie, że opuści go bez słowa. Wyczuwał, że jest zdecydowana na gwałtowne zerwanie i bijąc się przez cały tydzień z czarnymi myślami, przyciągał ją do siebie, łagodnie zatrzymywał, za każdym razem uwodził na nowo jak pierwszego dnia. Zespół wystawiał "Marynarzy" w teatrze Gaité-Lyrique. Ubrany w krótką bluzę z czarnymi guzikami, w marynarskim berecie, tańczył barkarolę, a potem zadziwiające pas de trois. W żar-

101

CHANTAL DELSOL

tobliwej muzyce wyczuwało się podstęp. Siedząc w środkowym rzędzie, sama pośród wystrojonych znakomitości, Julia śmiała się wesoło. Potem Konstanty grał żołnierza

T>-----1-----i-> TTI

w

-----.....j ^*.h*« *sv MALAGI. z*a

"Barabanie". Ubrany w szare rajtuzy, podwładny śmiesznego sierżanta w napoleońskiej czapce, przemierzał warzywnik w rytmie mazurka na oczach chóru skonsternowanych obywateli, których kapelusze wychylały się zza płotu. Julia przechylała się przez balustradę, by obserwować taniec wydłużonych w świetle reflektorów cieni.

Konstanty przychodził po nią na widownię. Diagilew nie ma już gdzie mieszkać. Wszędzie wyrobił sobie złą opinię. Cocteau znalazł mu pokój przy ulicy Mont-Thabor. Właściciele nie podejrzewają, co ich czeka. Ten czort wyjechał w podróż poślubną do Werony. Z Siergiejem Lifarem. Podobno zostaliśmy bez grosza. Dlatego trzeba beztrzesko wydawać to, czego i tak brakuje. Czas szybko przemija, Julio. Nigdy nie będę cię o nic pytał. Przetańczę dla ciebie życie.

Dlaczego mnie pokochał? zastanawiała się Julia. Nie otoczę go troską, nie dam potomstwa. Nie zaceruję mu skarpet. Do niczego się nie przydam, raczej przysporzę mu problemów. A zatem to istnieje! Kiedy uwierzyła w ten cud, odważyła się w końcu przyznać przez sobą samą do głęboko skrywanej prawdy: Konstanty był właśnie tym, którego wybrałaby spośród tysiąca napotkanych mężczyzn, gdyby prawa społeczne nie zawłaszczyły sobie władzy nad pożądaniem. Maxime zamówił u niej projekt dekoracji na kolejny sezon, scenografię do sztuki Moliera, którą pragnął wystawić w nowej inscenizacji, ukazując walory współczesnej sztuki dekoratorskiej. Zrozumiała, że to dla niej próba. Z zapałem i wiarą pracowała nocami przez wiele miesięcy. Pewnego dnia przyniosła mu teczkę z rysunkami i nieśmiało pokazała prowizoryczny szkic, który odzwierciedlał emocje neofity. Obejrzał projekt, przybliżył go do oczu krótkowidza, potem zwrócił się do niej zadziwiony.

- Bravo! Mój projekt nie jest tak piękny. Jak zdołała pani to osiągnąć?

102

WARIATKI

Szepnęła:

- Myśląc o tym bez przerw

- Sama podpisze pani sceno^ &. A teraz do pracy, pani Benedict. Proszę nie tracić j^hwili. Parni czas jest cenny. Proszę już iść - rzekł, ^ <4tnie popoychając ją w stronę drzwi. 'i*

Wyszła. Przy schodach zerkała w ogromne lustro. Zobaczyła sylwetkę ubraną w czaiw a ilto, któreś dostała od Lucjana. Jej twarz promieniała bCj'p'm3 którego nikt i nic nie mogło ugasić. Po raz pierwszy piła samą siebie. Nie znaczy to, że kiedykolwiek czuła / Hiebie niemawieść, jak ludzie uważający się za brzydkiej '> głupich i z trudem brnący przez życie. Ale od dzjMstwa z niepokojem przeglądała się w lustrach, zadaj^obie pytanie, po co przyszła na ten świat. Teraz miała j ^pewność, że zdobyła tę część prawdziwego życia, kfe^ jej brako~wało. Owa rzeczywistość nie była z krwi i koiE) „cz miała •niedefinio-walną konsystencję, coś jakby cię»l'mienia. Julia przełamała barierę, choć nie wiedziała w & Było to zaskoczenie radosne i bolesne, a towarzyszyło\ jak każdemu brzaskowi, jasne światło. ^W

Musiała ukrywać przed Lucj^ . A częste pobyty poza domem. Nie mogła zwracać na s(.^ uwagi zazdrosnego Diagilewa. Każde spotkanie wyrk^o'4o zręcznej strategii. Ta miłość była spiskiem ryzykoy>% jak woj via. Chwile czułości znaczyły wielkie zwycięsK^Miłość w>7mykała się z pułapek upojona triumfem, pociva •pną stractiem. Żyjąc w ukryciu, sama przed sobą s^^iła się własną siłą. Nieliczni obserwatorzy mieli raajVr kiedy Jualia i Konstanty razem pojawiali się za kuli J ^ wyglądał d jak ludzie ruszający na podbój świata. GaApbiane szeptały, widzisz, Julio, mówiłyśmy, że ten (tm)z jest stw-orzony dla

103

CHANTALDELSOL

ciebie. Młody Siergiej, towarzysz i powiernik marzeń, kiwał głową, nie okłamałeś mnie, Włakin, można by rzec, iż ta kobieta od zawsze była ci przeznaczona.

Nigdy nie zastanawiali się, co z nimi będzie. Nad przyszłością rozmyśla się tylko w niepokoju oczekiwania na nieznaną. Ale przychodzi chwila, kiedy przyszłość jest przeżywana z dnia na dzień. Wtedy zatracą się resztki przezorności. Nadzieje są w zasięgu ręki; człowiek zachłannie czeka każdej godziny. Czas jest kruchy, ulotny, cenny. Dość o nim pomyśleć, by go unicestwić. To właśnie nazywa się szczęściem.

Lucjan zachorował, podejrzewano galopujące suchoty. Ludwik Erevanne napomykał o ostatnim namaszczeniu, ale diagnoza okazała się błędna; pacjent powoli wracał do zdrowia, a Ludwik dziękował Bogu za cud. Julia krzątała się przy łóżku męża. Prawie się pogodzili - jakże jednak mogli się pogodzić, skoro nie doszło do waśni, skoro tylko oddalili się od siebie bez powodu. Widok tego bezbronnego mężczyzny napawał ją wstydem. Zasługiwał na inną żonę, powinien być z kimś, kto odpowiada jego i powszechnym oczekiwaniom. Wyrzucała sobie, że jest taka, jaka jest. A nocą, czuwając nad chorym, rysowała zrodzone w wyobraźni twory. W tajemnicy dzwoniła do Piotra Maxime'a. Nie zdołam skończyć projektu na poniedziałek. Mój... syn jest bardzo chory. Maxime niepokoił się. Czy ma pani dobrego lekarza? Może zwróci się pani do mojego? Wyślę

gońca z szablonami. Na którym piętrze pani mieszka? Nie? Mogę przyjść sam. Nie? Sądził, że ukrywa przed nim ubóstwo. Odgadywała to z uprzejmości jego tonu. Obiecała, że pojawi się we wtorek. I we wtorek, pod pretekstem zakupu lekarstw, pobiegła do Opery. Jak czuje się syn? Proszę mi opisać objawy choroby. Spisałem dla pani nazwiska kilku pediatrów. Na ulicy, podczas spacerów z synami, rozglądała się niespokojnie w obawie, że go spotka.

Cała rodzina udawała się do Granville, by uroczyście świętować ślub Gildasa. Przez długie miesiące Rozalia

104

WARIATKI

rozprawiała wyłącznie o jadłospisie i kapeluszach oraz szarfach druhen. Gildas uzyskał dyplom architekta. Zakochał się - aż trudno uwierzyć w taki cudowny zbieg okoliczności - w córce architekta. A zatem jego droga życiowa została dokładnie wytyczona. Błyskawiczny awans zawodowy był dla niego powodem do dumy. Julia obserwowała brata, którego prawie już nie знаła, który jednak spełniał wszelkie nadzieje, jakie mogli w nim pokładać rodzice i krewni. Zajął miejsce, którego Patryk nie chciał. Ojciec nie spuszczał go z oka.

Pewnego dnia Frantz ośmielił się powiedzieć Henrykowi, że Niemcy podźwigną się jeszcze i będą dość silne, aby wymierzyć Francji zasłużony policzek. Henryk obraził się tym razem na dobre; wojna, w której linia frontu dzieliła dwa pokoje, zatrała życie w domu na pół roku, wreszcie jednak zwaśnione strony zawarły pokój, panowie podjęli pełen hipokryzji byt i wszystko wróciło do normy.

Mały Guy szedł do szkoły, toteż Julii przekazano tymczasowo rodzinny elementarz, który we właściwym czasie miała oddać Gildasowi. Wieczorami siadywała przy lampie obok skupionego dziecka. Zadanie było łatwe, za każdym razem jednak miała uczucie, że rozpala słońce na niebie. Lucjan proponował zatrudnienie nauczyciela. Nie zgodziła się. Nigdy nie oddałaby tego miejsca komu innemu, nigdy i za nic nie wyrzekłaby się takiej radości.

Uczyła się spoglądać na najbliższych okiem troskliwej pielęgniarki. Ich czas wypełniały błahostki, choć zdawały się im naznaczone piętnem wieczności: gabinet Gildasa, niepodważalne przekonania Ludwika, potęga Francji i kłopoty z ogrzewaniem. Julia dostrzegała blask wieczności tylko na zadziwionych paluszkach dziecka, wskazujących literę W. Latem w Granville wpatrywała się w linię horyzontu, gdzie u styku morza i nieba zniknął Remy.

105

CHANTAL DBLSOL 14

Sezon zimowy w Monte Carlo rozdzielił ją z Konstantym na cztery miesiące. Julia przemierzała kraj nocnym pociągiem. Czekał na peronie ubrany w biały spencer i całując ją unosił śmieszny przyduży kapelusz. Był niecierpliw, obnażał duszę, odurzał się każdą mijającą chwilą. Był jak akrobata. Dostrzegała na jego twarzy, w kąci oka, ślady makijażu. Grasz Pierrota na ulicy. Pewnie gonią za tobą dzieci, a dziewczęta rzucają powłóczyście spojrzenia. Przytakiwał, drwił z siebie.

Dwa wieczory w kasynie. Dziś nie będzie tu nikogo ze znajomych. Awantura wisi w powietrzu. W teatrze wszyscy intrygują. Podczas prób trudno im się wzajemnie znieść. Nocami każdy szuka przygód na własną rękę.

Siadali wygodnie przy ruletce, w tym hałasie nikt nie słyszał, o czym mówią, czasami rzucali żeton, płacąc za zajmowane miejsca. Dziadek Konstantego zrujnował się przez hazard. W ten sposób dał nauczkę kilku kolejnym pokoleniom. Konstanty traktował hazard z goryczą człowieka zdradzonego. Pomimo to w kasynach odnajdywał magię czasów upadku. Twierdził, że w Monte Carlo uroczą dekadencja trwa niezmiennie, nie powodując szczególnych katastrof, ponieważ wszyscy dobrowolnie ją tu podtrzymują i wspierają. Racjonalnemu społeczeństwu potrzebna jest taka rozgorączkowana wyspa, gdzie porządni obywatele swobodnie oddają się swym namiętnościom. Ta kobieta za mną - spójrz w lustro, ta w malinowych koronkach - obudziła się dziś w Petersburgu lub Wiedniu schyłku minionego stulecia i tam zaśnie wieczorem. Nic nie ginie bez reszty. Niektóre miasta powinny opatentować swą atmosferę. Nie zgadzam się, by ostatnia wojna uczyniła

z nas mutanty.

Postaw na 23. To mój szczęśliwy rok. Któregoś dnia zbuntowaliśmy się z powodu zmiany tempa. Zażądaliśmy zwolnienia dyrektora baletu. Lifar i Koszna tuż po spektaklu chcieli napisać petycję, ale w teatrze nie znalazł się nawet

106

WARIATKI

jeden arkusz przyzwoitego papieru. Spisaliśmy ją na papierze toaletowym. Rozstrzygnęliśmy proces na naszą korzyść. W tego typu sprawie? Oczywiście. Dla nas tempo jest tym, czym dla narodów prawo. Naruszyć je, to jakby cisnąć dynamit na ulicę.

Widzisz tych dwóch, którzy nas obserwują? To bywalcy Opery. A może przyjaciele twojego męża?

Konstanty zawsze wypowiadał to ostatnie słowo z nutką drwiny. Julia wzruszała ramionami. W końcu i tak się o nas dowie. Ale to niczego już nie zmieni. Teraz mam pracownię przy Porte de Champerret. Maluję na podłodze. Szaleństwo barw. Wychodząc na ciemną ulicę czuję się, jakbym znalazła się w otchłani. Postanowiono, że odtąd szczury będą nosiły długie spódniczki. W biurze piętrzą się ezoteryczne szkice. Szaroniebieski, stary róż, morska zieleń, pustynna ochra.

Przygotowałam scenografię do "Ognistej wieży". Z typową dla regionu latarnią morską. Wokół skały. Wewnątrz nic prócz nużącej powszedniości malowanych talerzy. Piotr Maxime wpadł na pomysł wykorzystania kina w teatrze. Filmował fale w Cherbourg. Tłem akcji będzie sztorm. Scenariusz opowiada o miłości i zdradzie. Ostre słowa w jadalni. Wyobraź to sobie. Zdrada jest najgorsza, mówił Konstanty, gorsza od głupoty i brzydoty, twoje fale nigdy nie będą dość wysokie i gwałtowne.

Krupier flegmatycznie zbierał żetony. Można by pomyśleć, że rozbiera klientów, sam się równocześnie ubierając. Albo że cała ta fortuna należy do niego. U nas pełne szaleństwo. Diagilew nie jest w stanie spłacić faktur Braque'a. Znika, kiedy tylko ten się pojawi. Udaje, że ma problemy gastryczne. Dolin nie chce podnosić Daniłowej w pas de trois. Twierdzi, że za bardzo przytyła, a on nie jest tragarzem. A ona płacze, łyka tabletki, żeby się odchudzić i mdleje z byle powodu. Ktoś wyrzucił jej w końcu te tabletki przez okno.

Jest późno. A ci dwaj wciąż nas obserwują, coś szeptają. Wracajmy. Na zewnątrz trwa nie kończąca się zabawa. Hotelowy pokój wygląda jak komórka. Diagilew zapewnia

107

CHANTAL DELSOL

nam mieszkanie, pewnie myśli, że na tak wąskich materacach odechce nam się miłostek. Kiedyś, szeptał Konstanty, sprawię ci łożo godne królowej, z białym baldachimem.

Kiedyś nie istnieje. Niczego więcej nie oczekiwała. Gdybyż mógł jeszcze zawładnąć dniem dzisiejszym, wykraść go zegarom i umknąć z tym łupem...

\

i s i l ;

Na skrzydłach anioła

- Ośmielili się aresztować Daudeta - powiedział gniewnym tonem Lucjan. - Dziś więzi się szlachetnych ludzi. Za słowa. Powinien był dłużej się bronić. Mógł odmówić podjęcia pertraktacji. Nie prowadzi się pertraktacji z prefektem Republiki. Był zbyt zdolny. Takiego człowieka należało raczej odznaczyć. Zazdrość demokratów...

Gazeta wysunęła mu się z rąk. Julia siedziała przy kominku, wsparłszy brodę o podkulone kolana. On kipiał z oburzenia.

- Widziałas to przedstawienie przed biurem przy ulicy de Rome? Tyle policji, żeby aresztować uczciwego obywatela! I te groźby! Nie sądzisz, że to niewiarygodne?!

- Chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko - powiedziała.

- Mówię ci o Leonie Daudecie - odparł Lucjan, który nie słuchał. - Zauważ, jaki uwiad dotknął to społeczeństwo! Broni się Sacca i Yanzettiego, morderców, rabusiów, napadają na banki, anarchistów. Oto prawdziwi święci. Ale można opluć i pogrzyść Daudeta tylko za to, że powiedział prawdę. Prefekt Chiappe to kawał łajdaka.

- Chciałabym mieć jeszcze jedno dziecko - powtórzyła Julia.

Lucjan zmarszczył brwi, pokręcił nosem, rzucił jej zdumione, gniewne spojrzenie. Złożył gazetę. Zdjął okulary. Szykował się do wielkiej demonstracji niezadowolenia,

109

CHANTAL DELSOL

która wkrótce nastąpiła. Powiedział to, co zwykle mawia się w rodzinie na podobne tematy. Trzeba być bardzo bogatym, żeby wypełniać dom, zdając się na wolę nieba. Idealna liczba, liczba zgodna z prawami natury, jest ewidentna: dwoje - przy odrobinie szczęścia chłopiec i dziewczynka. Jeżeli jedno z dzieci umrze, trzeba je zastąpić nowym. Ale nic ponadto. Komuś może wydaje się, że tort łatwo podzielić na trzy części? To kwestia zwykłego doświadczenia i rozsądku. Zresztą kiedy ma się więcej dzieci, daje się im mniej miłości. A mnożenie się jak króliki jest w złym guście.

Wielodzietna rodzina to irytująca wrzawa i wątpliwa atmosfera. To po prostu niestosowne. Czasami za jakimś argumentem kryje się inny. Za tym nie kryło się nic. Był odzwierciedleniem mądrości przodków, obyczajów ojców, poglądów społecznych. Lucjan niczego nie próbował taić, wypowiadał się jasno i otwarcie, święcie wierząc, że racja leży po jego stronie. Julia zamilkła.

Lucjan znów zatopił wzrok w gazetę. Obchodzono setną rocznicę narodzin kolei żelaznej. Konstany przechylił się nad stolikiem, uniósł kieliszek, mrugnął okiem i roześmiał się: dziecko! Uważasz, że nasza sytuacja jest zbyt prosta? Nie, nie chcę mieć dziecka, powtarzał łagodnie.

Zastanawiasz się dlaczego? Po prostu się boję. Nasze spotkanie to czysty przypadek, jakby pęknięcie na linii czasu; sen włóczęgi, który nie zostawia za sobą śladów. Jesteśmy tym, co niespójne. Stanowimy błąd w systemie. Musimy trzymać się strefy cienia. Ale nie zabiera się dziecka w drogę w nieznanne. Nic po sobie nie zostawimy.

Widział jej smutną twarz. Czy mówiłaś poważnie? Zrobię wszystko, czego zapragniesz.

W ten oto sposób na świat przyszła Eleonora, dziecko zrodzone z kłamstwa w klimacie niedomówień i półprawdy. Bo Julia dobrze wiedziała, czego chce, a pragnęła tego z całej duszy i zatriumfowała nad dwoma tchórzami. Pragnęła urodzić dziecko Konstantego, by odzyskać poczucie rzeczywistości. To, co istnieje tylko w ukryciu,

WARIATKI

w końcu zatracą wszelki wymiar. Dziecko będzie świadectwem przygody, która nie miała świadków. Julia odegrała przed Lucjanem patetyczne sceny odrodzonej miłości. Uwierzył, że zrezygnowała z kaprysów. A ponieważ był dobry, wzruszył się jak ojciec syna marnotrawnego. Za to ona z zimną krwią knuła zdradę. Własny cynizm, którego była w pełni świadoma, nawet jej nie dziwił i nie powodował wyrzutów sumienia. Uważała, że łatwo żyć moralnie, kiedy jest się silnym.

Cóż bardziej naturalnego, niż pragnąć dziecka mężczyzny, którego się kocha? Lecz jak osiągnąć cel, nie uciekając się do podstępów? Przesiadywała za zamkniętymi drzwiami sypialni, wprawiając się w rysowaniu pędzących zwierząt. Ki diabeł tak urządził ten świat? Społeczeństwo jest dziwaczne. I kiepsko funkcjonuje. Nic nie jest w nim na właściwym miejscu. Jak to możliwe, że zawsze omijają mnie typowe sytuacje? Pod dotykiem jej palców koń przeistaczał się w ptaka, odrywał się od ziemi i ciężkimi skrzydłami bił powietrze. Może jestem za słaba? Głupia?

Obląkana? A może tak dalece nieprzystosowana? Cóż pewnego mogłoby mi pozostać? Tylko ta miłość, już ufna w siebie jak mądrość, ale świeża jak pierwsze zauroczenie, śmiała i spokojna.

Reszta jest bez znaczenia. Trzeba tylko zachować pozory.

Pozwoliła Lucjanowi uwierzyć, że to jego dziecko. Kiedy oznajmiła mu nowinę, okazał dumę uwodziciela, ale też westchnął, przyjmując z pokorą wyrok losu. Konstany natomiast właściwie nie był zaskoczony. Dawno zrozumiał, że Julia nie zmieni zdania. Nawet przez moment nie zastanawiał się nad ważką kwestią prawowitości ojcostwa. Lucjan go nie interesował, nigdy się nie spotkali, Konstany nie miał zwyczaju pytać, czy rywal jeszcze żyje. Zapomniał o obawach i chyba się cieszył, że decyzja zapadła bez jego udziału. Ucałował Julię i podbiegł do fortepianu, żeby zagrać arię Carmen. Powiedział, że to jego pierwsza rozmowa z tym nieznanym jeszcze dzieckiem.

Narodzin spodziewano się w środku lata. Julia nie chciała rodzić w domu Dominika. Bała się tamtejszego

no

CHANTALDELSOL

lekarza. Za dużo mówił. Zanudzał pacjentów, prawiąc im morały, a kiedy nikt już nie chciał go słuchać, dopadał służące, którym zadawał dwuznaczne pytania. Chyba nie był lekarzem, tylko jakimś czarownikiem. I tak dziwnie drżał. Mówił, że cierpi na hipochondrię. Nigdy nie widziano, aby inny doktor przemierzał salony swoich pacjentów, opisując własne przypadłości - często takie, o których na ogół nie mówiło się w towarzystwie. Można by rzec, iż zapisując leki, myślał o leczeniu samego siebie. Julia nie chciała mieć z nim do czynienia. Była pewna, że jego niepokój udzieli się dziecku i skazi je już w pierwszych chwilach życia.

Dlatego została w Paryżu, cierpliwie oczekując rozwiązania i promieniejąc szczęściem. Uprzedziła o bliskim porodzie lekarza z sąsiedztwa, który nigdy nie zadawał niedyskretnych pytań, a stawiając diagnozę, spoglądał na ludzi i rzeczy obojętnym wzrokiem. Konstany wyruszył w podróż, zapomniawszy o prawdopodobnym terminie przyjścia na świat dziecka. Lucjan co wieczór, jak zwykle w lipcu, zapraszał na kolację chmarę słomianych wdowców, lekceważąc fakt, że jego brzemiennej żonie należy się spokój. Ona tymczasem wyczekiwała na znak od nieznanego jeszcze maleństwa, które czyniło jej noce wspanialszymi niż jakikolwiek mężczyzna.

Bóle przyszły wczesnym popołudniem pewnego upalnego dnia. Niania Amelia zaczęła biegać jak obłąkana z miskami i prześcieradłami. Stary doktor przybył w samą porę - bez zbędnego pośpiechu, ale i bez zwłoki. Jego wszechwiedzące ręce dotykały brzucha Julii. Dziecko nie kazało się prosić - wkrótce lekarz obwieścił oficjalnym tonem narodziny dziewczynki.

Lucjan powrócił z pracy o zwykłej porze i dostrzegłszy panujące w domu poruszenie zajrzał do sypialni. Jego twarz rozjaśnił triumfalny uśmiech. Zbliżył się do kołyski i zobaczył zawiniętego w becik noworodka w różowym czepeczku. To dziewczynka, powiedział wolno, a w jego głosie brzmiała równocześnie duma i coś, co miało jednak znaczyć: tylko dziewczynka. Julia spojrzała na niego ze swoi-

112

WARIATKI

stym politowaniem, ale nie zrozumiał. Teraz był jej tak daleki, że jego wzgarda nie mogła jej zranić. Od dawna już nie martwiła się dzielącą ich obcością. A tego dnia ostatecznie przestała odgrywać komedię miłosną, która pozwalała jej dotąd zachować pozory związku z mężem. Oświadczyła mu, że chce się zdrzemnąć, szybko więc wyszedł. Wzięła w ramiona dziecko, które miało zamknięte oczy i przytuliła je. Przysięgłaby, że w tej chwili wieczorne niebo nagle pojaśniało za oknem. Ogarnęło ją oszałamiające szczęście, jakiego zaznała już dwukrotnie, tuląc do siebie nowo narodzonych synków. Wiedziała, jak ulotna jest ta niezwykła chwila. Moment narodzin niesie obietnicę nieśmiertelności, jest brzaskiem spełnionego wszechświata. Smak i woń śmierci, nieustannie towarzyszące życiu, znikają za sprawą cudu raz na zawsze. Ta łaska, chwila niewysłowionego, zapierającego dech w piersi szczęścia, spycha w niebyt wszelkie rozczarowania, dramaty i klątwy -byłe i przyszłe. To spokojna, pełna wiary w siebie potęga zapewniająca triumf nad najsilniejszymi demonami. I nic na świecie już się nie liczy, nic poza oddechem dziecka na twarzy.

Wieczorem przy łóżku pojawił się Lucjan. Był zafrasowany.

- Tak bardzo chciałem dać mu na imię Leon - szepnął.

Julia nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Nazwiemy ją Eleonorą-powiedziała tonem matki, która koi chłopięce troski. - Przecież to drobiazg. Zamartwiasz się bez potrzeby.

Poczekaj, aż wyjdzie. Leżące obok maleństwo zostało wyzwolone i ofiarowane. Nie otworzyło jeszcze oczu. Julia odezwała się łagodnie:

- Nie bój się. Ale bądź czujna. Życie jest bardzo niebezpieczne.

t Wariatki

113

CHANTALDELSOL

- ••"••:"- " 2

To będzie moje jedyne dziecko, mówił Konstany. Bo nie będę miał innych kobiet, przysięgam. Nie ma w tym mojej zasługi. Po prostu żadnej innej nie pożądam. Koledzy drwią sobie ze mnie.

Mówią... mówią... Eleonora będzie moim jedynym dzieckiem. Ale nie będę widział, jak rośnie. To prawda, powiedziałaś, że jesteś gotowa się rozwieść. Wyobrażam sobie, co by to dla ciebie oznaczało. Gniew rodziny, powszechne potępienie. Hańbę. Utracone przyjaźnie, zerwane więzi. Rozpacz chłopców. Lucjan zażądałby, aby zostali przy nim. Henryk by cię wydziedziczył. Na każdym kroku czułabyś ludzką wzdrganie. Okrzyknięto by cię kobietą upadłą. Dobrze wiem, że jesteś do tego zdolna. Ja nie mam nawet cząstki twojej odwagi. Boję się, że nie sprostam ogromowi twojego poświęcenia. Nie będę prześladowany przez rodzinę, bo mam tylko ciebie. Moi znajomi zaakceptują nasz związek. Ale boję się przyzwyczajenia. Ono wszystko potrafi zabić. Czy nie będziesz mniej kochała, zmuszona pracować moje skarpety, znosić ataki kaszlu? Matka zdążyła wpoić mi tylko jedno - najbardziej krucha na tym świecie jest miłość. Rząd może przezwyciężyć największy kryzys, ciało pokonać najcięższe choroby, ale miłości tak trudno przetrwać. Tłumi ją brzemień czasu, choć dzieje się to bez naszej wiedzy, wbrew naszej woli. Nie znika pod wpływem nagłego gniewu, nie wygasa w jeden dzień. To byłoby zbyt piękne. Pozwala się roztrwonić przez brak uwagi i w potwornej metamorfozie przemienia się w czułość albo czystą żądzę, albo współczucie i zrozumienie, albo w zwykłą przyjaźń. Wtedy ludzie udają, że nigdy nie była niczym innym. Ale właśnie w ten sposób miłość umiera. Nie zniósłbym takiego upadku. Oszalałbym, tracąc cię, choć - a raczej: bo - mam cię tak blisko. Gdyby do tego doszło, nawet dziecko przestałoby się dla mnie liczyć. Dlatego pozostaje mi jedno: będę znał moją córkę tylko za twoim pośrednictwem. Straszliwie brakuje mi jej uśmiechu, jej pieszczot. Śnię wyłącznie o niej.

114

WARIATKI

Kiedys zadzwonił do drzwi w środku nocy.

- Wybacz, że cię budzę. Wiem, że Lucjan wyjechał. Wziąłem taksówkę, ale zauważyłem, że mój portfel... Jeżeli możesz, daj mi cztery franki.

- Diagilew ma na ciebie wielki wpływ!-zażartowała. Stał w progu, birbant w białym szalu przerzuconym przez ramię.

- Gdzie byłeś?

- Na kolacji u Coco Chanel. Trzeba czcić mecenasów. Szkoda, że nie mogłem cię zaprosić. Ale myślałem tylko o tobie. Jak się miewa moja córeczka? Śpi? Pozwól mi ją zobaczyć, proszę cię. Po cichu skradał się do sypialni. Zachwycał się małą. Te włoski jak jedwab! Kiedy będę mógł ją zobaczyć, nie ukrywając się? Jestem coraz starszy, Julio.

Łagodnie wypchnęła go z pokoju.

- Taksówka czeka.

Ruszył w stronę schodów, ciągle się odwracając.

- Podano kawior - mruknął. - Ale Diagilew był smutny. Powinien leczyć tę cukrzycę. Ten człowiek pali meble, żeby ogrzać pokój. Obiecuj, że przyjdiesz w poniedziałek.

W sierpniu obawy Konstantego potwierdziły się. Diagilew powlókł się do Wenecji, by tam umrzeć. Koszno, jego sekretarz, otrzymał rozpaczliwy telegram i wsiadł do pierwszego pociągu. Szef nie czekał na niego na peronie, nie spacerował, wachlując się białą panamą. Był w Grand Hotelu, w pokoju na piątym piętrze. Morze szumiało u jego stóp, ale on go już nie widział. Leżał w łóżku, bład jak trup. Lifar, jego faworyt i pierwszy tancerz, patrzył, jak pielęgniarzka pakuje walizkę, dając w ten sposób do zrozumienia, że wkrótce nie będzie tu potrzebna. Widzisz, powiedział Konstanty, zwracając się do Julii. W Wenecji. Jakby Paryż miał zapamiętać tylko jego ekstrawaganckie wyczyny. Rosyjskie szaleństwo lubi samotność. Po raz drugi zostałem osierocony.

CHANTAL DELSOL 3

Konstanty, który dotąd rządził tylko własnym czasem, zaczął notować rozkład zajęć Julii.

Granicząca z obsesją czułość, jaką żywił do Eleonory, a także aura tajemniczości, jaką otoczone było to nieobecne w jego życiu dziecko, pozbawiły go wrodzonego spokoju i opanowania. On, który nigdy nie czekał na próżno, zaczął czatować na to, czego go pozbawiono. Wypytywał niby to od niechcienia o codzienne zajęcia małej, zapisywał w kajecie godziny jej spacerów niczym zazdrosny kochanek. Czekał ukryty za rogiem ulicy Falguiere, wiedząc, że Julia lada chwila uda się

na czwartkową lekcję solfeżu. Widział ją ubraną w kapelusz i rękawiczki, gdy prowadząc dziecko za rękę wychodziła z budynku. Podążał w ślad za nimi, utrzymując bezpieczną odległość. Droga zajmowała im około dwudziestu minut, a on przez cały czas drżał z obawy, że zostanie zauważony. Eleonora szła przed nim w długim granatowym płaszczu i sznurowanych bucikach. Pożerał ją wzrokiem, nie zwracał uwagi na to, co robi - wchodził w kałuże, potraçał przechodniów, jakby był pijany. Gdy wychodziła ze szkoły, czekał na nią w grupie rodziców przed ogrodzeniem. Julia pojawiała się zawsze w ostatniej chwili. Wtedy chował się za drzewem, by być świadkiem ich codziennego powitania, tak czulego, jakby któraś wracała z podróży. W sobotnie popołudnia matka z córką wybierały się często do sklepów, aby kupić ubrania. Śledził je w metrze, ośmielając się wsiadać do tego samego wagonu, towarzyszył im z daleka w "Samaritaine". Stał nieruchomo pomiędzy wieszakami pełnymi ubrań, zerkając z bólem na dziewczynkę, która wychodziła z przymierzalni wystrojona w nowe fatalaszki i rozpromieniona.

Wiedział także, iż podczas tych tradycyjnych wypraw Julia i Eleonora prowadzą nie kończące się rozmowy, ale nigdy nie udało mu się uchwycić z nich nawet strzępka, nade wszystko dbał bowiem, by go nie dostrzegły. Ta spokojna, pełna czułości bliskość matki i córki pozwoliła

116

WARIATKI

mu zaznać czegoś, czego dotąd życie mu oszczędziło - zazdrości. Dziecko raz po raz zadawało pytania, pokazując coś palcem, matka chwytając ów niegrzeczny paluszek. Mała unosiła noski nad półkę, przypatrywała się przechodniom, a Julia szeptała jej do ucha sekrety, których zapewne nie można było zapomnieć. Zatrzymywała się zdziwiona przy żebraku, który leżał na chodniku, a matka odciągała ją, niecierpliwiąc się. Po chwili mała biegła za nią, nie mogąc nadążyć.

Naśladowała miny postaci z plakatów, a wtedy Julia śmiała się wesoło. Pod koniec dnia zmęczone dziecko powłóczyło nogami i wyciągało rączki, prosząc, by je ponieść, a Julia pochylała się nad małą, gładziła ją po główce i za pomocą zagadkowych argumentów nakłaniała, by szła dalej samodzielnie. Konstany domyślał się, że te dwie istoty łączy wiele obietnic i wspaniałych planów. Pożerał je wzrokiem, gdy siedziały w kawiarni, gdzie mała piła oranżadę, albo kiedy przeglądały żurnale w księgarni, i serce mu zamierało. To szczęście przerastało najśmielsze oczekiwania.

Wierzył, że jest z Julią szczęśliwy, ale zapewne nic jeszcze nie rozumiał, bo ten cud przerastał granice jego wyobraźni. Oddałby dwadzieścia lat życia za tę namiastkę szczęścia.

Trwało to miesiącami i latami. Konstany odkrył w sobie duszę podglądacza i włóczęgi, pod szkołą czuł się jak stary satyr, który czyha na małe dziewczynki. Zdarzało się, że ekspedientki w wielkich magazynach zauważały jego manewry, a pewnego dnia musiał się nawet wymknąć, zobaczył bowiem, jak jedna z nich telefonuje, przypatrując mu się z przerażeniem w oczach. Mimo to nie zaprzestał śledzenia córki i kochanki. Zdołał nawet trochę poznać małą. Eleonora była dziewczynką pogodną i dobrze wychowaną. Kiedy po raz pierwszy ujrzał jej buzię, stojąc za parawanem przy straganie ze słodyczami, dostrzegł, jak bardzo jest do niego podobna i przeszło mu przez myśl, że to naprawdę jego dziecko, córka Konstantego, a nie Lucjana. Natychmiast jednak ogarnął go wstyd, bo przyłapał się na gorącym uczynku, na nieufności. Uciekł zadziwiony

117

CHANTAL DELSOL

i zmieszany. Wiedział, że Eleonora nie chce nosić długich warkoczy, które stale się rozplatają, bo zauważył jej grymas, kiedy matka po raz kolejny wiązała jej ogromne kokardy. Zresztą pewnego dnia, latem, dziewczynka wyszła z domu bez kapelusza, z włosami obciętymi tak krótko, że przypominała pisklę, które wypadło z gniazda. Rzuciła wokół triumfalne spojrzenia, toteż Konstany domyślił się, że w końcu zdołała namówić Julię na pozbycie się tych przeklętych warkoczy. Żałował matczynego ustępstwa i przez kilka tygodni przyzwyczajał się do trójkątnej twarzyczki, której nie zdobyły już długie włosy. Duże, pełne żaru oczy dziewczynki zachłannie pożerały przestrzeń. Był świadom, że Eleonora

chce wszystko wiedzieć, a odpowiedzi zamiast zaspokajać jej ciekawość, rodziły nowe pytania. Wskazywała każdą tablicę pamiątkową, każdą reklamę opatrzoną dłuższym tekstem. Trzeba było natychmiast wyjaśnić jej, co znaczy "gaz na wszystkich piętach" albo "zakaz naklejania ogłoszeń".

Wszystko ją interesowało i gdyby Julia do tego dopuściła, siadłaby na chodniku, żeby przeliczyć drobne rzucane do kapelusza ulicznego skrzypka albo wdałaby się w długą rozmowę z konduktorem, który kasował bilety. Konstanty w duchu gratulował sobie, że Eleonora z zachwytem przegląda się w lustrach i witrynach, uważał bowiem, że kobieta, która nie zwraca uwagi na swój wygląd, nie jest prawdziwą kobietą. Odkrył jednak coś ważniejszego, co napełniło go niepokoje i spowodowało, że tym pilniej oddawał się pracy detektywa. Był przekonany, że Eleonora nie kocha życia. Wieczorami po powrocie do domu usiłował sprecyzować i przeanalizować to przecucie, ale nie potrafił. Ta bezpodstawną myśl, a raczej wrażenie, dręczyła go bardzo długo. Szybko dowiedział się, że tylko jeden problem sprzeczek zakłóca harmonię między matką a córką - jedzenie. Było jasne, że Julia nie traci żadnej okazji, by posadzić małą przy talerzu z czymś pysznym, namówić na ciastko z jabłkiem, latem kupić lody, a zimą gorące kasztany. Eleonora uporczywie odmawiała, a gdy już dla świętego spokoju godziła się przyjąć łakocie, robiła co w jej mocy, żeby pozbyć się niechcianego prezen-

118

WARIATKI

tu, uciekając się nawet do podstępów. Konstanty wiele razy widział, jak niepostrzeżenie rzuca kasztany ptakom albo upuszcza ciastko z rodzynkami pod drzewo. Kiedy chcąc wypocząć po męczących popołudniowych zakupach, przysiadali w herbaciarni, Eleonora siedziała nad ciastkiem francuskim, którego wcale nie chciała, ale nie grymasiła jak rozpieszczone dzieci, tylko spoglądała na matkę błagalnie i z żalem. Konstanty zdawał sobie sprawę, że nie chodzi tu tylko o przejściowe kaprysy dziecka. Troska, z jaką Julia podchodziła do tej błahej z pozoru kwestii, pozwalała domyślać się wagi kryjącego się za nią problemu. Przez te lata Konstanty zauważył, że kiedy Eleonora przymierza nowy strój, Julia ocenia efekt, wiąże pasek, zapina guziki na plecach i zawsze wykonuje podobny gest, oznaczający, że sukienka jest za szeroka. Martwiła się z tego powodu. Eleonora odwracała się do matki jakby nagle zawstydzona, wyraźnie nie czuła się jednak winna. Konstanty był przekonany, że problem z jedzeniem to tylko wierzchołek lodowej góry nieszczęść. Rosnąc, Eleonora stawała się wysoka i wiotka, jej sylwetka zdradzała mroczny lęk. Starła się zawsze mieć krótkie włosy, a ponieważ były one cienkie i bardzo jasne, jej twarz nasuwała myśl o bezbronnym rozbitku. Konstanty zastanawiał się, jakie cierpienie dręczy małą dziewczynkę, której życie jest proste i miłe, a matka kocha ją do szaleństwa. Wyobrażał sobie, że to on, całkowicie nieobecny w jej życiu, o którego istnieniu nawet nie wiedziała, ponosi odpowiedzialność za te wewnętrzne niepokoje.

Zapisz ją przynajmniej na mój kurs tańca, błagał, kiedy Eleonora skończyła siedem lat. Będę mógł spojrzeć jej prosto w oczy. Będę mógł z nią rozmawiać. Nie znam nawet brzmienia jej głosu. We czwartek po południu, o trzeciej.

Julia zawsze starała się uniknąć takiego spotkania. Wydawało jej się, że dziecko instynktownie rozpozna ojca. Ta obawa była bezsensowna, ale Julia nie potrafiła się jej wyzbyć. Ustąpiła, ponieważ Konstanty czuł się nieszczęśliwy. Lecz już wkrótce miała wyrzucać sobie tę chwilę

119

CHANTAL DELSOL

słabości. W któryś czwartek o wyznaczonej porze przyprowadziła na lekcję małą Eleonorę, speszoną, onieśmieloną, wystrojoną w nową sukienkę i w białe pantofelki. Konstanty witał je w drzwiach z chłodnym uśmiechem na twarzy. Już na pierwszy rzut oka Julia dostrzegła lęk i onieśmielenie, które go paraliżowały. Podała mu rękę jak obcemu człowiekowi, z którym wita się po raz pierwszy.

- Oto pańska nowa uczennica - oznajmiła, popychając lekko Eleonorę stojącą przed nią ze spuszczoną głową.

- Jak ci na imię? - zapytał Konstanty tonem, który miał być jowialny, i pochylił się, by spojrzeć dziecku w oczy.

- Eleonora - westchnęła tak cicho, że nikt jej nie usłyszał.

Julia miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Mała uniosła głowę, aby spojrzeć w twarz Konstantego, skoncentrowanego i wzruszonego, a na jej twarzy pojawił się uśmiech zdolny podbić

każde serce. Te dwie twarze były do siebie podobne, trójkątne, ulepione z tej samej jasnej gliny, rozświetlone blaskiem oczu. Julia po raz pierwszy dostrzegła w ich zdziwionych minach, w powściągliwej radości ten sam zarys wąskich ust, podobieństwo wydatnych policzków. Te dwie istoty zostały narysowane tą samą ręką, zrodziły się z tej samej inspiracji. Trudno było tego nie dostrzec, dziecko musiało zauważyć, że ma sobowtóra. Julii brakło tchu. Zupełnie jakby ktoś przyłapał ją na gorącym uczynku. Jedno z jej najstraszliwszych kłamstw miało się nagle wydać, wraz z nim zniknąć musiały wszystkie jej kryjówki, upaść wymyślne argumenty. Teraz przyjdzie jej odpowiadać w obecności dziecka przed trybunałem honoru. Eleonora niczego jej nie oszczędzi. To trwało tylko sekundę. Konstanty wyszeptał coś jakby: "ładne imię", potem wyprostował się i zaprowadził małą do sali, a przekraczając próg, odwrócił się i poprosił Julię, żeby przysłała za godzinę. Julia czuła się, jakby wykradł jej córkę. Odeszli w milczeniu; Eleonora nawet się nie obejrzała, a przecież mówiono, że kiedy złoczyńca

WARIATKI

dopuszcza się tego typu zbrodni, dzieci nigdy się nie bronią, tylko zafascynowane podążają za porywaczem.

Przez godzinę błądziła po okolicach Saint-Lazare, przystawała przed wystawami, ale niczego nie widziała. Wyobrażała sobie różne dramatyczne sytuacje, ale żadna z nich nie była dość potworna, żeby wyrazić uczucie doznanej klęski. Wróciła o czwartej i zastała Eleonorę samą w holu, gotową do wyjścia, z granatowym płaszczem w ręku i chłodnym spojrzeniem.

- Jak było?
- Dobrze - odparła Eleonora, ale w jej głosie wyczuwało się fałsz. - Więcej tu nie przyjdę.
- Dlaczego? - Julia ujęła ją za rękę i poprowadziła ku schodom.
- Nie chcę spotykać się z tym nauczycielem.
- Tak? A to dlaczego?
- Nie wiem.
- Nie wiesz? Spróbuj mi to wyjaśnić. Eleonora wpatrywała się w schody. Jej głos zdrzął.
- On mnie już zna.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Nie wiem.

Wyszły na ulicę, gdzie jak w każdy wolny od nauki dzień pełno było dzieciarni. Julia niczego nie rozumiała, ale wszystkiego się domyślała. Uznała, że nie warto nalegać. Nigdy nie uważała za słuszne powodować dzieckiem wbrew jego woli.

Gdy szły bulwarem Haussmanna, Eleonora przerwała milczenie i szepnęła znowu, kręcąc głową:

- On mnie już zna!

Mówiło się o remilitaryzacji Niemiec, a tymczasem Leon Blum głosił ideę powszechnego pokoju. Konstanty słuchał go przy goleniu w trzeszczącym starym radio.

120

121

CHANTAL DELSOL

Zaklął - to hańba, Blum ma czelność mówić to, a równocześnie wysyła broń czerwonym w Hiszpanii. Próbował dodzwonić się do Julii, ale nikt nie odbierał. Wyszedł, by się z nią spotkać; był pewien, że jest w Operze. Musiał wyrzucić z siebie gniew, usłyszeć głos, który doda otuchy. Czuł, że przyjdzie mu po raz wtóry czekać na kataklizm, lecz tym razem młodość nie doda mu już siły, nie pomoże spoglądać na apokalipsę jak na spektakl.

Szedł bulwarem des Capucines jak lunatyk. Popadł w otępienie. Robiło mu się ciemno w oczach. Miał ochotę krzyknąć przechodniom w twarze, że ich obojętność jest zbrodnicza. Jakiś samochód potracił go i odrzucił na skraj chodnika. Ratownicy znaleźli go w rynsztoku, gdy leżąc, głośno marzył zapatrzony w niebo. Mówił o przegranej wojnie. Bredzi, stwierdził pielęgniarz, unosząc rannego. O jakiej wojnie on mówi? Konstanty zemdlął w samochodzie, lecz nim stracił przytomność, głośno opowiadał o generale, który pośród zalanych trupami pól pszenicy obwieszcza złożenie broni. To weteran, stwierdził pielęgniarz. Tacy jak on stale myślą o wojnie. Na szczęście nikt ich już nie słucha.

Konstanty ocknął się w szpitalu i ujrzał stojącą przy jego łóżku Julię.

- Widziałaś? - zapytał. - On się zbroi, my rozbrajamy. I nikt sobie z tego nic nie robi. Julia zaniepokoiła się.

- O czym ty mówisz? Uspokój się. Jak się czujesz?

- Ja? To drobiazg - szepnęła, uśmiechając się. - Nie dostałem w głowę. To tylko nogi.

Julia milczała. A zatem nie pomyślał jeszcze, że...

- Wiesz - powiedział Konstanty - nie będę już tańczył. Zresztą to i tak musiało kiedyś nastąpić. I to wkrótce. Ale sądziłem, że będę mógł stopniowo oswoić się z myślą o odejściu. Od dawna przypatruję się w lustrze coraz mniej sprężystemu ciału. Wyszukuję usterki. Przyglądam się sobie jak nastolatek dziwiący się przemianom, jakie w nim zachodzą. Pragnąłem wytrzymać jak najdłużej.

122

WARIATKI

Pogodziłbym się z zejściem na dalszy plan. Ale to... Na rogu bulwaru, tylko dlatego, że rozściewiała mnie jakaś wiadomość w radiu. W kurzu dnia powszedniego. To jak kara bez zbrodni. Będę połową człowieka. Przystaniesz mnie kochać.

W pierwszych dniach wiosny, kiedy wszyscy zaprzątnięci byli wystawą światową, Lucjan bez uprzedzenia wcześniej wrócił z Kongresu. Otworzyła mu nowa kucharka i na powitanie ośmieliła się wyciągnąć do niego rękę. Potem oświadczyła, że została zatrudniona tuż przed wyjazdem pani, tydzień temu. Lucjan nie był zaskoczony. Nie zapytał, gdzie jest Julia. Od lat wiedział o wszystkim, o niczym w zasadzie nie wiedząc, i po prostu dla spokoju ducha okłamywał samego siebie. Tym razem przyszło mu spojrzeć prawdzie w oczy, lecz nawet w takiej chwili nie doznał wstrząsu. Żył ze swymi podejrzeniami, które jakiś czas temu przeistoczyły się w bolesne przeczucia. Mimo to wciąż tłumił je w sobie, tłumaczył, jakby to on był winny. Niewierność Julii była dla niego ciosem w samo serce, zamiast jednak oskarżać ją i czynić wyrzuty, wyciągnął tylko wnioski co do własnej osoby. Był miernotą. Zawsze miał się za nieudacznika, ale ta sprawa

pograżała go. A rozstrzygnięcie problemu przerastało jego możliwości. Prawdę mówiąc, od dnia ślubu nie miał pojęcia, co też może się dziać w głowie jego żony. Zakochał się w niej, ponieważ była ładna. Wydawało mu się, że to wystarczy, zgodnie z powszechnie przyjętymi normami.

Niestety, uśmiech Julii, zamiast wyrażać ją całą, jak zakładał początkowo Lucjan, rychło okazał się tylko niezbyt ważną, powierzchowną cechą, w dodatku zaś - mylił i łudził. Oczywiście Julia miała wiele uroku, a ponieważ ją podziwiano, nieco blasku spływało i na Lucjana, który czerpał z tego korzyści

123

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

należne właścicielowi. Mężczyzna, który ma taką żonę, musi być obdarzony szczególnymi talentami, bo przecież podbił jej serce i pozyskał akceptację jej rodziny. Spoczywające na niej spojrzenia zwracały się także na niego. Dostrzegając iskierki zazdrości, czuł się dumny i uszczęśliwiony niezasłużonym podziwem. Julia powinna była zadowolić się swą śliczną buzią, to rozumiało się samo przez się. Jednakże ona od początku rozmyślała nad poważnymi sprawami, a Lucjan ledwie dostrzegał ogromny żal za nie wiedzieć jakim wcześniejszym życiem i kilometry burzących się wspomnień, mglistych, utkanych z niedostrzegalnego gołym okiem buntu. Ten problem go przerastał. W swoim otoczeniu nie spotkał ani jednego podobnego przypadku. Niepokój łączył się nie z samą zdradą, bo przecież zdarzały się takie sytuacje, ale ze wszystkimi nieznanymi skutkami, które ze zdradą się wiązały - zdrada oznaczała sekrety i zacieklej sprzeciw trwający od wielu lat. Dowodziła nie przygodnego spotkania, lecz woli i premedytacji, które wprawiały Lucjana w przerażenie.

Opuścił dom i wrócił w zapowiedzianym terminie, jak gdyby nigdy nic. Zastał Julię w salonie, w naturalnej pozie kobiety, która udaje beczynność, ponieważ w zasadzie nie ma poważniejszych zajęć, i czeka na małżonka, jak przystało na dzielną niewiastę.

Usiadł obok niej, rozbudzając w sobie gniew, który miał mu zastąpić odwagę. Wyszeptał, że wrócił

niespodziewanie już w poniedziałek, ale nie było jej w domu, zresztą od dawna jest to dla niego oczywiste - zdradza go. Julia nie zaprzeczyła. A tak, przytaknęła, jakby pytał, czy przyniesiono już z pralni jego garnitur. Sądził, że ją zaskoczy, lecz okazało się, że to on jest bardziej zaskoczony tym bezwstydnym przyznaniem do winy. Patrzył na nią zagubiony.

- Co teraz zrobimy? - pytał błagalnie. Wzruszyła ramionami.

- Co zechcesz. Co tylko zechcesz.

Zamilkł. Pragnął coś powiedzieć, ale wszystko plątało mu się w głowie. Ta obojętność... Czego właściwie chciała,

124

czego chciała od samego początku? Gotów był wszystko jej wybaczyć. Ale nie prosiła o wybaczenie. Była spokojna, zdeterminowana, niezłomna. On tylko nieszczęśliwy.

- Gdzie byłaś? - zapytał.

- W Paryżu, niedaleko stąd.

Spędziła tydzień u Konstantego, lecząc jego depresję pod pozorem leczenia nogi. Od śmierci Diagilewa tańczysz przez pamięć o nim, mówiła. Teraz możesz się zająć scenografią. Sięgnij do projektów, które mi pokazałeś. Uzyskasz kontrakty tu, w Ameryce, na całym świecie. Ja zrobię dekoracje. Śmiejesz się? Widzisz, potrafisz się jeszcze śmiać. Wojna? Tym razem wyruszymy na nią we dwoje, Kostia.

Sąd odbył się w domu Dominika. Ferie wielkanocne upłynęły na śledzeniu postępów wojsk niemieckich w Norwegii, lecz w rodzinie tlił się inny kryzys. Wszyscy szeptali po kątach. Julia wiedziała, że zagrożenie nadciąga ku niej z wielu stron. Czuła się jak osaczony żołnierz. W kuchni, w korytarzach, wszędzie rozbrzmiewały rozmowy, które milkły, gdy nadchodziła. Chwytała porozumiewawcze spojrzenia, starała się oszacować wagę ciszy. Zrozumiała, że Lucjan nie ma siły podjąć decyzji ani w pojedynkę rozpocząć dyskusji z żoną. Postanowiono załatwić to przy kawie, podczas burzy, gdy za oknem wiał wiatr. Widząc całą czwórkę w doskonałej zgodzie, oczekującą na niesłyszalny gong, zrozumiała, iż czas nadszedł. Przeszło jej przez myśl, że rodzice siedzący teraz na kanapie postarzeliby się o sto lat od chwili, gdy Lucjan poprosił o jej rękę. On sam stał za nimi, obok Gildasa, który był dlań obrońcą, doradcą i pocieszycielem. Nie czuła się winna wobec rodzinnego areopagu. Uważała się raczej za sędziego, który za sprawą pomyłki losu ma być sądzony.

Najpierw opisano haniebne czyny, których się dopuściła. Henryk gniewnym głosem oznajmił, że splamiła honor rodziny. Rozalia, trzymając na kolanach ostami numer "Marie-Claire", magazynu dla nowoczesnych pań, dręczyła ją jednym pytaniem: a zatem nie kochasz męża?

l L

'i'

i',

125

CHANTAL DELSOL

Nie kocha się na rozkaz, odparła Julia. To Lucjan mnie wybrał, nie ja jego.

- Dobrze. Lucjan jest gotów ci wybaczyć - oświadczył Henryk grobowym głosem.

- Dlaczego sam mi tego nie powie?

- Ja tu jestem od zadawania pytań! - krzyknął Henryk.

- Mam przeszło czterdzieści lat - powiedziała spokojnie. - Zadałam w życiu dość pytań, by spędziły mi sen z oczu. Jak dotąd wszystkie pozostają bez odpowiedzi.

- Wrzuciła do kawy kolejną kostkę cukru.

- Zastanawiam się, dlaczego jesz tyle słodczy

- wtrąciła Rozalia. - Od tego psują się zęby.

- Czy wreszcie pomówimy poważnie? - jęknął Henryk. - Lucjan chce ci wybaczyć, pod warunkiem że natychmiast przerwiesz tę... pomyłkę. - Wypowiadając ostatnie słowo poczerwieniał, nie znalazł odpowiedniejszego, ale wstydził się tego, którego nie miał odwagi użyć.

Julia uśmiechnęła się.

- Błąd tkwi w czym innym. Całe moje życie to długie pasmo pomyłek. Gdy rozdawano karty, mnie

trafiły się fałszywe. Za kulisami gram prawdziwymi. Nie mam wyboru.

- Co ty opowiadasz? - zapytała Rozalia. - Nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna od dziecka mówi zagadkami.

- Zamilcz - przerwał Henryk. - Obiecujesz, że to się już nie powtórzy? Tak czy nie, Julio?

Gwałtowny wiatr, który od dawna uderzał o szyby, wreszcie otworzył jedno z okien balkonowych. Za unoszącą się zasłoną Julia dostrzegła sylwetkę Patryka. Nie miał połowy twarzy. Wolno przeszedł przez pokój, jedynym oknem zerknął beztrudnie na rodzinę i zniknął za ścianą.

- Zastanawiam się, co pomyślałby o tej żalostnej rozmowie Patryk - powiedziała Julia i jednym haustem wypła kawę. - Dlaczego krążymy wokół problemu? Możecie mnie przecież wypędzić! To proste.

126

WARIATKI

Lucjan zwiesił głowę, a z jego ust wyrwał się dźwięk przypominający szloch. Tylko bez współczucia, mruknęła pod nosem Julia. To nie mnie wciąż kocha, lecz własną reputację.

- Co powiedziałaś? - spytał.

- Nic.

Henryk wygłosił patetyczną mowę. Nikt jej nie wygania. Sama chce odejść. Rodzina nie wyrzuca swych członków. A zwłaszcza samotnych kobiet. Są tacy ludzie i są inni ludzie, i zbuntowane jednostki gotowe przez głupstwo zgotować sobie nieszczęsny los, co wiadomo z doświadczenia...

- Uspokój się, tato - przerwała łagodnie. - Tu nie chodzi o bunt, ale o wzdarcie. Powiedzmy, że dobrowolnie się wykluczam. Zresztą interpretacja nie ma znaczenia.

- Gdzie podziałas obrączkę? - zapytała Rozalia. Julia spojrzała na swój palec. Zdejmowała obrączkę co

rano przed wyjściem do opery, zakładała ją co wieczór, w końcu gdzieś ją zapodziała.

Zapadła cisza. Julia miała wrażenie, że kurtyna opada. Teraz miał się zacząć kolejny, już wcześniej przygotowany akt.

Oznajmiono jej, tym razem z żalem, że nie będzie mile widziana ani w tym domu, ani w paryskim. Taka niejednoznaczna forma odtrącenia wzbudziła jej oburzenie. Czuli, że traci panowanie nad sobą, miała ochotę zerwać ze stołu obrus i wytłuc cały serwis z Limoges albo wykrzyczeć Lucjanowi prosto w twarz, co myśli o jego wrodzonym tchórzostwie. Ale w tej samej chwili w jej duszy zrodził się inny niepokój.

- Co z dziećmi? - zapytała.

Guy i Martin mieli zostać przy ojcu. Zrozumiała, że już wybrano dla nich studia. Ona zatrzyma Eleonorę, owoc jej upadku.

- Z czego będziesz żyła? - zapytał Gildas, który dotąd milczał, w skupieniu słuchając rozmowy.

-Przypuszczam, że kochanek jest w stanie cię utrzymać?

127

CHANTAL DELSOL

Te dwa słowa cuchnęły skandalem. Julia powstrzymała drwiący uśmiech. Ludzie chętnie potęgują skandale.

- Nie, nie będzie mnie utrzymywał - powiedziała. - To imigrant.

Znów zapadła cisza - jej krewni byli skonsternowani, zawstydzeni i po prostu wściekli. To Turek, a może Ormianin albo któryś z tych Bułgarów, z którymi nie wiadomo, co począć!

Julia wstała i wyszła z pokoju, zerkając po drodze w głąb korytarza, aby sprawdzić, czy duch

Patryka nie snuje się nadal po domu. Potem wróciła do swego pokoju i napisała list do Konstantego. Przyłapano nas jak parę złodziei. Tym razem postanowili mnie wyrzucić, ale razem z Eleonorą. Nie będzie cierpiała. I tak wyczuwa, że Lucjan nie jest jej ojcem. Będziesz mógł częściej ją widywać, choć jej obecność pobudzi twój niepokój. Można by rzec, iż bardzo się stara wytrwać na tym świecie, na który ją powołano. Dużo się uczy, ale wydaje się niczego nie oczekiwać.

Niepokojuj mnie ta jej pogoda. Zupełnie jakby żyła we śnie. Ale to nic. Pomożesz mi. Jednak nie jestem jeszcze gotowa wyznać jej całej prawdy.

Julia nie wpadła w rozterkę ani rozpacz. Zabrała z domu Dominika wszystkie rzeczy osobiste.

Przyjęła zamówienia na wystrój wnętrz i portrety dzieci. Wróciła po Eleonorę i wynajęła mieszkanie w żółtej kamienicy przy ulicy de la Seine. Gdy układała lalki i wieszala obrazy, usłyszała w radio głos obwieszczający wkroczenie armii niemieckiej do Paryża.

Linia demarkacyjna przebiegała dalej na północ, dzieliła niczym cięcie nożem, który trafia przypadkowo - los oszczędził dom Dominika. Henryk Erevanne otrzymał list od Julii - nie miał na to nadziei, rodzinna kłótnia była jeszcze tak świeża, Julia nie dawała dotąd znaku życia, a jej

128 WARIATKI

milczenie stary człowiek odbierał jak groźne pomruki nadciągającej burzy. Wyrzucał sobie, że był zbyt surowy, spoglądał w przyszłość - w swe ostatnie dni - i myślał: to siebie ukarałem, cóż ja zrobiłem, co ja zrobiłem. Uśmiechnął się radośnie, gdy zadyszany listonosz podjechał stromą ścieżką i wręczył mu kopertę zaadresowaną

znajomym charakterem pisma. Biegał po całym domu, szukając spokojnego kąta z dala od żony, aby nacieszyć się do woli tym darem. Usłyszał dobiegający z piętra kaszel Rozalii, skrył się więc w gabinecie na parterze, zamknawszy za sobą drzwi.

Julia prosiła, żeby przyjął do siebie Eleonorę i zajął się nią do zakończenia wojny. W Paryżu było trudno o żywność. Nic nie wskazywało, by sytuacja miała ulec poprawie. Oczywiście, pisała Julia, Rozalia jest zmęczona, a Henryk nie przywykł do opieki nad dziećmi. Ale Eleonora to grzeczna dziewczynka. Julia nie poczyniła najłżejszej aluzji do sceny zerwania. Pisała wyłącznie o dziecku. Henryk czytał list głośno, powoli składając sylaby - zostawił okulary na górze i bał się po nie iść, żeby nie wzbudzić zainteresowania Rozalii. Czytał niepewnie, mrużył oczy. Julia pisała, że musi zostać w Paryżu, gdzie zatrzymują ją ważne obowiązki. Henryk oparł się o framugę okna, przerwał lekturę i zastanawiał się, czy była zdolna zaangażować się w działania ruchu oporu. Gotów był iść o zakład, że jest do tego zdolna. Od dziecka nie postępowała jak inni, a teraz...

W tej chwili zauważył, że w pokoju siedzi Frantz, cichy jak bibelot na półce. Tkwił w skórzanym fotelu i spoglądał na niego, uśmiechając się ironicznie.

- Twoja córka działa w Resistance - powiedział Frantz. - Nie mogło ci się przytrafić nic dziwniejszego.

Henryk wpadł w gniew. Wymachiwał listem przed nosem natręta - szpiegujesz mnie, podsłuchujesz, zamilcz, skąd przyszedł ci do głowy ten absurdalny pomysł. Poczzerwieniał na twarzy i aż drżał.

Podszedł do fotela, w którym rozpiętał się Frantz.

••- *"•&

9 Wariatki

129

CHANTAL DELSOL

- Właściwie mógłbym cię zadenuncjować - krzyknął. - Przecież jesteś Niemcem i powinieneś być teraz gdzie indziej.

Frantz podniósł na niego beznamiętne spojrzenie.

- Pozbyłbyś się ostatniego świadka? Za cenę oskarżeń o tchórzostwo? Przecież żałujesz, że Julia odeszła. Nie dorzucaj grzechu do grzechu. Przynoszę ci szczęście.

Henryk wzruszył ramionami i wyszedł zająć się przyziemnymi, prostymi sprawami, których złożoność wprawiała go w przerażenie: w którym pokoju ulokować małą dziewczynkę bojącą się ciemności nocy? Czy codziennie uda się zdobyć dla niej mleko? Kto mógłby szybko zamurować studnię w kącie ogrodu?

WARIATKI

,*.-

Ceną za urok domu Dominika była jego izolacja. Odpowiedniej szkoły nie było w okolicy za czasów Patryka, nie było również teraz, kiedy uczyła się Eleonora. Odbierzesz najlepsze wykształcenie, obiecała jej Julia. W tej sprawie pieniądze nie grają roli. Zadbam o to. Henryk Erevanne odbył rozmowę z nauczycielem, który nazywał się Marek Epstein.

- Wie pan, że jestem Żydem? - zapytał nauczyciel z lekką ironią w głosie.

- Tak, oczywiście wiem o tym, ale jakie to ma znaczenie, liczy się pańska reputacja...

Mężczyzna spojrzał Henrykowi w oczy, starając się wyrazić to, czego nie śmiał ująć w słowach: "Teraz mówię raczej o pańskiej reputacji, właśnie dlatego zadałem panu to pytanie."

- Będę przychodził codziennie rano-zaproponował. - Dziękuję za zaufanie. Mam nadzieję, że się pan na mnie nie zawiedzie. Lubię dzieci.

130

- Proszę raczej zamieszkać u nas. I nie chodzić do miasteczka. Nie wiadomo, co jeszcze może się wydarzyć. Domownicy zachowują dyskrecję.

Nauczyciel wydawał się zaskoczony.

- Zgoda - rzekł. - Tak właśnie zrobimy. Przeprowadzę się możliwie dyskretnie. Nie chciałbym być pańskim dłużnikiem - odplacę zaufaniem za zaufanie.

- Znowu mówił tonem lekkiej ironii: "Nawet jeśli to ja bardziej ryzykuję."

Epstein pojawił się nazajutrz przed południem. Przyszedł pieszo, dźwigając dwie kartonowe walizki. Wszedł tylnymi drzwiami. Henryk natknął się na niego w kuchni.

- To cały pański majątek? - zdziwił się.

- Tak, miałem jeszcze wiolonczełę, ale byłaby jak sztandar, więc ją sprzedałem.

- Przeznaczyłem dla was pralnię - oznajmił Henryk.

- To najlepiej ogrzewane pomieszczenie w całym domu. Będziecie tam mieli spokój. Proszę, żeby uczył pan małą łaciny i greki. Książki znajdzie pan w bibliotece. Jej upodobania? Nie mam pojęcia. Mówi, że chce zostać lekarzem, ale ja w to nie wierzę. To dziecięcy kaprys. Musi mieć ogólną kulturę. To wystarczy. Kobieta, która jest ignorantką, plecie głupstwa w salonach. Nie sądzi pan? Epstein również był starym człowiekiem. Jego wiek był mniej widoczny na jego gładkich policzkach niż w jego skłonności do zadumy. Patrzył na ludzi z wyrozumiałością. Pytanie Henryka wydało mu się śmieszne. Tak, powiedział, być może, od dawna nie bywam w salonach, a tym bardziej nie widuję się z kobietami, ale dlaczego nie miałyby zostać lekarzem; będziemy uczyć się greki, proszę pana, dzięki temu już teraz pozna nazwy wielu chorób.

W pralni panoszył się duży kafłowy piec i pracowało kilka cichych, pełnych godności kobiet.

Epstein zastanawiał się czasami, czy ulokowano go tu ze względu na temperaturę czy też po to, żeby zawsze pozostawał pod nadzorem. A jednak domowa krzątanina nie zakłócała ich spokoju i nie przeszkodziła zawrzeć przyjaźni. Już przy

131

CHANTAL DELSOL

pierwszym spotkaniu Eleonora przełamała bariery konwenansów i przeszła do sedna sprawy.

Widząc tę stojącą prosto przy krześle dziewczynkę, która wyciągnęła rękę, spoglądając nań pełnymi zapału oczyma, nauczyciel domyślił się, iż zaczyna się dla niego niezwykła przygoda.

- Nie wiem, czy będę dla pana odpowiednią towarzyszką - oznajmiła wprost. - Pan jest taki mądry, a...

Epstein wybuchnął śmiechem.

- A ty jesteś tylko małą dziewczynką! Ale już dość dużą, by powiedzieć coś takiego. Twoje zadanie nie polega na dotrzymywaniu mi towarzystwa. Proszono mnie, żebym cię uczył. Za to mi płacą i... - rozejrzał się wokół

- i tymczasowo mnie ukrywają. - Jego głos brzmiał teraz posepnie. - Jednakże, jak się domyśliłaś, rzeczywiście brak mi rozmówców. Życie w miasteczku jest monotonne. Można pogawędzić z aptekarzem, który przeczytał w życiu parę książek. Ale reszta... Listy docierają tu z dużym opóźnieniem, czasami wcale, bo poczta marnie teraz funkcjonuje, a ludzie, którzy mogliby je pisać, gdzieś zniknęli. Muszę zachowywać swoje przemyślenia dla siebie. A jeśli wojna miałaby potrwać długo... - Uśmiechnął się gorzko.

- Może po śmierci, tam na górze, będę mógł wreszcie żyć w Republice Uczonych.

- Jeżeli miałabym wybierać, wolałabym Republikę Świętych - szepnęła cichutko Eleonora, jakby obawiała się, że mówi głupstwa lub że te słowa usłyszy przypadkiem prasowaczka, która pozorną obojętnością na pewno maskuje ciekawość plotkarki.

Epstein nie odpowiedział. Przypatrywał się jej, myśląc: co to za, dziecko, można by uznać, że mnie poucza, słowo daję, to jej powinni płacić za to, że mnie uczy, a robi przy tym niewinną minkę,

jakby przy obiedzie prosiła o sól. Spoglądał na kojący nerwy bałagan wokół nich.

- Ten dom od dawna należy do twojej rodziny?
- Chyba od ponad dwustu lat. Do mojego dziadka wszyscy pierwородni synowie nosili imię Dominik.
- A jak nazywa się to pomieszczenie?
- To zależy. Przed wojną, pralnia. Teraz to szwalnia.

132

WARIATKI

- Ach! - Rozmarzył się. - Proponuję nazwać je w przyszłości muzeum zapomnianych przez historię.

Uśmiechnęła się. Sięgnęła po ołówek i napisała: Muzeum Historii i zapomnianych przez Historię.

- Wszystko rozumiesz - stwierdził z satysfakcją. - W takim razie zacznijmy lekcję greki. - Otworzył podręcznik gramatyki na pierwszej stronie, tej z alfabetem.

Eleonora popatrzyła na białe margerytki za oknem, a potem pochyliła się nad obcymi literami.

- Tęsknisz za ogrodem? - zapytał życzliwie. Przecząco pokręciła głową.
- Czy pan biegle czyta po grecku?
- Tak.
- Czy pewnego dnia będę wiedziała wszystko, co pan wie?
- Oczywiście.
- Czy to kwestia czasu? Pewnie trzeba być starym, żeby zostać uczonym?
- Niekoniecznie. Niektórzy uczą się bardzo szybko. Eleonora wyglądała na zadowoloną. Pochyliła głowę nad alfabetem, ale po chwili znów ją podniosła.

- Myślę jednak, że nie wystarczy być uczonym-szepnęła powątpiewająco. -Trzeba jeszcze... nie wiem, jak to powiedzieć.

- Skonfrontować wiedzę z życiem?

- Tak... ale jeszcze...

- Nauczyć się milczenia?

- Właśnie. Potrzebne jest jedno i drugie. Czyli: móc zapomnieć, że się wie.

- Masz rację.

- Ale to chyba wymaga wiele czasu. I trzeba długo żyć.

- Masz rację.

Wzdychając, wsadziła nos w książkę, lecz niemal natychmiast podniosła głowę.

- Proszę mi powiedzieć, co się traci, będąc starym i uczonym.

- Niewinność.

133

CHANTAL DBLSOL

- Czy to coś ważnego?

- W pewnym sensie tak. Znowu westchnęła.

- Tylko w pewnym sensie - powtórzyła z zabawną melancholią.

Położył palec na alfie, która znajdowała się na górze strony, ale teraz z kolei jego oderwała od pracy natrętna myśl. Spojrzał na Eleonorę, jakby brakowało mu istotnej informacji administracyjnej.

- Czy zawsze w taki sposób roztrząsaszesz wszystko, co masz zrobić, zanim się do tego zabierzesz?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? A to ciekawe! - Wyprostował przygarbione plecy. - No, dobrze. Czy znasz wyrażenie "alfa i omega"?

Szybko zorientowała się, że nauczyciel zawsze żyje jakby w dwóch wymiarach równocześnie. Był bliski, skupiony, niczego nie przeoczył. Ale w tym samym czasie znajdował się gdzieś daleko. Jego spokojne oczy szukały czegoś na pustym horyzoncie. Śmiech muskał słowa, przenikał wewnętrzny monolog, do którego nie posiadała klucza. Nauczyciel zdawał się nie mieć żadnych złudzeń, nie był jednak ani znużony, ani sceptyczny. Zapewne wielokrotnie poznawał nowe światy, za każdym razem dogłębniej je badając. Tak w każdym razie tłumaczyła sobie przenikliwość i spokój, z

których był utkany.

Odgadła także, że nauczyciel ją kocha - ją, Eleonorę, i to już od pierwszych chwil znajomości. Oczywiście nie kochał jej tak jak Julia, która potrafiła czytać w jej myślach i była gotowa sięgnąć dla niej po gwiazdkę z nieba. Ani jak Henryk, który pieścił w niej cząstkę własnej nieśmiertelności. To było uczucie bezinteresowne i nieprzekupne. Nie oczekiwał od niej niczego poza radością, którą obecnie wносиła w jego życie, nie liczył na nic w przyszłości. W każdej chwili los mógł zmusić go do spakowania walizki. I nigdy więcej by się nie spotkali. Ale kochał ją dla niej samej, nawet jej jeszcze nie znając i nie wiedząc, czym mu odpłaci. Sądziła, że ta dziwna postawa ma coś wspólnego ze

WARIATKI

spokojem spojrzenia i rozdwojeniem czasu. Nauczyciel żył wiele razy. Była tego pewna. Miał czas, by zawrzeć pakt ze wszystkimi bytami. Zazdrościła mu.

- Zauważ - mówił - że omega jest tak duża jak dwa omikrony. Więcej waży i głośniej rozbrzmiewa. Nie myl ich.

Za ich plecami milcząca kobieta stała w półmroku, niezmordowanie składając bieliznę, której stos piętrzył się pod ścianą.

Julia tylko raz wpadła jak błyskawica do domu Dominika. Przyjechała nocą w czasie ulewy, sama, a jej włosy ociekały wodą. Henryk powiadomił ją telefonicznie o śmierci Rozalii. Czekał na córkę niemal w drzwiach, siedząc na twardym krześle. Lekarz przyszedł wcześniej, żeby stwierdzić zgon, ale on wyczekiwał na Julię jak na lekarza, zachowując jeszcze dzieciinną wiarę w cud.

Dowiedziawszy się o śmierci matki, Julia myślała tylko o nim. Rozalia od tak dawna była jej obca. Czyniła sobie z tego powodu gorzkie wyrzuty, bo czy można mieć tak mało uczuć wobec rodzonej matki, ale nic nie mogło zmienić faktów - całe uczucie przeniosła na Henryka, całą tę bolesną czułość przemieszana z brakiem zrozumienia. Ujrzała starego człowieka, który przycupnął na brzegu krzesła, tak zboląłego i bezbronnego, jakby uważał, że ciąży na nim odpowiedzialność za nagłą ingerencję przeznaczenia w ich życie. Przytuliła go do lodowatego płaszcza.

- Mała miewa się dobrze-szepnął. - Nie zabierzesz mi jej?

Rozalia umarła, bo nie była leczona. Właśnie tego nie mógł sobie darować. Od wielu miesięcy uskarżała się na bóle brzucha i głowy. Ale jak sięgał pamięcią, zawsze narzekała. Od schyłku minionego stulecia opisywała bóle,

135

CHANTAL DELSOL

ataki, palpacje, nie mając właściwie nic innego do powiedzenia. Wzywano do niej tylu lekarzy - młodych, starych, zwariowanych... zresztą Julia na pewno to pamięta. Wkrótce po ślubie ich dom przeobraził się w skład apteczny. A kiedy lekarz naprawdę był potrzebny... wtedy on nie wykazał dość przeczności. Nadal pozwalał, by przez dom sunęły korowody oszustów, wszelkiego autoramentu szarlatanów polecanych przez sąsiadkę, znajomych z wodą z Lourdes - krótko mówiąc, pozwalał, by działo się to co zwykle. Opowiadał o tym cicho i spieszenie, z głową wtuloną w ramiona. Wiesz, z czasem człowiek ma dość życia z urojonymi chorobami, w końcu stają się jedyną pociechą osoby zdrowej nieświadomej rzeczywistych dolegliwości, a kiedy przychodzi dzień, gdy nic nie skutkuje, okazuje się, że nie sposób nad nimi zapanować.

Julia po raz pierwszy słyszała, by w ten sposób opisywał swoją rezygnację. Długo tłumaczyła sobie jego milczenie obojętnością. Błagała, żeby nie obarczał się winą: któż mógłby odgadnąć, że po chmarze urojonych przyszła właśnie rzeczywista choroba? Henryk trochę się uspokoił. W rozpaczę zupełnie zapomniał o kłótni z córką, a nawet o gniewie, jaki wzbudził w nim domysł, że wstąpiła do ruchu oporu.

- Kazałem przygotować dla ciebie kurczaka z trybul-ką, którego tak lubiliście oboje z Patrykiem za czasów, kiedy twój brat wychwalał Ravachola.

W domu było dość miejsca, ale Julia poszła spać do Eleonory. Pragnęła słyszeć jej lekki oddech, który był jak powiew pokoju; pozwalał wierzyć, że ów jeszcze istnieje. Kiedy Eleonora po przebudzeniu zobaczyła matkę, powitała ją radosnym okrzykiem i obsypała dziecięcymi całusami.

- Tylko nie mów, że urosłam. Jesteś na to za młoda.

Zaprowadziła Julię do kuchni na śniadanie, opowiadając jej o Marku Epsteinie. Zanim Julia zapytała córkę, czego się uczy, chciała zobaczyć pokój lekcyjny. Zawsze uważała, że sceneria pozwala w połowie zrozumieć zachodzące w niej sytuacje. Kiedy była mała, zdarzało jej się siadywać na gałęzi sosny, żeby czytać zakazane romanse.

136

WARIATKI

Była pewna, że wszystkie dzieci w Europie, doskonalące teraz styl w piwnicach podczas bombardowań, w wieku dorosłym będą unikały wszelkiego nadmiaru i przesady w słowach. Wierzyła, że miejsce przenika duszę i wywiera wpływ na charakter. I że wiedza nabyta znaczy mniej niż sam proces nauki. Eleonora zaprowadziła ją do pralni.

- Właśnie tu? Codziennie? - zdziwiła się Julia.

- Tak. Tam siadamy. Zobacz.

Ujrzała okrągły stół zarzucony stosami książek, a za nim margerytki, które kwitły za oknem.

- Dziwny pomysł - westchnęła. - Dziadek pewnie myślał o zimowych chłodach. Tak bardzo się boi, że zachorujesz. Nie znosi lekarzy.

- To nie jest najładniejsze pomieszczenie w domu, ale tyle osób tu pracowało. Pan Epstein mówi, że to muzeum zapomnianych przez historię.

- Co jeszcze mówił? - Julię trochę zaniepokoiły dziwaczne idee, którymi ten człowiek nabijał głowę jej córki. Jakże niebezpieczna jest edukacja, wystarczy się odwrócić, a słowo wymyka się spod kontroli.

- Pan Epstein mówi, że jest trochę komunistą.

- "Trochę"?-powtórzyła rozbawiona Julia. - Dlaczego trochę?

- Ponieważ nic nie jest wszystkim.

- Dobrze! Wyjaśnij mi to.

- Nikt nie ma całkowitej racji.

- Niewątpliwie. Ale niektórzy całkowicie się mylą.

- To nie takie pewne. Julia zmarszczyła brwi.

- Eleonoro, za miesiąc będziesz miała czternaście lat. W twoim wieku należałoby czytywać na przykład książki Erckmanna-Chatriana.

- Dobrze, przeczytam to, żeby sprawić ci przyjemność - odparła Eleonora z rozbijającą potulnością. I dodała szybko, spuszczaając oczy: - Czy to, co robisz, jest niebezpieczne, mamusiu?

- Skąd o tym wiesz?

- Domyśliłam się. To niebezpieczne? -

137

CHANTALDELSOL

- Trochę.

- Nadal mieszkasz w Paryżu? - W tym pytaniu Julia wyczuła niepokój. Eleonora wyjechała z miasta dwa lata temu, ale wciąż chciała mieć za czym tęsknić.

- Oczywiście. I zdjęłam pajęczyny w twoim pokoju. Ale często mieszkam w pociągach. Czasami po kilka nocy z rzędu.

- Istnieje jeszcze pierwsza klasa? - Dziewczynka wyczuwała, że wokół domu Dominika powoli dogorywa stary świat.

- Nie. Wygodne wagony zabrali Niemcy. Nam pozostały tylko te z drewnianymi ławkami. Często sypia się na korytarzu, z głową opartą o barierkę przy oknie.

- Czemu służą te podróże?

- Przewożę anonimowe walizki. Stawia się taką gdzieś w kąciku, jakby do ciebie nie należała, i pilnuje jej tak, żeby nikt tego nie zauważył.

, - Ale jesteś ostrożna? Pamiętasz, że czekam na ciebie? : - Zawsze.

Eleonora ujęła twarz matki w dłoń.

- Jesteś prawie tak wysoka jak ja - powiedziała Julia re śmiechem.

, - To znaczy, że mogłabym jechać z tobą?

- Nie. Nie naraża się tego, co nie jest jeszcze pewne własnego ja. Kiedyś o wszystkim ci opowiem.

Julia została z nimi zaledwie dwa dni. Powiedziano jej, że Marek Epstein leży w łóżku z powodu silnych bólów reumatycznych. Zapukała do drzwi jego pokoju. Wyraźny wpływ, jaki miał na Eleonorę, tak wyczuwalny w jej listach, intrygował i drażnił Julię. Zastała go siedzącego w szlafroku przy stole. Zazwyczaj szlafroki starców wydzielają przykrą woń choroby i śmierci. Ale Epsteina otaczała raczej woń myśli, które snują się nocą, i nie jest im dane przelać się na papier.

- Proszę usiąść - powiedział. - Jak bardzo mała różni się od pani!

- Gdybym mogła zostać dłużej, nie zakłócałabym dziś pańskiego spokoju.

138

WARIATKI

- Wiem.

- Jak ona się miewa?

- Dziwne. Zwykle rodzice zadają inne pytanie: jak się uczy?

- W listach pisze wyłącznie o panu.

- Ponieważ ze mną spędza całe dni. Czasami pomaga kucharce w przygotowaniu konfitur. Ale to wszystko. Pani ojciec...

- Uważa dzieci za małe zwierzątka, które mają kiedyś stać się istotami ludzkimi.

- Właśnie. A ja... mam tylko ją jedną. To proste. Nauczyła mnie wielu rzeczy, których nie można się dowiedzieć z książek. - Westchnął. - Na pewno zastanawia się pani, jak córka znosi rozłąkę.

Instynktownie wyczuwa, że nie zostawiła jej pani tu, żeby oddawać się rozrywkom dla dorosłych.

Uświadamia sobie wagę tego, co pani robi. I czeka cierpliwie. Obserwuje przebieg działań na froncie wschodnim. Jest niesamowicie spokojna.

- Tak jak pan.

- Tak. Kiedy nie jest się narzędziem losu, pozostaje jedynie nauczyć się ufności. Eleonora uczy się jej równoległe z gramatyką grecką. Co do reszty... Poczyniła ogromne postępy. Chce zostać lekarzem.

- Po wojnie może robić, co tylko zechce.

- Po wojnie - powtórzył powątpiewającym tonem, jakby proszono go o potwierdzenie autentyczności czegoś, co nie mogło istnieć. - Wydaje mi się, że powinna mieć nauczyciela muzyki. Musi raz albo dwa razy w tygodniu pobierać lekcje gry na pianinie.

- Poproszę ojca, żeby poszukał w okolicy nauczyciela.

- I proszę się nie martwić. Jeżeli będzie się działo coś niepokojącego, natychmiast do pani napiszę. Tuż przed wyjazdem Julia natknęła się w salonie na Frantza. Z jego fajki wydobywały się kłęby żółtego dymu.

- Palisz liście słonecznika?

- Pałę, co mogę - burknął gniewnie.

139

CHANTAL DELSOL

- Dlaczego chłopcy nie przyjechali? - zapytała Julia. - Sądziłam, że przynajmniej tego dnia... Nie mam odwagi rozmawiać o nich z Eleonorą.

Frantz położył fajkę na skraju stołu. Kiedy palił, nie potrafił nad niczym rozmyślać.

- Posłuchaj - powiedział po chwili - Eleonora często się z nimi widuje. Ale ty...

- Jacy są?

- Wysocy. Mają w sobie prostotę tracącą szorstkością i szczerą. Jeżeli czegoś nie rozumieją, po prostu wypełniają polecenia. Wydaje mi się, że Guy uznał za prawdę surowe sądy, które wydano w twojej sprawie. Martin jednak domyśla się, że problem jest bardziej złożony. Traktują Eleonorę jak księżniczkę. Pozwól, by upłynęło więcej czasu. Zresztą nie masz wyboru.

Po chwili rozmyślał dalej głośno:

- Biedna Rozalia! Jej śmierć przeszła równie niepostrzeżenie jak choroby. A wczoraj pogrzebaliśmy ją ukradkiem... Wojna grzebie wszystko, nawet pogrzeby.

- Byłam złą córką - powiedziała Julia. - Potrafiłam się nad nią tylko litować, ale nie umiałam jej kochać. Należała do tak

odległej epoki, że właściwie nigdy jej nie spotykałam.

- To raczej ty należysz do przyszłej epoki - powiedział.

Zatrzymała się w progu.

- Nie śpij za dużo, Frantz. Pamiętaj, że pilnujesz domu.

Zmrużył oczy.

- Kłopot z tobą polega na tym, że nigdy nie byłaś naiwna. Będę nad nim czuwał.

140

WARIATKI 9

Przez następne dni, gdy jeździli rowerami po Paryżu, dostarczali listy, szukali zaginionych, zmagali się z powszednim dniem wojny, Konstanty nękał Julię pytaniami. Czy Eleonora zachowała dziecięcą pogodę ducha? Czy czytuje dramaty? Czy nadal mówi o studiach medycznych? Czy przynajmniej nie jest smutna? Niczego przede mną nie ukrywasz? Domyśla się, co tu się dzieje? Niczego nie ukrywam, mówiła. Śmieje się jak dawniej. Jak na swój wiek jest dość wysoka. Chce znów grać na pianinie. W okolicy na pewno znajdzie się jakiś chętny nauczyciel.

- Jadę pociągiem do Bordeaux - oznajmił Konstanty. - Potem pomogę ludziom na południu. Czekają na zrzut. Może zostanę tam przez jakiś czas. Nie martw się. Zadzwoń.

Nie wiedział o tym miasteczku nic, znał tylko jego nazwę. Dotarł tam piechotą. Nadal trochę utykał. Włosy ostrzygł bardzo krótko, niemal do gołej skóry, chciał zapomnieć o scenie, nie chciał, by ta wojna przypominała mu poprzednią (do Sewastopola przybył z rozbójnicką grzywą).

Zbierałam w Paryżu zdjęcia z tamtych czasów. Nie zatracił urody, która stała się może nawet bardziej niepokojąca niż dawniej, bo mając czterdzieści lat w gruncie rzeczy niewiele się postarzał. Upatrzył sobie trzy punkty strategiczne-piekarnię, sklep z farbami i mleczarnię. Wszędzie rozwiesił ogłoszenia: absolwent konserwatorium udziela lekcji gry na fortepianie.

Schronienie znalazł na plebanii. O nic go nie pytano. Codziennie sprawdzał, czy ktoś odpowiedział na jego ofertę. I bardzo się nudził. Był to czas wydarty walce, czas roztrwoniony. Ale on nie mógł zrezygnować z tej próby. Za mocno pragnął ją ujrzeć. Oddalenie doprowadzało go do obłędu. Czekał.

Henryk zostawił dla niego wiadomość w sklepie z farbami. Wyznaczył spotkanie w domu Dominika. Konstanty

141

CHANTAL DELSOL

pobiegł. Najpierw zobaczył dachy w dole. Potem mur ze złocącego się kamienia. Julia opisywała mu to miejsce setki razy. Ale on szukał rąbka białej sukienki. Chora noga dokuczała mu na stromej ścieżce.

Zastał Henryka w drzwiach. Dobrze znał tego człowieka. Przybrał obojętną pozę. Obawiał się, że najłżejszy ślad wzruszenia może go zdradzić, ale Henryk niczego nie podejrzewał. Zaprosił go do domu, poprowadził przez korytarze i mroczne, przeładowane rzeczami salony. Konstanty podążał za gospodarzem ze ściśniętym sercem. Czuł się jak patetyczny narzeczony, a ogrom nadziei, jakie wiązał z tą chwilą, kazał mu zapomnieć o wojnie.

Henryk wprowadził go, a raczej po prostu wepchnął do białego pokoju zalanego światłem wpadającym przez okna. Było to tak zaskakujące, że nie zdążył przymrużyć oczu, by przyzwycząić je do jaskrawego światła i na chwilę niemal oślepl. Gdy zaczął dostrzegać kontury, ze zdumieniem stwierdził, że w tym domu pianino ustawiono w pralni.

Stery prześcieradeł i ubrań drzemały na półkach pod ścianami. Rzucone bezładnie kupony tkanin zwisały z maszyny do szycia. Na długim stole stały dwa żelazka, leżały nożyce i imponujące pudło pełne kolorowych nici. Wszystko to pławiło się w świetle wpadającym przez cztery otwarte okna, za którymi rosły szpalery białych margerytek. Uświadomił sobie, że mleczna biel powietrza rodzi się właśnie z tych kwiatnych dywanów, niejako czuwających nad płataniną tkanin. Dostrzegł sterty kremowych koszul na oparciach krzeseł, perłowe koronkowe obszycia serwetek i całą gamę mlecznobiałych płócien, jasnych jedwabi i pościeli barwy kości słoniowej.

Eleonora stała z rękami splecionymi na plecach. Jej jasna bawełniana sukienka zlewała się z tłem, podobnie krótkie kręcone włosy koloru pierwszych śnieżnych orzechów laskowych. Stanowiła cząstkę tego wnętrza. Spokojnie patrzyła na Konstantego.

A on właśnie w tej chwili - może sprawiła to obecność dziecka, w każdym razie zastanawiał się nad tym jeszcze

142

WARIATKI

bardzo długo - uświadomił sobie, że pralnia jest zamieszкана. Była domem gromady duchów. Drzemały w gęstej atmosferze tego pomieszczenia i wypełniały je swym zapachem. Ta woń przeniknęła jego nozdrza, dotarła aż do serca. Był to zapach wilgotnej, gorącej bawełny, spoczywającego w przepaścistych szafach lnu, pradawna woń napawająca spokojem i czułością. Zapewne przechowało się w niej wspomnienie miesięcy spędzonych w matczym łonie. W jego wczesnym dzieciństwie, daleko, nie wiedział gdzie, też było coś takiego. Pokój, strzępek wspomnienia, skąpany w dokładnie takiej samej atmosferze zmęczenia i szczęścia, wzbudzający niedookreślone uczucia. Przed oczyma stanęły mu duchy dziesiątków kobiet poruszających się ociężale, o twarzach skąpanych w słońcu, szyjących i prasujących pod baczynym okiem margerytek. Tu mieszały się wszystkie epoki, trwała milcząca straż, która poprzez rzeczy roztaczała opiekę nad ludźmi.

Dziewczynka wpatrywała się w niego. Nie uśmiechnęła się, kiedy podał jej rękę. Był pewien, że go nie poznała. Mylił się, ale o tym dowiedział się znacznie później. Zostawiono ich samych.

- Do dzieła - rzekł. - Nie wiem, jaki poziom osiągnęłaś. Co potrafisz?

- Trochę gram. Proste melodie.

Jej głos był łudząco podobny do głosu Julii.

- Zagraj to, co potrafisz najlepiej.

Usiadła na taborecie, dotknęła niepewnymi palcami klawiatury. Stał za jej plecami. Zauważył, że także na pianinie piętrzą się stopy chusteczek do nosa z wyszywaniem inicjałami.

- Słucham - ponaglił ją łagodnie.

Wahała się jeszcze przez chwilę. Potem brzdąknęła dwa razy, przerwała, nieśmiało zaczęła od początku i wreszcie rzuciła się na głęboką wodę, wprawdzie dość niezdarnie, lecz z determinacją grając arię z "Carmen" Bizeta.

Zaskoczony musiał pogodzić się z faktem, że go zdemaskowała i obnażyła jego duszę. Eleonora zdrwiła z niego i wszystkich wybiegów, jakich użył, żeby do niej dotrzeć...

143

CHANTAL DELSOL

Przypomniał sobie z jaką radością grał tę melodię piętnaście lat temu, kiedy Julia podzieliła się z nim nowiną

o bliskich narodzinach ich dziecka. Dziś czuł się równie szczęśliwy. Dopiero w tej chwili uzmysłowił sobie, że pokój przesiąknięty był wonią olejku cytronowego, która splotła się z zapachem wilgotnej bielizny.

- Dobrze-powiedział, kiedy skończyła.-Dlaczego wybrałaś właśnie tę melodię?

- Sama nie wiem - odparła, zwracając ku niemu melancholijny wzrok. - Grając to, mam wrażenie, że odzyskuję coś, co straciłam.

Zdołał nakłonić Henryka, aby pozwolił mu przychodzić trzy razy w tygodniu. Spędzał z nią nieco ponad godzinę. Już podczas pierwszej lekcji stwierdził, że Eleonora nie przejawia zdolności muzycznych. Ale to go nie obchodziło. Chciał się dowiedzieć, co ukrywa, jakie domysły snuje na temat jego osoby. Niczego się nie dowiedział. W rozmowach to ona zawsze była górą, piętrzyła tajemnice

1 zagadki, za każdym razem czyniąc Konstantego jeszcze bardziej bezradnym.

- Zawsze uczysz się w tym pokoju?

- Tak. Proszę spojrzeć. Tam są moje książki.

- To magiczne miejsce.

- Tak. I pan Epstein jest czarodziejem.

- Kim jest pan Epstein?

- Moim nauczycielem.

- A pan, z którym rozmawiałem, to twój ojciec?

- Nie. Ja już nie mam ojca. Nie chce mnie widzieć. Nie wiem dlaczego.

Kiedy martwiła się kolejną źle zagrana gamą, zwieszała ręce i z wyrzutem spoglądała na Konstantego.

- Mieszka pan w Paryżu?

- Tak.

- Ja też. Potem będzie mi pan udzielał lekcji w Paryżu. Proszę... Miną lata, zanim nauczę się grać w miarę poprawnie.

144

WARIATKI

Konstanty został na prowincji zaledwie trzy tygodnie. To wystarczyło, by nasycić się jej obecnością, zgromadzić zapas obrazów. Za wymówkę posłużyły mu ważne względy rodzinne - odszedł. Zabrał jednak ze sobą coś, co należało do niej - to spojrzenie, które przenikało duszę, ten głęboki lęk drzemący w gestach i w milczeniu. Okruchy... Ale może najważniejsze. On przynajmniej chciał w to wierzyć. Wyjeżdżał z radością w sercu, jakby ona mu towarzyszyła. Odważył się przyznać do tego podstępu Julii, która nie okazała szczególnego zdziwienia. Jak czuje się mój ojciec? Natknął się może w salonie na niejakiego Frantza, który wędruje z fotela na krzesło? Po wojnie znów zaczniecie lekcje fortepianu.

Minął kolejny rok. Potem już wszyscy wyczekiwali obiecywanego lądowania aliantów.

10

Julia zastała Eleonorę samotnie przeglądającą książki w pralni. Dziewczynka miała na sobie przyciasną sukienkę. Dorastając, zatraciła dziecięce dołki w policzkach i potulność. Stary nauczyciel odszedł. Zostawił wszystko, czego potrzebowała, żeby zdać maturę. Julia i Eleonora powróciły na ulicę de Seine, do miasta rozgorączkowanego nadzieją, gdzie panowała atmosfera ostatnich dni przed wakacjami lub zarania rekonwalescencji - radosna, pozbawiona najpotrzebniejszych dóbr społeczność czyniła wszystko, by żyć pełnią życia. A Eleonora mówiła tylko o Marku Epsteinie. Jak czytał, jak się śmiał, co by pomyślał o tym, co o owym. O jego starczych chorobach, o zmęczeniu, które ogarniało go czasami wczesnym popołudniem, a wtedy jego twarz żółkła i zapadała się, o ulubionych daniach i śmiesznym sposobie przywoływania wiewiórek, a przede wszystkim o ojcowskiej, książęcej wyrozumiałości

10 Wiriutki

CHANTAL DELSOL

dla wszystkich ludzi. Julia odrobinę mu zazdrościła. Ta nić porozumienia, jakiej ja nigdy nie zdołałam wytworzyć. Zazdrość! W końcu to moja córka. A on przerobił ją na swoją. Potem polubiła nieobecnego, darząc go serdecznością na odległość. Cień snuł się po mieszkaniu. Czy lubi operę? Woli kino? "Wielkie złudzenia". A jego ulubiony aktor? Gra na wiolonczeli? Kim właściwie jest z zawodu? Nikim? Chciał być kompozytorem, ogrodnikiem, krawcem, pisarzem, marynarzem i jeszcze... Eleonora zapomniała. Właściwie chciał być wszystkim. Dlaczego nie wybrał? Wstydił się dokonać wyboru. Albo inaczej. Znalazł to, co było sumą

wszystkich zawodów. Uczył dzieci. Cudze dzieci. Bo własnych nie miał. Dlaczego nie miał dzieci?

Och. Jedna kobieta, raz na zawsze. Bał się tego. Właściwie powinien chyba zostać księdzem. Ale jakiego wyznania? W tym problem. I nie jedyny! Nie wiem.

- Jeżeli się zgodzisz, będę brała lekcje gry na pianinie. Chciałabym, żeby uczył mnie ten sam nauczyciel, którego miałam na wsi. Zostawił mi swój adres. Dobrze się rozumieliśmy.

Eleonora rzuciła to przy śniadaniu, jedząc grzanki. Zupełnie jakby mówiła o załatwieniu czegoś w urzędzie. Co ona ukrywa? Może nic.

- Jak chcesz - odparła Julia. - Zadzwoń do niego jutro.

Konstanty przybiegł natychmiast. Wszedł jak zwykle, lekko utykając. Przywitał się z Julią zbyt uprzejmie, wręcz nienaturalnie. Z przyzwyczajenia usiadł przy stole w jadalni. Eleonora odniosła wrażenie, że to miejsce od zawsze należy do niego.

- Twój przyjaciel jest bardzo pociągający - powiedziała Julia, kiedy wyszedł. Eleonora wydeła usta.

- Jeszcze nie jest moim przyjacielem. Konstanty przychodził do nich znacznie częściej, niż wymagały tego lekcje gry na fortepianie. Wyrażał opinie na temat obrazów Julii. Pomagał

Eleonorze w pisaniu prac z filozofii, opowiadał jej o Resistance, a nieco później, kiedy

146

WARIATKI

wyzbył się już nieśmiałości, wspominał długą przygodę, która zaczęła się w Kazaniu. Teraz mógł czekać, wolny od desperacji. Wiedział, że jej nie straci. - Teraz jest mi już obojętne, że nie mogę tańczyć - zwierzył się Julii.

Urok Eleonory i widok jej niezmaconego szczęścia nie wystarczały, by zatrzeć wrażenie, jakie odnosiła Julia, obserwując córkę. Eleonora wyrosła na śliczną dziewczynę, ale jej uroda zdawała się niczemu nie służyć. Niczego jej nie brakowało - ani inteligencji, ani pogody ducha, która sprawia, że niektóre dzieci mogą pojednać cię z całą ludzkością. A jednak nosiła jakąś skazę. Jak gdyby została przedwcześnie zraniona. Julia była pewna, że Eleonora nie potrafiła zgłębić jakiegoś ogromnej wagi sekretu. Że podąża własną, sobie tylko znaną ścieżką. Cóż mogłoby zdradzić nękające dziewczynę przecucie, jeśli nie cień, który czasem przesłaniał oczy, jeśli nie nieobecność, która wymazywała ją spośród ludzi. Julia nie wiedziała, jakim mianem określić tę tajemnicę. Podzieliła się myślami z Konstantym.

- Ty także to zauważyłaś? - mruknął. - To jak oczekiwanie na nieoczekiwane. Przechodzi mnie dreszcz.

W końcu Julia trafiła na pewien trop. Eleonora nieustannie mówiła o czasie trwania. O młodości i jej końcu. O czasie przeznaczonym na naukę, ilości godzin, które można bez wstydu przeznaczyć na sen. Przemijaniu pokoleń i historycznym cyklu wojen. Boję się zestarzeć, powtarzała. Posłuchaj, odpowiadała Julia, to prawda. Jedynym bogactwem człowieka jest czas, który pozostał mu do przeżycia. Z czasem wszystko jest możliwe. Bez niego - nic. A jednak ludzie starzy są bogaci w inny sposób. Na ich majątek składa się wszystko, co dali. Eleonora rozmyślała. Co w takim razie zostaje tym, którzy się nie zestarzeją? Zostaje im zapał, mówiła Julia.

Pełna zapału Eleonora zapisała się na pierwszy rok medycyny. Kiedy po raz pierwszy stanęła przed posępnym gmachem przy ulicy Cuvier, w jej oczach pojawił się

CHANTALDELSOL

niepokój. Myślała, że ujrzy przed sobą wdzięczny fronton Akademii Sztuk Pięknych, który majaczył w zakamarkach jej pamięci. Zza poczerńiałych balkonów wyzierała jednak czerwona cegła i klasyczne gzymsy odrapanej fasady. W jej snach powracały kamienne posągi skrywające zimną galerię. Uświadomiła sobie, że to, co czyni, robi za inną. Odprawiała egzorcyzmy nad niespokojną pamięcią Julii.

II

Machinalnie notował padające słowa. Ona siedziała w zatłoczonym kącie pokoju, oddzielona od innych przez biurko, za którym wskazano jej miejsce. Spóźniła się, wszystkie krzesła były już zajęte, dlatego gospodarz skierował ją tam, na wolny fotel. Nigdy się nie odzywała i można by pomyśleć, że na coś czeka. Obserwował ją kątem oka. Zauważył ją już podczas zajęć na pierwszym roku - a przede wszystkim sporo o niej słyszał. Nie miała jeszcze dwudziestu lat. Krótka fryzura a la Colette, jasne włosy. Twarz, która zdawała się zawsze o coś pytać, kruchość szczupłego ciała. Splatała nad biurkiem ręce konika polnego. Delikatna, zuchwała, podbiłaby serce każdego mężczyzny. Tak w każdym razie sądził i rozglądał się ukradkiem zdziwiony, że dziesięć innych par oczu nie wpatruje się w nią.

Uważano ją za jedną z najlepszych studentek. Zwykle tacy udzielają trafnych odpowiedzi, ona jednak potrafiła przede wszystkim zadawać pytania. Zastanawiano się, co robi pośród tego zgromadzenia teologów.

Uwieść taką dziewczynę było równie trudno, jak zmiękczyć serce Wielkiego Chana. I w tej sprawie poprzedzała ją jej reputacja. Studenci uważali ją za niezłomną. Wykład dobiegł wreszcie końca, a wtedy jeden z uczestników rzucił ironiczną uwagę:

148

WARIATKI

- Eleonora na pewno zapyta, dlaczego Marks tak lekceważąco odnosił się do kwestii śmierci. Podniosła oczy, które miały kolor popiołu i uśmiechnęła się, nic nie mówiąc.

Wyszedł wraz z innymi, lecz mijając ją, szepnął błagalnie:

- Spotkajmy się o piątej przed bramą Pere-Lachaise, proszę...

Eleonora samotnie wyszła z zebrania, zrobiła zakupy w pobliskim sklepie, potem wstąpiła do koleżanki, by pożyczyć notatki, wypłała z nią kawę i wsiadła do metra, zamierzając wrócić do domu. Na stacji Bonne-Nouvelle spojrzała na zegarek - było wpół do siódmej. Przypomniała sobie o niespodziewanej randce. Nie знаła tego śmiałka i absolutnie nie miała ochoty go poznać. Ale jeszcze nigdy nie była przy tablicy Federatów (taki przynajmniej pretekst znalazła na własny użytek). Przesiadła się przy placu Republiki i ruszyła w stronę Pere-Lachaise. Zresztą chłopak na pewno już nie czekał. Pomyliła się. Wciąż tam był, siedział na jednym z grobów, naruszając wszelkie normy i obyczaje.

- Chcesz wyjść za tego chłopca - wykrzyknęła oburzona Julia - tylko dlatego, że przez dwie godziny czekał na ciebie na cmentarzu, a potem złożył deklarację, jaką chętnie słyszy każda dziewczyna? Nie pytałaś, ilu zawrócił już w głowie? Na cmentarzu! Chciałabym wiedzieć, skąd się biorą takie pomysły w głowach tych... Czym on się właściwie zajmuje poza igraszkami?

- Już ci mówiłam, studiuje medycynę, tak jak ja - odparła niewzruszona jak sfinks Eleonora. - Nie zmienię zdania.

Beniamin Loarec przyszedł się przedstawić kilka dni potem. Był uprzejmy i wygadany.

Uprzedzająco grzeczny, wodził oczyma za Eleonorą. Ona wyglądała raczej na usatysfakcjonowaną niż szczęśliwą. Odnosiło się wrażenie, że chce czym prędzej dopełnić tego, co uważa za swój społeczny obowiązek, i mieć to już za sobą. Julia czuła się oszołomiona. To wszystko nie wróżyło niczego dobrego.

149

CHANTAL DELSOL

Konstantemu powierzono scenografię poważnej sztuki, której bohaterom splątał się czas wojny i czas pokoju. Wyobraził sobie, że najlepszą scenerią dla tego chaosu będzie biały hangar i złożone w nim stare, pomazane kredą strzelby. Julia sugerowała raczej mieszczkański salon, w którym meble okryto czarną krepą, jak robi się na znak żałoby.

- Nie czyń tej historii jeszcze smutniejszą, przelewając w nią własne leki - powiedział.

- Moja córka nie może popełnić takiego głupstwa. Jest na to za rozsądna.

- Ty sama nie zawsze bywasz rozsądna. Nie zawsze masz rację.

Podczas wieczornych rozmów Julia wychodziła z siebie. Zdecydowała się nawet zwierzyć córce część własnych smutków.

- Wydano mnie za mąż wbrew mej woli. Wróciłam z frontu i zastałam tego mężczyznę na peronie, pomiędzy moją matką i ojcem. Nigdy nie zapomnę, jak doskonale tworzyli trio, jak mnie złowili w sieci. Żyłam radosnym wyczekiwaniem na twoją wolność. A tymczasem ty idziesz w moje ślady. Przymus zniknął, lecz ty podporządkowujesz się nie wiem jakiej wyższej woli. Nie kochasz tego chłopaka. To widać na pierwszy rzut oka.

Eleonora potrząsnęła głową.

- To nieistotne. Pokocham go z czasem. Do tego się dochodzi.

- To samo mówiła mi matka. Julia wzniosła ręce ku niebu.

- Skąd bierzesz te przedpotopowe argumenty? Wiem tylko, że nie ja wpoilałam ci tę mentalność.

Eleonora pochylona nad biurkiem, spokojna, starała się ją zrozumieć.

- Zaufaj mi-powiedziała cicho. - Wszystko będzie dobrze. Spotkałam go na zebraniu. On też zostanie lekarzem. Spędziłam cały dzień w domu jego rodziców. Mieszkają na pomocnym przedmieściu. Jego ojciec jest koleja-

150

WARIATKI

rzem. Matka za dużo mówi. Ale są mi przychylni. Chciałabyś, żebym wyszła za markiza? - dodała drwiąco. Julia westchnęła.

- Nie denerwuj mnie. Dobrze wiesz, że nie interesują mnie tytuły. Przyprawdź chłopca, którego pokochasz, kogokolwiek, Cygana, zamiatacza ulic, Murzyna prosto z Afryki, a zrobisz mi ogromną przyjemność.

- Martwisz się o pieniądze? - Eleonora uniosła brwi. - Oczywiście, nic nie zarabiamy. Będziemy brali dyżury. Wielu moich przyjaciół...

Julia straciła cierpliwość.

- Cóż mnie to obchodzi! Będę cię utrzymywała do ukończenia studiów. Mogę utrzymywać i jego. Myślisz, że brakuje mi pieniędzy?

Eleonora rozłożyła ręce i rzuciła złośliwie:

- Ba, tyle przede mną ukrywasz, swoje drugie i trzecie życie...

- Dobrze - zakończyła Julia. - Jesteś uparta jak osioł. Zrobisz, co zechcesz. Idź już spać. - I wyszła z pokoju, garbiąc się pod ciężarem nieszczęścia.

Siedząc w swojej pracowni napisała pod akwarelą: "Może ta mała wcale nie wierzy w miłość". To prawda, nie miała żadnego wzorca. Spisek obrócił się przeciwko nam. Pewnie sobie wyobraża, że wymyśle dla niej kogoś, kto nigdy nie istniał. Dlatego rozumuje tak trzeźwo i chłodno. Zawsze byłam idiotką. Teraz jest już za późno.

Poprawiła ubranie, wróciła do salonu, podeszła do biurka. Wyłoniwszy się z mroku, weszła w krąg światła lampy, gdzie Eleonora ujrzała ją taką, jaka była zawsze

- elegancką i wyniosłą.

- Zaczekaj jeszcze rok, proszę cię - błagała córkę.

- Pomyśl, masz zaledwie osiemnaście lat. Nie musisz się spieszyć.

Eleonora wstała. Otworzyła okno.

- Zauważyłaś, że po zakończeniu wojny na niebie pojawiły się nowe gwiazdy? Nie, mamo, nie mam czasu.

CHANTALDBLSOL

Komuniści znów weszli w skład rządu. Wciąż obowiązywały kartki żywnościowe. Nigdzie nie było wolnych mieszkań. Benjamin i Eleonora wzięli skromny ślub i zamieszkali u Julii. Siedząc na wprost siebie przy biurku, które stało się teraz za małe, przygotowywali się do zajęć. Nie było już nocnych rozmów matki z córką. Eleonora dotrzymywała słowa, prowokująco obnosiła dumę zwyciężczyni. Pragnęła gromadzić szczęście z niecierpliwością neofity, jakby chwila wychnienia potrzebna zwykłym śmiertelnikom jej była zbędna. Spieszno jej było wydać na świat, jedno po drugim, dwoje dzieci, które kładła na łóżku Julii niczym wdzięczne podarki: oto twój wnuk, to twoja wnuczka. Będą mówili do ciebie po imieniu. Jesteś nietuzinkową babcią, muszą o tym wiedzieć od początku. Przeczyła istnieniu problemów - brakowi pieniędzy, kłopotom z godzeniem obowiązków. Jak przygotować się do egzaminu, nie zapominając o butelkach z mlekiem i kaszką, o smoczkach. W niedzielę pobiec na manifestację pokojową pod sztandarami z picassowskim gołąbkim. Sprzedać pianino, żeby zrobić miejsce na dwie kołyski.

Konstanty, który pojawiał się w ich domu, jak zwykle życzliwy, choć w dwuznacznej roli, wyznał Julii, że taka sytuacja jest nie do zniesienia. W Paryżu nie da się w najbliższym czasie znaleźć mieszkania. Można tylko dokonać zamiany. Ale nie mamy czego zamienić. Wprowadź się do mnie. W końcu czekam na ciebie od dwudziestu lat. W naszym wieku ludzie nie są już tak skorzy do kłótni. Myślisz, że kłótnie nie mają nic wspólnego z wiekiem? Znasz małżeństwa, które przez całe życie nic innego nie robią. Nie, proszę cię, nie możesz tu dłużej zostać.

W końcu uległa - nie tyle z przekonania, że uda im się wieść zgodny żywot małżeński, co dlatego, że pragnęła ułatwić Eleonorze życie codzienne. Opowiedziała jej historyjkę o przyjaciółce, która dysponuje tak dużym mieszkaniem, że chce jej wynająć sypialnię i salonik, nie wymagając w zamian wysłuchiwania plotek. Była to oferta długoterminowa, do czasu gdy na rynku mieszkaniowym nastąpi poprawa lub nawet dożywotnio. Argumenty matki tylko

152

WARIATKI

połowicznie przekonały córkę, były bowiem dość mętne, lecz Eleonora dawno już przestała snuć domysły. Pomogła Julii spakować rzeczy osobiste, książki i płótna. Znalazła usłużną koleżankę o posturze tragarza, posiadającą w dodatku forda vedette. Dopilnowała załadunku bagażu i na ulicy patetycznie żegnała Julię, którą w osłupienie wprowadziło takie zachowanie córki.

- Można by pomyśleć, że jadę do Timbaktu. Przecież zmieniam tylko dzielnicę. Beze mnie będzie

wam tu lepiej.

Eleonora obserwowała ją w milczeniu. Przyglądała się twarzy matki, jakby miała jej więcej nie zobaczyć. Oto ona, myślała, twarda i niezgłębiona. Twarz naznaczona przez czas ukazuje swe dzieje z precyzją tablic logarytmicznych. Zdarzają się twarze zwiotczałe, pełne zubożenia i rezygnacji. Czasem rysy wyostają się pod wpływem ciężaru zmiennych kolei losu. Ale z twarzy Julii można wyczytać tylko konsekwencje bezosobowe i epopei. Cała jest z jasnego marmuru, jak wycięta nożem. Nieujarzmiona i promienna. Jakie to dziwne. Zawsze kiedy wychodzi, mam wrażenie, że idzie na randkę.

W lipcu uczczono gwarnym rodzinnym obiadem sukces Beniamina i Eleonory na egzaminach końcowych. Ona uzyskała lepsze oceny. Zapewne dlatego jemu gratulowano serdeczniej. I zapewne dlatego on głośniejszy dawał wyraz zadowoleniu. Eleonora siedziała na końcu stołu zajęta dolewaniem sobie i piciem cydru. Teściowa wypytywała, czy Beniamin bierze lekarstwo przeciw grypie, czy wreszcie kupił sobie sztruksowe spodnie, o których dawno marzył, czy wyzbył się fatalnego nawyku niejedzenia śniadań. Eleonora nie odpowiadała. Od czasu do czasu ze stoickim spokojem patrzyła na teściową. Nie wiadomo, mówiło się w rodzinie Beniamina, czy ta dziewczyna jest głucha czy źle wychowana. Prawie się nie odzywa. A kiedy już coś mówi, nie sposób ją zrozumieć. Eleonora odbyła staż w szpitalu i otworzyła gabinet w czternastej dzielnicy. Julia uparła się, żeby podarować jej

CHANTAL DELSOL

tabliczkę. Kazała wykonać ją z jasnego mosiądzu, opakowała w elegancki papier i przewiązała wstążką jak królewski prezent.

- Czy wiesz, ile to dla mnie znaczy? - zapytała, z blaskiem w oczach wręczając upominek córce. Eleonora uśmiechnęła się.

- Wiem. Chciałabym móc cofnąć czas i wręczyć ci taką samą.

- To niemożliwe - szepnęła Julia - ale nieważne, twoja radość jest moją.

12

Faszyzm pokonany. Niech na świecie zapanuje pokój. Zrzucić jarzmo kolonializmu. Wolność dla uciskanych narodów. Precz z kapitalizmem. Umocnić trzon Partii. Opanować sztukę przemawiania do sympatyków. Studiować teksty. Podczas wojny wyrosło młode pokolenie towarzyszy - trzeba ich wiele nauczyć.

Eleonora nigdy nie opuszczała zebrań. Julia była oburzona. Jakże możesz wysłuchiwać tak uproszczonych bredni? Nie rozumiesz, że kryją się za nimi zbrodnie? Eleonora zwieszała głowę.

Wiem, wiem. Oni są jak rodzina. Przy nich czuję się bezpieczna.

Nowa członkini, Romana Sainteny, zaproponowała, że przekaze komórcę partii swój księgozbiór. Podczas jednego z zebrań ujęła Eleonorę za rękę.

- Pomożesz mi przewieźć książki? Podobno wiesz wszystko. Słyszałam, że jesteś lekarzem? Gdzie poznałaś tych autorów?

Eleonora wyjaśniła, że jej nauczycielem był staruszek Żyd. Uważał, że wiedza o człowieku - zarówno jego ciele, jak i duchu - zawiera się w świętych księgach, ale także w materializmie dialektycznym. Powiadał, że tylko ludzie chorzy są specjalistami w wąskiej dziedzinie.

WARIATKI

To, czego nie można kupić, zawsze można ukraść. Moralność Partii wręcz zaleca okradanie bogatych. W ten oto sposób osiąga się harmonię użyteczności i cnoty. W swym wiejskim domu ojciec Romany zgromadził tysiące książek. Trzeba było wybrać część z nich i dyskretnie wywieźć. To będzie łatwe, mówiła, bo prawdziwy czytelnik nie kataloguje książek. Zapomina o nich, jego umysł rozprasza się, przechodząc od oczarowania do oczarowania. Często nie potrafi odnaleźć tej, którą lubił, i zwykle kładzie to na karb chaosu i mnogości woluminów. Wciąż powtarza, że musi je posegregować, ale nigdy tego nie robi.

Romana Sainteny zabrała Eleonorę w dwugodzinną podróż do miasteczka, nad którego rynkiem królował wiaż, do domu, który żył powolnym rytmem za wysokim murem, a pełny i gwarny bywał tylko podczas wakacji. W niczym nie przypominał zmysłowego nieładu, tego nieodwracalnego zużycia rzeczy, które czyniły z domu Dominika wolno tonący statek. Tu oczom ukazywał się

triumfalny, niemal przesadny luksus, panoszyły się cenne bibeloty, obrazy, boazerie. W rodzinie Sainteny z pokolenia na pokolenie mężczyźni byli bankierami. Romana wskazywała cały ten zbytek z ironicznym uśmiechem - oto resztki iluzji, sceneria oczekiwania na kres. Zaprowadziła Eleonorę na strych. Trzeba było najpierw przejrzeć nie wykorzystywane zapasy w miejscu, do którego nikt nie zagląda i nikt nie zauważy braków. Usiadły pod belkami, w półmroku żółtego kurzu, i rozpoczęły rabunek.

Stały tu dziesiątki kartonowych pudeł pękających pod ciężarem książek, których przeczytanie musiałyby zająć dwa, może trzy życia, a w nich cała historia ludzkiej myśli. Nieznani autorzy w beztróskim chaosie sąsiedowali ze sławami. Z tych ksiąg można było poznać nawet najdziwniejsze wydarzenia w dziejach odległych, nieznanymi już ludów. Widać było, że nabywca nie dobierał ich, nie uzależniał zakupu od swych upodobań czy - przeciwnie - antypatii. Rasowy kolekcjoner gromadził wszystko, co jego zdaniem reprezentowało wiedzę. Musiał to być swawolny, a zarazem ciekawy świata człowiek kochający różno-

CHANTAL DELSOL

rodność, a może poprzez kolejne odkrycia szukający prawdy, której nie dawało się uchwycić.

Oczywiście były tu także pisma Plechanowa i Lenina oraz wielu populistów z końca wieku.

- Musimy wybrać to, co warto przekazać komórce - powiedziała Romana.

Eleonora pokręciła głową:

- To niemożliwe.

- Dlaczego? Przecież po to przyjechałyśmy. Eleonora uśmiechnęła się drwiąco.

- Ten wielki burżuj, twój ojciec, posiadał tak różnorodną wiedzę. Czytywał teksty swych przeciwników, nie pomijając niuansów ani drugoplanowych wątków. A my, krytykując ludzi jego klasy za wąskie horyzonty myślowe, wybierzemy to, co warto czytać?

- Cóż za dziwaczne porównanie! - Romana spojrzała na nią zdziwiona. - On szukał tego, co my znaleźliśmy, ot i cała różnica.

Eleonorę oszołomił ten argument. Jej oczy zwróciły się ku ogrodowi za oknem, angielskiemu ogrodowi obsadzonemu ogromnymi drzewami i drobnymi kwiatami, odurzającego mnogością zapachów i pastelowych barw układających się niczym tęcza. Kolorowe płatki unosiły się na wietrze aż po okna strychu i Eleonora poczuła się, jakby eskortował ją lot motyli.

Romana miała bardzo precyzyjne poglądy na temat rozwoju dziejów. Wspina się mozolnie do tego rajy przyszłości, spoglądając z góry na mrok narodów. Ładując książki do samochodu, Eleonora zapytała:

- Tylko je pożyczasz, prawda? Potem je zwrócisz?

- Oczywiście, nie martw się. Zresztą kiedy nadejdzie czas, by je oddać, nikt już nie będzie ich potrzebował.

Eleonora wyrastała w samotności domu Dominika, nie dostrzegając tego. Nie miała wówczas przyjaciół poza Markiem Epsteinem. Później, w Paryżu, zaangażowała się bez reszty w studia i pracowała z determinacją ludzi o silnych charakterach. Być pierwszą wszędzie, gdzie to

156

WARIATKI

tylko możliwe. Dać Julii dowody, na które czeka, pokazać, do czego jest zdolna. Zamykając się z własnej woli w tym kręgu, nie pozostawiła sobie czasu na nic innego. Romana zdawała się lekceważyć obowiązki, którym ona poświęciła młodość. Nawet podczas ulewy rozdawały ulotki i gazetki Unii Kobiet Francuskich. Podróżowały po kraju, prowadziły zebrania w odległych wioskach. Romana postanowiła jechać do Algierii i wesprzeć tamtejsze powstanie, nakłaniając dokerów do odmowy wyładunku transportów ^ broni. Eleonora podążała za nią oszołomiona potokami słów. Czy partia ma precyzyjne

poglądy na temat tego, co należy robić w Algierii? Kreml chyba nie chce zająć zdecydowanego stanowiska. Jeżeli kraj odzyska niepodległość, nie będziemy się przecież narażać.

Wiele spraw w życiu Eleonory otaczała tajemnica. Julia, która próbowała ją zrozumieć, traciła siły. Dlatego z tych czasów pozostawiła nam tylko okruchy. Jakby dzieci i prywatna praktyka nie wystarczały, Eleonora zaczęła podróżować. Wyjeżdżała ponoć sama. Nie życzyła sobie żadnych

pytań. Trzy dni, tydzień i ani słowa - żadnych wrażeń, żadnych szczegółów. Po jakimś czasie znów: radosny uśmiech, mała walizeczka i w drogę.

Któregoś dnia, myślała Julia, już nie wróci. Trzyma ją tu jedna cienka nić, któż jednak wie, która? Zresztą nawet gdy jest w mieście, to jakby nieobecna. Przeznaczenie zapomni o niej gdzieś po drodze. A ona pozwoli o sobie zapomnieć.

Obserwowała córkę; patrzyła, jak ta pakuje dokumenty, które przepisywała na maszynie, jak adresuje grube koperty do nieznanym, jak czyta jakieś pisma, wychodzi i wraca wyczerpana, lecz pogodna. Eleonora kupiła sobie obszerne palto z beżowej wełny z futrzanym kołnierzem, jedyny zbytek, na jaki sobie pozwoliła. Ta opończa służyła jej za kołdrę w nocie spędzane w pociągu, bo po powrocie bywała ubłocona i pomięta. Zwykle Eleonora szukała pustego przedziału i wspinała się na półkę na bagaże; jej lekkie ciało zawisało w splecionej ze sznura siatce. Wtedy otulała się paltem. Wracała z dworca z podkrążonymi oczyma i pa-

CHANTAL DELSOL

trzyła nieobecny wzrokiem. To była zła wróżba. Julia miała niemal pewność, że dostrzeże w tym dziedzictwo po Patryku - pogardę życia, bezbronną wyniosłość. Ale było coś jeszcze - cień żalu w uśmiechu, który rzucała, wychodząc, przepraszające gesty i miny, kiedy ktoś wspominał o jej sukcesach zawodowych, i to milczenie. To milczenie, które było jak wycofanie się w cień, jak beztrioskie lekceważenie siebie.

Pewnego dnia coś powiedziała. Julia wyjechała po nią na dworzec Montparnasse i ujrzała córkę objuczona papier-rzyskami.

- Co ty wozisz?!-ofuknęła ją. - Głowę bym dała, że to archiwa watykańskie.

- Staram się trochę pomóc - szepnęła Eleonora. - Jestem taka... bezużyteczna.

Pomóc? Ale w czym? I komu? Czy na świecie jest chociaż jeden bezużyteczny człowiek? Gdybym o niej pie myślała, mówiła do siebie Julia, natychmiast skorzystałaby z okazji i zniknęła jak duch.

Domyślała się, że Eleonora działa w partii - takiej czy innej. Robiła coś mglistego i posepnego, tracąc na to mnóstwo sił. Ale Julia nie potrafiła pojąć jej nieugiętej woli usuwania się w cień. Mogę, mówiła z rozpaczą do Konstantego, dokonać analizy najbardziej wyrafinowanej teorii artystycznej, a nie umiem zrozumieć, co dzieje się w sercu i głowie mojej rodzonej córki.

\

Julia niezbyt długo mieszkała u Konstantego. Potwierdziły się jej przypuszczenia - stała bliskość szybciej postarzała ich oboje, pokrywając oblicze ich miłości zmarszczkami, o jakie nie przyprawiliby jej żadne rozstanie. Błahostki dnia powszedniego wydają się obsceniczne, gdy stają się przedmiotem drobiazgowej obserwacji i roz-

158

WARIATKI

mów. Bałagan panujący w domu Konstantego od dziesięcioleci kawalerskiego żywota nie był wart szczypty uwagi w obliczu ogromnej czułości, jaką kochanek okazywał Julii. Ale działał jej na nerwy. Nieznośny był dla niej już sam fakt, że zwraca na niego uwagę. Dlatego wynajęła kawalerkę w dzielnicy Saint-Lazare, za małą, ale i tak cudowną w tych czasach głodu mieszkaniowego. Płótna zalegały na łóżku. Przypominał jej się posepny pokój, w którym kiedyś zamknęło ją małżeństwo. Po tamtych odległych czasach pozostały tylko koszmarne obrazy. Czy naprawdę je przeżyła? Wszędzie szukała oznak. Podczas przeprowadzki natrafiła na fotografię młodej kobiety, jakby jej, ale przecież tak innej. Zadbana postać spogląda pełnymi determinacji oczyma zranionego zwierzęcia. Wspomnienie rozterek i bólu zatarło się już w pamięci Julii. Jak szybko zapomina-/ my, pomyślała, o szczegółach tego, co było dla nas trudne. Dopiero widok tej twarzy sprzed lat przypomniał o kłatwie, tym pokonanym potworze, o którym myślała już tylko w czasie przeszłym. Eleonora zrealizowała swe marzenie, ale już samo to marzenie było jakby koślawe. Można by pomyśleć, że usiłowała chronić dobra nie do końca nabyte. Julia zastanawiała się, skąd ten zgrzyt. Pewnego dnia była u Eleonory, kiedy matka Beniamina złożyła synowej nie zapowiedzianą wizytę. Ta dobroduszna kobiecina szła przez życie, nie starając się być interesującą, a zarazem nie wzbudzając zainteresowania. Zaprzętały ją problemy na miarę życiowego liliputa. Jej obecność przerażała Julię właśnie dlatego, że teściowa Eleonory była taka dobra i dokuczliwa. Z miną

matrony, którą los rzucił między Hunów, biegała po zarzuconych książkami pokojach. Jej zdumienie brzmiało jak ciężki wyrzut. I mój syn tu mieszka! On, który tak lubi

CHANTAL DELSOL

porządek. Kiedy był w domu, wszystko po nim sprzątałam. Dzieci są takie blade. Bo też nieczęsto jeżdżą na wieś. Nie masz na to czasu. Biegasz tylko i biegasz, ale właściwie po co? Wszędzie pełno papierów. Jak mój syn może mieszkać w tym zasłanym papierzyskami pokoju? Eleonora stała pod ścianą, gryząc ołówek. Spokojnie czekała, aż zapadnie milczenie. Ochryplym głosem mruknęła: Przepraszam, że żyję, następnym razem już nie będę.

Julia zastała Eleonorę przed drzwiami gabinetu, stojącą na krześle ze śrubokrętem w ręku. Właśnie odkręcała miedzianą tabliczkę, którą przed czterema laty dostała od Julii - tę, na której widniało jej nazwisko i zawód. Julia zatrzymała się na ostatnim stopniu. Eleonora nie słyszała jej kroków.

Wykonywała swą pracę starannie i bez pośpiechu.

- Co robisz? / r; Eleonora odwróciła się, wyraźnie zakłopotana. /

- Przecież widzisz. Zdejmuję tabliczkę.

- Ale dlaczego? Chcesz zawiesić większą? Ta już ci się nie podoba?

- Sprzedaję gabinet.

Julia postawiła torbę na ziemi i oparła się o balustradę.

- Nie rozumiem...

- Ja też nie rozumiem - odparła Eleonora, wypluwając śrubkę z ust.

- Wytlumacz mi to, jeśli możesz. Ściągnęłaś tłumy pacjentów. Jeszcze wczoraj właścicielka pasmanterii z ulicy des Plantes mówiła mi, że była u ciebie z dzieckiem i że..,

- Daj mi spokój ze sklepikarką z ulicy des Plantes. Zmieni lekarza.

Julia krążyła wokół krzesła, unosząc głowę, by pochwycić umykające spojrzenie córki.

- Co się stało?

- Nic nadzwyczajnego. Beniamin czuje się nieszczęśliwy. Nie może znieść tego, że pracuję, a ja nie mogę znieść, że on jest nieszczęśliwy.

160

WARIATKI

- Co takiego?! - krzyk Julii był zduszony. - Ale dlaczego? Co ci zarzuca?

- Nie wiem. To takie banalne. Właściwie nie ma nawet o czym mówić. Chciałby, żebym miała czas na upieczenie zająca po myśliwsku. Żebym czekała na niego i dzieliła z nim jego troski, wolna od innych zajęć. A poza tym zarabiani więcej niż on.

- Co z tego?

- Jego matka twierdzi, że to niestosowne.

- Wytlumacz Beniaminowi, że jego matka jest w błędzie.

Eleonora pokręciła tylko głową.

- Słowo daję - powiedziała - udajesz, że nic nie rozumiesz. Zakłócam porządek świata. To wszystko.

Julia była wstrząśnięta, i to nie tyle słowami i czynami córki, co tonem jej głosu-lagodnym, a zarazem rozbawionym. Odnosiła wrażenie, że Eleonora kpi z własnych złudzeń i dawnej powagi. Odwróciła się lekko i teraz Julia mogła wreszcie spojrzeć jej w oczy - nie było w nich ani gniewu, ani żalu, ale raczej isierki uśmiechu. Moja córka jest szalona, przeszło jej przez myśl. Zawsze o tym wiedziałam.

- Moja córka jest szalona - rzuciła Eleonora. - A ja zawsze o tym wiedziałam. Prawda, że tak właśnie pomyślałaś? Znam cię.

Julia przysiadła na ostatnim stopniu schodów i z desperacją świętego, który przyłapał ikonoklastę, spojrzała na Eleonorę.

- I rzucisz wszystko tak po prostu, tylko dlatego że on...

- Właśnie. Ale to wszystko nic nie znaczy. Jeśli będę się upierała, unieszczęśliwię nas oboje. To moja sprawa.

Odkręciła ostatnią śrubę i tabliczka z hałasem uderzyła o chodnik.

- Zobacz - powiedziała, wskazując drzwi - nie został po niej nawet ślad na drewnie. Nic dziwnego.

Kiedy byłam mała, jeździliśmy do Granville. Już wtedy wiedziałam, że pierwsza fala zmyje z piasku ślady moich stóp.

ii Wariatki

161

CHANTAL DELSOL

To straszne, pomyślała Julia i dreszcz przebiegł jej ciało. Ona idzie przez życie, nie wierząc w nie. Co ja takiego zrobiłam?

Eleonora usiadła na krześle. Julia wyglądała jak bezbronne, zagubione dziecko.

- Dlaczego się o mnie martwisz? Dobrze wiem, co robię. Poza tym to takie nieistotne.

- Co w takim razie jest ważne? Mogłabyś przynajmniej trochę poczekać. Może zdołałabyś go przekonać.

- Nie. To był zbyt ostry spór. A ja z góry stałam na przegranej pozycji. Kiedy o tym mówię... on nie rozumie nawet języka, którego używam. A wyobraź sobie, że ja go kocham. Nie chcę się z nim rozstać. Chcę mu się nadal podobać. Mogę żyć tylko z nim.

Obok nich przeszedł zadyszany lokator z trzeciego piętra. Usłyszał ostatnie zdania, wypowiedane pełnym zadumy głosem, w którym pobrzmiwała zwyczajna nutka. Przyjrzał się im zdumiony, gdy tak siedziały na wprost siebie (wybrały dziwne miejsce na rozmowę!) ale przeszedł pomiędzy nimi, wdarł się w przestrzeń, gdzie brakowało już tylko dwóch filiżanek z kawą. Eleonora roześmiała się za jego plecami.

- To wcale nie jest zabawne - powiedziała ponuro Julia. - Zawsze podejmujesz decyzje jak ktoś, kto spodziewa się wojny. Powinnaś z tym poczekać.

- Nie mam czasu - szepnęła Eleonora.

- Co to ma znaczyć?

- Właśnie. Co to ma znaczyć? Sama zadaję sobie to pytanie.

Za jakiś czas na schodach pojawił się idący na górę Benjamin.

Zobaczył obie panie - jedną siedzącą na krześle, drugą na schodach. Popijały lemoniadę i milczały.

Zapytał z uśmiechem o powód narady, potem zauważył leżącą tuż pod jego nogami tabliczkę.

Ogarnęła go fala wyrzutów sumienia przemieszanych z zadowoleniem. Eleonora wpatrywała się w lemoniadę. Benjamin uchwycił zimne spojrzenie Julii.

162

WARIATKI

__ Dlaczego

to zrobiła? - zapytał, udając naiwność, jak winowajca.

__ Sądzę, że gabinet komuś wadził - odparła Julia.

Wzruszył ramionami i bez słowa zszedł na dół.

__ Dobrze-powiedziała Julia. - Teraz naprawdę już pójdę. I tak jestem spóźniona.

- Dokąd idziesz?

- Na spotkanie.

- Ale z kim? Wybacz. Zawsze się nad tym zastanawiam. Jakie to pilne zajęcia? - Było jasne, że Eleonora aż się pali, żeby zadać pytanie, którego od dawna nie śmiała z siebie wydusić. - Kim ty jesteś? - zapytała wreszcie z desperacją tchórza.

Julia pocałowała Eleonorę w czoło.

- Twoją matką.

- Przestań. Zadałam ci poważne pytanie. -t

- Jestem nikim. Doskonale o tym wiesz.

- Nie. Nie wiem.

- Zajmij się własnymi sprawami. I beze mnie masz dość problemów.

Eleonora chwyciła ją za rękaw.

- Obiecuj, że nie zabierzesz tych sekretów do grobu.

- Na pewno nie - odparła Julia uspokajającym tonem. - To nam nie grozi. Wiesz, że nie chciałabym

niczego cię pozbawić.

Eleonora powiodła wzrokiem za odchodzącą matką. Przypatrywała się jej zgarbionym ramionom. Julia na pewno rozmyśla w tej chwili o klątwie. A równocześnie o Guym i Martinie. Eleonora wiedziała, że nawet blahy smutek rozjątrzał wspomnienie o dwóch porzuconych synach. Julia знаła tylko strzępki ich życia. Raz ucałowała Martina, kiedy natknęła się na niego w drzwiach domu Dominika - ona wyjeżdżała, on właśnie przyjechał. W tamtych czasach rodzinny spór mógł spowodować, że najbliżsi nigdy już się nie spotkali. Julia nigdy o tym nie mówiła. Ale te przygarbione ramiona. Dlaczego odeszła od ojca?

163

CHANTAL DELSOL

Eleonora przyzwyczajała się do monotonnego błogostanu, w którym obserwuje się, jak rosną dzieci. Zachorowała sekretarka Beniamina. Natychmiast pobiegła ją zastąpić. Odtąd dzieliła jego dni - odbierała telefon w gabinecie, jadła z nim kolacje. Beniamin dystansował się wobec Partii. Nie znaczy to, że jego poglądy uległy zmianie. Po prostu chciał bez reszty poświęcić się pracy. Będę wybitnym lekarzem, mawiał. Oczywiście, przytakiwała mu Eleonora. Za czterdzieści lat koledzy i przyjaciele urządzą ci jubileusz. A ty zaprosisz ich na wystawne przyjęcie. Zaśpiewają dla ciebie. Ktoś wygłosi przemówienie, sławiąc twoje osiągnięcia, publikacje, kongresy, którym przewodniczyłeś. A na końcu tej mowy znajdzie się słówko o mnie, niezastąpionej małżonce, pocieszającej w dniach porażek, wspierającej w chwilach zwątpienia, bez której... będziesz wielkim lekarzem, Beniaminie.

Z lekka zaskoczony, zadarł jednak nos. Widać było, że te słowa cieszą go i niepokoją.

- Kpisz ze mnie?

- Nie, skądże, wyłącznie z samej siebie.

Julia otrzymała zamówienie na dekorację pewnej willi. Miała wymalować arabeski nad schodami. Od rana do wieczora tkwiła na nie zawsze stabilnym rusztowaniu, praca jednak była łatwa i nie przeszkadzała w rozmyślaniach. Beniamin kradnie jej życie, myślała rozwścieczona. Jakby nie dość mu było jednego bytu. Musi jeszcze zagarniać cudzy. Czas i siły żony należą do niego! A moje dzielne małżeństwo znosi to bez słowa. Co gorsza, nawet na to przystaje.

Tymczasem Eleonora od świtu do nocy zajmowała się sprawami całego świata, a jej oczy lśniły. Wydawało się, że nie odczuła zmian, jakie zaszły w jej życiu. Ze zręcznością czarodziejki wymazała marzenia pieszczone od najmłodszych lat. Śmiała się jak dawniej. Nie powinnam się w to wtrącać, rozmyślała Julia. Kreśliła arabeski, równo nakładając farbę. Na samej górze rusztowania trzęsły się jak osika. Gdybym przynajmniej potrafiła ją zrozumieć. Nocami, w tej najstraszliwszej porze pomiędzy godziną pierw-

164

WARIATKI

szą a szóstą rano, siedziała na łóżku, szperając w pamięci. Skąd w Eleonorze ta przytłaczająca pogarda? Czy to przez starego Epsteina? A może należy do wyjątkowej rasy

___ tylko do jakiej, skoro tak dalece wyrzeka się siebie? Czy

miłość może dokonać podobnych cudów? Ale chyba miłość bez wzajemności, w przeciwnym razie Beniamin nie pozwoliłby jej na takie wyrzeczenie. Bez wzajemności, tylko Eleonora o tym nie wie. Nie poświęcałaby się dla kogoś, kto jej nie kocha.

Wreszcie morzył ją poranny sen, czarna zasłona, na której poruszały się i zmieniały obrazy. Potem wracała na drabiny i rusztowania. Beniamin musiał przesiąknąć tą szczególną wizji miłości jako posiadania na wyłączność. Jest tylko synem historii. Ale ona! Pędzel wypadał jej z ręki i lądował u dołu schodów. Co chce w ten sposób ocalić?

Julia przyjęła półroczny kontrakt w Quebecu. Od dawna odrzucała propozycje dłuższych wyjazdów, by móc pomagać Eleonorze w wychowaniu dzieci. Po raz pierwszy w życiu była wolna jak ptak. Co będziesz robiła w środku zimy w takim kraju? pytała Eleonora. Chcesz spotkać się z przyjaciółką? Musi ci być niezwykle droga, skoro planujesz tak długą wizytę. A ja jej nawet nie znam.

Julia z pomocą Konstantego spakowała walizki. Myślała: mam blisko sześćdziesiąt lat, a wciąż

ukrywam kochanka, jakbym była pensjonarką!

Luty był mroźny i rzekę Świętego Wawrzyńca skuły lody. Wynajęli dom w Montrealu na wzgórzu, którego nazwy, podobnie jak nazwy alei, Julia nie zapamiętała. Posesja nosiła numer 2025. Schody przed domem niknęły pod śniegiem. Trzeba było żyć w zwolnionym tempie, chodzić zmagając się z wiatrem i wcześniej wracać do domu. W teatrze pełno było niezwykłych osób, zawsze skorych do

165

CHANTAL DELSOL

zabawy i cechujących się melancholijnym humorem, który jak żaden inny odpierał ataki przejmującego wiatru Północy. Kanadyjczycy chcieli, żeby dekoracje miały jaskrawe barwy, żeby ich brutalność była dotkliwa jak wrzód, jak uwięzienie, żeby wyrażały podniosły charakter śmierci. Julia przywołała wszystkie demony ze swych snów. Rankiem taszczyła teczkę ze szkicami przez długie wyziębione korytarze. Konstanty został przyjęty do grupy twórców podających się za wizjonerów. Całymi dniami przesiadywał w rogu ciasnej zadymionej kanapy i rozparty wygodnie, dowcipkował. Miał proste, ale olśniewające pomysły. Dlatego go zaakceptowano. Może także dla jego przyjaznej dobroci, niesłuchanie mocnej głowy i szczypty tajemniczości, która spowijała jego osobę.

Niebo było białe. Na obrzeżach obrazów Julia rysowała wczepione w płótno demony, które zdawały się wspinać ku realnemu światu. Ciągłe myślisz tylko o niej, stwierdzał Konstanty, spoglądając na dziwne istoty władające już płótnem. Sądysz, że jest nieszczęśliwa. Chciałabyś zająć jej miejsce i oddać jej swoje. Ale jesteś w błędzie. Nie jest do ciebie podobna i tyle. Julia milczała. Szukała słupa dymu na tle połyskujących śniegiem pól przedmieścia. Demony władały przestrzenią. Klątwa ożyła!

Gromady wszędobylskich artystów, koledzy z pracy i od kieliszka, czasami półoblakani, nieustannie czatowali na jakies miejsce, w którym można by się "przytulić". Konstanty ich zbywał: Dziś wieczorem nie wychodzimy. Odpoczywamy. Na zewnątrz Europejczyk gotów zamarznąć! Latem mawiał: Niedziela jest dla nas dwojga. Żeby podpatrywać dzikie gęsi. Albo obserwować wieloryby. Znajomi szemrali i drwili z nich. Można by pomyśleć - nowożeńcy! Może tylko udają małżeństwo; zostawili we Francji swe "drugie połowy" i przepłynęli ocean, by się ukryć. W tym wieku! Nawet przy stole siadają tuż obok siebie. On cały czas zerka na boki, jakby w obawie, że ktoś mu ukradnie ukochaną. Ona szepce mu do ucha, jakby obiecywała wieczną miłość.

Rozczulające!

166

WARIATKI

Wrócili do Paryża, kiedy opadały liście. Julia nie zniósłaby drugiej kanadyjskiej zimy. Konstanty uwielbiał futra i wilgotne, mroźne powietrze w pochmurne dni, ona ich nie lubiła. Kupił dwa bilety powrotne i nie narzekał - wiedział, że spełni każdy jej kaprys, że nawet na łożu śmierci będzie odgadywał jej życzenia. Z pokładu statku patrzył na oddalające się zalesione brzegi, na ujście potężnej rzeki i z nostalgią w sercu zadawał sobie pytanie, dlaczego przeznaczenie związało go z tą kobietą już od pierwszej chwili. Nie wiedział nawet, jak nazwać fascynację, która trwa tak długo. Julia natychmiast pobiegła do Eleonory. Dzieci były same, grały w warcaby - poważne, pełne rezerwy, którą wpaja szkoła i wychowanie. Przywiozła im czapki z borsuka. Razem zabawiali się, przymierzając je i strojąc miny przed lustrem. Mamy nie ma. O tej porze pracuje w szpitalu Miłosierdzia. Julia o nic już nie pytała. Poszła prosto do szpitala. Zastała Eleonorę na internie, ubraną w biały fartuch. Podjęła tę pracę jako wolontariuszka, aby pomagać potrzebującym. Nie miała stanowiska ani pensji i taką pracę akceptował jej mąż. To było po prostu zajęcie. Erzac, który koił żal. Zakorzeniona w jej duszy pasja znajdowała ujście w tej namiastce, w tym podstępnie, niczym kwiat rozkwitający na kamienistej glebie.

16

- W pokoju 106 jest pewien staruszek. Nie jest ciężko chory. A właściwie choruje od tak dawna, że przestał na to zwracać uwagę. Ale chce rozmawiać. Niech pani będzie taka miła, proszę do niego iść, Eleonoro. Zapomniałem, jak się nazywa. Leży w łóżku przy oknie. Ma wąsy. I niebieskie oko, które bezwiednie mruży. Proszę do niego iść.

Dokładnie odpowiadał opisowi. Na jego twarzy malowała się wyuczona od dawna cierpliwość, niebieskie oczy błyszcząły, jedna z powiek drgała. >-v

167

CHANTAL DELSOL

- Pani przysłała pewnie dotrzymać mi towarzystwa?

- Tak. - Uśmiechnęła się.

W jego uśmiechu widać było głęboką radość, silniejszą niż lęk przed chorobą. Od razu go polubiła.

- Prosiłem, by ktoś ze mną posiedział. Lekarze nie mają na to czasu. Pani nie jest lekarzem?

- Owszem, jestem. Ale lekarzem, który nie uprawia medycyny.

- Proszę mi to wyjaśnić.

- To zbyt skomplikowane.

Wtulony w poduszki, na poły siedział, trzymając ręce na kołdrze. Przyglądał się jej uważnie, natarczywie, niemal niedyskretnie.

- To niewiarygodne - szepnął - jak bardzo przypomina pani kogoś, kogo znałem. Ale oczywiście pani nie jest tą osobą. Czasami... nie wiem, czy pani już się to zdarzyło? Na pewno nie, jest pani za młoda. Na ulicy lub gdziekolwiek widzi się znajomą twarz. Człowiek myśli sobie, to Iksiński, którego nie widziałem od dwudziestu,

trzydziestu lat. I z radością szykuje się do zagadnięcia starego znajomego. Ale wtedy przychodzi chwila rozważań. To jego twarz, ale ta sprzed lat. Teraz musi wyglądać zupełnie inaczej. I człowiek śmieje się sam z siebie, bo zapomniał o upływie czasu. Podąża dalej swą drogą, tylko rozczarowanie daje o sobie znać dotkliwym kluciem w sercu. Właśnie tak się czuję, patrząc na panią. Tak bardzo przypomina mi pani tamtą dziewczynę... Nawet pani głos brzmi tak samo. To zadziwiające... Cóż, proszę mi wybaczyć tę swoistą natarczywość.

- Kim ona była?

- Sanitariuszką podczas wojny. Byłem lekarzem wojskowym w Yerdun. Dlatego od tamtej pory wypluвам płuca. Ta dziewczyna mi pomagała. Była bardzo sprawną pielęgniarką. Zawsze prosiłem, żeby mi ją przydzielano. Niewiele mówiła. Mógłbym być jej ojcem. Zresztą bardzo bym chciał. Powiedziałem jej o tym. Pewnej nocy musieliśmy operować w fatalnych warunkach. Wtedy opowiedziała mi... To takie dziwne.

168

WARIATKI

- CO?

- Zwierzenia. Może nie powinienem... Ale minęło już tyle czasu. Powiedziałem, że powinna studiować medycynę. Była bardzo zdolna. Nie tylko inteligentna, lecz posiadała też mądrość serca. A te dwie rzeczy rzadko idą w parze. Odpowiedziała, że zdawała egzamin do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie przyjmowano wyłącznie chłopców. Zrobiła to w przebraniu.

Eleonora roześmiała się.

- Musiało jej się to przyśnić - rzuciła. - Łatwo zrozumieć takie marzenia w tamtych czasach.

- Myli się pani. Jestem pewien, że mówiła prawdę. Dlatego tak bardzo mi ją pani przypomina - lekarka, która nie uprawia medycyny.

- Ja po prostu przypominam wszystkie inne. Spotkał pan ją po wojnie?

- Nigdy. Powinna ją pani poznać. Przedstawię was sobie w moich snach.

Z kuchni domu Dominika, ze starego radia dobiegał głos obwieszczający niepodległość Tunezji.

Oliwią bawiła się pod czujnym okiem matki. Była ubrana w sukienkę z krepy, której obniżoną talię podkreślała satynowa szarfa. Ta odświętna sukienka pamiętała lata międzywojenne i została wydobyta z szafy na Wielkanoc. Eleonora przyglądała się biegającej po alejkach ogrodu córce i myślała: muszę napisać do niej list, muszę to zrobić. Ten dziwaczny pomysł dręczył ją od pewnego czasu, choć nie wiedziała dlaczego. Oliwią miała dopiero sześć lat i nie umiała jeszcze czytać. W dodatku była przecież tuż obok, stale w zasięgu wzroku matki, w zażyłej bliskości, jaka towarzyszy zawsze ostatnim dniom beztroskiej, dziecięcej swobody. Pomimo to Eleonora miała uczucie, jakby dorosła już Oliwią od-

169

CHANTAL DELSOL

dalila się z jakichś nieznanych przyczyn. Jakby zadała jej te najważniejsze pytania, na które chętnie odpowiadamy na piśmie. Jakby czekała na wyjaśnienia, których należy za wszelką cenę udzielić, choćby wzbudzając zakłopotanie. Zamierzała napisać do Oliwii. Ten list nie nabrał jeszcze realnego kształtu. Ale już ciążył jak nieunikniony obowiązek.

Napisać list do Oliwii. Eleonora stale odsuwała od siebie tę chwilę, przekładała ją z dnia na dzień. W tym tygodniu ma nawał pracy. Dziś domowe zajęcia nie pozostawiają jej nawet godziny.

Wieczorami była zbyt senna albo zmęczona, poza tym nie miała na to ochoty. W poniedziałek, za tydzień, później. Przez cały czas dręczyło ją sumienie. Ktoś czeka. Ale przecież Oliwią, gdy wracała z przedszkola niosąc ze sobą zapach wiosny i bawiła się u stóp matki, albo gdy zasypiała tuląc policzki do lalczynęj główki, nie ponaglała jej. Eleonora zastanawiała się, dlaczego ten list jest tak pilny, skoro nikt go nie oczekuje. Przypominało to wizytę u notariusza. Przyszłość nie ponagla, ale nikt nie wie, ile mu pozostało. Trzeba napisać ten list. Tak minęła wiosna, potem lato. Eleonora nie widywała się z Julią tak często, jak by chciała. Albo sama zaabsorbowana była sprawami Beniamina, albo Julia dokądś wyjeżdżała (dokąd i po co - te pytania zawsze nurtowały Eleonorę, zawsze miała je na końcu języka). Zadzwoiła do niej przed rozpoczęciem roku szkolnego. Zapytała, co słyhać, ale był to oczywiście tylko pretekst. Dręczył ją niepokój.

- Trzeba by pojechać do domu Dominika po książki.

- Jakie książki? - zapytała Julia.

- Marka Epsteina. Powiedział, że mi je daje. Nie śmiałam ich zabrać. Dziadek nie lubi, kiedy rzeczy odchodzą z domu. Trzeba mu to jakoś wytłumaczyć.

- Gdzie leżą te książki?

- Na nocnym stoliku. Opuścił dom prawie bez bagaży. Mówił, że niczego już nie będzie potrzebował.

170

WARIATKI

- Jak to? Nigdy mi o tym nie wspomniałaś! Kiedy odszedł? Niczego nie będzie potrzebował?! Co to miało znaczyć? - Julia prawie krzyczała, a w jej głosie pobrzmiwały żal i gniew.

- Nie, nie. Nie myśl tak. To było w maju czterdziestego czwartego. Doskonale pamiętam ten dzień. Pod sam koniec wojny. Nie wcześniej.

- Dobrze - powiedziała Julia. - Zabierzesz książki, kiedy zechcesz. Podczas najbliższych wakacji.

- Tak. Ale nie można o nich zapomnieć.

- Na pewno nie zapomnisz. Poza tym to nie takie ważne.

- Ważne. Nie wolno o nich zapomnieć - powtórzyła Eleonora.

Co ją napadło? zastanawiała się Julia, odkładając słuchawkę.

18

Włóż palto, radziła Romana. Nie słuchaj tego faceta. Siądź przy oknie. I spróbuj się przespać. Nie martw się o to. Jeśli chcesz, będę mówiła pierwsza. Wydawało jej się, że powinna się opiekować Eleonorą, chronić ją. Chronić jej cudowną niewinność. Delikatność. Gdyby było trzeba, wzięłaby na siebie jej winy.

Pewnego dnia wracały samochodem z burzliwego zebrania. Właśnie podano wiadomość o kolejnym zamachu bombowym, który spowodował ofiary w Algierze. Podrzucę cię do domu, zaproponowała Romana. Ulica de Seine była zakorkowana. Samochody posuwały się w ślimaczym tempie. Eleonora głośno czytała tytuły artykułów w "L'Humanite".

- Sama widzisz, co się dzieje - dodała. - Nawet przywódcy tego nie rozumieją. Chociaż udają, że wszystko jest dla nich jasne. Może po prostu ludzie nie chcą

171

CHANTAL DELSOL

rewolucji. Może nikt prócz nas jej nie pragnie. A my to za mało.

Romana zatrzymała się na czerwonym świetle. Skrzynia biegów zgrzytnęła.

- Co się z tobą dzieje? Naszym zadaniem jest odmienić świat. Zmierza ku zgubie. To chyba dość, żeby działać.

Zapaliło się zielone światło. Samochód ruszył.

- Nie możesz tu zaparkować - powiedziała Eleonora. - Zwolnij, wysiądę w biegu. W przyszłym tygodniu jadę na Węgry. Zadzwoń za dziesięć dni. - Otworzyła drzwi.

Romana pochyliła się w jej stronę.

- To chyba dość, żeby działać? Nie sądzisz?

Za nimi ktoś wcisnął już klakson. Eleonora zatrzasnęła drzwi.

- Zadzwoń - powtórzyła przez szybę.

Julia niemal biegła pasażem stacji Chatelet, mijając straganiki ze sztuczną biżuterią. Tego dnia nieco wcześniej skończyła restaurowanie geniusza potężniejszego niż natura, jeśli w ogóle można mówić o naturze geniuszy. Tak czy inaczej uporała się z ogromnym obrazem, który pochłaniał jej dnie i noce przez wiele miesięcy i fascynował tak bardzo, że już to było wystarczającą rekompensatą za wysiłek włożony w naukę konserwacji. Przedstawiał istotę wszechmocną, której wysoka postać zajmowała całą długość płótna i emanowała grozą zimnych sfer. Dobywający się z gardła geniusza krzyk mówił o nieobecności istot i rzeczy, a równocześnie przekonywał bez słów o istnieniu bytów. Trawiąc czas na dobieraniu barw, których użył artysta, wodząc pędzlem po śladach jego pędzla, Julia zyskała pewność, że styka się z jego tułającą się duszą. Malarz pozostawił tego geniusza, chcąc zaświadczyć o istnieniu wierności, która sama nie jest sobie świadoma. Ta niepełna, ale oczywista prawda napawała Julię szczęściem. Właśnie oddała ukończoną pracę. Wiedziała, że już nie ujrzy obrazu. Wiedziała też, że owa prawda na zawsze

172

WARIATKI

pozostanie przy niej. Towarzyszył jej duch nieznanego malarza, a wraz z nim jego odkrycie. Czuli się, jakby było ich dwoje.

W chwili gdy podjechał skład metra, podjęła poważną, nieodwołalną decyzję. Nie mogła dłużej pozbawiać Eleonory wiedzy o przeszłości, ukrywać przed nią swego sekretu. Lata życia w kłamstwie sprawiły, że zaczęła tolerować mijanie się z prawdą. Potem, kiedy wiodła podwójne życie, przyzwyczajenie było jej sprzymierzeńcem. Ale tego, co przeżyła, stanąwszy twarzą w twarz z geniuszem nocy, nie mogła taić przed Eleonorą. Natychmiast o wszystkim jej opowie, od początku do końca. Także o Konstantym. Wsiadła do wagonu i nie znalazłszy wolnego miejsca chwyciła poręcz, której trzymały się dłonie różnych kolorów. Do wyznań nie pchało jej gwałtowne pragnienie, by opowiedzieć o swych doświadczeniach. To raczej doświadczenie dawało jej siły, by podjąć tę decyzję. Zresztą nie myślała o tym. Zamiast do domu, udała się wprost do Eleonory. Była pewna, że nie pożałuje. Przesiadła się, nie zwracając uwagi na drobnych handlarzy, przejechała trzy stacje i wyszła na ruchliwą po południu ulicę.

Doszła do ulicy de Seine, gwarnej, emanującej zagadkową determinacją. Dziwiła się, że nie odczuwa strachu. Często myślała o tej chwili i za każdym razem miała wrażenie, że niebo runie na jej głowę. Ale dziś wiedziała, jakich słów użyje, by opowiedzieć o swych dziejach, jakby nagle posiadała tajniki nowego języka. Zapanowała nad wstydem. Wyobrażała sobie, jak zaskoczona będzie Eleonora - takie wyznania muszą wywołać szok - ale z optymizmem pokonała tę myśl. Czuli, że potrafi stawić czoło najbardziej nieoczekiwanym reakcjom, od buntu po rozpacz poprzez wszelkie rodzaje żalu i pretensji. Była pewna, że nie może zestarzyć się ani umrzeć, dopóki nie ujawni tajemnic swego życia. Ta głęboka metamorfoza po latach rozmiłowania w podstępach nawet jej nie zdziwiła.

Przed bramą domu natknęła się na wychodzącą Eleonorę. Często się zdarza, że wypełnieniu niezłomnej decyzji

CHANTALDELSOL

staje nagle na przeszkodzie niespodziewany drobiazg. Wystarczy, by zamiast spodziewanej zastać nieco inną scenę, a najsilniejsza wola słabnie. Julia wszakże była wciąż w pełni zdecydowana. Spodziewała się, że ujrzy córkę w salonie, że Eleonora zechce wysłuchać tego, co matka ma jej do powiedzenia. Ale przecież może wyznać jej

prawdę przy skrzynkach na listy.

Eleonora trzymała w ręku torbę podróżną. Wyglądała na speszoną, jakby ktoś przyłapał ją na

gorącym uczynku.

- Wychodzisz? - zapytała Julia. - Mogę cię odprowadzić?

- Jadę na Dworzec Wschodni.

- Dobrze. Jedziesz metrem? Pójdę z tobą. Muszę powiedzieć ci o czymś, co nie może dłużej czekać.

Eleonora spoglądała na nią, mrugając oczyma.

- To nic poważnego? Nie jesteś chyba chora, mamó?

- Nie, nic z tych rzeczy. Czuję się doskonale. To drobiazg. Pewna myśl...

- Och! Jestem już trochę spóźniona. Wyjeżdżam. Tam czeka samochód. Przyjaciół odwiezie mnie na dworzec.

Mówiła, idąc szybkim krokiem. Julia zobaczyła źle zaparkowany samochód i nieznajomego za kierownicą. Silnik warczał.

- Nie wiedziałam, że wyjeżdżasz. W takim razie porozmawiamy kiedy indziej. Kiedy wracasz?

- Za tydzień. - Eleonora pochyliła się, żeby ją pocałować.

Julia zauważyła nagle, że córka jest ubrana w nietypowym dla siebie stylu, jakby wybierała się na wycieczkę do lasu albo mityng sportowy. Bluza z niebieskiego weluru z pikowanymi rękawami, licznymi kieszeniami i dużym kołnierzem... Oszłupiała wobec tak niezwyklej frywolności stroju, wyciągnęła rękę, by dotknąć miękkiej tkaniny.

- Tak ładnie ci w tej bluzie - szepnęła. - Nigdy jej nie widziałam. Gdzie ją kupiłaś?

WARIATKI

Eleonora uśmiechnęła się.

- Prawda, że ładna? Wyszperałam ją... Opowiem ci przy okazji. Na razie. Zadzwoń po powrocie.

Wsiadła do auta, które natychmiast ruszyło. Jeszcze skinęła ręką na pożegnanie. Julia długo stała na ulicy. Miała wrażenie, że jej latami skrywany sekret przypomina teraz machinę ucznia czarnoksiężnika.

;" - Razem przeczytamy gazetę - powiedział Benjamin siadając na kanapie. Dwójka dzieci wtuliła mu się pod obie pachy. Rozłożył dziennik. - Zwykle z mamą opowiadacie sobie historyjki? Ja nie znam żadnej na pamięć. Ale tu też jakaś znajdziemy. Popatrzmy. Co to? Na pierwszej stronie rosyjskie czołgi i jasnowłosi żołnierze. Jadą ulicami Budapesztu niczym triumfująca armia rzymska. - Ubrane w pizamy dzieci zainteresowały się typami czołgów. - O to właśnie chodzi - powiedział Benjamin. - To nie zabawki. Cały świat powinien dziś płakać.

Czytał i szlochał w duchu. Dzieci wyczuły to, obserwując drżenie jego warg i dziwne, nieobecne spojrzenie, jakim od czasu do czasu je obrzucał.

- Przygotuję teraz kolację - rzekł, wstając. Gazeta zsunęła się na podłogę. Rozdarł ją kopnięciem.

Wszedł do kuchni, wyjął salaterkę i zaczął rozbijać jajka. W salonie dzieci włączyły radio.

Komentator podawał przybliżoną liczbę zabitych. Słychać było detonacje, potem odgłosy walących się murów.

- Wyłączcie to - krzyknął Benjamin. Głos zamilkł. Ubijał jajka widelcem, dopóki nie powstała piana. Posiekał pietruszkę, posolił jajka, przeliczył talerze. Ze zmarszczonym czołem ustawił szklanki i napenił karafkę wodą. Po raz pierwszy te wszystkie czynności wydały mu się kompletnie bezsensowne. Zastanawiał się dlaczego. Przecież zajmował

CHANTAL DELSOL

się dziećmi i niczego nie chciał zaniedbać. Na ogół w takiej sytuacji najzwyczajniejszy gest był zabarwiony czułością. Ale tego wieczoru miał wrażenie, że przelewa z pustego w próżne. Coś w nim pękło, coś się załamało. Nie miał pojęcia, jaki spadł nań kataklizm, ale życie jakby zatraciło którąś z barw

- nie wiedział tylko którą.

Dzieci znowu włączyły radio. Benjamin właśnie rozpakowywał ser i rozwijając papier stanął w drzwiach salonu, żeby lepiej słyszeć. Rozmawiano z przywódcami partii, pytając o ich opinie. A ci wyjaśniali sytuację tak zręcznie, jakby chodziło o aresztowanie bandyty. Benjamin miał wrażenie, że ogromnych rozmiarów meteor roztrzaskał się o sklepienie niebieskie nad Rajem.

- Wyłączcie to - polecił znowu. - I chodźcie jeść.

Usadowił ich na krzesłach. Zawiązał pod brodami serwetki.

- Co ci jest, tato? Jesteś taki szary! ' - Wstydzę się - powiedział.

- Czy to choroba? - zapytał Paweł.

- Tak, to choroba.

: , - I nie będziesz jadł?

- Nie. Mdli mnie.

Julia pojawiła się, kiedy upačkane jogurtem dzieciaki kończyły deser. Usiadła przy nich i zaczęła wypytywać o szkołę.

- Nie słyszałaś, co stało się w Budapeszcie? - zapytał Beniamin.

- Tak, owszem-odparła.-To straszne, ale musiało do tego dojść. Czego można się spodziewać po Moskwie?

- I zajęła się opowiadaniem wnukom dalszego ciągu bajki, którą zaczęła wczoraj.

Beniamin siedział nad pustym talerzem i patrzył na nią z pretensją.

- Co z nami będzie? - zapytał zbolalym głosem. Julia była zdumiona.

- O co ci chodzi? Co ci jest? Szczęście, że Eleonora tam nie pojechała. A właśnie, gdzie ona jest?

176

WARIATKI

Beniamin poderwał się od stołu.

- Ja... ja nie mam pojęcia - wyznał. Julia patrzyła na niego osłupiała.

- Wyjeżdżała z Dworca Wschodniego - powiedziała powoli. - Więc nawet nie wiesz, gdzie jest twoja żona?

Beniamin wpadł w panikę.

- Owszem, na pewno mi mówiła, ale zapomniałem. Mam tyle pracy... ja...

Julia pokręciła głową. Zapomniał. Nie ma jej numeru telefonu. Niewiarygodne!

Zwiewne dziedzictwo

Eleonora dotarła do domu przy ulicy Dohany. Może czekali w nim organizatorzy spotkania, o którym nic nie wiemy, a może był to hotelik dla obcokrajowców. Przyjechała wieczorem.

Zaprowadzono ją do pokoju i na pewno było już późno. Tego dnia w każdym razie zaginął po niej wszelki ślad i to, co mi opowiadano, jest tylko przypuszczeniem. Stała się tą zagubioną istotą, którą Julia od początku na próżno usiłowała chwycić za rękaw, przywołać w mroku, niespokojna, jak niespokojne bywają matki. Można sobie wyobrazić niewygodny pokój, brudny i nędzny, jak to się zdarza w tamtych rejonach. Potłuczone klosze, ciekące krany. Narzuta na łóżku w strzępach. I ta woń kurzu i biedy, i unoszący się nad wszystkim strach przed szpiclami, którzy śledzą każdy krok. Pewnie pod którąś ścianą stał tam stół. Pismo nie byłoby tak równe, gdyby pisała na kolanie.

Używała dobrze mi znanego niebieskiego atramentu. Miała też własny papier - na pierwszej stronie widniał adres gabinetu Beniamina, druga pochodziła z zapasów partyjnych i to dziwaczne zestawienie nadało jej przesłaniu barokowy charakter, choć oba nagłówki przekreśliła zdecydowanym pociągnięciem pióra. Ale słowa zawarte w tym liście zdawały się nie wiązać z żadnym miejscem i były jak wykute w kamieniu. Zapewne poświęciła kilka godzin nocy, żeby napisać ten list do Oliwii.

Było to przesłanie dnia ostatniego, zarazem znaczące i błahe. Na początku narzekała, że noc jest tak krótka. Pod

178

WARIATKI

koniec pisała, że kończy się jej atrament. Wyznała, iż nie rozumie, czemu czas ją nagli. Ale jakaś zagadkowa konieczność - istota jej krótkiego życia - kazała jej pozostawić dziedzictwo, które nazwała zwiewnym, niematerialnym kapitałem zapału i samotności.

Złożyła obie kartki i wsunęła je do koperty, na której napisała imię Oliwii i adres swego mieszkania przy ulicy de Seine w Paryżu. Nie nakleiła znaczków, nie napisała nazwy kraju. Zapewne nie zamierzała wysłać tego listu, tylko zabrać go ze sobą jak butelkę, której nie śmiała cisnąć do morza. Przyjaciele, z którymi spotykała się w Budapeszcie, niewątpliwie minimalizowali rozmiary rewolty ogarniającej kraj. Eleonora musiała zasnąć na wąskim łóżku nie mając pojęcia, że na

ulicach toczy się już wojna.

Uczeń stał za szczątkiem zburzonego muru przy ulicy Dohany. Dyskretnie obserwował domy po prawej i lewej stronie. Czekał na sprzyjającą chwilę, by przejść przez ulicę. Nad dzielnicą zapadła kojąca, może tylko złudna i oszukańcza cisza. Strzelanina oddalała się, lecz wokół było sporo otwartej przestrzeni, w której od czasu do czasu świstały zbłąkane kule. Takie pociski wystrzeliwiają właściwie bez celu cofające się oddziały. Chłopiec, którego gniew uczynił żołnierzem, stracił w ulicznej zasadzce kolegę z klasy i resztki cierpliwości. Próbował dołączyć do innej walczącej grupy, ukrywającej się na obrzeżach Pesztu.

Zza muru dostrzegł tę młodą kobietę o bardzo krótkich włosach, ubraną w niebieską bluzę. Wychodziła z domu naprzeciw jakby nigdy nic, jakby wybierała się do pracy albo po chleb. Szła spokojnym krokiem myśliwieli i lunatyków. Zbliżając się do niego, kroczyła po zasłanej gruzem jezdni. Najwyraźniej myślni była o tysiące mil stąd. Zastanawiał się, czy nie jest świadoma niebezpieczeństwa, czy może ogrom nieszczęść lub trosk, które ją zaprzatają, przerasta największe nawet zagrożenie. Wszyscy inni, jeśli już musieli, chyłkiem przebiegali na drugą stronę ulicy. Ona szła powoli, ze zwieszoną głową. Na ramieniu miała torebkę.

179

CHANTAL DELSOL

Wiatr cisnął w nią suchymi liśćmi, które przyniósł beztrąsko z parku Yarosliget. Chłopak ledwie słyszał odgłos strzału. Młoda kobieta osunęła się na ziemię. Wtedy zrozumiał tajemnicę jej wyzywającego spokoju. Upadała wolno, jak istota nie z tej ziemi, jak nierealna zjawia. Uważała, że jest niczym i nie powinna żywić żadnych nadziei. Odgadł to w ułamku sekundy. Szła przez życie nie domagając się tego, co było jej należne. Po prostu przypatrywała się. Nie sądziła nawet, że jej ciało może rzucać cień. Widziała cienie innych ludzi, to było normalne, ale ona nie mogła mieć cienia. Chłopak poczuł, że był świadkiem ucieczki anioła.

Kobieta leżała kilka metrów od niego, tuż obok cynowej czerwonej gwiazdy, którą zerwali powstańcy. Ostrożnie rozejrzał się po okolicy, wyszedł z ukrycia i zbliżył się do nieznajomej.

Ukląkł przy niej, delikatnie odwrócił ciało. Dostać w serce ostatnią zbłąkaną kulą to znak, pomyślał, że życzyła sobie śmierci. A może tak naprawdę umarła już dawno.

Przyjrzał się ubraniu kobiety - było zagraniczne. Najbardziej podobała mu się niebieska bluza z pikowanymi rękawami i kieszeniami i ładnym, dużym kołnierzem. Nigdy jeszcze nie dotykał takiej tkaniny. Przed chwilą okrył swoją kurtką rannego, został w samej koszuli, dość cienkiej, i było mu zimno. Pomyślał, że umarli nie drżą na chłódzie. Zsunął bluzę ze szczupłych ramion, a potem delikatnie założył nieznajomej torbę z powrotem na ramię. Umarli nie boją się wiatru, ale na pewno

się utracić nazwisko.

Podniósł się i nałożył bluzę. Pasowała jak ulał. Odszedł, by dołączyć do grupki powstańców. Czuł się zakłopotany. Miał wrażenie, że ukradł coś więcej niż tylko zwykłe jesienne ubranie.

Całe popołudnie spędził z kolegami na pierwszym piętrze opuszczonego domu, strzelając do pojawiających się co pewien czas patroli. Nie wspominał nikomu o młodej zastrzelonej kobiecie.

Koledzy zachwycali się bluzą, która wyglądała jak ukradziona z luksusowego sklepu na Zacho-

180

WARIATKI

dzie. Była zbyt piękna, zbyt promienna, by nie przyciągnąć spojrzeń Rosjan. Pokręcił głową, nie, ta bluza przynosi szczęście a zresztą dostał ją od anioła. Śmiali się z niego. Wieczorem dokładnie obejrzał swój skarb. Bluza, której kobieta nie zapięła, nie ucierpiała nawet od kuli.

Wyglądała jak nowa, kupiona na świąteczny dzień. W prawej kieszeni tkwił list zaadresowany do kogoś we Francji. Chłopak obejrzał kopertę ze wszystkich stron. Nie wierzył, że to zwykły przypadek. Obiecał sobie, że kupi znaczki, kiedy tylko zakończy się ta rewolucja.

Nastoletni powstańcy zajmowali otwarte mieszkania - lokatorzy, chroniąc się w piwnicach, pozostawiali je walczącym, którzy czekali na nowe rozkazy i informacje o rozwoju sytuacji. Nie cieszyli się długo nadzieją zwycięstwa. Przyszło im równocześnie uczyć się walki i klęski.

Bluza posłużyła raz jako zasłona. Wyszedł ostatni, aby ją zabrać. Kiedy indziej musiał nią gasić

plomień - trochę wtedy porudziła, lecz nie straciła uroku. Okrył ją drżące z wychłodzenia rannego kolegę, ale szybko postarał się o koc i odzyskał swą zdobycz w ostatniej chwili, kiedy rannego wsadzano już do samochodu. Potem nie zgodził się wymienić jej na wspaniały nóż, za który dawniej oddałby najdroższą zabawkę. Kiedy klęczał przy oknie, bacznie obserwując ulicę, czuł twardy kształt koperty, która przypominała mu o nieznamym. Pewnej nocy, gdy każdy szukał sobie kąta, chłopak usnął na fortepianie, a po przebudzeniu spostrzegł, że koperta zniknęła. Przetrzęsął wszystko i odnalazł ją pod stertą bezładnie rzuconych nut. Odtąd trzymał ją w bezpiecznym miejscu - w wewnętrznej kieszeni, na sercu.

Tak oto toczyły się burzliwe losy tego listu. Stał się świadkiem śmierci wielu bezbronnych dzieci. Chłopak był przekonany, że opowiada o walce. Nie pisze się przecież listów tuż przed kresem; chyba tylko po to, by podjąć ostatnią próbę oswojenia demonów. List stawał się mu bliski i drogi. Z pewnością czekał ich teraz ten sam los. Chłopak nie zwierzał się nikomu ze swych przeczuć,

181

CHANTAL DELSOL

poprzysiągł sobie tylko, że ten list dotrze kiedyś do adresata.

Od napotkanego na ulicy ucznia-żołnierza dowiedział się, że młodych chłopców zabierano na dworzec i wsadzano do pociągów jadących na wschód. Zebrał kilku towarzyszy klęski. Musieli uciekać. Wydostał się z przedmieść Budy, nie mogąc powiadomić o swych planach rodziców. Wtedy właśnie przypomniał sobie, że nazajutrz są jego szesnaste urodziny. Nagły wyjazd wcale go nie przerażał, nie żałował też, że porzuci świat swego dzieciństwa. Później miał sobie za złe tę beztroskę, jeszcze później zrozumiał, że był wobec siebie niesprawiedliwy i niesłusznie się winił. Nie był odpowiedzialny za nic i za nikogo. Zaznał spokoju wzięwszy na siebie część jedynej odpowiedzialności, jaka na nim ciążyła - odpowiedzialności za przegraną wojnę. Ryzykował tylko własne życie - a więc prawdę mówiąc nic, bo życie dziecka, które nie miało jeszcze ani przeszłości, ani planów; życie bez egzystencji, przejrzyste i lekkie. Doskonale wiedział, o co i dlaczego walczył, ale nic poza tym. Nie był świadom czyhających na niego niebezpieczeństw. Bo jego przyszłość mogła być grubą księgą albo zaledwie broszurką i ktoś mógłby zgadnąć, co przyniesie, a czego w niej zabraknie. Póki szedł, miał wrażenie, że włada Ziemią.

Wczesnym rankiem dotarli do Sopronu. Znajomy kolejarz wsadził ich do pociągu i poradził wysiąść w miasteczku Satfold. Stamtąd mogli pieszo przedostać się za granicę. W austriackich dolinach natknęli się na stada, których marsz spowolniały nowo narodzone jagnięta. Nazajutrz przypadała niedziela. Weszli do kościoła, a kapłan natychmiast rozpoznał grupkę młodych, umęczonych buntowników. Właśnie czytał błogosławieństwa, dorzucił więc od siebie: szczęśliwi niechaj będą wygnańcy, ojczyznę bowiem odnajdą w Królestwie Bożym. Chłopak dostatecznie znał niemiecki, by zrozumieć słowa księdza - jego błogosławieństwo opowiadało dzieje szalonego stulecia. Uczynił z niego swoją życiową dewizę.

182

WARIATKI 2

Romana wstała wcześnie, ponieważ dziecko wołało ją tuż po przebudzeniu. Właśnie przygotowywała śniadanie; dziewczynka biegała wokół niej. W domu panował jeszcze półmrok. Była niedziela, dzień Wszystkich Świętych. Ten weekend przeznaczony na lekturę i marzenia. Zadzwoił telefon. To była Julia. Chciała jej to powiedzieć osobiście. Podała kilka szczegółów, ale sama niewiele wiedziała. Miała tylko ten telegram, potem jeszcze rozmawiała przez telefon z kimś z ambasady. Wyznała, że nie ma dość sił, by przedłużyć tę rozmowę. Powiedziała coś, co miało być pocieszeniem. I odłożyła słuchawkę.

Romana podeszła do okna, otworzyła je, pchnęła okiennice. Do pokoju wtargnął blask porannego słońca. Był piękny listopadowy dzień. Ogród pławił się w magicznych barwach jesiennych liści. Wszędzie panowała cisza. Cisza rozmowy przerywanej w pół słowa, przeciętej nici, ostatniego pytania, które powraca jak echo, ale nigdy nie uzyska odpowiedzi. Usłyszała bezradne echo własnego głosu. Eleonora wymknęła się w trakcie rozmowy, nie zostawiła adresu. Może właśnie po to, by uniknąć udzielania odpowiedzi.

Uczeń-żołnierz spędził kilka miesięcy w Szwajcarii, a w końcu poprosił o azyl we Francji i w

pierwszych dniach wiosny przyjechał do Paryża. Miał adres pewnego schroniska, ale postanowił, że nie od razu tam pójdzie. Spał jak suseł podczas długiej podróży koleją, obudził się jednak tak zmęczony i senny, że nie był w stanie podjąć żadnej decyzji. Było południe i chciał najpierw przejść się po mieście, zobaczyć, jakie to cuda mu obiecuje. Bez biletu wszedł do

183

CHANTAL DELSOL

metra i wyszedł przy Notre-Dame. Był oszołomiony, poruszał się wolno, jego żołądek domagał się jedzenia, a gęstniejąca mgła przesłaniała oczy. Odpędzał natłok myśli, potraçał przechodniów i nie wiedział już nawet, czego chce. Sekwana wydała mu się małą rzeczka, uliczki były za wąskie, a budynki i pomniki nie tak piękne jak w opisach, które słyszał od nauczycieli. Ale był zbyt znużony, głodny i spragniony, żeby doznać rozczarowania. Usiadł w barze na rogu bulwaru Saint-Germain i ulicy du Four i zamówił duże piwo; wypił je jednym haustem, potem poprosił o jeszcze jedno i jeszcze jedno, aż wreszcie nie widział nic prócz ogromnej piwnej chmury, nad którą unosiła się piana. Kiedy kelner poprosił o zapłatę, zaczął gorączkowo przetrząsać kieszenie i wydobyl z nich list Eleonory, sporo bezużytecznych drobiazgów, w końcu zaś i portfel. Od wielu dni nie myślał o liście. Teraz przypatrywał mu się pijackim wzrokiem. Widniała na nim nazwa ulicy - de Seine. Poprosił o plan miasta i zorientował się, że to tuż obok, jakieś dziesięć minut drogi od baru. Choć zmęczony i pijany, nie był w stanie wyzbyć się poczucia, że ma obowiązek jak najszybciej dostarczyć list, choć nie wiedział, co nim powoduje. Zabrał kopertę, wyszedł i ruszył w stronę ulicy de Seine. Odnalazł numer, wszedł do bramy, potem przyglądał się metalowym skrzynkom, zapalił zapalniczkę, by odczytać widniejące na nich nazwiska, bo w pijackim zamroczeniu nie mógł znaleźć włącznika światła. Wreszcie znalazł właściwą skrzynkę i niepewną ręką wsunął do niej list. List leżał tam do następnego ranka. Wyjęła go Julia, kiedy szła po zakupy. Julia wciąż jeszcze była osłabiona i przybita, zwłaszcza że tego dnia Oliwią nie chciała iść do szkoły, domagając się powrotu matki i powtarzając, że jeśli będzie trzeba, zostanie w łóżku do końca życia - wstanie tylko wówczas, gdy w domu pojawi się Eleonora. Julia nie zdołała przekonać Oliwii, że śmierć jest nieodwracalna, ale powtarzała sobie, że śmierć matki jest dla siedmioletniej dziewczynki nie do pomyślenia; zresztą w ogóle ta śmierć była nie do pomyślenia. Wiedziała, że skoro sama nie

184

WARIATKI

potrafi pogodzić się z odejściem Eleonory, nie zdoła wytłumaczyć tego absurdu dziecku. Oprócz rozpaczliwej gnębiła troska o przyszłość. Nie wyobrażała sobie, jak zdoła wychować Oliwię i jej brata. Czuła się za stara, by brać na siebie tak ciężki obowiązek, nie doceniała własnych sił - to się zdarza w chwilach załamania. Toteż kiedy otworzyła skrzynkę i ujrziała wysypujące się z niej listy, z których większość wyglądała na kondolencje, poczuła się jeszcze gorzej, a najbardziej przygnębiająca była świadomość, że będzie musiała w stosownej formie podziękować za wyrazy współczucia. Postanowiła wepchnąć wszystko do skrzynki i zabrać po powrocie z zakupów, żeby bezsensownie nie obciążać torby. Wtedy właśnie w rękę wpadł jej list bez znaczków. Choć korytarz był ciemny, natychmiast rozpoznała pismo Eleonory.

Upłynęło już pięć miesięcy od chwili, gdy dotarła do nich ta tragiczna wiadomość, a od ponad czterech (były pewne problemy ze sprowadzeniem zwłok) Eleonora spoczywała na cmentarzu, w grobie rodziny Beniamina. Ten list nie dotarł tu pocztą. Nie przyniósł go listonosz. Julia stała w półmroku ubrana w nieprzemakalny płaszcz, wysoka i wyprostowana jak zawsze, trzymając na otwartej dłoni tajemnicze przesłanie.

Niewątpliwie był to list od Eleonory. Charakter pisma nie zwodził, zresztą to Eleonora zwykła była zaczynać adresowanie od środka, a kończyć ocierając się o prawy brzeg koperty, jakby ostatnie słowo miało odpłynąć w przestrzeń. Krótko mówiąc, Eleonora wszystko, nawet adresy, pisała tak, jak Julia namalowała ptaka żalu. Zawsze brakowało jej miejsca. Chciała zająć przestrzeń, która nie istniała. To pośmiertne odkrycie wywołało w Julii falę wyrzutów sumienia. Nie potrafiła przekazać córce swych najcenniejszych

doświadczeń ani najgłębszych przekonań. Teraz było za późno. Kiedy należało to zrobić? A jeśli przekazać mogła tylko bezsilność, to smętne dziedzictwo? Usiadła na schodach, upuściła list na

kolana i ukryła twarz w dłoniach.

To nie była pocztówka z wesołej podróży, pozdrowienia dla dziecka, które zostało w domu. Koperta była gruba,

185

CHANTAL DELSOL

jakby skrywała dziennik z dalekiej i długiej wyprawy. A przecież Eleonora miała wrócić po tygodniu. Korespondencja z izolowanych państw bloku wschodniego często ginęła. Wszyscy o tym wiedzieli. Nie powierzyłaby tak długiego i ważnego listu poczcie, na której nie można było polegać. Zresztą na kopercie nie było żadnego znaczka ani nawet pieczęci, która mogła go zastępować. W takim razie dostarczył go posłaniec. Zapewne ten człowiek nie miał pojęcia o śmierci nadawcy. W innym przypadku wszedłby na górę, aby opowiedzieć rodzinie, co się wydarzyło. Zadzwoiłby do drzwi. Lecz tajemnica miała pozostać nie odkryta. Chyba że ujawnią ją te kartki. Jednak list był adresowany do Oliwii, a ona miała zaledwie siedem lat. Nie okrada się z sekretów nawet dziecka. Zwłaszcza dziecka. A zatem trzeba poczekać. Ukryć tę relikwię. I oddać ją adresatce po latach, kiedy będzie zdolna uczynić właściwy użytek z matczynego listu.

Julia wsunęła list do kieszeni płaszcza i weszła na górę. Postanowiła zdeponować w domu jedyny testament Eleonory - bez notariusza, bez podpisów. Nie wiedziała jeszcze, jaki splot okoliczności oddał w jej ręce ten prezent, przygotowany, wysłany i dostarczony. Wiedziała jednak, że to ostatnie przesłanie, że z tą myślą było pisane, a potem przemierzało jakieś tajemnicze drogi. Butelka w morzu, rzucona pod wpływem chaosu uczuć, w ostatniej chwili. Julia otworzyła drzwi i nie zdejmując płaszcza przeszła do pokoju z sekretarzykiem w stylu Dyrektoriatu, w którym Eleonora zwykła była przechowywać dokumenty. Pomiedzy szufladami i szufladkami znajdowała się skrytka, o której nikt nie wiedział. Właśnie tam Julia włożyła kopertę. Wstydziłaby się zabrać ją do siebie. Uważała, że dziedzictwo po Eleonorze powinno drzemać tu, w domu Oliwii, blisko niej, nawet jeśli dziewczynka nic o nim nie wie.

Nazajutrz za sprawą niepojętego zbiegu okoliczności - jakby obecność tego przesłania przywróciła ład tam, gdzie panował chaos - Oliwią zgodziła się wstać i wrócić do szkoły.

186

WARIATKI 4

Beniamin bez reszty oddał się pracy. Początkowo Julia obawiała się, że rozpacz doprowadzi go do obłądzenia. Wyznał jej, że stracił nagle wszystko, co dawało mu siłę. Partia go zdradziła. I śmierć Eleonory była jak zdrada. Pozbyła się siebie, żeby go porzucić. Był tego pewien. Julia milczała, słuchając tych bredni. A jednak nie mogła uwolnić się od myśli, że jest w tym szczypta prawdy. Śmierć Eleonory potwierdzała jej dawne przeczucie. Widzisz, powtarzał Konstanty, źle zrobiliśmy, pozwalając jej się oddalić. Nie, nie mówię o tej podróży. Okoliczności niewiele znaczą. Gdzieś indziej mogłaby wpaść pod samochód albo napotkać mordercę. Powinniśmy byli strzec tej ciszy. Sprowadzić ją na ziemię, zanim całkowicie wyzbyła się ciężkości. Wiem, odpowiadała Julia. Ten, kto chce się wymknąć, zawsze znajdzie jakąś furtkę.

Beniamin w końcu zdołał przekonać samego siebie, że zostanie wybitnym lekarzem. I że ta nadzieja może być silna jak wiara. Że można sztucznie rozjaśniać mroki nocy. Podejmował się najbardziej ryzykownych zadań. Jeździł z kongresu na kongres. Jego nowy uśmiech, w którym brakło radości, rozświetlał błysk satysfakcji. Początkowo przysięgał, że dom będzie wyglądał jak dotąd. Przecież to moje dzieci, mówił. Potrafię wychować własne dzieci. Lecz rychło zauważył, czego mu brak. Nie sił, ale wyobraźni. W środku nocy budził go płacz Oliwii. Szedł do jej pokoju i stawał w progu, nie wiedząc, co powiedzieć. Mimowolnie szeptał: jutro zadzwonię do Julii, jestem taki niezręczny, nie umiem pocieszać, w przeciwnym razie zdołałbym pocieszyć samego siebie. Julia miała spędzić w salonie jedną noc, lecz pozostała na miesiąc, potem rok; sama zatraciła rachubę czasu, a jej własne mieszkanie przeistoczyło się w pracownię malarską, do której tylko się wpada. Zapominała o kontraktach, traciła klientów. Już mnie nie kochasz, skarżył się Konstanty. Zawsze wypowiadał to zdanie, kiedy naturalny porządek rzeczy ulegał

187

CHANTAL DELSOL

zaburzeniom. Obawa, że Julia go opuści, stawała się chorobliwa. Zżerała go zazdrość. Jesteś starym mężczyzną, karciała go Julia. Nie bądź starym dzieciakiem. Nie zostawię tych dzieci w pustym domu. Potem będziemy podróżowali. Konstanty wzruszył ramionami: teraz jest nasze "potem". Ale żadne słowa nie przemogą uporę troski. Julia nie słuchała argumentów. Inaczej zorganizowała swoje rozbite odtąd życie. Myślała o podwieczorkach, planowała wakacje. Ona też uważała się za starą i zmęczoną, lecz ze swą sześćdziesiątką na karku siadała na wywiadówce obok młodych matek. Konstanty w końcu się z tym pogodził. Zaczął podróżować. Pisywał do niej nawet z Paryża. To moje wnuki, a ja ich nie znam. Dlaczego Benjamin sam się nimi nie zajmie? Gdybym był na jego miejscu, zrezygnowałbym z połowy kongresów i smażyłbym z dzieciakami naleśniki. Julia przyjmowała te deklaracje z uśmiechem. Gdybyś był na jego miejscu, postępowałbyś dokładnie tak samo, Kostia.

Kiedy Julia wyjechała z dziećmi w góry, Benjamin postanowił oddać sekretarzyk do renowacji. Wieczorami nudził się sam w domu. Nagle ogarnęła go chęć porządkowania i sprzątnięcia. I oczywiście wszystko chciał załatwić od ręki. Opróżnił mebel z papierów, jednakże nie znalazł ukrytej szufladki. Zadzwoił do konserwatora, syna jednego z przyjaciół. Nazajutrz mebel został zabrany do pracowni.

Zajmiesz się tym, polecił majster uczniowi, chłopcu wyjątkowo starannemu i cichemu, który wyroby artystyczne traktował jak bóstwa. Rozpoznałeś? To Dyrektoriat. Najpierw uważnie go obejrzyj. Żaden szczegół nie może ci umknąć. Podoba ci się? To dobrze. Praca przyniesie ci zadowolenie. Zaczynij od wyjęcia szuflad.

Uczeń rozpracował kolejno wszystkie mechanizmy. Im bardziej zagłębiał się w ich labiryncie, tym bardziej podziwiał owo cmentarzysko tajemnic. To genialne, myślał, zastanawiając się, czy kiedyś sam zdoła wymyślić podobne cudo, i właśnie wówczas natrafił na list Eleonory. Zafascynowany magią odkryć, nie zwrócił uwagi na zwykłą

WARIATKI

kopertę. W pracowni obowiązywał zwyczaj, zgodnie z którym znalezione przedmioty rzucało się do specjalnej skrzynki, zaś jej zawartość co pewien czas wędrowała do śmietnika. Rzucił tam kopertę, nawet na nią nie zerknąwszy. I dalej układał jedną na drugiej szuflady, porównując odcienie drewna.

Benjamin co wieczór telefonował do dzieci. Wspomniał Julii o swych porządkach. Sam odwiózł sekretarzyk do pracowni. Najwyraźniej czekał na pochwałę.

- Do renowacji? Ależ to nie było potrzebne! Był w doskonałym stanie! - zaprotestowała Julia. - Nie, nie robię ci wyrzutów. Nie zamierzam wtrącać się w twoje sprawy. A papiery, które tam leżały? Był pusty? Prawie? Wyrzuciłeś to, co się poniewierało? Ależ nie, nie jestem przerażona. Po prostu to był sekretarzyk Eleonory. Będzie o wiele ładniejszy? Oczywiście masz rację.

Nie potrafiłam uchronić nawet spadku Oliwii. Powinam była... Nie wiem, co powinnam zrobić. Jestem żalowaną idiotką. Ostatni ślad. Zatarły.

Poszła położyć dzieci. Pozostał jej tylko cień nadziei. Przesłanie, nad którym Opatrzność czuwała tak długo, nie mogło przepaść. Nie gubi się talizmanu. On sam potrafi się ocalić.

Przez najbliższe dni uczeń poświęcał cały swój czas na uzdrawianie cudownego mebelka. Krążył wokół niego ze szkicami w rękę, potem naprawiał kolejne części. Doklejał markieterie, oczarowany grą tonów i barw. Dorobił nową nóżkę na wzór starej. Wydzielono mu osobny kącik pracowni. W pomieszczeniu pracowało zwykle pięciu, sześciu ludzi. Zgrzyt pilników i odgłosy tarcia pumeksem nie przeszkadzały w prowadzeniu rozmów. Dni płynęły powoli. Sekretarzyk spał, wyrwano mu serce, odebrano uczucia, pokrył go biały pył.

Jeden ze stolarzy wyrabiał trumny. To on zawsze zagadywał innych:

- Może byś mnie zastąpił? ;
- Nie. .- • ,-.••...•
- Mam dość tych pudeł.

CHANTAL DELSOL

- A, pewnie przy robocie myślisz o trupach?
- Właściwie nie, tylko o tym, co ze sobą zabierają.

- Niby co?
- Swoje tajemnice. Pomyśl! Nikt nie zdąży wszystkiego powiedzieć. Choćby o życiu rodziny. Ani podziękować. Ani prosić o wybaczenie.
- Co z tego?
- Wszystko znika w trumnie. I nikt się już o tym nie dowie. To straszne. Czuję się, jakby zabijał gwoździami sejfy banku tajemnic.
- Zapomnij o tym. Myśl o truposzach. Żeby im było wygodnie.
- Nie mogę zapomnieć. To niewypowiedziane zwierzenia. I słowa, które trafiły w próżnię. Co o tym sądzisz, Mateuszu?

Uczeń miał na imię Mateusz. Nigdy nie włączał się do rozmów. Uważał, że jest za młody. Bał się, że powie jakieś głupstwo. A zresztą nie miał nic do powiedzenia.

- Nie wiem.
- Nie wiesz! Szczęśliwy dzieciak. Ja wiem, że umarli zawsze odchodzą ze słowem, które zamarło im na ustach. Ktoś zabiera ich, nie dając dokończyć zdania. I tyle. Ale to właśnie jest najstraszniejsze.

List Eleonory poniewierał się na dnie skrzyni, pokryty opiłkami drewna i przyrzucony różnymi drobiazgami.

\

W poniedziałek wyjedziesz na praktyki, Mateuszu. Wszystko jest załatwione. Wieczorem spakuj rzeczy. Skończyłeś sekretarzyk? To nic. Zajmie się nim ktoś inny. O co chodzi? Chciałbyś sam to zrobić? Można by pomyśleć, że to twój własny mebel. Jeżeli zaczniesz rozkochiwać się we wszystkim, co naprawiasz... Praktyka trwa trzy tygodnie. Przed wyjściem z pracowni opróżnij skrzynkę ze zgubami.

190

WARIATKI

Wyrzucić wszystko do kubła na zewnątrz. Nikt o nic się nie upominał.

Uczeń wyszedł o siódmej wieczorem. Wzdłuż bulwaru dotarł do śmietnika. Postawił skrzynkę na ziemi i pochylił się nad nią. Te rzeczy do nikogo już nie należą. A zatem może wziąć, co zechce. Przeszukując skrzynkę, znalazł mały nożyk, breloczek

do kluczy, pozłacany drobiazg, którego przeznaczenia nie znał. Włożył to wszystko do kieszeni. Jeszcze przez chwilę szperał w skrzyni, żeby upewnić się, że nie przeoczył niczego interesującego. Wyciągnął list, który położył od drewna. Zaklejony, ciężki, bez znaczka. Zaadresowany. Nagle przypomniał mu się wytwórca trumien. Wsunął kopertę do kieszeni. Było zimno. Poprawił czapkę, która opadła mu na oczy. Rzucił pudło do śmietnika i odszedł typowym dla nastolatka, lekko rozkołysanym krokiem.

Natychmiast po powrocie z wakacji Julia pobiegła do stolarni. Krótki odcinek drogi, jaki dzielił ją od Saint--Antoine, wydał jej się nieznośnie długi. Starła się opanować niepokój, przypominając sobie wszystkie problemy, jakie jej rodzina miała z rzemieślnikami. Ci ludzie nie mają poczucia czasu. Kiedy obiecują wykonać pracę na marzec, trzeba się spodziewać, że skończą w październiku. Wol-terowski fotel, który Henryk odniósł do naprawy w roku 1923, nigdy już do nich nie wrócił. Wyczekiwali go z roku na rok. Frantz ułożył nawet o tym piosenkę. Awantury nic nie pomogły. Stolarz cierpiał na chroniczną, wieloletnią grypę. A jeśli przypadkiem czuł się lepiej, chorował jego uczeń. Fotel zniknął z rodzinnego pejzażu. Stał się mitem. Niemożliwe, żeby ktoś zabrał się w tak krótkim czasie do sekretarzyka, przecież minął zaledwie tydzień. Pewnie stał pod jakąś ścianą, cichutko czekając na zmiłowanie.

Weszła i natychmiast zauważyła szkielec z jasnego drewna, mebel rozłożony na części, a obok stertę szuflad. O mało nie zapomniała o powitaniu. "Zostawiłam w nim list" - bełkotała. Mężczyźni podnieśli oczy znad roboty. Ach, mały opróżnił już skrzynkę ze zgubami. Właśnie dziś

191

CHANTALDELSOL

rano. Co za pech, szanowna pani. Przykro nam. A sekretarzyk będzie gotowy za miesiąc. Proszę przedtem zatelefonować.

Opróżnił! To przecież nie był jakiś głupi rachunek. Wyszła tyłem. Nie powinnam tak łatwo rezygnować.

- Tu nie idzie o kaprys, proszę pana. To coś niezwykle ważnego. Brakujący skrawek pamięci. Bez niego wszystko pozostanie niejasne. Przeszukajmy śmietnik, bardzo proszę!

Wieczorem uczeń położył na półce w swoim pokoju zdobycze wyszperane w skrzyni. Spakował rzeczy. Rano musiał wcześniej wyjść. Uważał tę praktykę za przeklęty egzamin. Mieszkał tylko z matką, która nudziła się, siedząc w domu i nagradzała sobie monotonię długich dni wścibstwem i nienasyconą ciekawością. Poukładałam twoje ubrania. Mateuszu, pisujesz teraz listy do dziewcząt? I to chyba długie. Co też ty im opowiadasz? Do mnie za to prawie się nie odzywasz!

Julia chodziła na targ po warzywa. Cierpliwie stała przed okienkami w banku. Otwierała lekarzowi drzwi i biegła po łyżkę. Wypełniała dokumenty ubezpieczeniowe. Podpisywała oceny w dzienniczkach. Oliwią nigdy mi nie wybaczy. Pozbawiłam ją dziadka. Zgubiłam ostatnie wyznanie matki. Człowiek nigdy nie postępuje, jak należy. Nigdy nie daje wystarczająco dużo. Starzeje się, a na sumieniu ma coraz więcej przewin.

Beniamin wracał ze szpitala po kolacji i dziwił się. Jak to możliwe, że dzieciaki ciągle łapią zapalenie ucha? A Julia wpuszczała po trzy krople do uszu. Oliwią nigdy mi nie wybaczy.

Co wieczór uczeń wracał zmęczony, ciskał torbę na łóżko i jego spojrzenie zatrzymywało się na kopercie. Kiedy dzień był udany, a on miał dobry humor, kpił sobie z tej troski. Wspominał, jak babka pisywała karteczki do tego i tamtego, a one plątały się potem po szufladach. Sek-

WARIATKI

retarzyk należał pewnie do jakiejś podstarzałej damy, a koperta kryła błahostki albo nieuładzone złote myśli. Kiedy walczył przez dziesięć godzin z oporną materią i wysłuchiwał zarzutów mistrza, wszędzie dostrzegał zagrożenie i uznawał się za rabusia cudzych skarbów. Ale jak oddać coś, czego nie powinno się brać, kiedy człowiek żałuje, że to wziął. Zwrot jest bardziej niebezpieczny niż zabór. Najprościej byłoby zaraz po praktyce odnieść list do pracowni i wsunąć go do szuflady. Wydawało mu się jednak, że już czuje na sobie spojrzenie pięciu par oczu, które obserwują każdy jego ruch. Czasami ogarniała go ochota, żeby wyrzucić wreszcie idiotyczną kopertę do śmietnika w kuchni. Ale nigdy nie zrobił żadnej z tych rzeczy.

Któregoś wieczoru usłyszał w radio audycję o wojnach tego stulecia. Matki wciąż nie było stać na kupno telewizora, toteż przykładał ucho do głośnika i słuchał jak leci, bo jego świeży umysł nie miał preferencji ani uprzedzeń. Była to audycja o zaginionych. Narrator wyjaśniał, jak wielu spośród milionów ludzi, których los rzucił na emigrację, którzy wędrowali z kraju do kraju i stawali się więźniami obozów, w końcu znikają z ksiąg adresowych, rozplywało się jak we mgle, by po latach stać się dla najbliższych żywymi, którzy nie żyją, albo zmarłymi bez grobów. Poważny głos dobywający się z trzewi radiowej maszyny pobudzał wyobraźnię. Chłopak myślał o listach zaginionych bez śladu. Rodziny na pewno bez wytchnienia szukały bliskich, słały prośby i podania do urzędów, wypytywały tych, którzy wrócili, wyglądając jak przybysze z zaświatów. W końcu uwierzył, że koperta na jego półce to jedna z takich rozpaczliwych prób. Wsunął ją do kieszeni, żeby nie padła łupem wścibstwa matki, i już się z nią nie rozstawał.

Kiedy wrócił do pracowni, sekretarzyk wciąż stał w tym samym miejscu. Nikt nie miał czasu dokończyć pracy, toteż mebel czekał na niego. Obiecał sobie, że uczyni z niego arcydzieło. Poświęcał mu więcej czasu, niż było trzeba. Pospiesz się, Mateuszu, musisz naprawić ten fotel. Zupełnie jakbyś rzeźbił tabernakulum dla słynnej katedry! Ale on

192

13 Wariatki

193

CHANTAL DELSOL

wciąż się opóźniał, pogrążony w marzeniach o pełni i doskonałości pieścił mały mebelek jak dziecko. Każdy odnowiony element był dla niego powodem wielkiej radości. Często zapominał o głodzie i nie wychodził na obiad. Kiedy sekretarzyk był już gotów, obrócił go do światła i zachwycał się nim w milczeniu, bał się bowiem, że koledzy zaczną z niego drwić. Właściciel warsztatu zatelefonował do Beniamina i nazajutrz pojawiła się Julia, która przyjechała pożyczonym

samochodem.

Uczeń zobaczył kobietę już starszą, ale wyprostowaną, wysoką i elegancko ubraną i natychmiast domyślił się, że ten mebel, tak do niej podobny, musiał być jej drogi.

- Jakże pięknie teraz wygląda! Pan to zrobił? Gratuluje.

Podszedł do niej. Ani przez chwilę nie wątpił, że zapomniany list był jej własnością. Wyjął kopertę z kieszeni i podał jej.

- Znalazłem to. Nie miałem odwagi wyrzucić tej koperty z resztą rzeczy. Pomyślałem, że...

- Że lepiej zawracać sobie głowę czymś bez znaczenia niż zaryzykować utratę tajemnicy?

- Właśnie.

- Tak głupio straciłam ten list... Ale przez cały ten czas miałam nadzieję, że trafi w ręce człowieka takiego jak pan.

- Dlaczego jest zaklejony?

- Czekam na właściwą chwilę.

Spojrzał na Julię pogodnym wzrokiem. Jak na piętnastolatka wyglądał bardzo młodo, miał jasne włosy i ubrudzony opłkami fartuch.

- Doskonała robota - pochwaliła, pełna podziwu dla jego pracy.

- Bardzo się starałem.

- Jest pan artystą. Proszę o tym pamiętać. Nawet gdyby już nikt panu tego nie powiedział.

Rozpromieniony pomógł jej załadować sekretarzyk do samochodu. Julia wsunęła list na dno torebki. Odtąd już się z nim nie rozstała, przysięgła sobie w duchu.

194

1

WARIATKI

. 6

Beniamin nie chciał wziąć udziału w referendum, które zapowiadało narodziny nowej Republiki. Twierdził, że polityka przestała go interesować, ale w rzeczywistości zbyt boleśnie przypominała mu o Eleonorze, on zaś starał się ze wszystkich sił osiągnąć sukces w swym drugim życiu. Mówił teraz wyłącznie o pacjentach i nawet na przejście władzy na Kubie przez Castro zareagował z lodowatą obojętnością. Borys Pasternak nie przyjął Pokojowej Nagrody Nobla, Gerard Philipe był umierający, Amerykanie wysłali w kosmos małpę. Konstanty mówił: Czas mija, a ty już nie chcesz ze mną podróżować, zasłaniasz się żylakami i odprowadzaniem do szkoły. Za bardzo kochasz te dzieciaki, ja już się nie liczę.

Kiedy nadejdzie pora, żeby dać Oliwii list? A może inaczej: kiedy Julia zdoła to uczynić? Nie ma wieku odpowiedniego, by zrozumieć sprawy poważne. Można iść o zakład, że sześcioletek jest w stanie nauczyć się liter, że dziesięcioletek zrozumie proste twierdzenie matematyczne, a trzynastolatek dostrzeże, jakim jest ignorantem. Ale to? Nie ma punktu odniesienia, nie ma skali ocen. Oliwią rosła jak wstydlivy kwiat, nie ukazała jeszcze barwy swej duszy. Odejdźcie Eleonory najpierw podcięło jej korzenie, pozbawiło sił i niewyczerpanej energii wieku dziecięcego. Potem światełko, które zapaliło się w jej duszy, rozjaśniło także buzię. Może była to zawiadaćka chęć podbicia jakiejś części świata, może pewność siebie. Starannie wypełniała każde zadanie i realizowała każdy swój plan. Ale była w tym szczypta uspiętego jeszcze sceptycyzmu. Śmierć matki jej także wydawała się rodzajem zdrady, ale nie dlatego, że matka przestała być w jej życiu obecna. To było wiarołomstwo bez winnego, potrzask zastawiony na nią, Oliwię, kiedy była małą, szczęśliwą dziewczynką. Odtąd zawsze miała się na baczności.

Czy powinna czekać, aż Oliwią ukończy piętnaście lat, wybrać jakąś okrągłą liczbę, postawić na symbol albo na

i95

CHANTAL DELSOL

powszechne przekonanie o istnieniu wieku rozważności? Czy zresztą o to chodziło? A może należało zaczekać na ten wiek, w którym dorastająca dziewczyna przeważnie zatracą rozsądek? Czyniąc odkrycia, jakich zwykle dokonuje się przed lustrem, Julia uświadomiła sobie, że może umrzeć, zanim nadejdzie ten czas, a wtedy okradnie Oliwię ze wszystkich sekretów - własnych i tych, które

przekazała jej Eleonora. Mogła oczywiście pomówić z Beniaminem, była jednak pewna, że on bez wahania otworzyłby kopertę i przeczytał list. Nie pojąłby potrzeby zachowania dyskrecji. Nadeszły trzynaste urodziny Oliwii. Paweł troskliwie kolekcjonował dla niej - kiedy tylko udało mu się uciuć wystarczającą kwotę ze skromnego kieszonkowego - dzieła zebrane Alberta Camusa.

Beniamin utrzymywał,

że Oliwią jest za mała, by czytać tak przytłaczające książki. Nieprawda. Połykała każdą, którą zdobyła w wypożyczalni. Znała już wszystkie. Marzyła, by mieć je na własność. Ucałowała brata i szybko, półgłosem, powiedziała:

- Gdyby mama żyła, zachwyiłby ją "Człowiek zbuntowany"] zastanawiam się, czy to czytała.

- Twoja matka nie miała pojęcia, co znaczy słowo "bunt"-wtrąciła Julia. -Brała życie takim, jakie było, ze spokojem, jakiego nigdy u nikogo nie widziałam.

- Dlaczego w takim razie była komunistką?-zapytała Oliwią, jakby coś przed nią ukrywano. Stała przed tortem, na którym zdmuchnęła świece, ubrana w niebieską sukienkę, przypominającą odcieniem zagubioną bluzę. Ciało odesłano bez tej bluzki, a Julia zawsze zastanawiała się dlaczego. Oliwią potrząsnęła głową, twarz nastolatki wyrażała żal, że istnieje wiedza zakazana. - Cóż - powiedziała - nigdy wszystkiego nie wiemy, a szkoda.

Julia czekała, aż zostaną w domu same, posadziła wnuczkę w najdalszym zakątku salonu, wyjęła z torebki list i podała go jej.

- Eleonora napisała to do ciebie tuż przed wypadkiem. Długo zwlekałam. Byłaś za mała.

Oliwią odczytała swe imię, nazwisko i adres, pomacała grubą kopertę, odwróciła ją.

WARIATKI

- To jej pismo?

- Tak.

- Skąd go masz? Gdzie go znalazłaś?-Jej głos nawet nie drżał.

- W skrzynce na listy. W parę miesięcy po pogrzebie. Ktoś go tam wrzucił. Nie mam pojęcia kto.

- Aż trudno uwierzyć!

- Owszem.

- Dlaczego zaadresowała go do mnie? A tata, a Paweł...

- Nie wiem.

- Nie otworzyłaś go - stwierdziła z zaskoczeniem.

- Jest przeznaczony dla ciebie. Domyślałam się, że zanim tu dotarł, był zdany na łaskę i niełaskę losu. Ja sama omal go nie straciłam, ale później odnalazłam. Teraz jestem już spokojna. Nareszcie trafił we właściwe ręce.

Oliwią z uwielbieniem patrzyła na babkę.

- Tak - powiedziała - jesteś niezmordowanym posłańcem. Aż trudno uwierzyć. Na twoim miejscu każdy otworzyłby ten list.

Julia wstała.

- Mam nadzieję, że papier nie zwilgotniał. Eleonora pisała atramentem. To będzie twój jedyny spadek. Reszta się nie liczy. Ale jestem pewna, że w liście jest wszystko. - I wyszła.

Oliwią przez dwie godziny nie ruszyła się z miejsca. Cienkie kartki leżały na jej kolanach. Julia od czasu do czasu dyskretnie zaglądała do wnuczki, bojąc się, że ta wpadnie w rozpacz, ale tak się nie stało. Oliwią ze spokojem i pogodą patrzyła na przesłanie zza grobu. Można by pomyśleć, że dostała zwyczajny list, że sytuacja jest zupełnie normalna i za chwilę sięgnie po pióro, żeby odpisać nadawcy, a potem czekać na jego odpowiedź. Nie zadała Julii żadnego pytania. Dziwactwo historii wcale jej nie zdziwiło, ten list jej się należał, nie odchodzi się przecież bez słowa. Pogodziła się z Eleonorą.

Teraz Oliwią może już zamieszkać w internacie, stwierdził Beniamin, mocno wierzący w zalety renomowanych

CHANTAL DELSOL

szkół. Zapiszę ją od września. Będzie tam miała przyjaciółki, a później wspomnienia z wieczornych pogawędek. Wybiorę najlepszą szkołę. Masz szczęście, Oliwio.

Julia nigdy nie pytała, co było w liście. Nie zapytała nawet, czy odsłaniał on choćby cząstkę tego

kresu historii jednego życia. Oliwią nie zwierzyła jej się, a Julia nie czuła się urażona. Tajemniczy podróżny, który być może pieszo przemierzył Europę, także nie żądał przecież wdzięczności. Czy zresztą posłaniec ma jakieś prawo do tego, co dostarczył? Jednak kilka miesięcy po urodzinach Oliwii, kiedy była sama w domu, ktoś zadzwonił do drzwi, więc otworzyła i stanęła twarzą w twarz z onieśmielonym młodym człowiekiem, który miał na sobie niebieską bluzę. Mimo półmroku była pewna, że to ta sama bluzka, poznałaby pośród tysiąca innych jej odcień i duży kołnierzyk.

- Przed laty wrzuciłem do pani skrzynki kopertę... - szept młodzieńca był tak cichy, że Julia bardziej domyślała się słów, niż je słyszała.

Poprosiła, żeby wszedł. Wskazała mu fotel. Zaproponowała coś do picia. Siedząc przy szklance zimnego piwa, wyzbył się wylężnionego spojrzenia i nabrał śmiałości. Opowiedział jej swą historię od tego poranka, kiedy zastrzelono Eleonorę, do dnia, w którym wrzucił list do skrzynki. Mówił powoli, jego oczy przygasaly pod wpływem czegoś, co drzemało w duszy. Widok tej młodej kobiety wywarł na nim ogromne, zdumiewająco silne wrażenie, wyznał. Wplątany w niespodziewaną wojnę u progu szesnastego roku życia, powinien być raczej uznać to wydarzenie za wojenny wypadek. Kobieta, która przyjechała z zagranicy i szła tamtą ulicą, ubrana w zachodnie ciuchy, to był prawie afront. Niech pani stąd idzie, nie ma na co patrzeć, i nade wszystko, niech pani nie umiera

198

WARIATKI

zamiast kogoś z nas. Ale wydawało się, że dziewczyna znalazła w tym miejscu idealną dla siebie sytuację. Wyszła po tę kulę, która nie była dla nikogo przeznaczona - jakby po to, by wypełniło się jej przeznaczenie, a może by naprawić jakiś błąd, nie mógł tego wiedzieć. Ale odniósł wrażenie, że ta wojna wyświadczyła jej przysługę, pozwoliła spełnić obietnicę. Julia przyjaźnie spoglądała na chłopaka.

- Dokładnie tak było - powiedziała. Podał jej bluzę.

- Proszę. Zwracam ją pani. Przyznaję, że nie powinno się okradać zmarłych.

Uśmiechnęła się.

- Dlaczego? Umarłym niczego już nie trzeba, chyba się nie mylę. A dzięki temu ocalił pan list.

Dobrze panu w tej bluzie. Proszę ją założyć. Oczywiście jest raczej damska, proszę spojrzeć, na którą zapina się stronę... Ale kto zwraca dziś uwagę na takie drobiazgi?

Chłopak był szczupły i dość niski. Przed oczyma stanęła jej Eleonora w dniu wyjazdu, urocza w tym odcieniu niebieskiego, spiesząca się, jakby naglił ją czas, który połyka słowa.

1

Przed wakacjami, po których czekała ją szkoła z internatem, Oliwią poprosiła Julię o przysługę. Chciała, żeby babka podwiozła ją do miasteczka na północ od Paryża, napisała nazwę na kartce, do ludzi nazwiskiem Sainteny. Nie, nie знаła ich. Ale w postscriptum Eleonora prosiła o odwiedzenie im czegoś. Trzeba było pojawić się tam w lipcu, ani przedtem, ani potem. Julia przypomniała sobie o Romanie Sainteny. Nie miała od niej żadnych wieści, tylko kiedyś rozpoznała ją na zdjęciu z marszu pokojowego.

199

CHANTAL DELSOL

- Naprawdę chcesz tam jechać? - zapytała. List został napisany tak dawno. Upłynęło wiele lat. Ci ludzie mogli się przeprowadzić. Obawiała się rozczarowania, obojętności.

Oliwią była zdecydowana.

- Na pewno masz rację - przyznała Julia - takie rodziny nie opuszczą swych siedzib przed Zmierzchem Bogów.

Pojechały samochodem. Oliwią była pogodna jak dziecko, które wyrusza na wycieczkę i chyba niczego się nie obawiała. Miasteczko od niepamiętnych czasów drzemało u stóp tysiącletniego kościoła. Dom za murem wyglądał na zamieszkały, okiennice były otwarte, w ogrodzie stały leżaki.

- Zaczekaj tu na mnie, jeśli możesz - poprosiła Oliwią. - To nie potrwa długo.

Ruszyła alejką z pustymi rękami - była za mała, żeby nosić damską torebkę. Miała przy sobie tylko

determinację i spokój. Szła, by spotkać się z kobietą, która podniosła się z leżaka i także ruszyła w jej stronę, spoglądając pytającym wzrokiem.

Oliwią zapytała ją, czy nazywa się Romana Sainteny. Kobieta skinęła głową; ta dziewczynka nie wyglądała na natrętkę czy komiwojażerkę, choć widać było, że jest śmiała i zdecydowana.

- Jestem córką Eleonory - oznajmiła Oliwią - Zobowiązała mnie do przekazania pani tego, czego nie miała okazji powiedzieć.

Kobieta, chyba około czterdziestki, nie należąca do gatunku podatnych na wzruszenia, mimo wszystko drgnęła.

- Tak, przecież widzę, jak bardzo jesteś do niej podobna... Pozwól, że cię ucałuję, nie rozumiem jednak, jak mogłaby...

W tym momencie Oliwią dostrzegła za plecami kobiety swą rówieśnicę w długiej bawełnianej sukience, siedzącą na rowerze i zaciekawioną przybyciem nieznanego gościa do domu, gdzie nigdy nic się nie działo.

WARIATKI

- Wejdz - zaproponowała kobieta. - Usiądź. To Matylda. Urodziła się w tym samym roku co ty. Ja i twoja mama razem chadzałyśmy na spacer.

Nie, Oliwią nie chciała wejść. Przeszły kilka kroków alejką.

- Mama żałowała, że jej rozmowa z panią została przerwana w połowie. Chciała dodać jeszcze tę myśl: ale jeśli świat nie zasługuje na to, by go ocalić, ocal przynajmniej siebie, a to i tak będzie bardzo dużo.

Kobieta ujęła Oliwią za rękę.

- Rzeczywiście, tak skończyła się tamta rozmowa. Kiedy ci o tym mówiła?

- Nie mówiła mi o tym, ale napisała do mnie.

- Jak to, przecież miałyśmy się spotkać po tygodniu! Czyżby wiedziała, co się wydarzy?

- Nie mam pojęcia - odparła Oliwią, rozkładając ręce. - Jaka była moja matka?

- Była aniołem. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego przyjęła mnie jako przyjaciółkę.

- Czym właściwie jest anioł? - zapytała Oliwią. Romana zmarszczyła brwi.

- Tego nie da się opisać. Wszystko było dla niej zagrożeniem. Chroniłam ją, póki i jak mogłam. Aż do tego dnia. Wymknęła mi się. Zdaje mi się, że się spieszysz. Ktoś na ciebie czeka? Odwiedzaj nas, kiedy zechcesz. Nie ruszymy się z tego domu do...

- Do Zmierzchu? - podsunęła Oliwią.

- Ach, więc wiesz i o tym? - Uśmiechnęła się. Dziewczynka towarzyszyła jej aż do furtki, wciąż na rowerze. Nie odzywała się, nawet na nią nie patrzyła. Tuż przed ogrodzeniem przemówiła, a Oliwią poczuła, że to nieśmiałość powstrzymywała ją przed zadaniem pytania, które nurtowało ją już przed domem. Teraz, w ostatniej chwili, zdecydowała się na ten skok na głęboką wodę, bo kiedy chwila przeminie, nie da się już jej dogonić.

- Co znaczy, że świat nie zasługuje na to, by go ocalić?

- Nie wiem.

- Przecież tak powiedziałaś.

200

201

CHANTAL DELSOL

- Nie. Tak powiedziała moja matka. Ja tylko przekazałam jej słowa.

- Dlaczego sama tu nie przyszła?

- Bo nie żyje. f

Rower stanął. Hamulce zgrzytnęły. Oliwią podeszła do kraty, odwróciła się i skinęła jej ręką.

Właśnie wtedy zauważyła mnóstwo groszku pachnącego, który rósł wzdłuż ogrodzenia, jak okiem sięgnąć. W lipcu, przeczytała w liście. Tysiące białawych płatków, które unosił wiatr.

Latały jak motyle. Szeleściły i układały się na tle nieba w bladą tęczę.

- Dziękuję, że na mnie czekałaś - powiedziała, wsiadając do samochodu.

- Wszystko poszło po twojej myśli?

- Tak.

;;&v - Tak jak oczekiwałaś?

- Tak.

- Czy przed końcem wakacji masz jeszcze coś do załatwienia?

- Nie. Już nic. - Oliwią wyglądała na zadowoloną. Chyba doznała ulgi. Podziwiała krajobrazy.

-Boję się, że internat będzie wyglądał jak koszary. Trudno. Jakoś to wytrzymam.

\

Po drugiej stronie lustra

Moją matkę, Oliwię, wysłano zatem do internatu, który nazywała koszarami dla bogatych. Nigdy nie zapomniała tej szkoły samotności.

Początkowo był to tylko spektakl i całkowity triumf pozorów. Zgromadzenie twarzy. Na sąsiednim miejscu paskudna gęba promieniejąca niepohamowaną radością. Tam twarz pełna napięcia, a może naznaczona cierpieniem. Pytanie w zwróconych na nią oczach. Cygańska głowa, włosy jak czarne konopie, nie znające grzebienia i wspaniałe. Tam blade policzki i ogromne okulary, za którymi kryją się myśli. Tu łagodność, tam gniew. Pomięte rysy, czasem jeszcze nieuformowane, w pełnym chaosie dorastania - sprzecznych uczuć i nastrojów. Za nią oblicze sfinksa, dostojne, zwieńczone aureolą. Czy mama była ładna? zastanawiała się Oliwią. Czy muszę być ładna, skoro mam być do niej podobna? A może miała niebieskie palce, jak ta dziewczyna obok, która raz po raz przewraca kałamarnę? Czy mama czesała się rano godzinami, jak tamta podobna do lalki? Oliwią podczas przerw biegała do sypialni i wyjmowała z szafy fotografię, na której oparta łokciami o pianino Eleonora śmiała się. Tego dnia miała podkrążone oczy. Może uśmiechnęła się tylko do zdjęcia? Uczennicom nieustannie tłumaczono, że w tym miejscu nauczą się sztuki życia. Już w pierwszych dniach Oliwią zrozumiała, że życie jest dżunglą. Wolałyby inne reguły gry. Bez lęku, lecz z żalem przyjęła tę nową rolę. Ktoś

CHANTAL DBLSOL

ukradł jej zeszyt do wypracowań, ktoś wyjadł ciastka przywiezione przez Julię, dzień w dzień popychano ją na pełnym błota dziedzińcu. Sądziła, że to rodzaj chrztu bojowego. Ale okrutne zabawy trwały bez końca. Zauważyła, że inne wyśmiewają jej zbyt obszerne ubrania, nieświadomość tego, jak należy postępować i jej obcość. Bowiem w tej zaprzątniętej drobiazgami społeczności pozostała obca. Dziewczyny bacznie ją obserwowały. Nie umiała tańczyć. Nie miała chłopaka, nawet zmyślonego. Nie grała w tenisa. Nie podróżowała podczas wakacji. I tak niezgrabnie się ruszała. I brakowało jej pewności siebie. Ale najgorsze było to jej milczenie. Oliwią potrafiła przystosować się do sytuacji. Obserwowała otoczenie jak drobiazgowy entomolog. Pozostało jej zająć się pracą. Dzięki ocenom zdołała zyskać uznanie. Była zatem równocześnie wyśmiewana i szanowana, ale w niej samej nie wzbudzało to dumy ani nie powodowało załamania. Nie rozumiała istoty swych sukcesów, które uważała za normalne wyniki pracy, ani rozczarowań, które wydawały jej się niesprawiedliwe. Zorientowała się, że biblioteka jest najbezpieczniejszym, bo najmniej uczęszczanym miejscem, i tam, siedząc na wysokim stolku, spędzała niedziele. Księgozbiór zawierał ledwie kilkaset pozycji, toteż już w drugim roku nauki Oliwią czytała powtórnie te same książki. Potem nauczyła się pewnych fragmentów na pamięć i powtarzała je sobie aż do znudzenia. Mogła wprawdzie zdobyć inne książki, prosząc o zakup koleżanki, które wyjeżdżały na niedziele, skąd jednak miałyby wziąć potrzebne na to pieniądze? Prośba do ojca nie wchodziła w grę.

Internat był obszarem zamkniętym, gdzie oddychało się wciąż tym samym powietrzem, noszono od pokoleń takie same fartuchy i omawiano te same dzieła literackie. Zewnętrzny świat nie przenikał za te mury. Obowiązywała moralność z epoki wiktoriańskiej. Kultura nie wchłonęła jeszcze okresu oświecenia. Oliwią myślała, że pobłażliwość i wolność to twory idealistów. Jej w niczym nie

WARIATKI

pobłażano. Ale nie przyszło jej do głowy uskarżać się i narzekać.

W tym okresie, już w pierwszych miesiącach, pomiędzy poranną modlitwą a wieczornym odrabianiem lekcji z mroku wyłonił się inny świat. Oliwią liczyła niespełna czternaście lat i miała, jak przystało na panienkę w tym wieku, dość mgliste pojęcie o tym, skąd się biorą dzieci. Nosiała długi fartuszek z niebieskiego kretonu, a nocami płakała jeszcze z tęsknoty za matką. Inny świat

wyłonił się z tego nieświadomego życia. Dał o sobie znać nie wiedzieć skąd pochodzącym obrazem, wizją garbusa, który wolno szedł brzegiem morza. Oliwią nigdy nie widziała ani morza, ani żadnego garbusa. Ten zdeformowany człowiek, dziecko znudzonej fantazji, podążał za nią trop w trop, dniem i nocą. Czujnie śledziła każdy jego gest, usiłując zrozumieć, czego chce od niej zjawa. W końcu odgadła. Pragnął, by go wysłuchała, bo miał jej wiele do powiedzenia. Trzeba było rozerwać zasłonę za jego plecami, ujrzeć kolor piasku, który deptał, i niebo nad jego głową. Trzeba było też w jego ruchach dojrzeć nadzieję, z którą zmierzał do obranego celu. Innymi słowy, trzeba było rozszyfrować zagadkę jego świata. Ta postać, ten niespodziewany intruz, chciał po prostu zaistnieć. Przekonawszy się o tym, zaczęła darzyć go dziwną sympatią. Nie zastanawiała się, jak to, co zrodzone z wyobraźni, może przenikać do świata rzeczywistego. Nie nauczyła się jeszcze oddzielać realiów od marzeń. Garbus wydał się jej zapomnianym przyjacielem albo kuzynem z prowincji, z którym z winy obu stron dawno straciła kontakt.

Oliwią nie posiadała niczego namacalnego, co mogłoby posłużyć za ciało zjawie. Prawdę mówiąc, w ogóle nic nie posiadała. W sypialni przy łóżku, w opatrzonej jej nazwiskiem skrzynce, leżało trochę ubrań, list i zdjęcie Eleonory. Poza tym miała pióro Sergent-Major, które po każdym słowie musiała zanurzać w małym białym kałamarzu, wsuniętym w otwór blatu ławki. Oczywiście kałamarz stał po prawej stronie, a Oliwią była leworęczna. Z tego powodu

204

205

CHANTAL DELSOL

nie lubiła pisać - nie dość bowiem, że musiała wyczyniać dziwaczne manewry, to na dodatek unikać spojrzeń nauczycielki, która zmuszała ją do zmiany nawyku i pisania prawą ręką. Ale kaleka znad brzegu morza prosił i błagał. Podczas wieczornego odrabiania lekcji, czasem ich kosztem, zaczęła snuć jego historię. To było jak pierwsza miłość. Przywiązała się do swego bohatera, obdarzyła go gorącym uczuciem i już się nie rozstawali. Inny świat był ogromny, nie znał granic, w każdej chwili mógł powiać świeżym wiatrem. Tam żadna myśl nie natrafiała na przeszkody. Wydarzenia następowały po sobie w przyjaznym nieładzie serca. Tamtejsze pejzaże miały barwę pragnień. W świecie równoległym rodziły się dziesiątki innych postaci, a Oliwią nie miała pojęcia, skąd pochodzą, skąd się tu biorą. Budziła się rano i widziała je siedzące na łóżku, tuż obok niej, tak rzeczywiste, że gotowa była wziąć je za prawdziwych ludzi. Próbowwała przegnać natrętów. Odpędzała ich jak psy przez cały długi dzień. W jadalni zajmowali każde puste krzesło, w klasie kucali przed katedrą. Na dziedzińcu szkolnym gromadzili się tuż obok niej. Były to zjawy rodzące się samoistnie, które tuż po wyłonieniu się z nicości tworzyły sobie życie i zaczynały decydować jak prawdziwi ludzie. Przynależeli do rozmaitych historii, a ich drogi w zasadzie się nie krzyżowały, choć zdarzało się, że w jakiś absurdalny sposób któryś opuścił własną historię, by wśliznąć się do sąsiedniej. Niektórzy po pewnym czasie znikli, przynajmniej kiedy wypełnił się ich los, ale zaraz rodzili się nowi. Podczas nauczycielskich inspekcji Oliwią ukrywała kartki z tymi bezsensownymi opowiadkami na dnie biurka.

Początkowo nie chciała wierzyć, że normalny człowiek jest zdolny wywołać taki zamęt. Sądziła, że padła ofiarą halucynacji spowodowanych przez chorobę. Opowiadano jej, że pacjentom w delirium zdarza się widzieć na rogu ulicy całą armię idącą gęsiego. Zauważyła, że rzeczywistość oddala się od niej, ale czyni to elegancko. A tymczasem w jej myślach i marzeniach powstawała kraina, do której zawsze mogła umknąć. Zamiast podporządkować się zasadom

206

WARIATKI

odgrywanej wokół farsy, tworzyła własne światy. Snuła sen, który powracał. Internat przeistoczył się w fortecę otoczoną murem obronnym, pamiętającym średniowiecznych rycerzy. Ona sama siedziała na huśtawce wiszącej ponad najwyższą z wież, na długich, niknących gdzieś w niebie linach.

Pisała podczas zniechęconych lekcji matematyki. Wystarczało schować kartkę pod podręcznik, zresztą noszący grube szkła profesor był ślepy jak kret. Pisała na kolanie, w czasie przerw - przykucała za kolumną, by ukryć się przed wzrokiem dyżurującej nauczycielki. Nocą chowała się

pod kołdrę i pisała przy latarce, ale żarówka zaczęła coraz częściej przygasać i mrugać. Pisywała w sobotnie poranki, podczas katechizacji, dla urozmaicenia zdobiąc linijki krzyżami i bochenkami chleba. Pisała w bibliotece, siedząc na wysokiej przesuwanej drabince pewna, że przynajmniej tu nie dościgną jej niczyje oczy i zachowa swój sekret.

Szkolne wypracowania stawały się beznadziejnie łatwe. Narzucane tematy wydawały się banalne, wyobrażenia zapadała w drzemkę. Oliwią odrabiała tę pańszczyznę jak sprawny dziennikarz, któremu przyszło redagować kolumnę drobnych wydarzeń. A ponieważ szkolne prace przestały ją interesować, często gubiła kartki, zapominając je oddać. Pewnego razu nauczyciel francuskiego pogratulował jednej z uczennic i głośno odczytał szczególnie udane fragmenty wypracowania. Oliwią z zaskoczeniem rozpoznała swój tekst. Złodziejka siedziała tuż za nią. Choć oburzona, Oliwią natychmiast pomyślała o książkach, które pragnęła kupić. Odwróciwszy się lekko, szepnęła: Następnym razem nie zwędzisz mi wypracowania, ale możesz je kupić. Trzy franki za sztukę. Przemyśl to. Trzy franki oznaczały sześć drożdżówek. Dziewczyna wahała się. Powstrzymywał ją lęk przed przyłapaniem i karą. Niewiele trzeba było, aby zostać usuniętą z tej szkoły. Ale w gruncie rzeczy ryzyko było nikłe, a perspektywa otrzymania kiepskiej oceny spędzała sen z oczu. Oliwią pisała odtąd dwa wypracowania zamiast jednego. Złodziejka miała kole-

207

CHANTAL DELSOL

żanki, te zaś przechodziły istne katusze, siedząc nad byle rozprawką. Wkrótce zaczęły prosić o tę samą przysługę. Oliwią pisywała nawet po dziesięć różnych wypracowań. Zaczęła robić to zawodowo. Musiała zmieniać styl. Wykonywane na większą skalę, ćwiczenie nabierało pikanterii. Nareszcie mogła kupować wymarzone książki, które piętrzyły się na jej szafce nocnej. Jednak oszustwo musiało w końcu wyjść na jaw. Nie wyobrażałaś sobie chyba, że istnieje społeczność bez zdrajców?

Oliwią została wezwana do dyrektorki, której zdaniem przekupna uczennica ponosiła większą winę niż tych dziesięć, które uciekły się do przekupstwa. Przełożona nosiła na czubku głowy siwy koczek. Ta kobieta, myślała Oliwią, co rano razem z kokiem zwija i wiąże własne myśli. Pewnie miewa stłamszone, spętane uczucia.

- Oczekujesz, że cię wydalę? Co będziesz robiła poza szkołą? Jak to sobie wyobrażasz? Nie znajdziesz lepszej szkoły. Mam wrażenie, że drwisz sobie z własnej przyszłości. Pomyślałaś o tym? Jaki zawód pragnęłabyś wykonywać?

- Pisarza publicznego - rzuciła posepnym głosem Oliwią.

Dyrektorka stanęła na podium. Zgodnie z tradycją w dniu rozdania świadectw maturalnych wygłaszała mowę, chwając najlepsze uczennice. Popatrz na ten koczek, szepnęła Oliwią, jest niesamowity.

Obserwując wnuczkę, Julia dostrzegła, jak bardzo przypomina ją samą sprzed półwiecza - obie były gotowe na wszystko. A jednak... Ubrana w żaloszny mundurek, który niwelował różnice i czynił wszystkie dziewczynki istotami bez osobowości, miała w sobie tak mało z kobiety, że Julię ogarnęła litość. Co oni mi z niej zrobili, pomyślała. Wzburzone włosy Oliwii okalały twarz nad okrągłym

l

WARIATKI

kołnierzem, nie przystającym do wieku dziewczyny, i trudno było uwolnić się od myśli, że na pensji robiono wszystko, by na siłę czynić z niej dziecko.

Po mowie dyrektorki przyszła pora na śpiewy i tańce. Oliwią ziewała.

- Spakowałaś rzeczy? - zapytała Julia.

- Wczoraj. Im prędzej stąd wyjdę, tym lepiej.

- Mój samochód stoi przed budynkiem. Chcesz, żebym cię podwiozła?

Oliwią spojrzała na nią z zaciekawieniem.

- Dokąd?

- Jak to? Kończysz szkołę, wyjeżdżasz, a nie wiesz dokąd? Co ustaliliście z ojcem?

- Nic. Oczywiście mogę wrócić do niego. Ale nie wiem nawet, czy jest w domu.
- Dokąd chcesz jechać?
- Do ciebie - szepnęła Oliwią, zbliżając twarz do ucha babki. - Tylko do ciebie.
- Jak chcesz. Jakoś to załatwię z Beniaminem. Uroczystość kończyła się wspólną modlitwą. Trzeba było wstać.
- To moja ostatnia modlitwa - oświadczyła Oliwią.
- Ostatnia w życiu. Przysięgam.
- Nie należy przysięgać - odparła Julia.

Nadszedł czas pożegnania z dyrektorką. Ubrana w obcisły kostium, kolejno przyjmowała rodziny, stojąc w rogu dziedzińca. Z zaróżowionymi policzkami, w koku, wyglądała jak niania. Ujęła Oliwią za ręce i powiedziała, że wysoko ocenia jej pracę. Oliwią patrzyła na nią bez słowa, jak prokurator, którego nie zwiodą pozory.

Potem weszły po schodach, aby zabrać walizki z sypialni. Musiały przeciskać się przez tłum radosnych ludzi.

- Nie ucieszyły cię chyba gratulacje dyrektorki
- odezwała się Julia. Oliwią spochmurniała.
- Błyskotliwa uczennica, żywy umysł, nawet śladu uśmiechu, śladu zrozumienia, pustynia próżnych pochwał
- szepnęła.

208

Wariatki

209

CHANTAL DELSOL

Julia pomogła jej znieść dwie walizki książek i torbę z rzeczami osobistymi, lekką jak wyprawka niemowlęcia. Wrzuciły to wszystko do samochodu.

- To najpiękniejszy dzień mojego życia - oznajmiła krótko Oliwią. Julia ruszyła i wkrótce samochód wjechał na przedmieścia Paryża.
- Czegoś tu nie rozumiem. Gdzie twoje rzeczy?
- Jakie rzeczy?
- Nie wiem. Sukienki, płaszcze, pantofle.
- Ale jakie?
- W co się ubierasz?

- Na początku roku tata kupuje mi dwa komplety mundurków. Bielizną zajmuje się szkoła. Najważniejsza jest dyscyplina i bezwarunkowa uniformizacja. Nie wolno niczym się wyróżniać. Mam tylko jedną parę butów. Kiedy się niszczą, szkoła kupuje takie same, prawdopodobnie na rachunek taty. To wszystko.

Julię ogarnął gniew i poczucie kompletnej bezradności. W ten sposób chcą produkować kobiety, pomyślała, ubierając je w te nieforemne fartuchy, każąc chodzić w mundurach, jakby były w wojsku. Nieszczęśni szaleńcy. Przemierzyłam cały budynek i nie natrafiłam na szczyptę piękna. Zostawiłam tu na pięć lat figlarne dziecko. Dziś zwrócili mi czysty umysł, zapisany koniugacjami i gardzący światem.

- Dlaczego płaczesz? - zapytała Oliwią.
- Nie płaczę.
- To prawda, nie przelewasz łez. Ale wewnątrz płaczesz. Znam cię.
- Jutro wybierzemy się do sklepów. Kupimy wszystko, co ci się spodoba. Masz jakieś kieszonkowe?
- Tak. Dwadzieścia franków miesięcznie. Dawano nam je w szkole. Dla wszystkich tyle samo. Żadnej zazdrości, nierówności.
- Za co kupowałaś książki? Oliwią się uśmiechnęła.
- Mam swoje sposoby. Radzę sobie. Może tego nie widać, ale mam co sprzedać.

210

WARIATKI

- Ach, a co takiego?
 - Piszę wypracowania dla innych. To znaczy, pisałam. W końcu mnie przyłapali. Ale niedawno. Dość długo mi się udawało.
- Julia pogrzyżyła się w zadumie. -I ty...
- Co?
 - Kiedyś ci wszystko opowiem. Co miesiąc będziesz dostawała pieniądze. Nigdy już nie zabraknie ci książek. Będziesz miała kolekcję pantofli. Kupisz obrazy do swojego pokoju. Zatrzymam się przy sklepie. Wieczorem urządzimy sobie ucztę.
 - Nie martw się o mnie. Żyłam jak księżniczka.
- Oliwią weszła do mieszkania o ciemnoniebieskich ścianach, po których pływały malowane żaglowce zmierzające do skąpanych w zieleni brzegów, do portów i zatok. Otworzyła drzwi swego pokoju i rzuciła torbę na łóżko. To najpiękniejszy dzień mojego życia, powtórzyła. Jest ładna, myślała Julia. Czy odziedziczyła po Konstantym.
- Dlaczego tak na mnie patrzysz?
 - Odzyskałam cię, to proste. Tęskniłam. Tyle lat bez ciebie. To za długo.
 - Jestem podobna do mamy?
 - Wcale. I twoje życie też będzie zupełnie inne.
 - A jakie ono będzie? - zapytała Oliwią, jakby miała przed sobą Pytię, z lekką ironią w głosie.
 - Będiesz wolna. Jeszcze nie wiesz, co to znaczy. Ale się przekonasz. Człowiek może wyciągnąć rękę do gwiazd. A jednak...
 - Co?
 - Cena jest wysoka. I rośnie, jak w czasie inflacji.
 - Nie szkodzi - odparła Oliwią. - Zapłacę, ile trzeba.
 - Być może. Ale nie wyobrażasz sobie jeszcze... Ta sterta papierów, co to takiego?

Oliwią spaşowiała.

- To nic. Historie, które trzeba opowiedzieć.

211

CHANTAL DELSOL

- Piszesz? - Julia mówiła z powagą, jak najdalsza od kpin. - Obiecuję, że nigdy nie przeczytam nawet strony bez twojej zgody. Jak to się zaczęło?
- Ód postaci, które chcą zaludnić ziemię. Na pewno jest zbyt pusta.
- Pusta? Kto ci to powiedział?
- Czuję to.

Kiedy jadły deser, ktoś zadzwonił do drzwi, Julia otworzyła i w progu stanął Konstanty. Wysoki starszy pan o niezręcznych ruchach i słowiańskiej twarzy ucałował Julię, która wydawała się urażona tą wizytą, a potem wyciągnął rękę do Oliwii. Nazywam się Konstanty Włakin, miałem przyjść jutro, ale tak dużo mi o tobie opowiadała, że nie zdołałem się powstrzymać.

Oliwią przyglądała mu się z zainteresowaniem. Była absolutnie pewna, że w tej chwili klucz do mieszkania spoczywa spokojnie w jego kieszeni, a dzwonił tylko dla zachowania pozorów.

- Jestem bardzo zmęczona - bąknęła. - Przepraszam, ale chciałabym się już położyć.
- Poszła do swojego pokoju i w ubraniu położyła się na łóżku. Wpatrując się w sufit, rozmyślała. W ostatnich słowach listu, jakby przełamując wstyd, Eleonora szeptem pisała, pewnego dnia, Oliwio, kiedy będziesz dość silna, uproś Julię, żeby powiedziała ci, kim jest ten mężczyzna, Konstanty, który podąża za mną od najmłodszych lat, ale nie potrafi powiedzieć dlaczego.

\

Amfiteatr był przepełniony. Studenci siedzieli na gzymsach, stali na stołach. Podłogę zaścielały niedopałki gauloise'ów. Powietrze było przesiąknięte wonią potu, gniewu i śmiechu. Ktoś przez nieuwagę zrzucił mikrofon, ktoś inny go nadepnął. Na estradzie mówcy deklamowali

212

WARIATKI

coś barytonem. Chaos sprawiał wrażenie odmiennego ładu. Początkowo Oliwią stała w kącie, usiłując cokolwiek zrozumieć. To było królestwo słów. Słowa unosiły się nad głowami zebranych,

tkwały się, tworzyły bezładną architekturę, łopotały jak sztandary. Chwytała je wszystkie, połykała jedno po drugim. Nic dla niej nie znaczyły. Ale powstawały z nich świąteczne girlandy.

Wyszła i ruszyła korytarzem. Niedaleko, w sali wyłożonej rzeźbionymi boazeriami, niewidomy starzec prowadził wykład z egiptologii. Skupieni słuchacze nie spuszczały z niego oczu. Przy wejściu długowłosa niczym Chrystus chłopak rozwijał rolkę papieru toaletowego, wręczając każdemu nowo przybyłemu różowy listek, na którym widniał napis: Huma.

Oliwią weszła w końcu do małej salki, gdzie odbywało się poważne, na pierwszy rzut oka, spotkanie. Zastanawiano się, jak zabić stary świat. Pomyślała o Patryku, którego historię tak często opowiadała jej Julia, i usiadła obok innych. Długo pozostawała pośród rzeki słów. Jaka jest twoja rola w rewolucji? - zapytał w końcu ktoś w rodzaju przywódcy, który wyglądał jak żywcem wyjęty z poezji Eluarda. Bez chwili wahania rzuciła: Pisarz publiczny. To był jej jedyny dowód tożsamości. Powierzono jej zadanie napisania odezwy. Nie pytano, czy się zgadza, czy odmawia. Obiecała, że odezwa będzie gotowa na jutro i pieszo wróciła do domu Julii. Jaki gatunek sztuki grali? Komedie, która uważa się za tragedię. Aktorzy, zamiast naśladować społeczeństwo, małpowali wyłącznie samych siebie. Ich głosy brzmiały nienaturalnie, ponieważ nie znali ani postaci, ani ich wzorców. Ale to nieważne. Czuli się szczęśliwi w tym mętliku. Trzy dni potem przypadkiem trafiła na zebranie tych, którzy kontestowali pierwszych kontestatorów. Ci nowi profeci byli równie fanatyczni jak tamci, którzy potępiali ich fanatyzm. Tylko włosy mieli nie tak tłuste i brudne. Oni także zatrudnili Oliwię. Zawszą

napłynęły zamówienia. Nie znając niuansów, jeżeli takie w ogóle istniały, trafnie wychwycała motywy przewodnie

213

CHANTAL DELSOL

i różnorodne symboliki. Przechodziła od skrajności do skrajności, nie odczuwając tego ukłucia w sercu, jakie znane jest zdrajcom mimo woli. Manipulując słowami, uczestniczyła w zbiorowym szaleństwie.

Pewnego wieczoru przyniosła Julii ostatnią ulotkę i zaprezentowała ją jako własny poemat.

Przyjrzyjmy się temu, powiedziała Julia, sięgając po okulary. Zaczęła czytać. Był to długi tekst, trzy spięte razem rozdziały. Nie miał tytułu, trudno też było się zorientować, o czym właściwie mówi.

Na końcu widniał tajemniczy podpis: Komitet milionów towarzyszy. A tekst zaczynał się następująco: Niezlomna woła ludu nie ugina się wobec żadnych nacisków. Nie ulegnie zwłaszcza woli pożałowania godnej władzy. Kończył się słowami: Rząd jest szmacianą marionetką, porzuconą w zaułku, do którego nikt już nie zagląda. Podnieś ją, jeśli jesteś człowiekiem, towarzyszu!

- Co to za galimatias? - zapytała Julia.

- Tekst pisany na zamówienie. Taki nowy gatunek. Na pierwszy rzut oka przypomina poezję.

- Skoro tak uważasz... - rzuciła Julia z powątpiewaniem, a nawet lekką drwiną.

- Ale to nie poezja. Nie ma w tym cienia łagodności. Tylko rytm. Dlatego myślisz o stylu epickim.

Nieco nadętym. O dramacie. Ale to przecież nie dramat. Bo nie ma w nim szczypty dramatyzmu.

Może to epistoła. Pisana w drugiej osobie. Radząca i przekonująca. Ale brak w niej intymności. To bardzo szczególne pisemko. Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

Oliwią stała przy kuchennym stole i triumfowała. Jej oczy -błyszczały.

- Jakim kierujesz się celem, pisząc takie... nedorzecznosci?

- Bawi mnie to.

- W każdym razie dobrze, że Eleonora tego nie widzi. Traktowała wszystko zbyt poważnie.

- Na pewno. To zwykłe głupstwa. Ale ona nie mogła o tym wiedzieć. Dlatego odbędę tę pielgrzymkę.

- Jaką pielgrzymkę?

214

WARIATKI

- Z listu. W liście prosiła, żebym pojechała obejrzeć Instytut Smolny, za nią.

- Do Leningradu, tam gdzie Sowietci...?

- Tak.

Julia zdjęła okulary i spokojnie je przetarła. Dałam początek linii wariatek, szepnęła. Jedna pięści wspomnienie krwawej rewolucji, druga bawi się w skrybę obłąkańców w dosłownym tego słowa znaczeniu. Lepiej zrobisz, jadąc obejrzyć coś innego, możesz mi wierzyć!

Oliwią nie pojechała obejrzyć niczego innego. Poznała niuanse dzielące najmniejsze ugrupowania, wchłonęła szeroką gamę obelg. Pewnego dnia w korytarzach Sorbony zaczął ją wysoki chłopak.

- Złapałem cię na gorącym uczynku - powiedział. - Śledzę cię od tygodnia. Pracujesz dla czerwonych, czarnych i białych. Jak ci nie wstyd? - Machnął brudnymi od tuszu rękami.

Zrozumiała, że to on powieła gazetki. Sprawiał wrażenie zachwyconego. - Zważyłem, że uda mi się znaleźć podwójnego agenta. A znalazłem potrójnego. Chodźmy na kawę.

Kiedy Oliwią wychodziła z mieszkania z walizką w ręku, musiała ominąć siedzącą na podłodze i zajętą zdobieniem drzwi Julię.

- Wyprowadzam się - oznajmiła. - Zamieszkać u Didiera.

- Kto to?

- Student socjologii. Jest na drugim roku. W tej chwili powieła prasę.

- Drukuje to, co piszesz?

- Właśnie.

- Jaki on jest? • < . • tą

215

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Oliwią wykonała gest oznaczający że tego nie da się opisać. Zresztą pragnęła tylko wyrazić niezdolność opuszczenia go.

- Dobrze, dobrze - powiedziała lekko rozbawiona Julia. - Nauczył cię tego, czego dzielne siostry nie mogły cię nauczyć.

- Zamieszkać z nim - powtórzyła Oliwią. Julia nie podniosła głowy.

- Rozumiem - szepnęła, skupiając uwagę na malowaniu cienia drzewa na dole drzwi.

- Gniewasz się? - zapytała Oliwią.

- Nie. Dlaczego? Jestem pewna, że dobrze wykorzystujesz wolność. Zawsze wiesz, co robisz.

Ten komplement rozbawił Oliwią. Wyczuwała w nim ironię. Przeszłowała z nogi na nogę.

- Nie udzielisz mi żadnej rady? - nalegała.

Julia zwróciła ku niej pogodną twarz, rozświetloną spokojną miłością, z której Oliwią czerpała w tym okresie wiarę i pewność.

- Tylko jeżeli mnie o to poprosisz. >-, - » Oliwią zastanawiała się przez chwilę.

- Nie, nie poproszę.

- No widzisz - stwierdziła Julia i trzymając pędzel poszła po odrobinę sjeny, na którą spoglądała potem z zadowoleniem.

- Do widzenia - powiedziała Oliwią.

- Do widzenia. Zostawiłaś adres na biurku? Dobrze. Będę cię potrzebowała, tylko kiedy umrę, więc nie zamierzam ci przeszkadzać. Zadzwoń od czasu do czasu.

Oliwią pochyliła się, żeby pocałować ją w czoło. Pachniała alkoholem i kurzem.

- Będzie mi Ciebie brakowało - szepnęła. - Ale trzeba wybierać.

- To prawda - przytaknęła Julia - i trzeba szczerzyć się dokonanymi wyborami.

Minął miesiąc. Julię pasjonowały te noce w czasie pełni, przepojone gniewem i dymem.

Znajdowała dla siebie kącik,

216

by obserwować miejsca, w których toczyła się historia, i szkicowała twarze. Ta młodość tak bardzo różna od jej młodości, czy to mogła być prawda? W takich miejscach i chwilach dostrzegła agonie przekleństwa. Oliwią będzie panią swych dni. Ta pewność dodawała skrzydeł jej wyobraźni.

Namalowała serię pełnych uniesienia portretów, na których włosy bohaterów rozwiewał potężny wiatr. Omijając oddziały CRS, szła na bulwar de la Tournelle, przed dom wróżki, o której nigdy nie przestała myśleć. Niech cię diabli, piekielna kłątwo. Historia cię pokonała.

Oliwią wciąż nosiła w torebce klucz do mieszkania. Wróciła nocą, mając nadzieję, że wśliznie się do pokoju, unikając wszelkich rozmów i wyjaśnień. Ale Julia siedziała na drabinie, a raczej na umieszczonej wysoko platformie i malowała w rogu sufitu obłoki. Zauważyła walizkę, ale nic nie powiedziała.

- Dzień dobry. - Oliwią była zadyszana. - Wróciłam do domu.

v,

- Widzę. Jak się miewasz?

m

- Dobrze. Właśnie... odeszłam od Didiera.

- Domyśliłam się - szepnęła Julia. - Jadłś kolacje? Mam tarte z jabłkami.

- O nic nie pytasz?

> : •

- Dlaczego miałabym pytać?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem.

Oliwią odstawiła walizkę i milczała, myśląc nad czymś.

- Kochasz mnie? - zapytała.

Julia spojrzała na nią zadziornie ze swych wyżyn.

- Kocham cię do szaleństwa - odparła półgłosem. - Nic nie mówię, bo sama wiele wycierpiałam przez ingerencje w moje życie. Zostałam stłamszona. Dlatego nigdy się nie wtrącam i milczę. Czekałam na ciebie. I tyle!

- Skąd wiedziałś?

- Że wrócisz? Taka jest kolej rzeczy.

- Co to znaczy?

t

217

CHANTAL DELSOL

- Kolej rzeczy? To wyznanie czasu. Nikt nie wymknie się pewnym prawom. Co sądzisz o tym obłoku? Mam ochotę otoczyć go poświatą skrytego za nim księżycy. A w tej poświacie ledwie dostrzegalny cień przelatującego samolotu. Dzięki temu niebo będzie pełne nieznanych myśli.

- Jestem rozczarowana - szepnęła Oliwią.

- Czym?

- Wszystkim.

- Wszystkim? Zaczekaj jeszcze trochę. Nie uogólniaj. Pokój jest posprzątny - dodała Julia. - I kupiłam ci pamiętniki Marii Bachkirtseff.

Tego wieczoru w pokoju pojawiła się nowa postać, dziewczyna w kolorowych ubraniach.

Opowiadała wyłącznie o szaleńczych zakupach i podróżach. Ale wszyscy dobrze wiedzieli, że nigdy nie podróżowała. Nieznajoma oczekiwała cudów, a ponieważ czekała na nie z zapałem, cuda z pewnością miały się zdarzyć. Ta promienna dziewczyna narzuciła swą obecność i zamieszkała w myślach właścicielki pokoju. Oliwią usiłowała się dowiedzieć, co kryje się za lekkomyślnością intruzki - cierpienie kłowna czy milczenie idiotki. Ale to było coś innego. Szczęście artystki, niemal doskonałe w swym chaosie. Istnieje szczęście niewinności. To zostało zdobyte po ciężkiej walce, jeszcze nie wiadomo jak. Oliwią nazwała dziewczynę "Dziewczyną z bohemy".

Spotkamy się w restauracji, mawiał zawsze Beniamin, gdy dzwonił do Oliwii. Knajpka na tyłach Rivoli, Hindro w dziewiątej dzielnicy, winiarnia przy Cherche-Midi. Nie zapraszam cię do domu.

Mieszkanie wygląda jak studencka nora. Początkowo starałem się utrzymać pozory dyscypliny, dla was, dzieci. Wracalem wcześniej, sprzątałem.

218

WARIATKI

Odkąd Julia wróciła do siebie, a ja zamieszkałem sam, dałem sobie spokój. Bałagan i tak jest zawsze szybszy ode mnie. Te codzienne czynności nie mają już żadnego znaczenia, bo wracam tylko, żeby się przespać. Gdybyś zobaczyła moją łazienkę... Ale szkoda czasu na takie rozmowy.

- Może jedzenie Julii jest smaczniejsze od tutejszego? - zapytał któregoś dnia, zaprosiwszy ją do Rôtisserie Perigourdine.

- Jakiś ty zazdrosny! Od powrotu z pensji wszystko wydaje mi się pyszne.

- Tak, jestem zazdrosny. - Wydał usta. - Julia jest niezastąpiona. A ja nie.
- Jesteś znanym lekarzem. Czytałam w gazecie, że...
- Tak, owszem. - Wsadził nos w talerz. Wyglądem przypominał swoje mieszkanie. Miał długie, rozwichrzone włosy. Nie nosił krawatu. Jego marynarka nie była szyta na miarę. Ale nie było w tym śladu przedwczesnego niechlujstwa ani pozornego ubóstwa. Triumfował, pełen swobody niczym zdobywca bezkresnych stepów. Wysoki, o szerokich barach, był przystojnym mężczyzną. Nonszalancja człowieka, który odniósł sukces, stała się jego drugą naturą.
- Marzyłem, żeby zostać wielkim lekarzem. Dziś nim jestem. - Rzucił te słowa tonem, jakim przyznajemy się przed sobą do kaprysu.
- Jestem z ciebie dumna - powiedziała Oliwią.
- A ja nie.
- Dlaczego?

Wzruszył ramionami i ułamał kawałek bagietki.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, co zrobił Paweł.
- Ostatnio, kiedy go widziałam, wyglądał całkiem normalnie.
- Rzucił studia. - Beniamin nagle przygarbił się pod ciężarem tego wyznania.
- Czyżby uznał, że wiedza jest zarezerwowana dla kretyńców? Że książki zabijają życie? Że dyplomy to medale starego ładu społecznego?

219

CHANTAL DELSOL

- Skąd wiesz? - wyjąkał ojciec. - Tobie też prawili takie wykłady?
- Nie. Ale takie słowa unoszą się w powietrzu.
- Dobrze. Nie obchodzi mnie, co bredzą inni. Ale tu chodzi o mojego syna.
- Przejdzie mu. To moda. Zamówiłeś kurczaka w winie i nawet go nie tknąłeś.
- Nie, nie przejdzie mu. Odnalazł swoją drogę. -Plecy Beniamina przygarbiły się jeszcze mocniej.
- Mów! Wyjechał do Katmandu? A może został hodowcą owiec w Ardeche?
- Nie żartuj. Pamiętasz tę karuzelę z drewnianymi konikami przy placu Republiki? Od dwóch lat przyjaźni się z właścicielami. To starsze małżeństwo, bezdzietne, samotne. Przyjechali tu ze wsi tuż po wojnie, bo z ziemi nie mogli już wyżyć. Dzielni ludzie. Budowali to wesołe miasteczko własnymi rękami. Ona uwielbia dzieci. A karuzela kręci się i kręci, przez całe dnie i część nocy.
- Co dalej?
- Paweł dosłownie się w nich zakochał. W nich i ich karuzeli. Każdą wolną chwilę poświęcał, żeby im pomóc. Siedział w kasie, puszczał płyty, wykonywał drobne naprawy. Już w marcu oznajmił mi, że chce się tym zająć zawodowo. Staruszkowie są znużeni życiem, jakie wiodą od trzydziestu lat. Chcieli kupić mały domek w wiosce, z której pochodzą. A on postanowił przejąć interes. Nic wtedy nie powiedziałem. Na głupie zaczepki nie warto przecież reagować. Ale on się upierał, a że był wściekły, zarzucił mi, że jestem dyktatorem i faszystą... Zadaję sobie pytanie, skąd przychodzą wam do głowy takie słowa, przecież nic o tym nie wiecie! zaproponowałem, żeby pracował z nimi przez wakacje. Pomyślałem: zniechęci się. Po trzech miesiącach nie będzie mógł patrzeć na świnię pędzącą bez przerwy za końmi, słuchać krzyków dzieci, które rodzice wsadzają na karuzelę chyba tylko dla własnej zabawy. Obiecałem sobie, że nie powiem: "A nie mówiłem?", kiedy przyjdzie prosić o czek, żeby zapisać się na drugi rok prawa.

220

WARIATKI

- Ale się pomyliłeś?
- Kompletnie. W połowie września zacząłem na niego czekać. Wynajął pokój przy Nation. Nigdy nie telefonował. Wiedziałem, że papiery na uczelni trzeba złożyć na początku października. Jednak w końcu do mnie przyszedł. Zadzwonił do drzwi w środku nocy. Zapytałem, czy uważa, że to najważniejsza pora. Chyba go zaskoczyłem. Jest pełnia sezonu, powiedział, toteż... Sezon! Rozumiesz... Proszę cię, nie śmieję się.
- Przecież się nie śmieję - skłamała Oliwią.

- Nie przychodził ani po pieniądze, ani żeby oznajmić mi dobrą nowinę, ani żeby pocieszyć, gdy oznajmiał złą. Promieniał! Zarabiał całkiem przyzwoicie, a pracując bez przerwy, nie miał nawet kiedy wydawać pieniędzy. Nie przyszło mu do głowy, żeby mnie pocieszać, bo nie rozumiał powodów mojego rozczarowania; za bardzo się cieszył, by cokolwiek zauważyć i przemyśleć. Właśnie podpisał dziesięcioletni kontrakt, wydzierżawił karuzelę. Przypomniałem mu, że jest niepełnoletni. Skwitował machnięciem ręki ten marny argument. Nie posiadał się z radości. Przedstawił mi wszystkie swoje projekty-zmiany w urzędzeniu, odnowa, reklama. Załamałem się. I dotąd nie mogę się otrząsnąć.

- Chyba nie zamierzasz wpędzić się przez to w chorobę - mruknęła Oliwią, nie odrywając się od jedzenia i zerkając z rozbawieniem na ojca.

- Jak to? Oczywiście, że jestem przez to chory. Paweł byłby doskonałym prawnikiem.

- Co z tego?

- Co z tego? Nie rozumiesz, że marnuje sobie życie? Wyobraź sobie tylko, jaka czeka go przyszłość.

- Skoro jest szczęśliwy...

- To nie jest sposób na szczęście - oznajmił Beniamin stanowczo. - Odwiedziłem go kiedyś po tamtej rozmowie, wracając ze szpitala. Zamiast tanecznej muzyczki grali Beatlesów. Paweł stał nieco z tyłu, za wirującymi kolorami i zgiełkiem, ale tkwił po uszy w tej jarmarcznej atmosferze, rumiany z podniecenia. Obserwował wszystko

221

CHANTAL DELSOL

okiem gospodarza. Spędziłem tam około kwadransa, tyle, żeby zobaczyć, jak dzieciaki zsiadają i wsiadają raz i drugi. Sterczałem jak dureń wśród zachwyconych matek i zniecierpliwionych ojców. W tym ciągłym wirowaniu, w tej przytłaczającej monotonii było coś niestosownego. A kiedy milkła muzyka, tłum pomrukiwał z niezadowolenia. Twój brat wpatrywał się z napięciem w chorego drewnianego konika i rozmyślał, co zrobić, żeby go szybko wymienić. Ta karuzela ogranicza jego horyzonty, to cały jego świat. Mój syn żyje jak Cygan. Żeby! Cyganie przynajmniej podróżują. Wkrótce znajdzie sobie żonę. Posadzi ją przy kasie. I zaczną marzyć o małym domku, kiedyś, gdy przejdą na emeryturę...

- Zjesz deser? - zapytała Oliwią.

- Już? Czy w tej restauracji nie podają serów? /<

- Podają. Przed chwilą odesłałeś półmisek.

- To bez znaczenia. I tak nie jestem głodny. Dość, że pomyślę o tej sprawie, a tracę apetyt.

- Nie martw się. Znudzi mu się to. Nie zostanie tam na zawsze.

- Przeciwnie. Kiedy w coś inwestujesz, a potem wpadasz w rutynę i do tego masz jeszcze długi...

Oliwią westchnęła.

- Posłuchaj-powiedziała. - Spróbuj zrozumieć. Są ludzie, którzy wygrywają, tacy, którzy przegrywają, i ci, którzy tylko żyją. Paweł kocha życie. Nie ma nawet szczypty ambicji.

- To źle. W mojej rodzinie wszyscy są ambitni.

- W mojej rodzinie! - chwyciła go za ramię. - Jesteś nieznośny!

Przy kawie zdołał wreszcie otrząsnąć się z melancholii i przypomniał sobie o istnieniu Oliwii. - A

ty? Ty też uciekniesz z jakimś wędrownym cyrkiem? Co zamierzasz robić? Będziesz pisarką?

Przecież tacy nie są w stanie zarobić na życie. Zastanawiałaś się nad tym? Nie? Co mówisz?

Wolałabyś, żebym zapytał, co piszesz? Ależ jestem przekonany, że cokolwiek to jest, piszesz

świetnie. Ale co dalej? Nie zdołam cię odwieść od tego zamiaru? Z pew-

222

WARIATKI

nością. - Gniewnym okiem rozejrzał się po sali. - Nikomu nie potrafię niczego wyperswadować. Sama widzisz.

- Podobno odkryłeś jakiś wirus - zagadnęła Oliwią jak matka, która chce odwrócić uwagę dziecka od bólu rozbitego kolana. - To prawda?

- Tak. Dostanę odznaczenie. Zaproszę cię na uroczystość. Choroba będzie nosiła moje nazwisko.

Ale tymczasem mój syn będzie patrzył, jak kręci się karuzela. Cóż mi z tego odkrycia? Stale zadaję sobie to pytanie.

Oliwią uparła się, że go odprowadzi. Wróciła ostatnim metrem. Julia czytała, leżąc w łóżku. U ojca wszystko w porządku? Nie. Kocha nas w taki dziwaczny sposób, że przyprawia się o chorobę. Proboszcz z miasteczka zatelefonował do Julii, aby powiadomić ją o śmierci Henryka. Wezwano go na czas

- zdążył wysłuchać najgłębszych przekonań Henryka, który posiadał tylko przekonania, a miał ich tak wiele, że mógłby żyć z odsetek. Do samego końca pozostała mu ich niezliczona ilość, wszystkie gotowe do wykorzystania. I z tego powodu ksiądz powiedział, że Henryk umarł jak chrześcijanin. Julia kiwała głową, słuchając dobiegającego z dala głosu, a proboszcz przyjmował jej milczenie jako wyraz aprobaty. Cóż mnie obchodzą jego ostatnie mowy, myślała Julia. Był moim ojcem. Miałam go tylko jednego

- upartego choleryka i aroganta - i kochałam go. Sługa boży nie wdawał się w sentymenty, mówił o szczegółach, o pustym domu, po którym hulają przeciągi (dotąd Henryk nieustannie domykał wypaczone okna). Ale ważniejsze było inne nieszczęście... Frantz, ten nieszczęsny błazen. Frantz stojąc nad zwłokami kuzyna rzucił dwa lub trzy aforyzmy w swoim stylu, czyli po prostu plótł trzy po trzy. Potem pozbierał wszystkie rozrzucone po domu fajki

223

CHANTAL DELSOL

- te, których używał, i te z kolekcji - i starannie ułożył je na stole w jadalni, jakby miało tu powstać muzeum. Następnie wyszedł, długo włóczył się po leśnych drogach, czego nigdy dotąd nie robił, bo na samą myśl o poruszaniu nogami ogarniało go rozleniwienie, a przyroda nie robiła na nim najmniejszego wrażenia. Jeszcze tego wieczoru odnaleziono go martwego na pryzmie ściętego drewna, z głową zwisającą w dół i grymasem goryczy na twarzy. Lekarz zdecydowanie wykluczył hipotezę samobójstwa. Jak pasożyt mógłby przeżyć tego, kogo wykorzystuje? - stwierdziła w duchu Julia. Natręt i jego ofiara mieli przecież tylko jeden wspólny byt dla nich dwóch. Ksiądz dyszał w słuchawkę.

- Czy ksiądz jest przeziębiony? - zapytała.

- Nie, nie, myślę o pani biednym ojcu, który w swej hojności...

Chyba nie zacznie mi tu szlochać, pomyślała Julia, od dziecka nie znosząca ludzi, którzy lamentowali za nią.

- Przyjadę jutro-powiedziała. - Proszę, aby ksiądz odprawił mszę.

- Doprawdy? Chce pani uczestniczyć w mszy świętej?

- Był zaskoczony. Drwiny Julii zawsze zbijały go z tropu. Bał się jej, jak ignorant wolnomyśliciela, a jednak uważał, że to ona nie ma pojęcia o niczym, o czym bezwzględnie wiedzieć należy.

- Proszę wybrać fragmenty Księgi Hioba - dodała Julia. - Ojciec był do niego bardzo podobny.

Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy.

Jedź ze mną, poprosiła Oliwię. Nie ma nic cenniejszego od wspomnień. Jeśli nie ocalimy ich przed pogrążeniem w morzu zapomnienia, stracimy grunt pod nogami.

Pewien świat znika, pisała Eleonora. Jeżeli tego dokładnie nie rozumiesz, jedź do domu Dominika.

Spoczywają tam relikwie, o które nikt się nie zatroszczył. To niematerialny skarb, atmosfera szwalni, którą przed wojną nazywano pralnią. Odnajdziesz tam woń bezużytecznej miłości pozostawionej przez te, które pracowały w milczeniu, a miały dusze gigantów.

224

WARIATKI

Oliwią weszła do izby, w której o zmierzchu zasypiało światło i natychmiast owiał ją ten zapach - połączenie kurzu, wilgotnej bielizny, olejku cytronelowego i lipy. Potężny strumień, w którym odgadywało się letnie upały, woń świeżych konfitur i tę niepowtarzalną wilgotność ułożonych w szafach prześcieradeł. Zapach domu, niezmienny przez stulecia, schronił się właśnie w tym pokoju. Wędrował przez wieki, rejestrował nowe zdarzenia, nie zapominając o dawnych. Był prawdziwą duszą domu, ponieważ bez niego nic nie mogłoby przetrwać. Uczciwie odtwarzał zaginiony świat, świat kobiet, które szyły w świetle wpadającym przez ogromne okna, dusiły parę pod żelazkami,

składały bawełniane obrusy. Towarzyszyła mu nieśmiertelna cisza, cisza przemilczanej pracy, za którą nie dziękowano. Żyły tu pokolenia zapomniane przez historię, pełniące swe zadania niczym świadom odpowiedzialności latarnik. Oliwią szła wzdłuż stołów i półek, muskając ułożone na nich tkaniny. Jutro pogrzebany zostanie nie tylko patriarcha rodu, lecz i jego siedziba. Kuzynowie i wujowie zamieszkają w domach, w których nie będzie już tej niezwykłej izby. Anielska armia została pokonana przez galopujący czas. Nikt nie zamierzał jej opłakiwać. Zagadką było tylko, jak mogła tak długo przetrwać w świecie pospolitych śmiertelników. Pralnia przepelniona była wonią tej miłości w stanie surowym, wonią mitycznego Edenu, obnażoną i bezinteresowną, dumną ze swej beużyteczności... Czymś, co w zasadzie nie istnieje. Wielu nieznanym krewnym, których tak łatwo zapomnieć w interwałach rzadkich spotkań, zgromadziło się wokół proboszcza, zachowując stosowną powagę. Był tam i Gildas, od niedawna emeryt. Julia zauważyła, że przejął jako własną osobowość Henryka - niczego mu nie brakowało, ani pewności siebie, ani sentencjonalnych uwag; był klonem prawie doskonałym, z lekka tylko unowocześnionym. Pomyślała, że Henryk może spoczywać w spokoju, pewien, że nie całkiem umarł.

Kucharka, przygotowując ostatni w długiej serii posiłek, starała się przejść samą siebie. Na stół wjechał

15 W«riatki

225

CHANTAL DELSOL

półmisek wędzonego łososia i można się było domyślać, że po nim pojawią się faszerowane kaczki, gęsi i pulardy.

- Chyba nikt nie jest tu głodny - szepnęła najstarszy z braci Remy'ego.

- Bądź cicho - błagał go sąsiad. - Tu do dobrych obyczajów należy takie świętowanie pogrzebu, jakby był weselem. Zresztą Henryk prawdopodobnie sam ustalił dzisiejsze menu.

Trzeba było dwudziestu lat rozłąki, aby wypełnić te dwie godziny wspólnej biesiady. Kuzyni pytali kuzynów, jak powiodło im się w życiu, kwitując odpowiedź uprzejmym, acz zdawkowym komentarzem. Kilku uważniejszych słuchaczy dorzucało jeszcze jakieś pytania. Inni wygłaszali historie swego życia, nawet gdy nikt ich już nie słuchał. Julia przypomniała sobie gromadkę dzieciaków z kręconymi włosami, które siedziały przytulone do siebie na kamiennym obrzeżu sadzawki. Oliwią znalazła się w samym środku. Nikt jej tu nie znał. Wujowie prześcigali się w uprzejmościach. Jesteś bardzo podobna do dziadka, powiedział jeden z nich. Julia uśmiechnęła się złośliwie jak dziecko, które popełniwszy głupstwo napawa się bezkarnością, a Oliwią obrzuciła ją pytającym spojrzeniem. W odpowiedzi Julia rozłożyła ręce, bo przecież wygłaszane w salonach uwagi często bywają bezsensowne.

Pomiędzy dwoma daniami mięsnymi Gildas wyjaśnił, że wraz z Henrykiem sporządził listę mebli. Wdał się w skomplikowane wywody na temat domniemanej i realnej wartości rzeczy, kryteriów wyceny i zasad podziału majątku. Jego mowa, koncentrująca się wokół trzech punktów, przypominała wypracowanie dobrego ucznia. Był dramatycznie poważny. Skąd weźmie poczucie tragizmu, kiedy przyjdzie mu wyliczyć etapy choroby prowadzącej do jego własnej śmierci? - myślała Julia. Zapytała, czy ktoś może zdołał się dowiedzieć, kim naprawdę był Frantz. To pytanie nurtowało ją od dawna, często próbowała wypytywać kuzyna, ale wywijał się jak jaszczurka. Będąc dzieckiem trochę się w nim durzyła. Napomknienie o tym wzbudziło śmiech biesiadników.

Odpowiedziano jej, że fajki Frantza

226

WARIATKI

zostaną oddane do ekspertyzy, wiele z nich bowiem ma prawdopodobnie dużą wartość, co zwiększy łączną sumę spadku. Gildas poruszył kwestię preferencji osobistych. Było to swego rodzaju postscriptum do jego mowy, lecz tak ważkie, że nie potrafił opanować drżenia głosu. Pragnął, by każdy wskazał kilka rzeczy mających dla niego wartość sentymentalną. Przy dokonywaniu podziału te życzenia zostaną uwzględnione w pierwszej kolejności. Wszyscy zaczęli opisywać szafy, w których układali zabawki, zegary, których bicia słuchali, będąc nastolatkami, a Julia wspomniała

mały holenderski obraz przedstawiający port, który zawsze wisiał w gabinecie. Będziesz musiała wybrać coś innego, oznajmił delikatnie Gildas, chcąc jakoś nagrodzić jej rozczarowanie. Ten obraz jest w rodzinie od osiemnastego wieku. To własność rodowa. Julia nie rozumiała. Sądziła, że to aluzja do dawnych waśni.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że takie rzeczy dziedziczą chłopcy. - Gildas uśmiechnął się łagodnie, lecz nie kryjąc, że to ostateczna decyzja, podlega bowiem nienaruszalnym zasadom.

- To prawda - przyznała, jakby ktoś przypomniał jej po prostu, ile ma lat. - Znow zapomniałam. Pomyślała: znow zapomniałam o klątwie. Kucharka podała ciasto cytrynowe. Gildas wyjął z kieszeni notatnik i przystąpił do sporządzania listy, a zarazem inwentarza nieśmiertelności.

1

- To pokój Marka Epsteina. - Mówiąc to, Julia pchnęła drzwi. -Pozwól, że otworzę okiennice. Można by pomyśleć, że nikt tu nie zaglądał od dziesięciu lat. Nie zdziwiłabym się, gdyby w zasłonach zagnieździły się nietoperze. Książki miały leżeć na nocnym stoliku? Rzeczywiście, są. Należą do ciebie. Biblia, "Ancien Regime"

227

CHANTALDELSOL

Tocqueville'a, modlitewnik żydowski, pierwszy tom Prousta, "Dzieła wszystkie" Rimbauda, "Materializm" Lenina. Różnorodność jak osobowość właściciela. Wszystkie opatrzone adnotacjami. Twoja matka musiała wielokrotnie wysłuchiwać fragmentów tych dzieł. Cieszę się twoim szczęściem. Moja matka zostawiła po sobie tylko lekarstwa, Eleonora zaś otrzymała ode mnie tylko milczenie i te nazbyt pilnie strzeżone tajemnice, których nie zdążyłam jej wyjawić.

Gdy opuściły pokój Epsteina i po mrocznych schodach zeszły na dół, znalazły się w miejscu zalanym światłem, które docierało z werand i okien do najdalszych zakątków. Całe wnętrze oddychało jasnym słońcem.

- Ile miałaś lat, kiedy stąd wyjechaliście? - zapytała Oliwią.

- Dziewięć. Zastanawiasz się, jak można opuścić takie miejsce? Ja też tego nie pojmuję. Ale za tamtych czasów dom nie był tak pełny. Chciałam przez to powiedzieć, że jeszcze nie naznaczyła go swą obecnością Eleonora. Ani ten stary nauczyciel.

- Sądzisz, że Epstein był mędrce? - zagadnęła Oliwią. Dotarły do salonu na parterze, gdzie uczestnicy obiadu zaprzęgnięci byli teraz inwentaryzacją sprzętów. -Jednym z tych mędrców, o których się mówi, choć nigdy się takiego nie spotkało?

Nagle stanął przed nimi Gildas z listą w dłoni.

- Wybrałaś już? - spytał, zwracając się do Julii. - A co do jutrzejszego spotkania z notariuszem... Julia spoglądała na niego jak na zjawę ze snów.

'«- Nie-odparła.-Niczego nie wezmę. Ani teraz, ani nigdy. Zostawiam wam moją część. Muszę natychmiast wracać do Paryża. - Chwyła Oliwią za rękę. - Nie sądzę, żeby można było użyć słowa "mędrzec". Epstein był sprawiedliwym. Właśnie. Sprawiedliwym. Tak mi się wydaje. To różnica. Nie umiem tego wyjaśnić. Ja to czuję. Sprawiedliwym. A teraz ocalimy świat. Wyjedziemy pociągiem o szóstej. Nie mamy tu już nic do roboty.

WARIATKI

W przedziale nie było nikogo prócz nich. Pociąg trząsał się i podskakiwał.

- Co to za historia z rodzinnymi meblami? Czyżbyś nie należała do rodziny?

- Ależ należę - zaproponowała Julia. - Nie jestem znajda. Nie myśl tylko, że kieruje nimi złość.

Uważają, że tak jest sprawiedliwie. W ich świecie z niczym się nie dyskutuje.

- Skoro tak do tego podchodzisz, nie powinnaś była odrzucać spadku. Dlaczego to zrobiłaś?

- Przede wszystkim tylko ten mały holenderski obrazek sprawiłby mi prawdziwą radość, a nie mam ochoty zagracać mieszkania byle czym. Ale ważniejsze było dla mnie, by Gildas uzmysłowił sobie, że i jego świat powinien się zmienić.

Oliwią otworzyła okno i wychyliła się.

- Przy okazji pozbawiłam cię spadku-mruknęła pod nosem Julia. - Ale nie martw się. Nie zostaniesz bez pieniędzy. Były takie lata, kiedy zarabiałam krocie.

Oliwią wyprostowała się i obrzuciła Julię spojrzeniem pełnym niedowierzania.

- Co ty opowiadasz? Czyżbyś grywała w kasynach?

- Też pomysł! - Julia zmarszczyła brwi. - W ten sposób mało kto zdołał się wzbogacić. Zresztą myślałam, że przy tym wietrze za oknem nie usłyszysz. Mówiłam do siebie.

Po chwili dodała:

- Posłuchaj, jeszcze tego nie wiesz, ale każdy rozpoznaje siebie poprzez swe imię i poprzez rzeczy. Kiedy nie ma już ani jednego, ani drugiego, musi coś stworzyć, wszystko jedno co, byle wykazać, kim jest. Ty na przykład musisz pisać.

- Ciągle piszę - odparła Oliwią - nie potrafię się od tego powstrzymać.

Julia obserwowała krajobrazy i głośno myślała. Położą kres historii domu Dominika. Zrobią to jak uczciwi ludzie. Nie zapomną o sentymentach. Dorzucą je do rachunków. Zbędne rzeczy rozdadzą służbie. Opłacą z góry kogoś, kto

228

229

CHANTAL DELSOL

zadba o groby. Zabiorą ze sobą resztki wspomnień, wzniosą gdzie indziej nowe fortece, choć na wzór tej.

- Naprawdę sprzedadzą dom? - dopytywała się Oliwią, jakby nie dosłyszała.

- Na pewno. Któż miałby wykupić części należne pozostałym?

- To smutne. Zwłaszcza dla ciebie.

- Nie. Jest mi to obojętne.

- Nie wierzę. Udajesz twardą. Ale przede mną nie musisz grać.

- Mylisz się. Człowiek jest na tyle słaby, że musi zdecydować, czemu warto poświęcać energię. Spisz swoje marzenia, posegreguj je i wybierz tylko te, które wydają ci się ważne. Tym poświęć wszystkie siły. Odrzucone uznaj raz na zawsze za nieistotne. Pozwól, żeby wygasły. Nie trwój energii na głupstwa.

- A co dla ciebie jest ważne?

- Powiem ci to kiedy indziej.

- Zawsze przekładasz wyznania na później! -mruknęła Oliwią.

Przez dziesiątki lat sekret Julii stał się cytadelą. Otaczały go fosy, mury i umocnienia. Żywił się własnym milczeniem i nawet Julia zaczęła uważać go za przeciwnika. Jego sprzymierzeńcem był czas. A ona nie mogła stawić czoła czasowi. Początkowo milczała z konieczności sądząc, że Eleonora nie zdoła zaakceptować prawdy. Trudno przecież wymagać od dziecka, by nagle pogodziło się z tym, że jego ojciec nie jest jego ojcem, i uznało w tej roli innego mężczyznę. Potem kłamstwo narzuciło jej własne warunki. Mijały lata i coraz trudniej było o tym mówić. Liczba kłamstw rosła, a wraz z nią wstyd. Powoli, niepostrzeżenie przybywało powodów, by prosić o wybaczenie. Równocześnie z wiekiem ubywało sił psychicznych, tak potrzebnych, by czynić wyznania.

Na domiar złego Julii - jak każdemu - podświadomie coraz bardziej zależało na szacunku potomstwa i przed nim właśnie najtrudniej było się spowiadać. Błędy i przewiny należało spakować do małej walizeczki i schować na dnie szafy. Poza tym sekret

WARIATKI

narodził się wcześniej niż Eleonora i jej dzieci. Zakorzeniał się i obrastał oszustwami pierwotnego spisku, tego, który uknuła jeszcze z Patrykiem. Potem kontynuował swój byt za kulisami Opery. Jak sięgnąć pamięcią, Julia zawsze prowadziła podwójną grę i podwójne życie. Dla obserwatora z zewnątrz spowijała ją zawsze głęboka tajemnica. Prawda mogła unicestwić ją samą. Tego się w każdym razie obawiała. Tymczasem sekret, początkowo niewinny, teraz dręczył jej sumienie i burzył spokój. Nie chciała zabrać go do grobu. Wydawał się jej zbyt ciężkim brzemieniem w tej podróży. Nie mogła również porzucić go w lada kącie. Musiała komuś go powierzyć, zdeponować jak za duży bagaż, który nie mieści się na półce w przedziale. Cierpiała na bezsenność, a kiedy wreszcie nadchodził sen, w ślad za nim podążały koszmary.

Oliwią kolekcjonowała kochanków - jedni znikali, pojawiali się inni, czasem zapewne bywało ich

kilku równocześnie. Julia obserwowała to wszystko bez słowa. Pytania zachowywała dla siebie. Może w ten sposób dziewczyna egzorcyzmowała spędzone w zamkniętym internacie dzieciństwo. Czasem jednak popadała w przesadę.

- Chyba nie będzie do końca życia co miesiąc zmieniała mężczyzn - irytował się Konstanty, który uważał niewierność za śmiertelną chorobę atakującą tchórzy i idiotów. - Powinnaś coś z tym zrobić. Można by pomyśleć, że nie masz u niej za grosz autorytetu.

Julia gryzła pędzel i milczała. Epoka apologii i manifestów politycznych umarła - zabiło ją znużenie. Julia zastanawiała się, skąd Oliwią czerpie teraz natchnienie. Upłynęło sporo czasu, zanim zorientowała się, jaka jest istota modnej literatury. W epoce bezpośredniości wszelkie epistolarne deklaracje stawały się śmieszne, uczucia trwały

230

231

CHANTAL DELSOL

krótko, a przecież trudniej jest zakończyć przygodę miłosną, niż ją zacząć. Oliwią wyspecjalizowała się w pisaniu listów oznajmających zerwanie. Pisała je nie tylko na własne potrzeby, ale także dla innych. Pewnego dnia Julia zastała ją przy biurku z zawieszonym w powietrzu długopisem, podczas gdy siedząca naprzeciw kobieta szczegółowo opisywała jej swe wygasłe uczucia.

Oliwią współpracowała z różnymi pismami, efemerycznymi dziennikami i periodykami, częściej rozdawanymi niż sprzedawanymi, a tworzonymi w niedziele przez wszelkiego autoramentu fascynatów. Wysyłała do takich redakcji poezje, a także wszelkie literackie brednie. Na ogół kładła później te pisemka na nocnym stoliku Julii, bo potrzebowała świadka, któremu jednak nie dawała prawa do komentarzy. Jedno z nich nosiło tytuł "Wrzosowiska". Komitet redakcyjny oświadczał, że tam, gdzie padną jego hasła, nigdy nie wyrośnie już nawet trawa. Czytając teksty, Julia zrozumiała, kim jest Oliwią. Rozdarta pomiędzy buntem a obojętnością, zdawała się być dziedziczką obojga bliźniąt równocześnie. Tworzyła szaleńcze opowieści, gdzie w zamkniętej przestrzeni akwariów przemianom podlegały namiętności i instytucje. Julia nie wiedziała, czy rozpoznaje w nich własne bolączki, czy te, które dręczyły Patryka, rozmyte już przez upływ czasu, a może nowsze, bardziej dzikie. W rzeczywistości Oliwią miała żal do swojej epoki. Bolało ją, że jest tak małostkowa, że podąża w złym kierunku. Oskarżała starych o to, że pozostawili tylko papierowe, mdłe ideały. Nasze życie przemienie i nic w nim się nie wydarzy. Historia nie ma już nic do powiedzenia. Przed nami białe karty. Pozostaje tylko czekać na wybuch bomby atomowej, która zmiecie wszystkie, nawet te białe stronicę. Rozpamiętywanie heroizmu i podłości ostatniej wojny to nasz los. Jesteśmy strażnikami muzeum. Dlatego w pałacu prezydenckim zasiadł starzec, który przemierza świat, prawiąc komunały. A jutro u władzy zaroi się od byłych trockistów, którzy będą rządzić jak reprezentanci burżuazji. Aż trudno sobie wyobrazić, pod jak miłymi pozorami kryje się oszustwo.

232

WARIATKI

Oliwią się oddalała. Coraz trudniej było ją rozszyfrować, coraz trudniej zrozumieć paradoksalne zmiany jej nastrojów. Doskonale wiedziała, choć nigdy nie zostało to wypowiedziane, co zarzuca jej Julia. Ze bezsensownie trwoni cudowną wolność wyczekiwaną przez dziesięciolecia bezradności. Że zawodzi jej nadzieje, spożywając owoce tej wolności bez szacunku, bez odrobiny rozważa. Ale legenda Julii nie była legendą Oliwii. Wnuczka nie umiała się w niej odnaleźć. Nie chciała przejąć sztandaru niedokonania. Pragnęła zacząć wszystko na pustyni, o brzasku, zanim świat nabierze barw, by samodzielnie nadać mu kształt i kolor. Najpierw odgrywała przed Julią komedię milczenia, potem wymykała się z domu. Wreszcie zaczęła zniknąć na całe tygodnie. Wyprowadziła się, zabierając ciężkie walizy książek i rękopisów. Podała mało wiarygodne powody, beztraska jak nastolatka. W końcu zamieszkała osobno, nie podała adresu, wracała od czasu do czasu, zawsze twierdząc, że wpadła przy okazji, że była w pobliżu. Julia proponowała jej pieniądze. Jestem pewna, że nie masz grosza przy duszy. Odmawiała. Daj spokój. Jakoś sobie radzę. Nie, właściwie nie pracuję. Nie myśl, że napadam na banki albo że zostałam czyjąś utrzymanką. Nie myślę tak, uspokajała Julia. Cierpienie było okrutne. Pozostawało czekać. Ale Julia miała coraz

mniej czasu. Brakło jej odwagi, by liczyć lata. Szukała schronienia u Konstantego. Ogarniało ją zniechęcenie, gdy uświadamiała sobie, jak wielu rzeczy nie zdołała dokonać.

Oliwią postanowiła się zamknąć, żeby pisać. Pliki kartek gromadziły się w kątach jej jednopokojowego mieszkania, historie przybierały zarys bez formy i celu i zamierały nie dokończone. Gdy brała się za korektę tekstu, błąd strach padał na każde słowo. Te oznaki słabości charakteru Oliwią wrzucała do szuflady, chociaż mieszkała sama i niczego przed nikim nie musiała ukrywać. Opowiedziała historię pewnego dziennikarza, który nigdy nie opuszczał sypialni ł pod wpływem halucynacji dokonywał wielkiej przemiany planety. Miała nadzieję, że w ten sposób zdoła ukazać triumf wyobraźni nad rzeczywistością, że w ten sposób myśl

233

CHANTAL DELSOL

o więzieniu przegra i odejdzie. Ale przeczytane na nowo, te opowieści przyniosły jej tylko rozczarowanie. Po końcowych poprawkach tekst, który starała się oceniać obiektywnie, z jak największym dystansem, wydał się jej zarazem lakoniczny i pełen rozpacz. Był długim telegramem, którego autor woła o pomoc i trafia w próżnię. Nie odnajdywała się w nim. Uważała, że absolutnie nie oddaje stanu spokojnego oczekiwania, którym pragnęła wypełnić swe życie. Zupełnie jakby napisał go za nią ktoś inny. Nie śmiałyby się pod nim podpisać z obawy przed oskarżeniem o plagiat. Podała go. Ileż dramatyzmu jest w tych marzeniach, które ledwie narodzone, okazują się tylko efemerydami. Trzeba pisać, ale po co i dlaczego? Aby ukończyć dziwne pragnienie. Dziewczyna z bohemy nie zeszła ze sceny. Zapuściła się w najgłębsze sfery duszy kryjące się pod stertami luźnych kartek i ze wszystkich sił starała się istnieć. Może chowała się w bardzo licznej rodzinie, którą los przerzucał z miejsca w miejsce. Pod postacią kobiety kryła się niespełna trzynastoletnia dziewczynka bita przez braci. Nie. Była młodą mężatką, żoną kupca, mieszkała na głębokiej prowincji. Przydomek odzwierciedlał jej ekstrawagancję wzbudzającą liczne obawy rodziny. Była w żałobie. Może po starszej siostrze, z którą utożsamiała się od dzieciństwa, nie dopuszczając do siebie myśli, że mogłaby przeżyć bez niej choćby jeden dzień. A może po mężczyźnie, którego skrycie pożądała, a który zmarł na suchoty lub zginął w pierwszych dniach wojny, służąc w wojsku jako pilot myśliwca. Nie. Nic z tych rzeczy. Wzrastała w każdym razie w przekonaniu, że jej osobowość jest równie potężna jak wrogość, z jaką się styka. Stała pośród burz dumnie wyprostowana, pełna wiary w siebie, niczym królowa. Zręcznie wyzyskiwała grające na jej korzyść okoliczności, a z potyczek, w przeciwieństwie do większości osób, wychodziła bez najmniejszego uszczerbku. Oliwią zazdrościła jej, choć sama nie wiedziała dlaczego. I nie mogła jej w pełni pojąć.

Kolejne historie tonęły w niebycie. To choroba. Muszę się leczyć i wyzdrowieć. Oliwią postanowiła, że przez rok

234

WARIATKI

nie weźmie pióra do ręki. Tyle czasu, jej zdaniem, potrzebuje alkoholik, żeby uwolnić się od nałogu. O dwie stacje metra od niej założono dom kultury. Zatrudniła się tam. Miała organizować imprezy i rozrywki. Została ekspertem do spraw zakupu krepiny i gospodarowania budżetem w stanie ciągłego deficytu. Zarabiała grosze, lecz całymi dniami była zajęta i miała nadzieję, że to wyrwie ją ze szponów narkotyku. Ale jej bohaterowie nie mieli zamiaru poddać się i zniknąć. Prowadzili zagorzałą walkę, najpierw skrytą i słabą, potem coraz potężniejszą, wkrótce zaś - otwartą wojnę. Znowu zaczęła zapisywać zdania na kartkach notatników. Była niczym nawrócony pijak, który nie może powstrzymać się od dopicia resztek z dna kieliszków. Praca nie wydawała jej się nudna. Ale życie codzienne nabrało dziwnych, obcych barw. Duch Dziewczyny z bohemy tropił ją dniem i nocą, bez wytchnienia, czatował nawet w meblach, zasłonach i plakatach domu kultury, gdzie Oliwią założyła swą kwatery główną.

Pewna postać, zrodzona w niepewnej epoce, uznała społeczeństwo za piekło i postanowiła ukradkiem się od niego oddalić. Prawdopodobnie bała się pościgu zorganizowanego przez rodzinę, policyjnego śledztwa w sprawie zaginięcia, a jeszcze bardziej - siebie. Dręczyła ją obawa, iż będzie oglądać się wstecz, patrzeć na własne ślady. Postać ta znalazła schronienie w pewnej wspólnocie.

Głosiła ascezę, równocześnie zarzucając społeczeństwu właśnie to, że krzewi straszliwą nudę i unicestwiło przyjemności, oddawszy władzę nad nimi osobom i strukturom uformowanym na podobieństwo głupich kaprali.

Oliwią nie pojmowała, skąd ta sprzeczność. Szukała żywej istoty, aby obdarzyć ciałem swego ducha i odkryła grupę uczestników rozruchów z maja 1968 roku, którzy tymczasem osiedli na 235

CHANTAL DELSOL

wsi. Wybrała się do nich na początku września. Wpuszczono ją do środka, dano do dyspozycji pokój. Nie zdziwiła się - bałagan organizacyjny był bliźniaczym bratem nieładu panującego w domu. Chata znajdowała się w zagubionym zakątku Lozere; Oliwią na całe życie zapamiętała tę wyschniętą ziemię, spaloną trawę, brzmienie zastygłego w bezruchu upału i dwudziestkę szykujących się już do powrotu studentów, którzy nie kryli rozczarowania światem, uprawiali wolną miłość i azjatycką sztukę kontemplacji. Już pierwszego wieczoru upatrzyła sobie ofiarę. Był to spokojny chłopak, który palił trawkę, siedząc przy kominku. Od czasu do czasu wraz z obłoczkiem dymu ulatywało z jego ust jakieś bezsensowne acz podniosłe słowo lub slogan, w którym rozpoznawała echo tych manifestów pisanych na zamówienie parę lat temu, choć było to echo słabe, wyciszone przez zubożenie.

Została tam dwa dni, przypatrywała się bachanaliom, nie biorąc w nich udziału, pilnie słuchała rozmów, strzegła swej postaci, która zdawało się, zatraciła poczucie czasu, zmagając się z niespójnymi myślami i uwodziła wiele dziewcząt równocześnie. Trzeciego dnia przy pięknej pogodzie cała grupa ruszyła na wycieczkę po wzgórzach. Jedyne palacz trawki odmówił udziału w wyprawie. To był właściwy moment. Wyszła z pokoju, chcąc natknąć się na niego niby to przypadkiem.

Chłopak siedział na płytkach tarasu, plecami oparty o ścianę, tym razem zupełnie sam, wmawiając sobie że napawa się samotnością niczym zapachem rzadkich perfum. Był ubrany w koszulę, jaką noszą panowie z najzamożniejszych dzielnic. Włosy związał w warkoczyk. Siedział beczynnie. Wokół niego w rażącym, ostrym blasku słońca wirowały owady i cisza. Ujrzał ją, gdy nadchodziła schodami wiodącymi z parteru.

- Nie poszła pani z nimi?

- Nie lubię chodzić.

Spojrzał na nią z obojętnością uwodziciela, który nie dostrzega w pobliżu interesującej go zwierzyzny, jakby chciał powiedzieć: ta dziewczyna nie jest w moim typie,

236

WARIATKI

zresztą nigdy się nie odzywa, właściwie nie wiadomo, co tu robi. Ona bacznie mu się przypatrywała. Już go sobie zawłaszczyła. Ale on oczywiście ją ignorował. Elegancka koszula, starannie dobrana stylem do uczesania, dowodziła, że młodzieniec z premedytacją łamie konwenanse. Nonszalancja i ta oficjalna forma "pani"... Wydawał się tak opanowany, że nawet gdyby obwieszono mu rychły koniec świata, zachowałby kamienny spokój. To było jasne jak słońce - drwił sobie ze wszystkiego. Usiadła na drewnianej poręczu.

- Kto panią tu zaprosił? - zapytał z nieskrywaną wyższością.

Nie odpowiedziała.

- Tak też myślałem - stwierdził. - W zasadzie nikt nie wie o istnieniu tego miejsca. Trzeba mieć wprowadzającego. Ponieważ zawsze jest nas od trzydziściorga do czterdziściorga, nikogo nie sprawdzamy. Mieszka tu pani incognito już od paru dni i każdy uważa panią za przyjaciółkę kogoś z nas. Zastanawiam się, po co się pani tu wkradła. Nie ma tu nic ciekawego, ponieważ my wszyscy po prostu zabijamy czas.

Oliwią nie reagowała. Zauważyła duże stado owiec na zboczu położonej na wprost góry. Ich runo zlewało się z barwą skał. Miała ochotę o coś go zapytać, ale nie powiedziała ani słowa.

- W dodatku piekielnie mnie pani irytuje - podjął. - Wczoraj w nocy brzdąkała pani na pianinie.

Siedem nut... Liczyłem. Dziś rano przy kominie leżał martwy ptak. Pani się tu nudzi. Nawet bardzo, bo nie sypia pani po nocach.

- A czy pan się tu nie nudzi?
 - Nie. Dlaczego miałbym się nudzić?
 - Cóż można robić w tak bezbarwnej wspólnocie? Tu nie ma już nawet czego zmieniać.
- Roześmiał się.
- Oczywiście. A jeszcze lepiej by było, gdyby pani przestała zadawać takie pytania.
 - Nie mogę.

237

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Spojrzał na nią z politowaniem.

- Po co pani tu przyjechała?
- Żeby obserwować. Stanowi pan ciekawy przedmiot obserwacji.
- Ja?
- Owszem.

Wyciągnął z kieszeni pomięty niedopałek gitana w bibułce z papieru kukurydzianego i zapalił go.

- Wariatka z pani - stwierdził.-Ale mniejsza z tym. Przyjechałem tu, żeby wysłuchać Tybetańczyka, który pojawi się jutro. Dążę do całkowitej abnegacji. Kiedy będę już niczynij zwyciężę.

Wypluł z płuc kłęb dymu, spoglądając na nią ironicznie.

- Radzę wybrać się tam, gdzie coś się dzieje. Byłaby pani zadowolona.
- Ale dokąd?

- Nie wiem. Do Ameryki Południowej. Wybucha tam przeciętnie jedna rewolucja w ciągu roku.

Tyle trwają przygotowania, przebieg, zaprzepaszczenie szansy. To ciągły cykl.

Oliwią wymachiwała nogami, siedząc na balustradzie.

- Albo - podjął - proszę zająć moje miejsce. Złożyłem wypowiedzenie w redakcji. Czym pani się zajmuje? Niczym? Doskonale. Byle nieudacznikowi może się tam powieść. Wybiorę pani jakies nazwisko.

Znów zaczął grzebać w kieszeniach i w końcu znalazł wizytówkę.

- Uwolni mnie pani od kłopotu. Proszę spotkać się z tymi idiotami, którzy czekają na lepszą przyszłość.

Oliwią wyjechała jeszcze tego wieczoru. Tu niczego już nie mogła się dowiedzieć. Wyszła tylnymi drzwiami i opuściła to miejsce bez pożegnania, tak jak przybywszy z nikim się nie witała. Drogę do dworca - pięć kilometrów - pokonała pieszo, w czerwonym świetle schyłku lata. Ten chłopak, pomyślała, długo nie pożyje. Albo raczej dokona tylko biologicznego żywota. Już teraz zrzucił

238

z siebie ciężar istnienia. A ona zachowa pamięć o nim, choć może nie zasługiwał nawet na to.

Umówiła się z redaktorem naczelnym gazety. Był to mężczyzna już niemłody, o doskonałych manierach, nie potrafił jednak w pełni ukryć zaskoczenia faktem, że powołała się na człowieka, który od nich odszedł. A zatem zna go pani? - zapytał z lekkim sarkazmem. To włóczęga, a nie pracownik. Cieszę się, że zdołałem się go pozbyć. Nie, spotkała go przypadkiem. Mina redaktora pozwalała przypuszczać, że w to uwierzył. Rzucił okiem na jej curriculum vitae, zaprezentowane w kilku wersach. Właściwie nie to mnie interesuje. Co pani potrafi? Pisać, odparła rozkładając ręce. Coś mi pani przyniosła? Chwycił kartki, wybrał i przeczytał jedną z nich, skupiając uwagę na tekście. Dobrze. Na początek damy panią do reportaży o działalności humanitarnej.

Julia kończyła właśnie siedemdziesiąt pięć lat. Oliwią przyszła do niej bardzo wczesnym rankiem, w tej porze, gdy schyłek nocy obwieszcza kres bezsenności. Przyniosła maleńki bukietek fiołków i wsadziła je do wypełnionej wodą filiżanki.

- Co to za pomysł! - burknęła Julia. - Żadne liczydła nie starczą, żeby obliczyć mój wiek. Dziwię się tylko, że przeżyłam samo ŻYCIE. Pokażę ci coś.

Zaprowadziła ją do pracowni, w której królował obraz - idol.

- To El Greco - szepnęła. - Pewien bogaty armator odnalazł go u siebie na strychu. Obraz nieco ucierpiał. Pozwolił mi zabrać go do domu, żeby tu przywrócić mu dawną świetność. Mam wiele szczęścia. Odrobina talentu zapobiega starzeniu się. Stanę się bezużyteczna dopiero, gdy utracę

wzrok albo oszaleję. A to mi się nie przydarzy. Umrę z niewyspania. Tymczasem uważam się za El Greca. Raz mieszkam w Wenecji, gdzie nieprzerwanie trwa karnawał, ale ja chodzę po kościołach i podziwiam dzieła wielkich mistrzów, to znowu w Toledo, gdzie spaceruję po

239

CHANTAL DELSOL

uliczkach pośród przytłaczająco ścięsnionych białych murów. Pracował po nocach. Zupełnie jak ja. Jego świat świętych i męczenników zniknął z globu ziemskiego, a nawet z firmamentu. Mniejsza z tym. Czuję się, jakbym przywracała barwy życia Atlantydzie. Oliwią patrzyła na nią w osłupieniu.

- Skąd bierzesz tego rodzaju zamówienia? Kto powierza ci takie prace?

- Spotkałaś swego bohatera? - odpowiedziała pytaniem Julia.

Oliwią odparła, że tak.

- I co? Jaki był?

- Był... był taki, jakby chciał rozpląnąć się we mgle. Na pewno mu się to uda. Stara się ze wszystkich sił.

- Aha, rozumiem, doskonale rozumiem - pokiwała głową Julia. - I wśliznie się szybciotko do twojego świata. Przypominasz mi biologów, którzy pobierają organy od zmarłych. Miej się na baczności. Zawsze istnieje pokusa, by zabrać je komuś, kto nie do końca umarł, lub nawet zabić dla zaspokojenia własnych potrzeb.

- Ja taka nie jestem - zapewniła Oliwią. Julia zamknęła drzwi pracowni.

- Każdy z nas wierzy, że taki nie jest.

- Znalazłam pracę - oznajmiła Oliwią. - Jako dziennikarka. Będę podróżowała.

- To doskonale. Właśnie tego było ci trzeba. Jakiego rodzaju literaturę zaczniesz mi teraz przynosić?

- Wciąż się gniewasz?

- Nawet nie wiem, gdzie mieszkasz. Pokażesz mi swój pierwszy artykuł?

- A ten El Greco? Skąd się tu wziął? Usta Julii drżały.

- Zdajesz sobie sprawę, jaka jestem stara? Nie nękać mnie. - Pocałowała ją. - Zmykaj, zarazo.

Grupa, do której miała dołączyć na lotnisku, czekała przed okienkiem odpraw. Była tam pewna dziewczyna w jej wieku. Siedziała samotnie na plecaku. Trzymała w ręku

240

WARIATKI

gazetę, lecz nie czytała. Z zainteresowaniem obserwowała panujące wokół poruszenie. Jej baczne, ale wolne od niepokoju spojrzenie coś Oliwii przypomniało. Okolona ciężkimi kruczoczarnymi włosami twarz nie miała w sobie nic szczególnego. Ale uderzała łagodną ciekawością, która jakby powracała z bardzo daleka. Oliwią podeszła do dziewczyny. Domyśliła się, że nieznajoma również zwróciła na nią uwagę. Te lekko skośne oczy już kiedyś na nią patrzyły.

- Znamy się - powiedziała dziewczyna. - Jestem tego pewna.

- Ja także.

- Obie nie mogłybyśmy się mylić. Ale skąd?

- Nie wiem.

Obok nich przeszedł fotograf, ciągnąc za sobą załadowany wózek jak typowy obieżyświat. Na szyi miał zawieszonych kilka aparatów, które obijały się o siebie przy każdym kroku.

- Może z liceum Fenelona? - zgadywała dziewczyna.

- Nie... A strajk na Sorbonie?

- Nie brałam w nim udziału. - Roześmiała się. - Tam na pewno mnie nie było.

- Dziwne - powiedziała Oliwią. - W każdym razie nie spotkałyśmy się przypadkiem w restauracji. Wiem, że powiedziałyśmy sobie coś bardzo ważnego.

- Właśnie. Coś, o czym trudno zapomnieć. A jednak ja zapomniałam.

- Ja też. Ale to mnie nie dziwi. To wydarzyło się dawno. Bardzo dawno.

- Być może - zaczęła wolno nieznajoma-to wszystko działo się w poprzednim życiu.

- Nie kpij. Miałaś długie włosy. Zadałaś mi pytanie, na które nie umiałam odpowiedzieć.

Dziewczyna szperała w pamięci. Oliwią z podziwem serdecznej przyjaciółki patrzyła na krótką

kurtkę i odrobinę nonszalancką postawę tajemniczej nieznajomej. Pomyślała: wtedy, jestem tego pewna, miała na sobie plisowaną letnią sukienkę, jaką dawniej nosiły dziewczynki, sięgającą niemal kostek.

16 Wariatki

241

CHANTAL DELSOL

- Być może świat nie zasługuje, by go ocalić. Ratuj samą siebie. To już dużo... Przypominasz sobie?

Na twarzy Oliwii pojawił się cień uśmiechu. Zmrużyła oczy, żeby ukryć wzruszenie, postawiła walizkę przy bagażu dziewczyny i usiadła.

- To moja tajemnica - wyszeptała. - Kim jesteś?

- Pokazałaś mi list. A właściwie mojej matce. Ale w mojej obecności. Byłam za mała, żeby ktokolwiek uważał mnie za niewygodnego świadka. Bywają tacy, których ma się za nic. A jednak!

- Tak. W ogrodzie pełnym pachnącego groszku. Zapamiętałam te kwiaty jako tysiące kolorowych motyli. Szliśmy alejką, nie wiedząc, jak rozgryźć to zdanie. Jesteś córką Romany Sainteny.

- Tak. Po twoim wyjściu poprosiłam mamę, żeby mi to wyjaśniła.

- Potrafiła? Bo ja...

- Nasze matki od młodości należały do partii. Były właśnie na etapie skrajnego rozczarowania, porównywalnego z ostatnią fazą choroby. Ale nie chodziło o to, by ocalić siebie, zajmując, jak na Titanicu, ostatnią szalupę ratunkową. To zdanie zawierało aluzję do innego rodzaju ocalenia. Matka nie mogła odżałować, że nie ma co do tego pewności. Niedokończona rozmowa nękała ją po nocach. Ciągłe opowiadała mi o Eleonorze. Zaczęłam podziwiać kobietę, której nie znałam. Sądzę, że ze względu na nią zostałam lekarzem.

- Często podziwia się cudze matki.

- Nie w tym rzecz. Matka powtarzała, że gdyby na ziemi było więcej takich jak Eleonora, nikt nie musiałby robić rewolucji.

Z głośnika rozległ się głos wzywający na pokład samolotu. Ruszyły wraz z grupą, która rozprawiała o kaloriach, odciętych drogach i polach namiotowych.

- To mi przypomina nowy sposób ocalania świata - szepnęła Oliwią. - Wydaje mi się, że ta skłonność jest u ludzi niezwykle silna.

Zająły sąsiednie miejsca.

WARIATKI

- Co robiłaś od tamtego czasu? - zapytała Matylda. Oliwią westchnęła.

- Pisałam i nadal piszę.

Skłócony ze światem bohater zaczął palić opium. Wyruszył na wschodnie szlaki, gdzie łatwiej kupić tę truciznę, trafił na obszary objęte powstaniem i przypadkiem dał się w nie wciągnąć. Jak we śnie przemierzał bezkresne lasy w szarzielonym, opadającym mu na oczy hełmie.

W końcu Oliwią zaprosiła do siebie Julię, ale uczyniła to w sposób tak uroczysty, otaczając wizytę taką aurą tajemniczości, że babka idąc do wnuczki czuła się, jakby wybierała się na oficjalne przyjęcie w najwyższych sferach. Oliwią ustaliła datę z trzytygodniowym wyprzedzeniem.

Wyglądało na to, że szykuje wykwintne przyjęcie. Nie jestem królem Prus, uspokajała ją Julia.

Oliwią od kilku lat mieszkała w dzielnicy le Marais, w domu z odrapaną fasadą. Zdeptane schody ugiwały się pod ciężarem nóg, wiodąc ku cuchnącym sadzą strydom. Okna mieszkania wychodziły na wiszące ogrody, w których paryżanie uprawiają kwiaty, żeby zapomnieć o posepnych uliczkach. Pragnęła przedstawić Julii mężczyznę, przy którym miała nadzieję zapomnieć o przeszłości. Było jasne, że ten wieczór ma pełnić rolę oficjalnej ceremonii. Na imię miał Sylvain. Oliwią uczyniła co w jej mocy, żeby to spotkanie nikogo nie rozczarowało. Julia na pierwszy rzut oka rozpoznała w Sylvainie jednego z dziwaków, jacy niegdyś bywali na ulicy de Seine i zabierali Oliwią na przejażdżki rozklekotanymi dwusuwami. Ale ten był już utuczony sukcesem, jaki zdążył odnieść, uzbrojony w powagę, krótko mówiąc - nabrał cech mieszczańskich. Bez problemu wyrobiła sobie o nim przynajmniej wstępną opinię. A to dlatego, że nieustannie mówił. Mówił, ponieważ nie oswo-

243

CHANTAL DELSOL

bodził się spod władzy słów, pod znakiem której upłynęła jego młodość. Mówił, ponieważ potrzebował wyrazić samego siebie, zaprezentować się, poddać autoanalizie, odkryć przed innymi swe obyczaje i uczucia. O dziwo, ta młodzieńcza jeszcze paplanina zjednała mu sympatię Julii. On z kolei dostrzegł w niej bunt, który uważał za najdoskonalszą fazę rozwoju osobowości. Kiedy wychodziła, uparł się, że ją odwiedzi. Przypuszczała, że chce porozmawiać z nią o Oliwii. Nie. Opowiadał jej historyjki ze swego chłopięcego życia, mówił, jaki typ dziewcząt mu się podoba i jak wielki wstręt budzi w nim hipokryzja społeczna. Ona obserwowała go, gdy kierował wozem, myśląc, że chociaż bliżej mu do trzydziestki niż do dwudziestki, sercem i duchem jest jeszcze rozchwiany, i słuchała go podejrzliwie. Odwiedził ją znowu, mówił, że pragnie obejrzeć jej obrazy. Weszło mu w nawyk jadać u niej obiadów. Najwyraźniej oczekiwał, że pomoże mu dorosnąć. Miała wrażenie, że powierzono jej opiece kolejne dziecko. Nie oczekiwała takiego szczęścia. W końcu pogodziła się ze śmiercią Patryka, nigdy jednak ze śmiercią Eleonory. Pozostał jej nie spłacony dług czułości. Równocześnie rozpaczła nad swym odkryciem. Oliwią nie należy do gatunku aniołów. Nie zechce się starzeć u boku smarkacza.

IO

Sylvain zadzwonił do drzwi Julii w środku nocy. Był przerażony. Musiał odwiedzić Oliwię do szpitala wcześniej, niż to było przewidziane. Lekarz nie krył niepokoju. W Sylvainie niepokój przerodził się w paniczny strach.

- Wypij szklanekę wody, a ja się tymczasem ubiorę - poradziła Julia. - Nic się nie stanie. Straciłam już Eleonorę, niemożliwe, żeby Oliwią także mnie zostawiła. Umrę u jej boku. Tak jest napisane.

244

WARIATKI

Ale Sylvain znacznie mniej bał się widma śmierci, o której zresztą nawet nie myślał, niż atmosfery panującej w szpitalach. Nie znosił ani chorób, ani chorych. Wyłączał telewizor, kiedy tylko usłyszał zapowiedź programu medycznego. Zapach gabinetu stomatologa budził w nim myśli samobójcze. Kiedy dotarli do szpitalnej rejestracji, przeistoczył się nagle w rozhisteryzowane dziecko.

- Co teraz zrobimy? - pytał, a jego wargi drżały.

- Zaczekamy - odparła Julia. - Tu można tylko czekać. Usiądźmy.

Pod ścianą stały szeregiem plastikowe krzesła. Z bocznych lamp sączyło się łagodne, litościwe światło.

- Jeżeli będę miał córkę, zakocham się w niej, jeżeli urodzi mi się syn, będę grał z nim w tenisa. Zostanie mistrzem.

- Może nie będzie lubił tenisa.

- Wykluczone. Już moja w tym głowa.

Otworzyły się drzwi i z sali wyszedł młody lekarz, po którego czole spływał pot. Dostrzegł ich pytające spojrzenia.

- Jest ciężko - powiedział. - Na razie trudno cokolwiek przewidzieć. - I pośpiesznie schronił się w innym pomieszczeniu.

- Co może się stać w takiej sytuacji? - zapytał zdławionym głosem Sylvain.

- Wszystko. W życiu zawsze wszystko może się przydarzyć. - Julia popatrzyła na niego z rozczuleniem. Ten dumny i pewny siebie chłopak był w tej chwili zaledwie zacierającą się sylwetką, mgławicą z cząsteczek strachu.

- To, co powiedziałaś, jest przerażające. - Chwycił ją za rękę i już jej nie puścił.

- Nie. Nie tak, jak ci się wydaje.

- Jak to nie?! A cóż jest bardziej przerażającego?

- Nicość.

Zamilkł. Z ciszy wyłoniły się dobiegające zewsząd dźwięki - odgłosy rozdzieranych opakowań bandaży, szczęk szczypiec i skalpeli, a może tylko noży i widelców

245

CHANTAL DELSOL

w barku, ale tu każdy odgłos brzmiał posepnie i złowroźnie i przyprawiał o dreszcz.

- Uspokój się - powiedziała ostro Julia, dostrzegłszy reakcje Sylvaina. - Ile masz lat?
- Chyba nie powiesz teraz jak moja matka, że nie wiem, czym jest wojna. Wiem, że tak właśnie myślisz.

Na wzmiankę o wojnie uśmiechnęła się.

- To prawda.
- Nic na to nie poradzę.
- Masz rację. Ale coś przez to tracisz. To fakt i na to też nic już nie da się poradzić.
- Czy naprawdę musimy doprowadzić do trzeciej wojny światowej, żeby uwierzyć, że i nas stać na męstwo?

Roześmiał się drwiąco. Odzyskał pewność siebie. Już nie musiał trzymać jej za rękę.

- Tak wiele od was nie wymagamy. Spróbujcie tylko stać się normalnymi dorosłymi. To wystarczy.
- Nie wiem, co znaczy "normalny dorosły". To przeżyta kategoria. Dla mnie nie ma już sensu.

Chciałabyś przywrócić ceremonię inicjacji? - Powrócił do pełnego pasji tonu akademickiego gaduły. Patrzył na nią rozognionym wzrokiem, przekonany o swych racjach.

- Ma sens, skoro nie potrafisz znieść atmosfery szpitalnej poczekalni. Nauczyłeś się tylko mówić i myśleć.

- Jesteś surowa - rzekł łagodniej i skulił się na krześle, znów podobny do zagubionego dziecka.

Dobiegł ich odgłos zjeżdżającej windy, potem w korytarzu pojawiło się popychane przez pielęgniarkę łóżko na kółkach. Leżący w nim człowiek nie poruszał się.

- >- Czy on nie żyje? - zaniepokoił się Sylvain, odwracając ze strachem głowę. Po chwili zapytał:- Nie boisz się śmierci?

- Nie wiem.
- Czyli o niej nie myślisz?
- Myślę. Dzień w dzień.
- Dzień w dzień? To bardzo często. Za często.
- Dlaczego? Wszystko da się oswoić.
- Nawet to?

246

WARIATKI

- Tak.

Westchnął i pokiwał głową.

- Oliwii również nie mogę zrozumieć.
- Ona też myśli o śmierci?
- Nie. Zresztą nie wiem. Właśnie. Nic nie wiem. Ma swoje tajemnice. Gorzej, ma jeden sekret.

Zwierzają go... nie podoba mi się, że pisze.

Julia uśmiechnęła się.

- Co przede mną ukrywa? - dodał rozżalony. - Czy zasłużyłem sobie na te przemilczenia?
- Jak żyć bez tajemnic? - zapytała Julia.
- Uważani, że właśnie na tym polega życie we dwoje. To przejrzystość.
- Nie. Tak nigdy nie jest. Przejrzystość nie istnieje. Patrzył na nią rozgoryczony.
- Pewnie masz rację. Ale w takim razie to naprawdę trudne.
- Owszem.
- Ale ją kocham-oznajmił naiwnie. - Zdołałbym wszystko zrozumieć.
- Nie. Nie zdołałbyś. W tym tkwi sedno problemu.

Kochaj ją, nie wiedząc.

- Wymagasz ode mnie wielkiego wyczynu.
- Nie tak wielkiego, jak sądzisz. Patrzył na nią zbity z tropu.
- To prawda, że... Wybacz... Ale ty jesteś mistrzynią tajemniczości. Jesteś chodzącym sekretem.
- Czyżby? Dlaczego?
- Nikt nie ma pojęcia, co robisz. Znikasz raz po raz bez śladu. Nie wiemy nawet, co cię uszczęśliwia. Oliwią ciągle się zastanawia...
- I kocha mnie mimo tego sekretu?

- Tak.
- A widzisz. Znów westchnął.
- Może z dzieckiem jest coś nie tak? - podjął, jakby nowa czarna myśl zrodziła się w jego głowie. - Nigdy się o tym nie myśli. Ale tak wiele może się zdarzyć... To

247

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

niewiarygodne: niektóre dzieci rodzą się bez rąk, inne bez mózgu. Czytałem ostatnio w gazecie...

- Przestań - przerwała mu Julia. - Nie znęcaj się nad sobą. Przyjmiemy to, co da nam los. I tyle.
- Ale co zrobimy, jeśli...
- To, co będzie trzeba. ;, , " , Spojrzał na nią z przerażeniem. , :
- Może nie będziemy w stanie...
- Oczywiście, że będziemy. Będziemy w stanie - powtórzyła tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Zawsze to samo, pomyślał. Jej pogoda ducha wprawia mnie w panikę. Obserwował ją kątem oka,

niby to patrząc przed siebie. Siedziała wyprostowana i niewzruszona na brzydkim fotelu, który jej obecność przemieniła w tron. Hieratyczna. Panująca nad żywiołami. Kim ona jest w rzeczywistości? Nikt nic o niej nie wie. A ona wydaje się trzymać wszystko w garści. Korytarzem, nie widząc ich, przebiegła pielęgniarka. Julia powiodła za nią wzrokiem.

- Podziwiam te kobiety - szepnęła.
- Za co?
- Wykonują szlachetną pracę, nie mogą oczekiwać nawet wdzięczności.

Znów ujął ją za rękę.

- Kim ty jesteś, Julio?
- Jestem nikim - roześmiała się. Potem, o dziwo, poczerwieniała. - To bez znaczenia - dorzuciła. - Lepiej zastanów się, kim jest Oliwia.

- Nie rozumiem - odparł pokornie, pozbawiony agresywnej wyniosłości i zmieszany tym wyznaniem.

Otworzyły się drzwi i zza framugi wyłoniła się twarz lekarza. Gestem zapraszał, by podeszli. To dobry znak. Wstali.

Zamiast jednego było dwoje dzieci. Podobnych jak dwie krople wody. Zwróciły się do siebie plecami, jakby dzieliło je lustro.

- Spójrz, Sylvainie! - powiedziała Julia radosnym głosem, w którym słychać było szybkie bicie jej serca. - Oto nieoczekiwane. Nie zawsze stanowi zdradę i niesie

248

zło. Teraz ucałuj swoją żonę, choć śpi. Jestem pewna, że zaraz nas wyproszą.

Ulica była ciemna i wyludniona. Odprowadził Julię aż do drzwi mieszkania. Mówił, że nocą bywa niebezpiecznie, ale w rzeczywistości nie potrafił się z nią rozstać. Wiedziała

O tym i dobrze odgrywała rolę wylęknionej babci. Krążył wokół niej jak diabeł wenecki, poinformował, że chłopcy będą nazywać się Jan i Sylwester, rozstrzygając w ten prosty sposób

odwieczny spór o wybór imion dla potomstwa.

- Jestem potwornie zmęczona-wyznała Julia, stając w progu mieszkania. -Te szpitalne zapachy przyprawiają mnie o mdłości. Poza tym szczerze mówiąc, ja też się trochę bałam.
- Widzisz! - zatriumfował. Skinęła mu ręką.

- Zadzwoń do ciebie rano. Trzeba kupić wózek dla bliźniąt i drugie łóżeczko. Wyśpij się. Już wkrótce noce okażą się bardzo krótkie.

Mieli wszystko, co mogła oferować ta urocza epoka. Dom na wybrzeżu Atlantyku, niebieskie okiennice i równie niebieskie hortensje. Jacht, aby móc się upewnić, że horyzont nie ma kresu. Szlachetnych przyjaciół. Niedziele wypełnione rozrywką. Chadzali na wesołe kolacje, mieli samochody, podróżowali jak zakochani. Nadali mi imię Florence, zapewne nawiązując do podróży

po Włoszech

1 pobytu we Florencji, ponieważ jednak byłam niska i drobna, nazywali mnie zawsze małą Florą. Pewnego dnia ulegli naciskom starszego pokolenia, naciskom, które istniały od zawsze.

Moja matka tak gorąco pragnie tego ślubu, tłumaczył Oliwii Sylvain, w naszej rodzinie zawsze się tak postępowo, a ona przechowuje wszystkie fotografie i zbiera albumy z kolejnych lat, chce mieć także nasz album, zrozum, nie mogę pozbawić jej takiej radości.

Oliwią tropiła postać Dziewczyny z bohemy. Nigdy jeszcze nie miała do czynienia z tak upartym cieniem.

249

CHANTALDELSOL

Powinna ją zostawić, skazać na zapomnienie, pisać inne historie, nie tylko tę jej. Ale nie potrafiła się wyzwolić. Dziewczyna wskazywała pewną drogę. To, co przeżyła i nad czym odniosła zwycięstwo, budziło zazdrość. Nie unicestwia się takiej postaci, myślała Oliwią. Robi się wszystko, by się do niej upodobnić.

II

- Wydawca przyjął moją powieść - oznajmiła Oliwią, otwierając drzwi. - Mam się z nim spotkać jutro rano.

Julia nie posiadała się z radości.

- Nie sprawiasz wrażenia szczerze zadowolonej. Przecież to wielki dzień! Opowiedz mi o wszystkim. Ale za chwilę. - Wstała. - Przyniosę z piwnicy butelkę szampana. Siedź, ja pójde. Nie znajdziesz. - Wyszła, zostawiając Oliwią, która myślała: nie mam ochoty na szampana, dławi mnie w gardle, teraz każdy będzie mógł przeczytać tę książkę, może powinnam się jeszcze wycofać.

Wtedy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę. Usłyszała głos starego mężczyzny:

- Czy mógłbym mówić z Julią Benedict?

- To pomyłka.

- Czyżby? Czy to numer 3264210?

- Tak, ale nikt taki tu nie mieszka. Głos był uprzejmy, ale zdziwiony.

T- Doprawdy... To dziwne. Przepraszam.

Wstąpiła na ziemię nieznaną, ale istniejącą, na teren obcy, a jednak bliski, do strefy ukrytej przed spojrzeniami. Podeszła do mrocznego kąta, gdzie piętrzyły się teczki z rysunkami. Uchyliła największą i wolno wyciągnęła arkusz. Ujrzała wystrój jadalni, malowane talerze, kretonowe zasłonki. W dole widniał podpis: Julia Benedict. Zadrżała.

250

WARIATKI

- Przygotowałem kontrakt. Jakim nazwiskiem chce pani się posłużyć?

- Nie rozumiem.

- Czy życzy sobie pani wystąpić pod obecnym nazwiskiem, czy też pod panieńskim albo pod pseudonimem?

- Pod pseudonimem.

- Dobrze. - Sięgnął po pióro. - Zechce pani podać mi swój pseudonim?

- Benedict. Oliwią Benedict. Przeliterowała nazwisko.

- Świetnie. Brzmi jak pseudonim sceniczny.

- Nie sądzę. Zresztą właściwie to moje prawdziwe nazwisko.

- Tak? Tym lepiej. Pasuje do pani.

- Niewątpliwie. Dano mi je wraz z całą resztą.

- Oczywiście.

Wyszła. Czowała się jak dziecko, które wyryło swe inicjały na pniu brzozy w środku lasu, wiedząc, że nie wolno tak robić, ale chcąc udowodnić samemu sobie, że naprawdę istnieje - co w przeciwieństwie do liter, które zatrze czas, jest bardzo ważne. Eleonora uczyniła to w inny sposób, ty będziesz walczyła, by pozostawić ślad na piasku, ktoś powie, że nie po to tu jesteś, że nie musisz niczego tworzyć, ale nigdy mu nie wierz, nikt nie jest aż tak ubogi. Musisz jednak tworzyć w ciszy, nikomu nie przeszkadzając, musisz spełniać się w milczeniu, wykorzystując ich nieuwagę.

Oliwią przyniosła jej pierwszy autorski egzemplarz.

- Proszę. Nie mogę się doczekać twojej opinii. Nie bądź dla mnie zbyt wyrozumiała.

Julia chwyciła książkę i długo przyglądała się okładce.

- Widzę, że zdecydowałeś się pisać pod pseudonimem - powiedziała z istic olimpijskim spokojem.
- Dawno temu spotkałam kobietę, która nosiła to nazwisko. Dokładnie w roku 1924. Była stukniętą żebraczką. Lało jak z cebra, a ona krzyczała: nazywam się Paulina Benedict.
Na twarzy Oliwił pojawił się uśmiech.

251

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

- Wyłowiłaś to nazwisko z rynsztoku?

- Oczywiście-potwierdziła Julia. - To tam biedacy znajdują złoto, żeby móc pozostawić coś swym dzieciom.

12

To była niezwykła muzyka. Nie znał jej autora. W tej dziedzinie Remy Erevanne doprawdy nie był ekspertem. Po prostu kochał muzykę azjatycką i sonaty Starego Kontynentu. Ta melodia przeniknęła go i skupiła jego na pół uśpioną uwagę. Przypominała farandolę, która liczy lata, zamiast wyśpiewać śmiech uczniów. Girlanda nut zwieńczona wspianiałym refrenem, którego wyznanie milkło nagle tuż przed tym, co najważniejsze.

Przypadkowo nastawił tę płytę. Niezwykła muzyka opowiadała jakąś historię, ale historia ta była niespójna. Remy miał wrażenie, że to historia jego życia. Położył się na kanapie i zatopił w marzeniach. Zerwał wszystkie związki, napawał się wolnością. Od kobiet odchodził zawsze, nim zażądały od niego obietnic. Przyjaciół trzymał na dystans. Wiedział, że ceną wolności jest życie na pustkowiu. Niczego nie żałował. Przynajmniej pozornie. Życie przesunęło się przed jego oczyma jak film, a raczej seria migawek. Podobno przytrafia się to ofiarom ciężkich wypadków. Ale on leżał na kanapie, obok stał kieliszek wina, a w salonie rozbrzmiewała muzyka bez autora. Nie przypuszczał, że potrafi, tak jak w tej chwili, przypomnieć sobie wszystkie miejsca, w których mieszkał. A jednak miejsca te wylaniały się z jego pamięci bez wysiłku, jedno po drugim. Zastanawiał się, dlaczego właściwie nie miał dziecka. To pytanie nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy. Wyraźnie widział kilkoro spośród dzieci spotykanych na krańcach świata, wśród różnorodnych pejzaży. Goli malcy z Pakistanu o wzdętych brzuchach i nogach w pomarańczowym pyle. Dziewczynki, które w Bangkoku proponowały swe

252

usługi mężczyznom, oczekując na klientów przy Chao Phraya. Żebraków z Sao Paulo siedzących na cuchnących zgnilizną stertach śmieci, żółtokich chłopców, którzy bawili się na ulicach Hawany. Cygańska czarodziejka, którą widział przy brzegu wyspy Giudecca, zdawała się sunąć po zielonej wodzie. W różnych zakątkach świata spotykał partyzantów ze strzelbami większymi od nich. A ten hamak, w którym spało niemowlę o skórze barwy szafranu, na zapleczu knajpki, gdzie zajadał się zupą z kluskami, gdzieś pod Yientianem? Był tylko archiwum krajobrazów i zapachów. Ta myśl przepelniła go lękiem. Wrażen nie można przekazać - komu zresztą miałby je pozostawić? Można by je opisać lub namalować, ale nie umiał ani zgrabnie pisać, ani malować. A gdyby nawet potrafił, wydarzenia z jego życia zastygłyby na papierze lub płótnie, pozostając bez echa. Bo nic nie znacząły. On po prostu żył, to wszystko.

Pod

koniec symfonia gwałtownie przeistaczała się w huragan nut, w którym dawało się rozpoznać tylko ozdoby bez frazy. Ból przeniknął jego pierś. Wszystkie pejzaże pograżyły się w mroku. Na płycie pozostały zaledwie trzy nuty, i te kolejno odbijały się od szyb okna, na którym spała uwięziona pszczoła.

Julia dowiedziała się o śmierci Remy'ego dopiero wiele miesięcy później, ale nie od rodziny, która wymazała z pamięci ten symbol buntu. Wieść dotarła do niej w restauracji, gdzie jej sąsiad opowiadał o starym obieżyświacie. Dołożyła starań, by nie zdradzić ani słowem, że zmarły był pierwszą miłością jej życia. Udało jej się dowiedzieć, gdzie został pochowany. Miała wrażenie, że ten kuzyn-włóczęga, który nigdy nigdzie nie zamieszkał na stałe, z większym niż inni trudem znajdzie miejsce wiecznego spoczynku. Podano jej nazwę wioski w Alpach, tak zagubionej, że można ją było znaleźć tylko na bardzo dokładnych mapach. Przyszło jej na myśl, że to ostatni

kaprys włóczęgi - a może zwykły przypadek? Remy zawsze trzymał się morza. Zapewne planował, że jego prochy zostaną rozsypane nad wodą. Tymczasem spoczął

253

a#

CHANTAL DELSOL

na zawsze u podnóża wysokich gór, których szczyty nawet latem pokrywał śnieg, dopiero w dole ustępujący wiosną trawom. Wsiadła do samochodu i w wilgotnym chłodzie września przemierzała górzystą krainę, aż odnalazła dwadzieścia domów tworzących osadę skupioną wokół kamiennego kościoła. Zaniedbane groby spały pośród chryzantem. Było ich może tuzin, niektóre małe jak kołyska. Tu spoczywał Remy, ostatni chyba przybysz na tym cmentarzysku; na jego nagrobku widniało tylko nazwisko i daty. Julia przysiadła na zimnym kamieniu i przypatrywała się dzikiemu górskiemu krajobrazowi, rozsianym po zboczach modrzewiom, pośród których hulał wiatr. Wioska sprawiała wrażenie wymarłej, czasem tylko załopotiała zasłona, trzasnęły jakieś drzwi czy okiennica. W dali widać było sylwetkę człowieka, który stromą ścieżką szedł ku kościołowi, trzymając na ramieniu łopatę. Obserwowała jego powolne ruchy. Wkrótce dostrzegła, że to młody chłopak, i ujrzała krążące nad jego głową pszczoły, które przed wieczorem wracały do ula. Zauważył ją, uchylił beretu, uśmiechnął się. Szedł właśnie zasadzić kwiaty na tym nowym grobie. Oparł łopatę o pomnik i otarł czoło. Obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Bąknął coś i wskazał palcem tablicę na grobie Remy'ego. Pod tym kamieniem leży mój przyjaciel.

Oczywiście chciał o nim mówić. Nikt nie przyszedł na pogrzeb. Nic dziwnego. Skoro nie było nawet kogo zawiadomić... Wszyscy myśleli, że Remy Erevanne nie ma rodziny. Przed laty wynajął ten dom na skraju osady. W sumie spędził tu ledwie kilka tygodni. Zaprzyjaźnili się już pierwszego dnia. Chłopak niewiele wiedział o losach Remy'ego. Ale znał jego myśli. Remy powtarzał: miałem piękne życie. Mówił to z ledwie wyczuwalnym powątpiewaniem. Dostrzegłem to znacznie później. Proszę iść ze mną. Opowiem pani po drodze.

Jeśli w oknie widać było światło, chłopak przychodził ze słoikiem miodu. To było dla niego święto. Nie zdarzało się zbyt często. Idąc do pasieki, codziennie mijał dom, pusty

254

WARIATKI

i mroczny, i tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu marzył o dalekich podróżach, którym oddawał się wiecznie nieobecny Remy. Aż któregoś dnia, może raz do roku - nie, raz na dwa lata, tak rzadko, że oczekiwanie doprowadzało go do szaleństwa, dostrzegając zza zakrętu drogi otwarte okno, a wieczorem jasną lampę. Nie mógł nawet oczekiwać tej chwili - Remy nie wiedział, co to kalendarz. Lekcewał pory roku. Dziwił się, że już spadł śnieg albo że trawa zrudziała od słońca. W obecności tkwiącego w drzwiach chłopca ciskał w kąć bezużyteczne ubrania, fantastyczne przedmioty, jakieś rzadkie monety, od których ciężaru musiał uwolnić kieszenie.

Ostatnio pojawił się na dwa miesiące przed monsunem, tak to określił.

- Od miesiąca nie spadła kropla deszczu - oznajmił chłopiec.

- Ile w tej chwili kosztuje słoik miodu? - zapytał Remy.

- Dwanaście.

- Dobrze, niech będzie dwanaście plastrów - Remy sięgnął do portfela. Gdy przyjeżdżał z daleka, znużony, mówił o plastrach, jedynym stałym dla niego punkcie odniesienia sięgającym najmilszych lat.

Wracał tu, żeby ułożyć wspomnienia, otrzepywał ciężką kurtkę, z której sypały się tysiące obrazów - pustynie, zielone lasy, lodowate morza, miasta, których nazwy zapomniał. Pragnął starannie skatalogować nieprawdopodobne miejsca, które ujrzał, przemierzając świat. Wiedział, że te miejsca o nim zapomną, bo nie zaznaczył swej w nich obecności, obawiał się długów, zobowiązań i związków. Ale on nie chciał zapominać. Lecz pamięć, przeciążona przez te wszystkie lata, zawodziła go. Na próżno układał bilety autobusowe, muszle i wszystko, co było świadkiem jego włóczęgi. Otwierał okno, spoglądał na drogę, nad którą bzyczały pszczoły i dziwił się, że tu zawsze zastaje ten sam pejzaż, ludzi, których potrafi rozpoznać, za każdym razem tylko nieco postarzałych, zaprzątniętych tą samą pracą, którą mieszkańcy wioski wykonywali od pokoleń.

CHANTAL DELSOL

Tego dnia chłopiec zobaczył otwarte okiennice. Nie tracił czasu. Przyszedł, niosąc w ręku słoik miodu - pretekst uzasadniający wizytę, a zarazem symbol powitania. Gdy stanął w progu pokoju, zauważył, że Remy leży na kanapie. Wyglądał, jakby spał. Ta niezwykła sytuacja zaintrygowała chłopca. Zbliżył się. Dziwnie nieruchome ciało, grymas na twarzy. Chłopak widział już wielu ludzi tuż po śmierci. W dolinie życie i śmierć po prostu się o siebie ocierały.

Rozpaczliwie szukając światła słonecznego, spostrzegł uwięzioną pszczołę. I otworzył okno, żeby ją oswobodzić. Odniósł wrażenie, że dusza Remy'ego uleciała wraz z nią w swą ostatnią podróż. Z łatwością wyobraził sobie ostatnie myśli przyjaciela. Żal, że nie zostawił po sobie potomstwa, przelotne wrażenie, że coś roztrwonił, przesynt wolnością.

- Doszliśmy do mnie. Chce pani obejrzeć pasiekę? Tu pracuję. - Otworzył wrota stodoły, gdzie drzemały jego słodkie skarby.

- Mogę kupić słoik miodu?-zapytała Julia.-Dwanaście piastrow?

Sięgnął po jeden, bardzo jasny.

- To prezent.

- Ja też - powiedziała - dobrze znałam Remy'ego. Myślę, że to on nie dał mi umrzeć z rozpacz. Już jako młody chłopak chciał uciec.

- Przed czym?

- Wtedy tego nie wiedziałam. Zrozumiałam go później, kiedy przeżyłam to, czego chciał uniknąć. Nie jestem pewna, czy był najszcześliwszym z ludzi. Znajdziesz dla mnie łopatę? Pomogę ci w...
Wiem, że wyglądam staro, ale potrafię jeszcze uprawiać ogród.

WARIATKI

Sylvain pojechał na Dworzec Północny i kupił bilet do Lilie. Do odjazdu miał jeszcze kwadrans. Krążył pośród kiosków z prasą, nie znalazł jednak odpowiedniej lektury. Dzienniki mówiły wyłącznie o sukcesie skrajnej prawicy w wyborach europejskich. Zatrzymał się przy stoisku z książkami i zobaczył powieść Oliwii. Kupił ją. Pomyślał, że to właściwie absurd, ponieważ w domu na pewno leży kilka egzemplarzy. Wołał jednak przeczytać ją w sekrecie. Dlaczego... Nie wiedział. Wsiadł do pociągu i pogrążył się w lekturze.

To było odkrycie jedyne w swoim rodzaju. W tej historii wszystko było mu dotąd nieznanne. Kiedy w ubiegłym roku pierwotna wersja tekstu leżała na biurku, jeszcze jako wypełnione atramentowym maczkiem kartki, zerkał na nią z beztroskim uśmiechem. Potem Oliwią pisała na maszynie, a Sylvain z irytacją słuchał uciążliwego stukania, nie przeszło mu jednak przez myśl, by rzucić okiem na tekst. W końcu maszynopis trafił do wydawcy i na kilka miesięcy zniknął z domu bez śladu.

Ktoregoś dnia Sylvain zauważył na biurku Oliwii umowę, ale nie przejął się nią bardziej niż rachunkiem za gaz. Oczywiście powodzenie książki uczyniło ją jednak ważną w jego oczach. Już przy lekturze pierwszych stron ogarnęły go nieznanne dotąd emocje. Wydarzenia, o których czytał, nie miały żadnego związku z jego życiem. Bohaterowie byli wymagani. Trudno było dostrzec w tej powieści ślad wątku autobiograficznego. Mimo to w pewien niezrozumiały sposób atmosfera książki dokładnie oddawała to, co on, Sylvain, znał na pamięć. Miał wrażenie, że czyta karty własnego życia, ale pogłębionego, jakby to była melodia piosenki, której słowa zmieniono.

Dostrzegł to, czego jeszcze nie wiedział. W boleśnie jaskrawych barwach widział teraz samotność Oliwii i samotność jej miłości do niego. Uświadomił sobie dzielący go od niej dystans wyrażony poprzez symbole i inne swoiste historie. Ogarnął go potworny

256

17 Wariatki

257

CHANTAL DELSOL

wstyd i smutek. Z natury skłonny był wierzyć, że wszystko co wydaje się proste, rzeczywiście takie jest, a problemy życiowe rozwiązywał jak odpowiedzialny biurokrata, nie tropiąc i nie zgłębiając tajemnic. Zazwyczaj nie czytywał powieści, sądził bowiem, że pełne są błahostek i przesadzonych uczuć, a zatem nie mogą odzwierciedlać prawdy. Tym razem jednak w grę wchodziło jego życie.

Był zbyt wrażliwy, żeby dać się zwieść.

W wagonie pojawił się przypadkiem jeden z jego kolegów. zaproponował, żeby poszli na kawę. Idź do baru, zaraz tam przyjdę, mruknął niechętnie Sylvain. Musiał doczytać książkę do końca i utwierdzić się w swych obawach. Opowieść była przepojona straszliwą samotnością. Długo wierzył, że pisząc, Oliwią tworzy swe sny, aby bez jego wiedzy zniknąć mu z oczu. Teraz wiedział, że był w błędzie. Przynajmniej po części. Pociągała za sobą to, czego pragnęła się pozbyć. Sylvain poczuł przykry dreszcz. Wiedział o Oliwii tylko to, co było widoczne dla wszystkich. Ona przemknęła go do głębi. Stworzenie nie wie nic

O swym stwórcy, który zna je na wskroś. Był tylko jedną z postaci stworzonych przez Oliwię.

Pociąg wtoczył się na dworzec w Lilie. Sylvain automatycznie chwycił płaszcz. Książka została na siedzeniu. Kobieta, która wyszła tuż po nim, powiedziała:

- Przepraszam, zapomniał pan o książce...

Machnął ręką i zrobił minę, która znaczyła: czy to ważne, to tylko powieść do pociągu, czyta się takie i wyrzuca. To siebie samego, swą własną nierealność pragnął zostawić w tym przedziale.

Przebiegł przez

obcy dworzec, nie zważając na kierunki

i tablice informacyjne. Czuł, że śledzi go niewidzialne oko. Czuł, że kształtuje go czyjś umysł, jak marionetkę. Piętnaście lat temu był prostodusznym młodym mężczyzną o naturze tak przejrzystej, że widać było przez niego świat. Oliwią ukuła go na swą modłę bez jego wiedzy, zapewne także sama nie była tego świadoma, on w każdym razie nie obwinił jej o złe intencje. Należała do istot, które odczuwają potrzebę przetwarzania otaczającego świata, a siły

258

WARIATKI

witalne czerpią z ciągłego przemalowywania pejzaży i ludzi.

Był tylko jednym z bohaterów Oliwii. Intuicja podpowiadała mu, że żona nie opisuje w powieściach znanych sobie osób i sytuacji, ale najpierw tworzy je w wyobraźni, a potem odmienia resztę świata, aby dopasować go do swych rojeń. Nie mógł szczyścić się tym, że stał się wzorcem powieściowego bohatera. Przeciwnie, był tworem marzeń, pragnącym pozyskać własny byt i życie. Zatrzymał taksówkę. Padało. Był tylko postacią z książki. Oliwią wymyślała go dzień po dniu, aby upodobnił się do zjaw, które za nim podążały. Tego nie było widać. Sam podejmował decyzje.

Pracował, kupował sobie garnitury, grał w tenisa, a ona nawet o tym nie wiedziała. A jednak kierowała nim z zewnątrz. W średniowieczu spalono by ją na stosie jako czarownicę. Rozeźmiał się w głębi ducha, kiedy pomyślał, jak dziwaczne rzeczy przychodzą mu do głowy. Wczoraj wieczorem pokazał jej list od eksportera: jadę do Lilie, to powinien być niezły interes, co o tym sądzisz?

Przeczytała, kiwając głową: wygląda na list oszusta. I z powodu tego jednego zdania jechał w bezsensowną podróż. Wiedział już, że nie podpisze umowy z nieznajomym. Uświadomił to sobie, wsiadając do taksówki. Jadąc na spotkanie, uważał, że jest niezależny i wolny. Ale niepostrzeżenie wpadał w pułapkę. Zdejmując płaszcz po powrocie do domu, powie Oliwii: miałaś rację, to oszust. A ona będzie milczała. Potem, gryząc pióro, uniesie rękę i rzuci: szkoda!

Sam przez się był silny i samodzielny. Praca zapewniała mu poważanie. Dobrze zarabiał. Miał majątek. A Oliwią bawiała coś po kartkach, on zaś nie miał pojęcia co. Przynosiła do domu zaledwie tyle, ile trzeba było na opłacenie opiekunki dzieci pod jej nieobecność. Kiedy sprzedawano dom Dominika, Bóg jeden wie, jak i dlaczego odtrąciła nawet tę skromną kwotę, którą jej proponowano. Stale była w pobliżu. Chodziła z nim do jego przyjaciół. On nie znał jej znajomych. A mimo to właśnie ona kształtowała go, jak chciała.

259

CHANTAL DELSOL

Był tylko cieniem. Sądził, że ta sytuacja tłumaczy klęskę ich wspólnego życia. Przyszedł punktualnie na spotkanie i celowo doprowadził do niepowodzenia rozmów, ponieważ tak właśnie miało być. Nie tracąc czasu na kolację, wsiadł do pociągu i ruszył w drogę powrotną. Głowa bolała go tak bardzo, jakby osobiste rozczarowanie fizycznie raniło jego duszę. Wtulił się w fotel, mając nadzieję, że zniknie, bo przecież senne zjawy ulatują jak dym, skoro tylko świat o nich zapomni.

WARIATKI

Wrócił do domu wyraźnie wzburzony. Oliwią siedziała przy biurku, krąg światła małej lampki ogarniał kartkę nie rozpraszając mroku panującego w pokoju. Sylvaina ogarnął strach. Wydawało mu się, że jest w diabelskim laboratorium, gdzie za jego plecami kształtowana jest jego własna osobowość.

- Co robisz? - zapytał.

- Przecież widzisz, piszę.

Podszedł do niej. W jego ruchach było coś dziwnego.

- Ty nie piszesz - powiedział. - Ty zawłaszczasz rzeczywistość. Jesteś zwyczajną złodziejką.

Właśnie, złodziejką.

Oliwią obrzuciła go pytającym spojrzeniem. Szybko dodał, że jest bardzo zmęczony. Chce zaraz iść spać. Skinęła głową. Sądziła, że trochę wypił, że spotkania wpędziły go w przesadny pesymizm. Odłożyła na jutro próbę wyjaśnienia jego zachowania. Przez kilka najbliższych dni Sylvain trwał w stanie podenerwowania graniczącym z chorobą. Wszystko go drażniło, ale nie chciał wyjaśnić przyczyn. Oznajmił, że wyjeżdża na dwa tygodnie. Oliwią poczuła ulgę, gdy zamknął za sobą drzwi. Tego samego dnia wieczorem zatelefonował do niej nieznajomy adwokat. Pragnął spotkać się z nią możliwie

260

najszybciej. Umówiła się z nim nazajutrz. W głosie mężczyzny wyczuwało się zaintrygowanie. Był wieczór, koniec czerwca. Oliwią miała pamiętać ten dzień do końca życia. Paryż ledwie powrócił do normalnego życia po wielkich manifestacjach na rzecz wolności szkolnictwa. Ulice nadal zasłane były brudnymi papierami i przesycone atmosferą, jaka towarzyszy dniom po balu. Gabinet adwokata mieścił się przy placu Bastylli. Oliwią mijala kafejkę, w której młodzi ludzie wpatrywali się w ekran telewizora. Zatrzymała się za ich plecami, bo nigdy nie potrafiła wyrzec się obserwacji takich scenek i może dlatego często dnie przeciekały jej przez palce. Głosy komentatorów i polityków były pełne zakłopotania. Można by pomyśleć, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego i podejrzanego, że ktoś nagle pomieszał karty tym, którzy byli pewni, że sami je rozdają.

Siedziała w poczekalni, zastanawiając się, czego też może chcieć od niej adwokat. Rozejrzała się wokół siebie. Pomieszczenie pełne było ludzi pogrążonych w lekturze starych czasopism, które pozostawiono tu, by klienci mogli uniknąć skrajnej nudy. Tuż po niej do poczekalni weszła para młodych ludzi, którzy coś szepotali. Uświadomiła sobie, że nie prowadzą rozmowy, lecz raczej ostrą utarczkę. Do jej uszu dobiegało każde ich słowo. Zauważyła, że inni oczekujący pochylili głowy nad czasopismami, by nie okazać niedyskrecji lub ukryć zainteresowanie kłótnią. Ale aktorzy tego epizodu lekceważyli fakt, że mimowolnie dają przedstawienie, zbyt pochłonięci własnymi sprawami, by pamiętać, gdzie się znaleźli. Tylko nadludzkie poczucie wstydu może skłonić do odwołania małżeńskiej kłótni i wszyscy mimowolnie świadkowie zdarzenia dobrze o tym wiedzieli, toteż jakby nigdy nic udawali teraz głuchych. Była to para bardzo młodych Murzynów, on w krawacie i garniturze z lamusa, ona cała w zapachach perfum i kwiecistej sukni zgodnej z najnowszymi trendami mody, oboje obdarzeni wrodzoną elegancją, wobec której na-

261

CHANTALDELSOL

śladowcy czują się bezsilni. Pragnąłem mieć żonę, kobietę na całe życie, mówił z silnym akcentem Afrykanów. Ona kręciła głową. Uprzedzałam cię, nie tak podchodzę do życia. Ale dlaczego, pytał błagalnie. Bo nikt już nie myśli w ten sposób. To już się nie zdarza. Wzdychał: cóż można zdziałać, jeśli ciągle się zmienia własne życie, nie rozumiesz tego? Siedziała na brzegu fotela wyprostowana i wyniosła, mierząc go lodowatym spojrzeniem. Jest wręcz przeciwnie. Jeżeli znajdę kogoś innego, coś innego, jeżeli zechcę żyć gdzieś indziej, opuszczę cię, chyba pamiętasz, uprzedzałam cię. Przecież to nie jest życie, przekonywał tonem dziecka, którego marzenia rozwiano. Ale ona nie zamierzała się litować ani rozczułać. Teraz takie właśnie jest życie. Musisz się z tym pogodzić. Oliwią poproszono do gabinetu. Adwokat powitał ją u progu i wskazał fotel. Czekala, aż coś powie. Ale on milczał. Ten mężczyzna, znawca literatury, czytał nowele i powieść Oliwii. Witając ją w

drzwiach, natychmiast spostrzegł kohortę ekstrawaganckich postaci, które podążały za nią krok w krok. Teraz rozpoznawał je kolejno. Wiedział o nich tak dużo. Widział, jak siadają wokół niej niczym senne zjawy i milczał, aby ich nie spłoszyć. Przyglądał się Oliwii, lecz właściwie nie zwracał na nią uwagi, nie patrzył ani jak uwodziciel, ani jak ktoś, komu cisną się na usta pytania. Interesowały go raczej kręte ścieżki świata tajemnic, który ją otaczał. Chciał przeniknąć ten zagadkowy krąg - poznać nie ją, ale jej cień i jej epopeję.

Penerwowało ją takie zachowanie. Było bardziej przykre niż zabiegi zręcznego psychologa dla obnażenia duszy. Aby położyć kres tej niemiłej sytuacji, naruszyła konwenanse.

- Jaki jest powód mojej obecności w pana biurze? Uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Proszę mi wybaczyć. Słusznie. Przecież to ja prosiłem, żeby pani zechciała tu przyjść... Chodzi o pani męża. - I znów schronił się w milczeniu.

WARIATKI

Dziwny adwokat, pomyślała Oliwią. Wygląda na to, że problemy klientów przerażają go.

- Co takiego zrobił?

- Prawdę mówiąc... nie zrobił nic. Muszę pani powiedzieć, że znam Sylvaina od czasów studenckich. Zatelefonował do mnie trzy dni temu. Nie wie, jak z panią o tym rozmawiać. Zamierza wystąpić o rozwód.

Ważył każde słowo jak lekarz, który informuje pacjenta, iż jego choroba jest śmiertelna. Bacznie wpatrywał się w Oliwią. Zastanawiał się, czy nie wybuchnie płaczem, obrzuci męża stekiem obelg albo zacznie zadawać tysiące pytań. Ale Oliwią nawet nie drgnęła. Zmienił się tylko wyraz jej oczu. Adwokat dostrzegł w nich powściągnięte zaskoczenie i ogromne przygnębienie.

- Nie ma odwagi powiedzieć mi o tym?

- Właśnie.

- Dlaczego?

- To, co pani zarzuca... jest zbyt dziwaczne. Nie potrafi ująć tego w słowa. Był bardzo wzburzony. Zapewne obawia się, że podając pani powody swej decyzji, tylko pogorszyłyby sytuację, choć...

- Nie rozumiem - powiedziała sucho Oliwią. - Rzadkością jest, by objaśnienia zaciemniały tekst oryginalny. Proszę mówić jaśniej.

Wiedział, z kim ma do czynienia. Ta kobieta nie zamierzała dramatyzować, ale też nie pozwoliłaby trzymać się w niepewności, choćby ta była miłsza od prawdy. Właściwie to go uspokoiło. Przybrał chłodny wyraz twarzy profesjonalisty.

- Ujmując najprościej, ma wrażenie... że uczyniła pani z niego jedną ze swych książkowych postaci.

- Nadal nie rozumiem.

- Twierdzi, że uważa go pani za wymaginowanego bohatera.

- To absurd! - obruszyła się. - Nie utrzymuję stosunków miłosnych z wymaginowanymi postaciami. Nie pytam ich o zdanie w kwestii wychowania dzieci.

262

263

CHANTAL DELSOL

proporcje. Będzie musiała uporać się z rozpaczą dzieci, lecz nie to napawało ją największym przerażeniem. Będzie musiała wysłuchiwać narzekań teściowej, która na pewno zarzuci jej, że spowodowała taki bieg wypadków. Niemal zrosnięta z piórem, zdolna tylko do bazgrania po papierze...

jakże mogłaby uczynić mężczyznę szczęśliwym? Sylvain miał prawo robić to, co go interesuje.

Oliwią miała obowiązek robić to, co podoba się Sylvainowi. W ten sposób można było streścić piętnaście lat rozmów, reakcji i przenikliwych spojrzeń. Oliwią nie bała się tej kobiety, która spędziła życie na płaczu i spowiedziach, nie bała się jej łatwych do przewidzenia słów, ale raczej czujnej i wiernej obecności - inspekcji dokonywanych pod pretekstem opieki nad dziećmi, telefonów we dnie i w nocy, zatruwania niedziel i wakacji złośliwymi w gruncie rzeczy uwagami, wykorzystywania oczywistości. Oliwią czuła, że ma niespożyte siły i poddała samodzielnemu życiu - zarobi na sobie i dzieci, zdoła wychować trójkę malców, nie okazując słabości, doprowadzi je do

końca studiów i zniesie pełne politowania spojrzenia, jakimi ludzie raczą odtrącone żony. Żaden z tych problemów nie był jej straszny. Ale myśl o wysłuchiowaniu dotkliwych zarzutów podcinała jej skrzydła.

Przeszła po moście i dotarła do bulwaru Saint-Ger-main, którym powoli sunęły taksówki. Była pora kolacji. Miała całą noc na uporządkowanie rozbieganych myśli.

Czy ta nieobecność wiele zmieni? Zawsze była sama. Sylvain nawet obecny był nieobecny i zamknięty w sobie. Trzeba było wejść w jego świat, żeby go spotkać. On sam nie spoglądał na zewnątrz. Nie wysuwał głowy za okno. Mówił tylko o sobie.

Dziewczyna z bohemy żyła w tej samotności niczym statek, który nabrał wiatru w żagle, ale nigdy nigdzie nie zakotwiczył. Wypełniała samotność. Samotność była jej krainą. W niej rozszyfrowywała sens toczących się wewnątrz wydarzeń. W niej składała swe nastroje i myśli, które przyszły z zewnątrz. Oliwią szła teraz ulicą Yaugi-rard, pisząc w myślach. Któregoś dnia trzeba będzie

266

WARIATKI

opowiedzieć historię tej dziewczyny, nie może wiecznie trwać zawieszona w próżni, gdzie nie ma nawet skrawka ziemi, na którym dałoby się przysiąść. Oliwią weszła do baru. Nie wiedziała, czy po to, żeby pisać, czy żeby zjeść kolację. Zapewne jedno i drugie. Chińczyk, który grał na pianinie, powitał ją bezzębnym uśmiechem. Poszukała najspokojniejszego kącika, zamówiła rybę i wino i zapadła w zadumę zagubionych. Pośród otaczającej ją mgławicy jedynym punktem oparcia, jedynym światłem była Julia. Nie mogła powstrzymać się od przelania na papier opisu posępnej zazdrości, gotowej skłonić do morderstwa. To uczucie nękało ją od rana. Potem wyszła i powędrowała na ulicę de Seine.

Była druga nad ranem i z ulic Paryża znikali ostatni przechodnie. Tu i ówdzie pod domami widziało się jeszcze pary zakochanych. Oliwią od dawna wiedziała, że najpiękniejsze są te pary, które przechadzają się pośród głębokiego mroku nocy, spowite jedyną w swym rodzaju dumą. Aby włączyć się po ulicach na kilka godzin przed porannym wyjściem do biura, trzeba wcale nie bać się czasu.

Julia oczywiście nie spała. Ubrana w szlafrok, siwowłosa, siedziała w fotelu. Czytała jakąś powieść, jakąś marną książczynę, która zdawała się ją bawić.

- O tej porze? Co się stało? Oliwią wzruszyła ramionami.
- Sylvain wystąpił o rozwód.
- Z powodu twoich książek?
- Skąd wiesz?
- Spróbujesz mu wytłumaczyć, że...
- To nic nie da. Zarzuty sięgają znacznie głębiej. I tak podjął już decyzję.
- Może. Właściwie wcale mnie to nie dziwi. Sama. Trudno tak żyć.
- Wszystko mi jedno - wyznała Oliwią, osuwając się na kanapę. - Jestem bardzo zmęczona.

Julia wstała, żeby zaparzyć herbaty. Mówiła szeptem: mój Boże, mam wrażenie, że cała ta rodzina jest podobna do

267

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Patryka. Co będzie z tą małą? I ona twierdzi, że jej wszystko jedno! Zagotowała wodę, wróciła z konfiturą, ustawiła chińskie filiżanki, położyła maleńkie łyżeczki, zupełnie jakby przygotowywała podwieczorek dla lalek. Jej pochylona, bezbarwna twarz spijała światło lampy, a usta złorzeczyły losowi, Bogu i całej ziemi. Gdy nalewała herbatę Oliwii, jej ręka drżała, co robić, zastanawiam się, co robić! Oliwią wpatrywała się w nią z bezgraniczną ufnością: w tym liście mama napisała, gdyby mnie zabrakło, idź do Julii, sądzę, że ona jest nieśmiertelna, ona nigdy cię nie zawiedzie. Tak, tak, przytakiwała Julia, Eleonora miała rację, myliła się tylko co do nieśmiertelności.

- Wkładam plasterek cytryny - powiedziała. Odwracając się zauważyła, że Oliwią stoi przed portretem Konstantego. Była to stara fotografia, miał wtedy około trzydziestu lat, był w scenicznym kostiumie tancerza, miał podkreślone kredką oczy, a na jego twarzy malował się wyraz niesłychanej

pokory.

- Co tam robisz? - zapytała, drżąc na całym ciele.
- Przecież widzisz. Wiesz - dodała łagodnie - ty i ja jesteśmy jak matka i córka. A nawet więcej. Nie mogłaś mieć autorytetu mamy. Ale musiałaś dać nam w dwójnasób miłości, aby wynagrodzić jej brak. Stałyśmy się siostrami, dwiema starymi przyjaciółkami. Nasza historia jest długa jak wieki. Nauczyłaś mnie nawet tego, czego sama nie wiesz. A wszystko przede mną ukrywasz.
- Wrzucić ci tę cytrynę czy nie?-powtórzyła z wysiłkiem Julia.
- Kim jest Konstanty? Odpowiedz mi, proszę!
- 'Zaczekaj. Daj mi chociaż usiąść. To bardzo długa historia. Nie mamy na to dość czasu.
- Owszem, mamy, jest dopiero trzecia. Zostały nam jeszcze cztery godziny nocy.
- To nie do końca moja wina, że od początku kłamałam - zaczęła, naiwnie broniąc się. - Moje przeznaczenie zostało spisane na opak. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. Przeszłam przez życie zakosami. Większość ludzi wybiera proste, już przetarte i wytyczone ścieżki. Ze mną było

268

inaczej. Aby iść do przodu, musiałam przechodzić przez zakazane mosty, wyczekując chwili, gdy nikt nie patrzył. Ale niczego nie żałuję. To było moje przeznaczenie. A z przeznaczeniem się nie dyskutuje.

Opowiedziała jej o wszystkim od chwili, gdy strudzone konie wjechały na bulwar Bonne-Nouvelle. Niczego jej nie oszczędziła, ani opisu bezwładnego ciała Patryka w pokoju pełnym papieru rysunkowego, ani szczegółów pierwszego spotkania z Konstantym. Im dłużej mówiła, tym wyraźniej czuła, że każde słowo kradnie jej częśćkę sił. Najmroczniej-sze godziny nocy przeminęły, blade światło brzasku odkryło dachy i domy. Julia mówiła cicho, z rzadka tylko milknąc. Nie spieszyła się. Chciała oddalić chwilę, gdy Oliwią pozna prawdę o swym rodowodzie. Niepotrzebnie. Kiedy pozostały do opowiedzenia już tylko strzępki tej historii, Oliwią spojrzała na nią czule i szepnęła:

- Właśnie za to cię uwielbiam.
- Oszukałam cię. Oszukałam twoją matkę - przypomniała jej Julia, która drżała teraz z zimna, wtulona w fotel i wyczerpana wysiłkiem, na jaki się zdobyła, żeby wydobyć na światło dzienne swe tajemnice. - Oszukałam was wszystkich - powtórzyła, jakby spowiedź bez zadanej pokuty nie miała znaczenia.

Oliwią wydeła usta.

- Może. Ale bez ciebie byłabym nikim. Nawet teraz.
- Przesadzasz. Teraz przecież jesteś już duża. Ile masz lat?
- Trzydzieści cztery.

Julia zwiesiła głowę i powiedziała ledwie słyszalnym głosem:

- Rzeczywiście, nie jesteś jeszcze taka duża. Przyznaję.
- No widzisz.

W dole zadzwonił rower, zrywając ciszę niepewnego jeszcze ranka. Julia odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Dostawca rogalików zawsze pojawia się pierwszy. Dostawca rogalików. Obsługuje ulicę de Rennes. Przed wojną,

269

CHANTAL DELSOŁ

WARIATKI

o najświeższej katastrofie - ten zapominał o randkach, ale zasypywał ją wzruszającymi dowodami czułości i troski. Był to jakiś nędzny typek, właściciel psa włóczęgi, od dzieciństwa lekceważący świat i własne potrzeby. Odwiedzała Pawła, którego karuzela nosiła teraz nazwę Beverly Hill. Wieczorami nad jego królestwem zabaw rozbłyskiwały wielobarwne światła. Konie ustąpiły miejsca lśniącym samochodom i rakietom kosmicznym. Paweł witał ją zawsze przyjaźnie, jak przystało na prostodusz-nego estetę. Miał dużo dzieci, ale przysięgłabym, że sam wciąż był dzieckiem. Przede wszystkim jednak Oliwią otaczała gorączkową troską mnie i i chłopców. Uważała, że los świata zależy od naszej umiejętności osiągania szczęścia, utrzymywania się na powierzchni, odróżniania dobra od zła. U schyłku lat osiemdziesiątych życie stało się trudne.

Nauczyła nas, że nie ma przeszkód nie do pokonania, pod warunkiem że zamaskowanemu zwykle wrogowi patrzy się prosto w oczy. Stopniowo przyoblekała skórę Julii, zajmowała tę dominującą i magiczną pozycję, choć nie walczyła o nią. W tym czasie Julia wycofywała się z gry zwanej życiem.

16

Nie na wiele mogę się już zdać, mówiła Julia. Ale żeby ci trochę ulżyć, będę odprowadzała Flore na środowe lekcje tańca. Zawsze to coś.

Osiemnaście stacji metra. Julia siadała na ławce w tyle wagonu. Ja tuliłam się do niej.

- Czy na pewno zabrałaś baletki?

- Tak, babuniu.

- Dlaczego akurat "babuniu"? Mam na imię Julia.

- Nie wiem. Tatuś mówi, że do babci nie można się zwracać po imieniu.

272

- No właśnie, ja przecież nie jestem twoją babcią, ale prababcią.

- Dobrze. Właściwie to nie ma dla mnie znaczenia - odparłam, mocniej się do niej tuląc. - Będę ci mówiła: Julio.

Metro zatrzymywało się i znowu ruszało. Na wprost nas siadali coraz to inni ludzie. Tylko my dwie nie ruszałyśmy się z miejsca. Kładłam głowę na ramieniu Julii.

- Nie smutno ci - pytała - że ojciec odszedł?

- Nie.

- Przecież bardzo go kochasz. Grywał z tobą w... nie pamiętam w co.

- W oszukiwanego pokera. Tak, bardzo go kocham. Ale właśnie teraz. Nie wtedy, kiedy mieszkał z nami.

- Dlaczego tak mówisz?

- Mama opowiada mi cudowne historie. I zawsze są w nich piosenki. Sama je dla mnie wymyśla.

Śmieje się, kiedy przypali szarlotkę. Śmieje się, kiedy Jaś stłucze talerz, nakrywając do stołu.

Przedtem, kiedy tata wracał, było jakby ktoś zgasił światło. Mama robiła się szara i cichutka.

Chowała się w kąciuku. Teraz nigdy się tak nie zachowuje.

- Nawet jeśli tak było, nie zapominaj o ojcu. Odwiedzaj go. Nie myśl, że wszystkiemu jest winien.

- Wiem, wiem - przytakiwałam z powagą dorosłej kobiety. - Życie jest bardziej skomplikowane.

Nie martw się. Wiem, że nie potrafię tego jeszcze zrozumieć.

Nasze

podróże metrem trwały przez wiele lat. Dorosłam do tego, by samodzielnie wyprawiać się na drugi koniec miasta, ale stary zwyczaj nie potrzebował uzasadnienia. W końcu to ja prowadziłam Julię na lekcje tańca i zostawiałam ją w holu. Osiemnaście stacji oznaczało w naszych oczach podróż do raju. Ułożyłam o tych wyprawach poetycką litanie. Julia napawała się typowymi dla stacji i korytarzy widokami - bezdomnymi, którzy siedzieli pod plakatami reklamującymi wakacje nad morzami południowymi, czy uczniami, którzy tanecznym krokiem przemykali pośród grupki pasażerów. Tym osiemnastu stacjom

18 Wariatki

273

CHANTALDELSOL

towarzyszyły niełatwe pytania. Dostrzegłam wpływ Julii na całą rodzinę, jej cichy autorytet, wagę jej słów. Uświadomiłam sobie także, jak kruche są jej skarby, i czujnym okiem tropiłam wszystkie gwałtowne podmuchy, by ją osłonić, zastanawiając się, co od lat spędza sen z powiek Julii.

Dlaczego na świecie istnieją biedni? A kiedy niszczy się bogatych, biedni stają się jeszcze ubożsi.

Czym jest dyktatura? To kraj, w którym obywatele bardziej boją się policjantów niż złodziei.

Dlaczego Konstanty nie mieszka razem z tobą? Ponieważ za bardzo mnie kocha, żeby przez cały

czas ze mną wytrzymać. I wzajemnie. Czy nie czułaś się winna, że nie zapobiegłaś śmierci

Patryka? Nie. W pewnym sensie jej zapobiegłam. Nie ma rzeczy niemożliwych. Są różne sposoby

myślenia i postępowania, to wszystko. Czy podziwiasz generała de Gaulle'a? Nie, nie darzę go

podziwem. Podziwiani ludzi, o których się nie mówi. Prawdziwi bohaterowie żyją w cieniu. Kiedyś

chciałabym zostać podróżnikiem. Nauczę się nieznanych języków. Będę rysowała mapy krajów bez granic. Ale boję się dorosnąć. Nie powinnaś. Tylko strach ogranicza nasze możliwości, nic poza tym. Kim jest Bóg? - pytałam. Och, nie mam pojęcia, odpowiadała Julia. Eleonora to wiedziała, ale nie zdążyła mi powiedzieć. Zapadałam w głęboką zadumę. A zatem spadek czasami może być dziedziczony w odwrotnym kierunku. Julia przyznaje, że i ona ma pewne braki. Za sprawą tego wyznania właśnie jej ułomności uczyniły ją w moich oczach jeszcze wspanialszą i większą. Oliwią nie żądała żadnych dodatkowych wyjaśnień. Sylvain po prostu dzwonił, uprzedzając, że chce skorzystać z prawa do spotkań z dziećmi. Obiecali sobie, że będą unikać sporów o dni i godziny. Dżentelmeńska umowa to jedyne, czego mogą jeszcze wymagać od nas dzieci. Gdy Sylvain stawał w drzwiach, dostrzegała w jego twarzy napięcie. Przytył ponad miarę wieku, a jego władcza pewność siebie opuściła go lub towarzyszyła mu już tylko z rzadka. Dobrze się miewasz? pytała bez przekonania.

274

WARIATKI

Tak, odpowiadał. Dużo pracował. Przyjaciele, wciąż ci sami - ci, których dobrze znała, często go odwiedzali. Godzinami prowadzili rozmowy o konaniu socjalizmu. Byli zupełnie wolni. Od większości dawno już odeszły żony.

Julia poniosła definitywną klęskę w walce z bezsennością. Teraz jej dnie pożerały noce, a może odwrotnie, ale to i tak nie miało znaczenia. Sen i czuwanie mieszały się ze sobą w przestrzeni pogranicznej, stworzonej z zawrotu głowy i jasnego myślenia. Podczas formalnych dwudziestu czterech godzin, które społeczeństwo dzieli na dzień i noc, Julia sypiała nieregularnie, po piętnaście minut, zawsze budząc się gwałtownie, bo jej sny stały się nazbyt realne. I oto miała wrażenie, że żyje dwa razy, albo wręcz że jej życie przestało upływać. Malowała, nie licząc czasu, oswobodzona z rytmu narzucanego przez zegary. Od lat powtarzała Oliwii: nie chcę więcej środków nasennych, bo niszczą pamięć. Ale przecież ty tak dużo wiesz, oponowała Oliwią, może zapomnienie byłoby dla ciebie wyzwoleniem.

Zazdrośnie strzegąc czasu, jaki jej jeszcze pozostał, oszczędnie wydatkowała siły. Codziennie rano albo wieczorem, aby cieszyć się zmiennością i magią światła, nierównym krokiem przemierzała ulice miasta. Jej ciało podążało za nią niczym wierne zwierzę, które znikąd nie może oczekiwać pomocy. Przypominała zjawę zawieszonych pomiędzy nocą a dniem półmrocznych godzin. Tylko jej żywe oczy wciąż pełne były blasku i niecierpliwe.

Odkryła, kim teraz jest - skałą zastygłego czasu. Szła wraz ze swą historią, była już tylko czystą historią. Nic nie pchało jej do przodu. Jedyńm celem istnienia stało się dla niej przenoszenie tej historii. Kłopotliwy, chropowaty

275

CHANTAL DELSOL

posąg, niczym trudna do niesienia paczka, której nie ma jak i za co chwycić. Ten posąg zlewał się z nią, był jej ciałem i sercem, a ona identyfikowała się z nim i miała do powiedzenia to samo co on. Przypominała górę w geologicznym układzie warstw, szereg obrazów - rozczarowania, eksplozje szczęścia, niezrealizowane plany, utracone przyjaźnie, wszystko to wymykało się jej z rąk, ale zawsze wracało. W tej katedrze snuły się wydarzenia całej epoki niczym próbujące dobić do brzegu ofiary katastrofy na morzu. Emocje cichły wobec obaw. Stare rany wciąż krwawiły, wystarczyło tylko na nie zerknąć, wspomnieć o nich. To brzemień obciążało jej jestestwo tak mocno, że czasami pragnęła śmierci, bo tylko ona mogła uciszyć krzyk.

Starość, myślała, polega na życiu w przeludnionym świecie. Gdziekolwiek zwrócić oczy. Arkady ulicy Rivoli: to dom, w którym mieszkał przyjaciel Patryka, ten, którego powiadomiono pierwszego w dniu, gdy... Dalej skrzyżowanie, nocą roku 1942 musieli biec przez nie z Konstantym, żeby umknąć przed łapanką... Tuileries i sześćioletnia Oliwią beztrudno puszczająca na wodę malowany okręcik z drewna - myślisz, że ten okręt mógłby zastąpić mamę? Bulwar Montparnasse 1 ulica Grande-Chaumiere, w tajemnicy chodziła tam na lekcje, żeby nauczyć się malować akty. Dalej sylwetka idącej w jej kierunku Eleonory w dniu wielkiego szczęścia, nie pamiętała już jakiego, zapomniała nawet, w którym to było roku, ale wciąż widziała ten uśmiech i stojącego tuż obok

gazeciarza, czuła atmosferę zaraźliwego podniecenia. Każdy numer ulicy de Sevres wiązał się z jakimś wydarzeniem, na przykład przy Van-neau pokłóciła się z Konstantym - jeden jedyny raz podczas długich spędzonych razem lat. Doskonale pamiętała, że poszło o zaborczą przyjaźń: dobrze wiem, że nie sypiasz z tym mężczyzną, ale poświęcasz mu wszystkie swoje myśli, za to go nienawidzę, nienawidzę go. Na Dworcu Północnym była piwiarnia, w której dowiadywała się o Eleonorę, gdy ta długo nie wracała ze swych wypraw, trudno zliczyć godziny, które poświęciła na jej szukanie tu

276

WARIATKI

i w tylu innych miejscach. Ogród Luksemburski, gdzie poznała lalkarza... I szereg wąskich uliczek, i aleje biegnące od skrzyżowania do skrzyżowania, monotony marsz, który sprawia, że myśl się wymyka, i zawsze dwie chłopiące sylwetki, jej mali synkowie, których jej odebrano i którzy nigdy do niej nie wrócili. Żal czynił ich podobnymi do Patryka, postarzałego, ale wciąż wyglądającego jak młody chłopak.

Wszędzie... Wszędzie jakieś znaki, przy skwerach, pod palącymi się i pod zagaszonymi latarniami, w oknach mieszkań. Świat jest dziś przepełniony, myślała Julia, trudno już znaleźć w nim miejsce dla choćby jednego wspomnienia.

Cóż...

Pewnego razu przeszła na drugi brzeg Sekwany przy wietrze, który na wylot przenikał jej prochowiec. Dotarła do wylotu ulicy Saint-Louis. I tu, na kiosku z czasopismami, w przymocowanej spinaczami do bielizny, miotanej przez wiatr gazecie, ujrzała nagłówek obwieszczający upadek muru berlińskiego.

Zatrzymała się, jej serce przepełniła radość, w oczach zabłyśły łzy. Właśnie zakończyła się pewna epoka. Nie powinna jej przeżyć.

Odwróciła się, patrząc na przebytą drogę. Przygarbiona, utykająca - cierpiała na reumatyzm. Nagle poczuła się krucha, jakby odcieleśniona, zdolna tylko snuć się po mieście jak zjawa. Była personifikacją własnej wizji. Wiedziała, że weszła na most, ulegając przecuciom z dzieciństwa. Szukała wokół siebie ducha kłątwy, dzwoniącego łańcuchami potwora, którego tamta wróżka sprzed lat także ujrzała za jej plecami.

Z przerażeniem stwierdziła, że rąbek jej sukni oberwał się i smętnie zwisa.

277

CHANTALDEL8OL 18

- Widzisz, Floro, chyba nie tak trudno jest umrzeć. To była tajemnica Eleonory. Wiedziała o tym już jako dziecko. Ja zrozumiałam to znacznie później. Do tego potrzebne jest jakieś szczególne doświadczenie, nawet okrutne, które burzy dawny ład życia. Widziałam młodziutkich żołnierzy, którzy szli w ogień walki po raz pierwszy. Przerażeniem napawała ich myśl o zabiciu człowieka. O dziwo, wcale nie myśleli o sobie. Właśnie tak! Niemal każdy mówił, że raczej padnie trupem, niż strzeli do wroga, że zamieni się w słup soli. A ja tak bardzo bałam się przed pierwszym porodem, że przeklinałam własne dziecko: wstrętny bachorze, wracaj, skąd przyszedłeś, rozplyń się w nicości, z której nigdy nie powinieneś się wyłonić. Myślałam, że ból rozerwie mi głowę i trzewia, że moja odwaga pęknie jak mydlana bańka, wydawało mi się, że wokół łóżka inni krzyczeli głośniejsze ode mnie. A żołnierze, pełni młodzieńczego zdumienia, patrzyli, jak pada pierwszy wróg, a potem zabijali następnych, czasem nawet czerpiąc z tego swoistą satysfakcję. I dziecko też przyszło, nie dając mi czasu na przetrwanie myśli. Zrobiłam, co należało, i zapomniałam o mrocznych obawach. Tak to już jest. Człowiek uważa, że nie jest w stanie uporać się z tym, czego inni dokonali bez trudu. Sądzi, że brak mu sił; niesłusznie, bo nie zna swych sił, jeszcze ich nie sprawdził, a one zawsze pojawiają się w ostatniej chwili. Podobnie musi być z umieraniem. Czuję się, jakbym ruszała na linię frontu z ciężkim karabinem na ramieniu, przejęta strachem, jaki zieleje z Apokalipsy. Ale cóż... Przyszłaś mnie odwiedzić, a ja nie dopuszczam cię do głosu. Chwileczkę... Co ostatnio porabiałaś? - powiedziała, szperając w rozsypującej się jak domek z kart pamięci. - Podobno zdałaś już egzaminy, prawda? Twoja matka wspomniała mi o tym.

- Tak, chociaż przyznaję, że ledwo, ledwo. Doświadczenie staje się coraz trudniejsze.

WARIATKI

- Musisz się dostosować do reguł gry. Co zamierzasz robić w przyszłym roku?

-

No właśnie. Dalej nie gram.

Julia spokojnie podniosła spojrzenie swych niebieskich oczu. Stałam przed nią, rozkładając ręce w geście wyznania.

- Co to znaczy?

- Wyjeżdżam. Nie wiem, czemu to wszystko służy - uniosłam ręce i gest wyznania przemienił się w gest potępienia.

- Jak to?! - krzyknęła Julia z całą surowością, jaką mogła wykrzesać z łamiącego się głosu. - Mój mózg rozmięka, przyznaję, ale potrafię jeszcze zrozumieć, że ty i tobie podobni macie nie po kolei w głowie. Zastanawiasz się, czemu to wszystko służy? Co mianowicie?

- Dyplomy, miłość, społeczeństwo. Wszystko.

- Ach tak! Dobrze się domyślałam! Nie udało ci się mnie zaskoczyć. Od rana do wieczora słucham audycji radiowych, w których aż roi się od takich bredni. Widzę, że nawet ty uległaś tym trendom.

- Nawet ja. Oczywiście. Ale to nie są żadne brednie. Bezrobocie i rozwody. Wyniszczona przyroda. Ludzie, których nic nie obchodzi. Władza, która cuchnie. Rzeczywistość.

Julia spuściła oczy. Patrzyła na okładkę czasopisma, które leżało na kolanach. Jej jakby wyrzeźbiona z marmuru dłoń w zadumie ślizgała się po lamówce żakietu, w

- Nawet ty. Nie umiałam cię nauczyć... Podeszłam bliżej, usiadłam na podłodze, wtuliłam głowę w fałdy jej spódnicy i chwyciłam ją za rękę.

- Przeciwnie. Wszystkiego mnie nauczyłaś. Nie czyni sobie wyrzutów. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię kocham.

- Oczywiście, kochasz mnie, ale to niczego nie zmienia. Brak ci wiary i ufności. Jedyne, co chciałam ci... zostawić.

Spojrzenie Julii błędziło po fotografiach, których w pokoju było pełno, a które przedstawiały całą tę historię od strudzonego truchtu koni na bulwarze Bonne--Nouvelle.

279

CHANTAL DELSOL

- Widzisz - dodała półgłosem - może już lepsze były szaleństwa twojej matki, która pisywała manifesty, aby podsycać pseudorewolucje. Albo krwawe oszustwa, których nieświadomą obrończynią stała się Eleonora. Albo radosna destrukcja, jakiej dokonywał Patryk w nadziei na odnalezienie jakiegoś raj. Ale to czekanie na nic. Zatem opuszczasz pokład. Pozwalasz, by wszystko potoczyło się własnym torem, ale bez ciebie. Rezygnujesz. Dokąd się wybierasz?

- Chcę zamieszkać gdzieś indziej.

- Gdzie? Wszędzie spotkasz się z tym samym. Jak to sobie wyobrażasz? Znasz legendę o człowieku, który uciekł z Samarkandy, żeby nie umrzeć?

- Tak, już mi ją opowiadałaś. Ale to zupełnie co innego. Pojadę pracować tam, gdzie życie jest tak trudne, że nikt nie zadaje sobie tych wszystkich pytań i nigdy nie będzie ich sobie zadawał. Już spakowałam walizki. Wyjeżdżam we czwartek. Do Sankt Petersburga. Na razie. Mają tam archiwa, których badanie zajmie co najmniej dziesięć lat. Chyba potrafisz to zrozumieć.

Julia pokiwała głową.

- Wszystko potrafię zrozumieć. Można uciekać na sto sposobów. Twój jest akurat taki. Postaraj się być szczęśliwa. I jeszcze coś: ile razy trzeba ci powtarzać, że Sankt Petersburg nazywa się od roku 1924 Leningrad?

Spojrzałam na nią ze smutkiem. Od pewnego czasu umysł Julii płatał jej figle. Zatraciła wycucie najprostszych rzeczy, raz po raz zapominała o najświeższych wydarzeniach. Ale to, co ukryte i głębokie, nie miało przed nią tajemnic. Wyzbywszy się goryczy, z sercem pełnym wyrozumiałości, jaka cechuje herosów, oddalała się, lecz nikt nie wiedział, czy za sprawą wielkiej mądrości, czy też szaleństwa.

- Leningrad - powtórzyłam potulnie, żeby jej nie drażnić. - Już nie zapomnę.

Wtedy właśnie po raz ostatni widziałam Julię.

WARIATKI

19!.. r : ' ;
-J *
""_""_--;

Zdecydowałam się na podróż pociągiem. Oliwią uparła się, że odprowadzi mnie na Dworzec Wschodni. Na tablicy pojawił się komunikat informujący o godzinnym opóźnieniu.

- Dobrze się składa-powiedziałam-mamy czas na kawę. - W rzeczywistości ogarnęła mnie ta specyficzna panika, jaka pojawia się przed wyjazdem. Czy kiedyś jeszcze powrócę do życia, które porzuciłam, czy bliskie sercu pejzaże raz na zawsze znikną z mych oczu? Kto wie...

- Nie ma nic równie obscurnego jak bar na tym dworcu

- powiedziała, żeby zagłuszyć własne milczenie. To tu razem z tłumem żołnierzy przyjechała w roku 1918 Julia.

- Obiecałaś, że dasz mi coś do czytania. Oliwią wyjęła książkę w kartonowej okładce.

- Wybrałam ją z dobytku Marka Bpsteina. Dla nas to zwykła ciekawostka: modlitwy żydowskie. Naczytałaś się już podręczników historii, a romansów nie znosisz.

Mała książeczka sama otworzyła się w moich rękach w miejscu, gdzie doklejony papier pogrubiał stronę. Przeczytałam półgłosem: Modlitwa poranna. "Błogosławiony bądź, Panie, Królu Świata, iż stworzyłeś mnie Żydem, nie zaś członkiem innej nacji, iż nie stworzyłeś mnie niewolnikiem, iż nie stworzyłeś mnie kobietą." Na naklejonej kartce czyjaś staranna ręka dopisała czarnym atramentem: "Błogosławiony bądź, Panie, Królu Świata, iż nie stworzyłeś mnie podobnym autorowi powyższej modlitwy ani temu, kto odmawia ją co rano." Wybuchnęłam śmiechem.

- Bpstein! Bo przecież to on, prawda? A więc poprawiał święte księgi. Inni raczej by je spalili. On miał więcej cierpliwości. A może idealizmu.

- Tylko sprawiedliwi mogą osiąść tę cierpliwość

- powiedziała Oliwią.

Przywołałam kelnera i zamówiłam dwie kawy.

- Ja nie osiągnę chwały sprawiedliwych. Wolę zdezerterować.

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

Oliwią wsiadła ze mną do pociągu. Zapytałam:

- Czy ten mężczyzna, którego nie znam, a którego ostatnio u ciebie spotkałam, to twój kochanek?

W uśmiechu Oliwii było tyle lodowatej ironii, że poczułam się bezbronna i bąknęłam tylko:

- Przepraszam, jestem zbyt wścibska, nie zadaje się takich pytań rodzonej matce. Wszystko dlatego, że wyjeżdżam. Nie mam ochoty rozstawać się z tobą.

- Ten mężczyzna nic dla mnie nie znaczy - powiedziała Oliwią. - Zresztą nic nie ma znaczenia.

Poza wychowaniem dzieci. - Spojrzała na zegar. -W tej chwili żałujesz, że wyjeżdżasz, prawda?

Boisz się, że nie wszystko zostało powiedziane. Ale nie da się wszystkiego powiedzieć. Nigdy. Na ogół nie mówimy właśnie najistotniejszego.

Rzuciłam walizkę na półkę. Stojąc w drzwiach przedziału, Oliwią znów zerknęła na zegarek.

- Nie chciałabym wylądować we Władywostoku. Nie martwi mnie, że wyjeżdżasz. Dzieci są jak butelki, które trzeba kiedyś rzucić do morza. Wymykają się i niosą przesłanie. Zaczekaj - dodała -

zawsze się boję, że... -Wydobyła z torebki kopertę i podała mi ją. -To dolary. Pilnuj tej koperty, jest ich dużo. Uśmiechasz się? Kto miałby się o nas niepokoić, jeśli nie matka? Weź to. Chwileczkę.

Jeszcze coś. - Oliwią znów sięgnęła do torebki i tym razem wręczyła mi list. A raczej wymięte kartki, które wiele musiały przeżyć. Rozłożyłam jedną z nich i rzuciłam okiem na poblądle litery. 24 października 1956 roku.

- Co to takiego? - wydusiłam z siebie wstrząśnięta. --> To dziedzictwo - szepnęła Oliwią. - Nic innego

nie mam. A raczej: reszta jest bez znaczenia. Doskonale rozumiem, że to nie jest zwyczajna podróż. Znam cię. Będziesz szukała granic własnych możliwości. Ale ich nie znajdziesz. Wrócisz. Nie wiem tylko kiedy. Będziesz próbowała zniknąć. Uważaj na siebie, bądź ostrożna.

Pocałowała mnie i wyszła na peron. Stałam na najniższym stopniu, trzymając w ręku list, który już rozłożyłam. Odczytałam na głos zakończenie, słowa pożegnania: Tobie przypadnie szczęście, Oliwio! Odpowiadasz za mnie, dokonasz tego, czego ja nie dokonałam. Tulę cię do serca jak w pierwszej godzinie twego życia. Pociąg drgnął i ociężałe ruszył z miejsca.

- Jeżeli będziesz czegoś potrzebowała, jeżeli będzie ciężko o żywność albo zabraknie ci papieru, jeśli ukradną ci pieniądze, jeżeli zachorujesz... zadzwoń. Przyjadę natychmiast.

Zgiełk ruszającego pociągu i ten panujący na dworcu uniemożliwiły dalszą rozmowę. Złożyłam ręce w trąbkę i krzyknęłam:

- Ich telefony na pewno nie działają!

Niepotrzebni ludzie

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Sankt Petersburga, u schyłku szalonego stulecia, kiedy skonana wysiadłam na Dworcu Witebskim, natychmiast zrozumiałam, jakie czeka mnie rozczarowanie.

Postawiłam walizkę na chodniku, by swobodnie podziwiać rozległą perspektywę Zagorodnego zdziwionym okiem osoby wracającej z dalekiej podróży. Wiedziałam o tym kraju wszystko, a jednak o niczym nie miałam pojęcia. Czytałam książki z kolejnych epok, władałam tym językiem niemal jak ojczystym. Marzyłam, wodząc palcem po planach miasta i rycinach, oglądałam zdjęcia. Postacie historyczne i bohaterowie legend przemawiali do mnie jak starzy znajomi. Tyle razy opowiadano mi o powolnej agonii, w której pogrąża się ten kraj. A jednak rzeczywistość to zupełnie co innego. Wylekniiona wielkość tego miasta z niczym nie dawała się porównać. Uderzyła mnie w nozdrza woń niesłychanego ubóstwa. To było ubóstwo bogatych. Pośród zniszczonych pałaców wspaniałą aleją chodzili ludzie w łachmanach. Długo stałam na chodniku, przypatrując się kolejno każdej z imponujących fasad, na których rysowały się głębokie pęknięcia, fundamentom, które się osuwały, zardzewiałym rynnom i przewodom gazowym, strzępom balkonów, zrujnowanym frontonom. Patrzyłam z przygnębieniem, bo rozpacz jest zaraźliwa, na starców, którzy chodzili po ulicy boso, na żebraczkę w podartych wełnianych pończochach,

WARIATKI

na pozbawione nadziei spojrzenia ulicznych handlarzy książek.

Dworcowy zegar wskazywał za dziesięć pierwszą w nocy. Brzask rozjaśniał ciemnoniebieski horyzont. Uświadomiłam sobie, że jest czerwiec, miesiąc białych nocy. Miasto pozbawione mroku wydało mi się jeszcze bardziej niepokojące. Ujrzałam krzewy o fiołkoworóżowych kwiatach, pod którymi przysiadali młodzi ludzie, żeby się czegoś napić. I lodziarzy w łachmanach, pchających swe wózki. W świetle nocnego dnia zobaczyłam kolorowe domy - ochra, ceglasterczerwony, seledyn, kolor lawendy.

O tej porze, pomyślałam, dom studencki przy ulicy Plechanowa na pewno jest zamknięty.

Zatrzymałam taksówkę i wynegocjowałam cenę za dojazd

do Instytutu Smolnego.

Usiadłam w kąciku, kuląc się ze zmęczenia i napięcia. Szerokimi ulicami z piekielnym zgiełkiem sunęły rozklekotane samochody. Nad kanałami naliczyłam setki pałaców o rozbitych kolumnach i oknach bez szyb. Dostrzegłam dziedzińce zarzucone gruzem i śmieciami. Po jezdni walały się kamienie, które osunęły się z ruin, pełno było dziur i wyrw. I te smugi światła słonecznego w środku nocy. Miasto wyglądało jak Atlantyda zburzona w wyniku zagadkowej wojny i skąpana w świetle swego ostatniego dnia.

Taksówka minęła Prospekt Newski i zatrzymała się przed Smolnym. Serce waliło mi jak młotem, kiedy ruszyłam aleją. Znałam ten gmach, wskazałabym go bezbłędnie pośród tysiąca innych. Ale nie wyobrażałam sobie, że wznosi się tak dyskretny, ukryty pośród drzew, tak niebieski ze swymi delikatnymi kolumnami, nie sądziłam, że sprawia wrażenie gościnnego jak stara willa, gdzie toczy się pełne uroku i radości życie. Zauważyłam, że czerwoną flagę zastąpiono trójkolorową, ale pozostawiono sierp i młot. Szłam wzdłuż wysokiego ogrodzenia, obok zamkniętej bramy.

Przyglądałam się pomnikowi Lenina. Nie odczułam potęgi tego miejsca, prawdopodobnie była wymysłem piewców. Zrozumiałam, że wokół krążą cienie zwyczajnych

CHANTAL DELSOL

ludzi, skazanych wraz z innymi na porażkę. Uświadomiłam sobie, że mówię do Eleonory, i zaczęłam kpić z własnej naiwności: czyżbyś wierzyła, że umarli nas słyszą? Oni pragną tylko, aby wypełnić ich ostatnią wolę, to nasz niezbywalny dług wobec nich.

Przekonałam się, że wokół jest pusto, i ukryłam się w kępie drzew, przygotowałam sobie posłanie z tego, co miałam pod ręką. Oliwią nauczyła mnie cieszyć się nieoczekiwanymi sytuacjami.

Ułożyłam się do snu ze spokojnym sumieniem człowieka, który spełnił swój obowiązek.

Postanowiłam zamieszkać w domu studenckim przy ulicy Plechanowa 6, za katedrą Kazańską.

Odpychający brud pokoju, cieknące przerdzewiałe rury w łazience i podarty materac-żadna z tych przykrych niespodzianek nie zdołała mnie zniechęcić. To miasto wołało mnie od dziecięcych lat.

Tak odmienne od wszystkiego co dotąd .widziałam, tak odległe od domu, wydawało mi się jednak bliskie i swojskie.

Zaprzyjaźniłam się z dwojgiem studentów, którzy pilnowali wejścia do akademika-delikatną błądą dziewczyną i wiejskim chłopakiem z Mongolii. Płacąc za studia pracą w recepcji, sypiali na zmianę na sofie stojącej niemal na środku korytarza. Na ławie w tym dziwnym "pokoju" królował samowar i telefon, który dzwonił bez powodu. Maria i Kola, bo takie nosili imiona, żyli tu w wiecznym półmroku. Razem powtarzali materiał z zajęć, czytali gazety, grali w karty, a ja zastanawiałam się, czy ich noce wypełnia czułość, ale nigdy się tego nie dowiedziałam.

Zapisałam się na uniwersytet i zaczęłam odwiedzać biblioteki. Nauczyłam się nosić w kieszeni pajdę chleba i obchodzić się bez ciepłej wody. Zapomniałam, jak smakują ciastka i wino, a nawet mięso, bo widok ogromnych ćwierci wołowych, które wczesnym rankiem rąbano tasakami na chodniku, błyskawicznie odbierał mi apetyt. Mimo wszystko nie narzekałam. Dźwigając książki, przemierzałam wyludnione ulice, na których stała woda, bo studzienki zwykle były zapchane.

Spędzałam czas w bibliotece, na

WARIATKI

uczelni i w akademiku, i żyłam jak moi współlokatorzy - biednie, ale dumnie, karmiąc się kulturą, która zastępuje wszystko inne. Maria i Kola studiowali fizykę, ale byli znawcami literatury rosyjskiej i obcej, filozofii i historii religii. Jedynym luksusem, na jaki mogli sobie pozwolić, było myślenie, zarazem ich powszedni chleb, bo nic więcej nie mieli. Nigdy nie rozmawiali o polityce ani o sytuacji w kraju. Dostrzegali absurd życia miasta, w którym bandytom doskonale się powodzi, podczas gdy uczeni ludzie ubożeją z dnia na dzień, gdzie wódka jest tańsza od wody mineralnej, a uzbrojeni żołnierze pilnują sklepów, podczas gdy na ulicy można bez problemu kupić mundur.

Wiedzieli, że taka sytuacja nie może trwać bez końca, lecz czekali na zmiany, których kierunku ani czasu nie potrafiliby określić. Bardzo młodzi, upojeni dyskusjami ideologicznymi, lekceważyli problemy społeczne, zachowując się tak, jakby wcale ich nie zauważali.

Obliczyłam, że za odpowiadającą półrocznym zarobkom sumę, którą wręczyła mi Oliwią, mogę przeżyć tu około dziesięciu lat. Wyznaczając sobie granicę, wybrałam wieczność. Pozwalała mi na to młodość i umiłowanie przygody, które Oliwią przekazała mi wraz ze swym dziedzictwem. W pobliskiej wsi, na wzgórzach Carskiego Sioła, topniały ostatnie zimowe śniegi. Wiatr od Bałtyku pochylał brzoźowe lasy. Smugi światła słonecznego przebijały się przez chmury w środku nocy.

Pierwsza zima przyłapała mnie jak nierozważne dziecko, wprawiła w zdumienie i przerażenie.

Chłód był właściwie niczym, ale ciche noce i ten bezruch zdawały się nie mieć nawet swoich zjaw.

Trzeba było uciekać z nieprzyjaznych ulic, czym prędzej wracać do wnętrza, a przedsionek Koli pomiędzy dwiema parami drzwi stał się cichą przystanią, choć i tu drżało się z zimna. Ale ciepło piecyka i żywych istot brało górę nad niełaskawą naturą. W holu toczyły się długie rozmowy, czasami przeradzające się w zwierzenia w małych grupkach. Koce służyły tu studentom za ciepłe płaszcze, noc myliła się z dniem. Nad

CHANTAL DELSOL

samowarem przez całą dobę paliła się goła żarówka. Trwał niekończący się wieczór.

Kola nudził się w pracowniach wydziału fizyki. Właściwie doświadczenia po prostu przestały przynosić mu satysfakcję. Rzekomo zaczął przygotowywać doktorat z literatury. Obiektem jego badań stali się niepotrzebni ludzie. Wokół kanapy piętrzyły się stosy materiałów bibliograficznych.

Dzięki temu nie ruszając się z niej, wyciągał tylko rękę, by sięgnąć po to, co było mu potrzebne. Ale brakowało mu światła. Nigdy nie rozstawał się z latarką, którą oświetlał kartki. W tym ciepłym kręgu każdy akapit nabierał szczególnego znaczenia. Zdania jakby umykały przed mroczną falą powodzi. Kola czytał półgłosem, z myślą o przechodzących obok kolegach. W końcu wszyscy razem napiszemy ten twój doktorat, mawiał złośliwie Wasyl, student, który nikogo nie lubił. I oto nadszedł rok zmiany stulecia. Noc była ciemniejsza niż kiedykolwiek. W jej wrogim mroku mieliśmy wejść w trzecie milenium. Zupełnie jak u zarania dziejów, zauważyła Maria, zanim Stwórca oddzielił dzień od nocy.

Trzeba było przygotować ucztę. Taki jest zwyczaj. Ludzie wyczekują na nadejście nowego roku jak kapłani na boski znak. Kolejny, nowy wiek. A właściwie nowe tysiąclecie. Ale noc wciąż była niezdefiniowana, ponieważ nie nadchodził po niej świt. Jakże czuwać, nie czekając na brzask? Toteż i ten wielki przełom nie zapowiadał niczego poza frustracją i goryczą, wszystkie zawiedzione nadzieje legły u progu tego dnia, nie było już na co czekać. Jednak to bez znaczenia. Trzeba było grać, skoro rzeczywistość o nas zapomniała. Kola i Maria udawali, że organizują zabawę. A reszta udawała, że w to wierzy. Ich przodkowie upajali się zawsze wódką i abstrakcyjnymi ideami. Pijąc, Kola opo-

288

WARIATKI

wiadał o swych odkryciach. Mówił monotonnym głosem, jakby głośno rozmyślał. Oto wyznania Czulkaturina: byłem na tym świecie człowiekiem niepotrzebnym. Można by rzec, nadliczbowym. Natura potraktowała mnie jak niespodziewanego i natrętnego gościa. Przez całe życie, zawsze i wszędzie, moje miejsce było już zajęte...

W tej chwili zadzwonił telefon. Nowo przybyła studentka wstała, żeby odebrać. Maria powstrzymała ją gestem ręki. Nie zawracaj sobie głowy. Skoro dzwoni, to znaczy, że nikt nie telefonuje. Dziewczyna wytrzeszczyła oczy. Tak, ciągnęła Maria. A kiedy milczy, wiadomo, że ktoś próbuje się dodzwonić. Nie warto się nad tym zastanawiać. Można by się od tego rozchorować, a nawet umrzeć. Lepiej zastanawiać się nad płcią aniołów. To prostsze.

Nie wiedzą już nawet, z jaką epoką się utożsamiać, ciągnął Kola. Wyprzedzili swoje czasy, ale zabrali ze sobą tylko to, co trzeba zachować z przeszłości: istotę rzeczy. Współcześni patrzyli na nich jak na szaleńców tańczących wśród zarazy.

- Zamknij się - krzyknął Wasyl, który nie lubił ani ludzi, ani dyskusji. - Nie zawracaj głowy. Każdy z nas jest takim nadliczbowym. Kto nas chce? Gdzie znajdziemy dla siebie miejsce? Na łodzi Meduzy był człowiek, który mówił bez przerwy, jak ty.

- Daj mu spokój - rozległ się błagalny głos drobnej lingwistki z trzeciego piętra, która co chwilę kasłała. - Jeżeli zamilknie, skończy się nasz wieczór. I może już nigdy nie wybije północ.

- Co z tego! - wrzasnęła znowu Wasyl. - Niech ten przeklęty wiek wciągnie wszechczasy do grobu. Idee są martwe. Nawet idea zmartwychwstania jest martwa.

Zapadła głucha cisza. Kola nalewał herbatę. Szklanki parzyły palce.

Kiedy przyszła kolej Wasyla, Kola dał mu dodatkową kostkę cukru. Twoje zdrowie, wróźbito śmierci. Znów rozbrzmiał dzwonek telefonu. Popełniłem błąd, skrzywił się Wasyl. Po końcu świata, po kresie czasów, pozostanie

19 Wariatki

289

CHANTAL DELSOL

jeszcze administracja, nieświadoma katastrofy. Dalej będzie wzywała do swych biur duchy.

Kola podszedł do mnie z parującym samowarem. Mam prababkę, której na imię Julia, powiedziałam. Nauczyła mnie, że kobiety tego stulecia są nadliczbowe. Ach, zaśmiał się Kola, w twojej ojczyźnie kobiety czytają Puszkina i Lermontowa? Nie, większość, podobnie jak tu, czytuje tanie romanse. Ale idą zbyt szybkim krokiem, z niczego nie rezygnując. Toteż dźwigają ciężkie brzemie. A wielu uważa je za wariatki.

- Dlatego stamtąd wyjechałaś? Za bardzo podziwiałaś swą prababkę? - zapytała lingwistka, kaszłąc i zakrywając usta chusteczką.

Powiedziałam, że tak, może, nie zastanawiałam się nad tym.

Kola wrócił na miejsce i natychmiast zajął się napełnianiem samowara. Zerknął na Wasylą, mrugając okiem: żeby Meduzie nie zabrakło wody. Kres czasów nie jest jeszcze taki bliski. Wieszczy powinien przygotować się do starości.

Wąty chłopak, już trochę podpity, wyciągnął z kieszeni zegarek. Nie za dobrze chodzi. Zostało mniej więcej pół godziny do północy.

Nikt

nie mógł tego potwierdzić. Kola od dawna nie miał zegarka. Maria wymieniła swój na pióro. Zegarek Wasylą stanął wczoraj. Lingwistka rozpaczliwie biegała po mieście, szukając baterii do swojego. A ja zostawiłam na ławce w nocnym pociągu tę relikwię Oliwii i ulegając przesądnej wierze, bałam się zastąpić ją nowym zegarkiem. Sami widzicie, złorzeczył wieszcz, nadchodzące tysiąclecie nie ma nawet daty urodzenia. A to znaczy, że nie istnieje.

Kola wstał i przeszedł przez pokój. Otworzył podwójne okno. Jest noc, oznajmił. Ma woń kurzu i śmieci. Wszystko jest w porządku. Zamknął okno. W tej samej chwili podmuch lodowatego powietrza wdarł się do wnętrza. Przyszedł matematyk z pierwszego piętra. Dawno już rzucił uniwersytet, a trzymano go w akademiku nie z litości, tylko z wyrachowania, ponieważ dostarczał towar na czarny

290

WARIATKI

rynek. Dziewczyny broniły go jak lwice, rozkochane w jego zuchwałej twarzy.

- Co tu robicie? - zapytał zdziwiony. - Wszyscy tańczą. A tu jakbym trafił na stypę.

Wasył, który siedział na podłodze oparty o ścianę, podniósł nos znad szklanki.

- Nawet nie wiesz, jak słuszne są twoje słowa, durniu. Nie widzisz, że każdy z nas jest na swój sposób nadliczbowy? Świątujesz narodziny, a my pogrzeb. Spływaj stąd.

Ta eteryczna egzystencja uczyniła ze mnie to, czego Oliwią najbardziej się obawiała: duszę wolną od wszelkich potrzeb materialnych. Rozstałam się z najbliższymi sercu, najbardziej osobistymi rzeczami. Jedne się po prostu zużyły lub zniszczyły, inne pozostały za mną, w przeszłości.

Podarowałam Koli, którego w głębi ducha kochałam, odtwarzacz płyt, nieopatrznie zamieniłam pióro na parę butów, nie pomyślawszy, że mam przecież dość pieniędzy. Wieczorem, po wyjściu z biblioteki, snułam się bez celu po Prospekcie Newskim, wierząc, że nagle spotkam tu bohaterów moich dawnych lektur. Wiedziałam, że wkrótce muszę stąd wyjechać, by gdzie indziej zbierać dokumentację.

Przenosiłam się z miasta do miasta z walizką, która zawierała coraz więcej ciężkich dokumentów, ale coraz mniej ubrań. Z czasem wędrówka sama w sobie stała się celem, pozerając cel wędrówki. Czułam, że ta tułaczka jest pełnią życia. Sypiałam w pociągach, nie obawiając się przypadkowych, nie zawsze życzliwych towarzyszy podróży. Trzeźwe spojrzenie na świat uchroniło mnie przed szaleństwem, które unosiło się nad wieloma miejscami. Nie zatraciłam dziedzicznej pogody ducha, nawet gdy po powrocie do Sankt Petersburga natknęłam się na młodego Francuza, który zebrał, siedząc w cieniu świątyni.

291

CHANTAL DELSOL

Tkwiał tam wśród rozrzuconych wokół drobiazgów, które wysypały się z jego torby. Nic nie robił. Nie interesował go nawet widok pięknego placu ani kolorowych pałaców, które muskał morski wiatr. Jego niebieskie, bardzo duże oczy błędziły bez celu. Właśnie to błędne spojrzenie przykuło moją uwagę. Natychmiast zorientowałam się, że jest pijany albo pod wpływem narkotyków.

Francuz i mała flaga na jego torbie. Sznurowane buty, spodnie z mnóstwem kieszeni, miękki, ciepły pulower. Dłoń intelektualisty, ale lepka od brudu, spoczywała na kolanie. Wszystko to zdradzało strudzonego obywatela. A jednak nie. Te pozbawione blasku oczy świadczyły o upadku. Był jednym z narkomanów, których Zachód spycha na margines egzystencji. Był tu, ale nie wiedział, po co i dlaczego. Przystanąłam obok niego. Nie widział mnie. Pomyślałam: oto Patryk u schyłku stulecia, gdyby nie przypadkowy wystrzał.

Była trzecia po południu. Nadciągała noc. Wyjący lodowaty wiatr wdzierał się w każdy zakątek

przy Prospekcie. Podeszłam bliżej i zapytałam go po francusku, jak się nazywa. Musiałam powtórzyć pytanie. Wolno otrząsał się z otepienia, pełen goryczy. Zrozumiałam, że boi się opuścić to w miarę ciche miejsce. Chyba nie było mu dobrze na tej ziemi. Powiedział, że ma na imię Hugo, ale jego głos brzmiał jak wyzwanie i drwina. Zaproponowałam, że zabiorę go na ulicę Plechanowa. Julia powtarzała mi setki razy: strzeż się współczucia. Nie ulegaj porywom litości. Potem zawsze się żałuje takich odruchów. Gdyby Julia tu była, krążyłaby wokół chłopaka, powtarzając: co cię obchodzi ten łajdak, ten życiowy niedorajda bez szans, zastanów się chwilę i wracaj sama do domu. Oczywiście Julia miałaby rację. Wiedziałam o tym, ale postąpiłam zgoła inaczej. Wytłumaczyłam nieznanemu, że jeżeli zostanie tu na noc, okradną go, a może zabiją, w najlepszym zaś razie zamarnie na śmierć. Uciekałam się do argumentów, które absolutnie nie trafiały do mojego rozmówcy. Bóg jeden wie dlaczego, zależało mi, aby ocalić

292

WARIATKI

go przed nim samym, ale on drwił sobie i z życia, i ze śmierci. Przestrogi i perswazje w końcu wyrwały go z otepienia, jego oczy znów zaczęły widzieć i nabrały blasku. Teraz spoglądał na mnie chłopak bardzo zmęczony, ale i bardzo sprytny. Można by pomyśleć, że to starzec, którego dusza przetrwała, młoda i radosna, w ciele stojącym nad grobem. Ale mój nieznanomy miał zapewne najwyżej dwadzieścia lat. A jego przystojna sylwetka nie wskazywała, by miał być chory.

Zrzucał swe życie z własnej woli. Pomogłam mu pozbierać rzeczy. Obserwował mnie drwiąco. Kpił ze współczucia. Spokojnie włożyłam do jego torby okulary i manierkę.

Minęliśmy cerkiew, obeszlśmy górę cuchnącego mięsa, które wczoraj wyrzucił rzeźnik, a przy którym teraz kręciły się psy. Szedł obok mnie. Był mimo wszystko w stanie nieść torbę, chociaż z widocznym wysiłkiem, raz po raz potykając się i zataczając. Zamyśliłam się. Po co okłamywać samą siebie? Ten zombi mnie zafascynował. Nie ma bezinteresownej dobroczynności. Zbyt długa samotność skłania do robienia głupstw. Rozmawiałam z Julią, przyznając się do grzesznych słabostek. Mijaliśmy piekarnię, gdzie na brudnych półkach wystawowych leżały ostatnie już tego dnia okrągłe bochenki chleba. Nieznanomy miał długie tłuste włosy obcięte na pazia. Rozwiązane sznurowadła wlokły się za nim po ziemi.

Zaprowadziłam go do mojego pokoju. Usiadł na łóżku, wydobyl z kieszeni sprzęt fotograficzny i kilka drobiazgów, a potem położył się i długo trwał w bezruchu. Zamknął oczy. Teraz wydawał się bardziej żywy niż przed chwilą, gdy patrzył pustym wzrokiem. Nie miałam gdzie spać. Spędziłam noc na wilgotnej podłodze, pośród dokumentów, zmagając się z myślami.

Pozostał moim więźniem nazajutrz i kolejnego dnia. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego to robię. Przeszkadzał mi w pracy. Chwilami myślał całkiem jasno. Powiedział, że nazywa się Hugo jak Hofmannsthal. Z dumą. Bo był poetą. A przynajmniej uważał się za poetę. Zgodził się pokazać mi

293

CHANTAL DELSOL

kilka stroniczek. Te rymy dźwięczały pustką, a jego życie zdawało się nie potwierdzać tego, co mówił. W każdym calu trącił nie tylko biedą, ale i miernotą. Był narkomanem. Ale był też łagodny, pełen wdzięku w każdym geście, a jego umysł zmaciły dysputy, które w owym czasie upajały Zachód. Łgarstwa brał za dobrą monetę. Uciekł ze starego świata, aby uwolnić się od nie wiedzieć jakich występków, o które się obwiniał pod wpływem propagandy. Zgodziłam się spełniać wszystkie jego kaprysy i w końcu wylądowałam z nim w łóżku, ponieważ był czuły i patetyczny. Nękał mnie tylko duch Julii i jej gniewne słowa; co cię napadło, głupia dziewczyno, można by pomyśleć, że uparłaś się, aby przekreślić całe swoje życie.

Hugo przez pewien czas studiował historię, ale sama myśl o ukończeniu czegoś wprawiała go w przerażenie. Nieodpowiedzialny, lecz uprzejmy i łagodny, łatwo uzyskiwał wybaczenie. Jak wiele kobiet, wołałam tego uprzejmego łajdaka od uczciwego brutalą. Hugo miał kontakty z grupami podającymi się za anarchistyczne, choć nikt dokładnie nie wiedział, co to znaczy, skoro zostało już tak niewiele do zniszczenia. Pewnego dnia wyznał, że pała nienawiścią do książek i ich autorów, a ceni tylko ludzi czynu. Kogo na przykład? Ravachola, odparł z mroczną radością. Poczulałam się, jakby dopadło mnie przeznaczenie. Ale Patryk niósł czarny sztandar, ponieważ kochał ludzkość.

Hugo żywił do niej nienawiść. Za nic na świecie nie skrzywdziłby wróbla, litował się nad każdym zranionym kotem. Ale współbracia budzili w nim odrazę. Włóczył się po podejrzanym okolicach, bezlitośnie dokuczał zwykłym ludziom. Żyjąc z nim, miałam wrażenie, że dopuszczam się najstraszliwszej zdrady, a zarazem jestem wierna aż do granic samounicestwienia. Grałam z Patrykiem w rosyjską ruletkę. To był związek bez szans i nadziei, pozbawiony miłości i przyjaźni, skutek chwilowego oczarowania, magiczny wpływ przeszłości, prośba zaczęcia historii od początku. Postanowiłam mieć dziecko, którego ojcem będzie Hugo. Oczywiście nie była to ani odpowiednia chwila, ani właściwe miejsce, by rozpocząć tego rodzaju przygo-

WARIATKI

de. Poród w tutejszych szpitalach musiał być żalonym przeżyciem, a wyjście na mroźną ulicę z niemowlęciem w ramionach - przykrą i groźną koniecznością. Później obecność dziecka stałaby się problemem. W pewnym sensie było to barbarzyństwo. Miałam świadomość, że tak właśnie jest, a jednak chciałam tego dziecka, właśnie jego dziecka, bo wraz z nim dotarło do mnie echo rodzinnej przeszłości, mojego dziedzictwa. W dodatku pragnęłam dziecka wykradzonego. Musiałam je począć w odległym, obcym miejscu, gdzie ślad po nas mógł zagać. Problemy były zarazem gwarancją zachowania tajemnicy. Zresztą Julia zawsze powtarzała: jeśli lekceważysz przypadek, on cię dopadnie i zawładnie twoim życiem.

Wchodząc do holu, zauważyłam leżącego pod kocem na kanapie Kolę. Nie spał. Marii nie było. Zostawiła gorący samowar. Była zima, a zatem noc, wszystkie żarówki były przepalone, świeciła już tylko jedna, a i tę wymieniano dopiero w razie konieczności. Przysiadłam na skraju kanapy.

- Chcę ci o tym powiedzieć. Wyj eżdżam-szepnęłam w półmroku.

Kola usiadł. Na jego okrągłej twarzy malowało się rozczarowanie, którego nie oczekiwałam, a które upewniło mnie, że nasza przyjaźń jest obopólna.

- Wyjeżdżasz? Już teraz? Dlaczego?

- Nie. Jeszcze nie teraz. Za jakiś czas. Ale na zawsze. Zaśmiał się śmiechem Chińczyka, zduszonym w sobie, przymykając oczy.

- Na zawsze! - powtórzył. - To takie zbędne słowo! Zawsze nie istnieje! - Wstał i nalał mi herbaty. - Napij się, siostrzyczko. Lepiej się poczujesz. Zawsze! - Znowu się roześmiał.

294

295

CHANTAL DELSOL

Otworzyły się drzwi wiodące na piętro i stanął w nich chłopak w pizamie. To był student, Wołodia, wiecznie zakochany marzyciel cierpiący na bezsenność. Podszedł do wysokiego stołu, na którym układano korespondencję, by każdy mógł ją wziąć po drodze. Położył na nim list i zawrócił ku schodom.

- Co robisz? - zapytał Kola.

Wołodia nachylił nad nami nieogoloną twarz: Zwracam list. I zniknął. Kola wzruszył ramionami.

- Zwraca list! Ale komu? Czy mam napisać rozprawę

o rozczarowaniach miłosnych Wołodii?

Wyciągnął z kieszeni wilgotną, zakurzoną kostkę cukru

i wrzucił ją do mojej szklanki.

- To dla ciebie - powiedział. Podziękowałam mu spojrzeniem. W akademiku zawsze brakowało cukru. A jeśli nawet był, miał smak kredy.

Usiedliśmy na zapadającej się kanapie i popijaliśmy herbatę.

- Dlaczego chcesz wyjechać? - zapytał Kola. Wyznałam mu, że spodziewam się dziecka. I nie życzę sobie, żeby Hugo się o tym dowiedział. Kola przyglądał mi się z natężeniem.

- Jesteś szalona - powiedział po chwili. - To także jego dziecko. Nie wolno odbierać ojcu dziecka.

- Hugo interesuje się wyłącznie sobą - odparłam. - Nie miałby ochoty zwracać sobie głowy niemowlęciem.

Kola zwiesił głowę, jakby to jego oskarżono.

- A maleństwo? - szepnął. - Chcesz je pozbawić ojca?
 - Hugo i tak by się o nie nie troszczył - powiedziałam. - Wiem.
- Kola wlepił spojrzenie w herbatę, jakby przytłoczył go ciężar tak niewybaczalnego grzechu.
- Jakie czeka cię życie? Zdajesz sobie sprawę ze wszystkich trudności? Sama... - Patrzył na mnie z ukosa, jakby chciał się przekonać, czy ten argument zrobił na mnie wrażenie.
 - Nie obchodzi mnie to - zapewniłam.

296

WARIATKI

__Dlaczego ciągle tak mówisz?

- Nie wiem.

Zmarszczył brwi, aby dać mi do zrozumienia, że nie potrafi tego pojąć. Z zadziorną miną osoby, która nie dopuszcza już żadnych pytań, popijałam herbatę.

__Posłuchaj - rzekł błagalnie. - Powiedz mu. Będzie uszczęśliwiony. Gdybym był na jego miejscu...

__Mylisz się. On tego nie zniesie.

- Ale dlaczego?

__Może wpaść w szal i zażądać, żebym pozbyła się dziecka. A może w porywie żalostnego uniesienia oświadczy, że sprzeda swoje włosy, żeby kupić mleko. On nie jest w stanie uporać się z własnym życiem. Jak mógłby troszczyć się o czyjeś?

__A ty - rzucił Kola, obrzucając mnie ostrym spojrzeniem - sądzisz, że ty wszystkiemu podołasz?

__Moja matka doskonale potrafiła zadbać o kilka osób równocześnie. Albo Julia. Nie mam powodów do niepokoju. Nie obarczę się tym chłopakiem. Kola rozmyślał.

__Nawet jeżeli to wszystko jest prawdą, popełniasz błąd, postępując w ten sposób - powtórzył srogo.

__Wiem, że popełniam błąd - przyznałam.

__W takim razie dlaczego to robisz?

- Brak mi odwagi.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Wydaje mu się, że bredzę, pomyślałam, ale jest zbyt subtelny, żeby mi to powiedzieć.

__Powinnas wrócić do Francji - stwierdził. - Jestem pewien, że rodzina na ciebie czeka. Wróc przynajmniej do domu - błagał jak najlepszy przyjaciel. Pokręciłam głową.

__Nie. Postanowiłam zamieszkać tutaj.

__Co takiego? - Wydawał się oszołomiony. - Uciec z Francji i zamieszkać w tym kraju? Chyba nie wiesz, co mówisz. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego tak bardzo nas lubisz.

__Moja matka była komunistką.

297

CHANTAL DELSOL

- Twoja matka! Słyszałem, że na Zachodzie było ich więcej niż tu. A więc to prawda...

- Tak.

- Ale dlaczego?

- Pomyśl o kuglarzu i zapatrzonym w niego tłumie. Potrafi wmówić ludziom, że zamienił piasek w złoto. Widzowie, którzy są najbliżej, mogą rozszyfrować jego oszukańcze sztuczki. Inni, siedzący z tyłu, wyciągają szyje, wyteżają wzrok i zachwycają się cudem.

- Może masz rację. Mniejsza o to. Ale żeby tu szukać schronienia... Chyba za krótko mieszkasz w tym kraju, żeby wszystko zrozumieć.

- Owszem. Wystarczająco długo. Właśnie ta próżnia mnie urzekła. Jeśli zdołam tu być szczęśliwa, nic mnie już nie ugodzi. Nawet moja klątwa. Zresztą nie ma żadnej klątwy. To historyczna

pomyłka. Ale tkwiąca u podstaw i wciąż powtarzana.

- O czym ty mówisz? - patrzył na mnie serdecznie, jak na kogoś bliskiego, kto oszalał.
- Wrócę do domu, ale potem, kiedy moja córka pójdzie do szkoły.
- Córka. Skąd to wiesz?
- Po prostu wiem.

Wzruszył ramionami, okazując, że czuje się bezradny.

- Tutaj - powiedział - byle drobiazg może wpędzić w obłęd. Tak jest od stuleci. I dziś także. Sama powiedz, co nam właściwie zostało. Nawet Bóg... Gdzie on jest?
- Nie wiadomo. Zniknął. Mogę ci tylko powiedzieć, że u nas też go nie ma - zaśmiałam się. Sądził, że z niego drwię.
- To nie jest zabawne. Czemu służą dziś religie? Umiesz mi to wyjaśnić?
- Jeszcze za wcześnie, żeby poznać odpowiedź. Uporządkuj swoje pytania, Kola.
- Za wcześnie? Ależ jest już bardzo późno. Świat się starzeje, nie zauważyłaś?
- No właśnie! Stracił pamięć. Uporządkuj pytania.

WARIATKI

Przez hol przeszedł student. To był Jurij, skrzypek. Butelka wódki wystawała z kieszeni jego obszernego płaszcza. Kola zatrzymał go. Jurij, gdzie, twoim zdaniem, jest teraz Bóg? Student odwrócił się. To pytanie zaskoczyło go mniej niż prośba o podanie adresu dziewczyny. Uniósł ręce w geście rozpacz: ach, to kolejny dezertor! Któż odgadnie jego ścieżki? Przestań, Kola, przestań, szepnęłam. Chce mi się spać. Dobranoc, stróże duchów. Przeszłam obok stołu, na którym Wołodia położył list, i ruszyłam w stronę schodów.

Odwróciłam się, żeby pożegnać ich jeszcze uśmiechem. W oknie brakowało jednej zasłony.

Bezkrzesna noc polarna wtargnęła do środka, walcząc z blaskiem dogorywającej żarówki.

Tej nocy snułam sen, który zaczął się w cieplej atmosferze czułości, a zakończył koszmarem. Julia siedziała na wprost mnie, przy oknie, a jej siwe włosy lśniły w słońcu. Mówiła, że wkrótce umrze, ale to nie ma znaczenia, i czyniła to z takim spokojem, że nie sposób było jej nie uwierzyć. Ja zaś stałam, a raczej unosiłam się w rajskiej atmosferze, otulona serdeczną miłością Julii i pewna, że chwile pożegnania będą trwały całą wieczność. A jednak wyrzucałam sobie, że coś przed nią ukryłam, i szeptałam z lekkim wahaniem, jeszcze ci nie powiedziałam, że spodziewam się dziecka, ucieknę razem z nim, nikomu nie powiem dokąd, chłopak o niczym nie wie, on... Julia nie dała mi skończyć zdania. Uniosła rękę pokrytą starczymi plamami, w jaskrawym świetle niemal odcieleśnioną. Jej błękitne oczy rozbłyły. Rzuciła: wiem, wiem, to fatalizm; było powiedziane, że tak to się skończy; nic na to nie poradzisz, ja również nie; nikt nie ma na to wpływu.

Myśl o tym zagadkowym fatalizmie przeistoczyła sen w koszmar. Pełen światła pokój, zapewne w paryskim mieszkaniu Julii, stał się piwnicą, w której panował wilgotny, lepki chłód. W tym tunelu zniknęła postać Julii. Wyciągałam ręce, żeby przynajmniej dotknąć jej twarzy, ale nikogo nie było. Powtarzałam tylko, szlochając: dlaczego? dlaczego jesteśmy bezradni? Ale Julia gdzieś się rozplynęła

CHANTAL DELSOL

w chwili, gdy obudził mnie głos kobiety, która krzyczała w pokoju obok: dlaczego w tym kraju musi być tak źle? Powiedz, dlaczego?! Sen ukradł formy rzeczywistości, jak to często bywa. Ale pytanie wciąż pozostawało bez odpowiedzi. Julia potrafiła tylko przepowiadać lub stwierdzać. Nie wyjaśniała. Usiadłam na łóżku, by otrząsnąć się z koszmaru. Bezwiednie wyteżyłam słuch. Głos za ścianą coraz ciszej mówił: to fatalizm.

Nadeszła pora, by zniknąć. Zabrałam rzeczy z ulicy Plechanowa, na kanapie zostawiłam list do Koli i pojechałam na dworzec. Przechodząc przez skwer przed katedrą Kazańską natknęłam się na Hugona, który siedział na ławce pośród liliowych kwiatów. Zwrócił na mnie puste oczy, w których brak było spojrzenia. Nawet nie zauważył, że na ramieniu niosę czarną skórzaną torbę, którą dała mi Oliwia, mówiąc: weź ją, jest niezniszczalna, z nią zawędrujesz choćby na koniec świata. I dodała ciszej: a nawet wrócisz, jeżeli tylko będziesz chciała. A ja pomyślałam: tym razem to już nie złudzenie, mama się starzeje.

W torbie były kilogramy dokumentów, lecz chyba więcej ważyło dziecko, miało co prawda dopiero

trzy miesiące, ale przecież już niosło ze sobą pamięć.

Kola podał mi nazwisko świadka, który żył samotnie w mieście oddalonym od reszty świata. Może ten człowiek przeżył dość dużo, żeby własną opowieścią zappełnić kroniki. Jeżeli chcesz uciec, powiedział Kola, wiedz chociaż dokąd. Spędziłam lato nad brzegami Ladogi, potem ruszyłam dalej na wschód, ku krainie bez światła. Wiedziałam doskonale, że ten świadek to tylko pretekst.

Uciekałam, żeby ukryć dziecko, a wraz z nim nierozwikłany paradoks dziedzictwa. Nie miałam poję-

300

WARIATKI

cia, jak żyć. Gnałam ku przepaści, aby wypełnić tę niewiedzę.

Wsiadłam do trzęsącego pociągu, który wolno zmierzał ku krańcom świata. Zardzewiałe wagony, brudne zasłonki, wygniecione siedzenia. W przedziale migiała żółtawa lampka. Przez niedomykające się okna korytarza wciskał się śnieg, na podłodze stopniowo tworzyły się małe zaspę. Idąc z wagonu do wagonu, widziałam coraz bardziej odrażający brud, a na zewnątrz coraz bardziej dziewiczą przyrodę, bezkresne lasy. Pociąg zatrzymywał się na wyludnionych stacjach, gdzie zamiast budynków stały tylko blaszane budki. W słabym świetle latarni wirowały płatki śniegu. Nieliczni ludzie, a raczej postacie okutane w palta i szale, przemykali pod ścianami, żeby uniknąć zmagania z porywistym wiatrem. Właśnie tego szukałam jako dziecko - pustyni. Pociąg sunął wprost w noc prapoczątku. Wiedz, że gdyby można raz jeszcze dać początek dziejom, pierwsze słowo brzmiałoby inaczej.

W końcu dotarłam do jednego z tych miast, które nie mają nazw ani nie istnieją na mapach. Zanim się pojawiło, ujrzałam za oknem szereg podmiejskich fabryk sterczących pośród spowitej ciemnościami równiny. Potem przyszła kolej

na grupy domów barwy popiołu. Rozpoznałabym pośród stu innych to bezimienne miasto, które przypominało mi genealogię mojej rodziny. Pociąg zatrzymał się niemal bezgłośnie, śnieg tłumiał wszelkie hałasy. Wyszłam po wysokich żelaznych stopniach, trzymając w rękę torbę. Wraz ze mną wysiadło tylko dwóch podróżnych: stara kobieta i utykający wyrostek w czapce naciśniętej na oczy. To był świat z koszmarnego snu. Ale ja postrzegałam go inaczej. Gdzieś tam paliło się światło w oknie mojego świadka. Pomyślałam, że dziecko urodzi się w tym zapomnianym przez Opatrzność mieście i że dla niego to ogromna szansa.

Było późno. Po dworcze włączyło się kilku pijaków. Rano zamierzałam odwiedzić wynajmującą pokoje kobietę, której adres podał mi Kola. W mieście był tylko jeden hotel.

301

CHANTAL DELSOL

Złapałam taksówkę, aby tam pojechać. Był duży i zaniedbany, jak wszystkie hotele imperium.

Poprosiłam o pokój i wypełniłam papiery. Na kontuarze w recepcji królował telefon.

Nawykałam wypróbować każdy napotkany przypadkiem telefon. Naturalnie na ogół nie działały.

Po wybraniu dwóch pierwszych cyfr rozlegał się ten ciągły dzwonek, który odbierał wszelką nadzieję. Albo po wybraniu pełnego numeru głos oznajmiał, że numer jest błędny, linia przeciążona albo uszkodzona. Zdarzało się też, że słuchawkę podnosił ktoś w Rosji, ale i jego głos jakby dobiegał zza grobu. Nie zniechęcając się, próbowałam dodzwonić się do Oliwii. Podnosiłam potłuczone słuchawki na pocztach. Błagałam urzędników bankowych, żeby pozwolili mi skorzystać z aparatu. Wszystko na próżno.

Spytałam, czy mogę zatelefonować do Francji. Recepcjonista spojrział na mnie ze zdziwieniem i pochylił się, żeby włączyć linię. Po chwili usłyszałam głos Oliwii, tak dźwięczny i bliski, jakby była o parę domów dalej, bez najlżejszego echa czy pogłosu. Recepcjonista nie krył zaskoczenia. Oliwią powiedziała, że nie, nie miewa się dobrze. W ubiegłym tygodniu zmarła Julia. Oznajmiła mi to w pośpiechu, obawiając się prawdopodobnie, że za chwilę może zabraknąć jej sił.

- To nieprawda! - krzyczałam. - To niemożliwe.

- Posłuchaj, bądź rozsądna, wysłuchaj mnie. Pozwól, że o wszystkim ci opowiem.

- Od tygodni próbuję zatelefonować do ciebie, ale wszystkie aparaty są zepsute w tym zepsutym kraju. Wszędzie cię szukam. A kiedy w końcu udało mi się dodzwonić, ty masz mi do powiedzenia

tylko to jedno. To jakiś zły sen. Ty mogłabyś umrzeć. Ja też. Ale nie Julia.

- Floro! Przecież ona była już stara. Sama kiedyś liczyłaś: ponad sto lat. Od pewnego czasu na coś chorowała, zapomniałam, jak to się nazywa, traciła głowę, zresztą sama wiesz.

302

WARIATKI

- Na pewno nie chciała się leczyć, jak zwykle nie brała lekarstw. Powinnaś była...

Do hotelowego holu weszli kobieta i mężczyzna, a wraz z nimi wtargnął lodowaty podmuch wiatru. On miał na głowie wysoką czapę. Ona futro o długim włosie. Razem wyglądali jak para wilków.

- Jesteś tam? - zapytała z niepokojem Oliwią.

- Uspokój się. Nie mogła już nawet malować. Przestała jeść! Ostatnie popołudnia spędziłam w jej sypialni. Mówiła już tylko o Patryku. Opowiedziała mi o jego samobójstwie tak dokładnie, że miałam wrażenie, iż rozegrało się na moich oczach. W ostatniej chwili, drżąc, otuliła się swetrem. Siedziała skulona w fotelu, tak wyzbyta siebie jak nieszczęsna, zagubiona dusza. Powiedziała: idź już, zjedz kolację, pozwól, że teraz spokojnie o tobie pomyślę. I dodała: będziesz żyć za mnie. Nie chciałam odejść. Wstałam, żeby zaparzyć herbaty. Umarła, kiedy byłam w kuchni. Wybiegłam z domu, chciałam wezwać lekarza. Mogłam przecież po prostu zatelefonować, ale nawet to nie przyszło mi do głowy. Zresztą wiedziałam, że to jej nie pomoże. W dole, na ulicy, manifestujący kolejarze skandowali: "Brońmy praw nabytych"! Pochowaliśmy ją w Paryżu. Właśnie porządkuję jej rzeczy. Znalazłam mnóstwo rysunków, listy od nas, portrety Konstantego od młodości do dziś. Konstanty niemal oszalał. Pewnie nawet nie dlatego, że odeszła, ale dlatego że nie był przy niej.

- Oliwią wyrzucała z siebie słowa najszybciej, jak mogła, mnożyła szczegóły, aby oswoić mnie z myślą o tej śmierci i złagodzić jej portret. Płakałam cicho. Recepcjonista, który i tak nie miał nic do roboty, patrzył na mnie ze współczuciem. Mężczyzna w czapce wypełniał cyrylicą papiery meldunkowe, starając się pisać wyraźnie zgrabiałą z zimna ręką.

- Floro?-zaniepokoiła się Oliwią. - Słuchasz mnie? Gdzie teraz jesteś?

- W mieście, które nie ma nawet nazwy. Na zewnątrz panuje noc. Tu też jest ciemno. Dzwonię z hotelowego holu.

303

CHANTAL DELSOL

Przed sklepikiem hotelowym pojawił się chłopak, który przechodząc zwędził butelkę wódki, ukrył ją pod kurtką i zniknął w jednym z korytarzy. Ten dzień zapamiętałam minuta po minucie, rejestrując wszelkie najdrobniejsze wydarzenia.

- Gdzie leży to miasto?

- Daleko na wschodzie. Nie potrafię tego dokładniej określić.

- Co tam robisz?

- Będę tu pracowała. Muszę spotkać się z pewnym człowiekiem. Obiecano mi dostęp do archiwum.

- Skoro cię to cieszy... - powiedziała pogodniej Oliwią. - Niczego ci nie brakuje?

- Wszystkiego. Ale to bez znaczenia. Zresztą i tak żyję za twoje dolary. Tutaj to prawdziwy majątek.

- Kiedy wrócisz?

Nigdy dotąd nie zadała mi tego pytania. Wcześniej powstrzymywało ją na pewno skrupowanie, rezerwa, wierność najświętszemu prawu do wolności, nie ma nic gorszego, mawiała, niż uczuciowy szantaż. Jeszcze nie wiem, odparłam. Obiecałam dzwonić jak najczęściej. Moje milczenie to tylko skutek stanu tutejszych telefonów. Nie odważyłam się powiedzieć Oliwii o dziecku. Gdyby przypadkiem nie przeżyło. Rozłączyłam się.

Kobieta w nastroszonym futrze podnosiła właśnie walizkę, trzymając w ręku klucz do pokoju.

Nasze spojrzenia spotkały się. Z tonu rozmowy wyczuła niewątpliwie, że odebrałam złe wieści.

Zerknęła na mój brzuch wyraźnie rysujący się pod paltem - byłam w ósmym miesiącu - i dostrzegła otaczającą mnie aurę samotności.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - szepnęła. >- - Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba.

Recepcjonista podał mi klucz.

- Pokój na trzecim piętrze - powiedział patrząc na mnie badawczo, a potem westchnął i zerknąwszy na mój brzuch, dodał współczująco: - Dziecko w tym chaosie, nawet pani sobie tego nie wyobraża, tu już nie rodzą się dzieci, mało jest szaleńców gotowych borykać się z takimi

304

WARIATKI

problemami. Może panią odprowadzę - rzekł w porywie życzliwości, jakby żałował swych cichych myśli.

Teraz ja zaczęłam mu się przyglądać. Odniosłam wrażenie, że przyrósł do swego twardego krzesła. Najprawdopodobniej od XX Zjazdu KPZR nie zdobył się na najlżejszy wysiłek. Co najmniej od XX Zjazdu. Kurczowo trzymał się czegoś w próżni. To był jego sposób na przetrwanie.

Współczucie było dowodem, że ma w sobie resztki człowieczeństwa. Sam był zdziwiony, że potrafi się na nie jeszcze zdobyć. Ta młoda kobieta z obcego kraju, sama, tuż przed porodem, w mieście, do którego nie przywożą już nawet dysydentów... Pomyliła pani kraje, radzę stąd wyjechać i nigdy nie wracać. Wyczytałam to z jego zdumionych oczu. Uśmiechnęłam się. Podziękowałam mu za troskę i powiedziałam, że doskonale sobie poradzę. Wskazał mi windę. Ale zbyt dobrze znałam kaprysy rosyjskich wind, które raz na trzy kursy kazały tkwić pechowcom między piętrami.

Wybrałam pewniejszą drogę schodami. Zgodnie ze zwyczajem obowiązującym jak imperium długie i szerokie, podłoga korytarza była przykryta dywanem wytartym do osnowy. Zgodnie z tym samym zwyczajem drzwi mojego pokoju, z których wyjęto zamek, otwały się po zwykłym pchnięciu.

Weszłam. Pokój wypełniała owa specyficzna woń zrodzona z biedy i niedbalstwa, gęstniejąca, jak zauważyłam, w miarę posuwania się na wschód. Na łóżku leżała kołdra w białej powłoce i przez otwór widać było, że jest mocno sfatygowana. Odstawiłam torbę i opadłam na fotel pod fotografią ukazującą zaśnieżoną równinę.

Tu po raz pierwszy ogarnęła mnie chęć, by wrócić do domu. Nie dlatego, że chciałam uciec z tych posępnych miejsc. Szczęście wolności pozwalało mi trwać w stanie łaski i nie chciałam innego życia. Zastanawiałam się jednak, czy wolno mi dłużej skazywać Oliwię na rozłąkę. Po dłuższym zastanowieniu doszłam do wniosku, że troska stanowi tylko pretekst dla mnie. W rzeczywistości bałam się, że sama nie przeżyję braku Julii. Bez niej wydarzenia rozprasały się niczym dryfujące statki. Od zawsze Julia

20 Wariatki

305

CHANTAL DELSOL

WARIATKI

nadawała wszystkiemu sens. Kto teraz potrafi tłumaczyć te najprostsze i te najtrudniejsze sprawy? Uniosłam zasłonkę i wyjrzałam przez okno. Pod zachmurzonym niebem spały szeregi bloków mieszkalnych. Stary świadek gdzieś tu strzegł skarbów pamięci. Świadek nigdy nie śpi. Obecność tego nieznanego była mi pociechą. Jutro rano, jak najwcześniej, ruszę na poszukiwanie. Nie zdobędę planu miasta, bo taki w ogóle nie istnieje. Będę musiała błądzić. Ale ta wędrówka niosła tyle obietnic...

W pokoju było zimno. Rzuciłam na łóżko beżowe wełniane palto, grube i ciężkie, to, którym niegdyś otulała się Eleonora, śpiąc w pociągach. Rozebrałam się i wsunęłam pod to okrycie. Zniszczone palto przesiąknięte było wonią czasów.

Dziecko dało znak swego przyjścia na świat nazajutrz rano, trochę za wcześnie i zanim zdążyłam poczynić przygotowania. Pospiesznie wezwałam taksówkę. Kierowca postanowił zabrać mnie na wycieczkę po mieście, pewnie miał za mało klientów, usiłował też opowiedzieć mi historię swego życia, ale zaczęłam okazywać zniecierpliwienie, a w końcu pomachałam mu przed nosem dolarami, żądając, by jechał najkrótszą drogą. Lekarz sprawiał wrażenie równie kompetentnego jak wszyscy w tym posępnym i obskurnym szpitalu. Zbadał mnie, powiedział, że do porodu zostało jeszcze kilka godzin, i wysłał do pokoju. Wtedy uświadomiłam sobie, że nie miałam czasu na zakup żywności i że teraz czeka mnie trzydniowa głódówka. Potem złażałam samą siebie za to, że martwię się takimi błahostkami. Pomyślałam o Julii. Czuwa nade mną sto lat. Zadrzałam. Dlatego, że nie potrafiłam jej dorównać.

Sąsiadka z sali, kobieta w nieokreślonym wieku, tuż po porodzie, zgromadziła pod poduszką imponujący zapas czarnego chleba. Pomiedzy posiłkami odmawiała półgłosem litanie wypisane na kolorowych kartkach. Poprosiłam, żeby pożyczyła mi jedną z nich. Potem zdołałam ją przekonać, że umiem napisać piękniejszą i dłuższą modlitwę w zamian za kromkę chleba.

306

Nigdy w życiu się nie modliłam, ale pomyślałam, że Bóg, jeśli istnieje, nie będzie miał mi za złe tego drobnego oszustwa. Otrzymałam swoją kromkę czarnego chleba.

W końcu urodziłam córeczkę. Dałam ci na imię Konstancja, co znaczy: mimo wszystko.

\

W sprzedaży

Andrew M.,

Wrześniowe anioły

W sprzedaży

hubra

NoahWiordon

Diament Jerozolimski

Historia tego diamentu od wilków splatała się z dziejami jego rodziny. Harty wychował się na opowieściach o nim. Teraz kłjnot pojawi! się także w jego życia.

W sprzedaży

Nie zdradzaj żadnych tajemnic

Najpierw zniknęła jej matka, teraz Connie. A człowiek, którego Jess postawiła przed sadem, powiedział ze znaczącym uśmiechem: "Ludzie, którzy mnie drażnią, mają zwyczaj znikać".

Wydawnictwo "Książnica" sp. z o.o.

ul. Powstańców 30/401

40-039 Katowice

td- (032) 757-22-16, 254-44-19

feks (032) 757-22-17

<http://www.ksiaznica.com.pl>

e-mail: [ksiazki @ ksiaznica.com.pl](mailto:ksiazki@ksiaznica.com.pl)

Wydanie pierwsze Katowice 2002

Skład i łamanie:

Z.U. "Studio P", Katowice

Druk i oprawa:

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza